



Elizabeth
HOYT
WŁADCA
MROKU

Z cyklu „Tajemnice Maiden Lane”

Elizabeth
HOYT

WŁADCA
MROKU

przełożyła Anna Pajek

bis
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Lord of Darkness*

Projekt okładki: Alan Ayers

Copyright © 2013 by Nancy M. Finney

This edition published by arrangement with Grand Central Publishing, New York, USA. All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2018

ISBN 978-83-7551-595-4

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22-877-27-05, 22-877-40-33

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Kamil Raczyński

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Epilog

*Mojej najstarszej córce, Emmie.
Jestem z Ciebie taka dumna.*

Podziękowania

Po raz kolejny muszę podziękować zespołowi profesjonalistów, którzy pomogli mi przygotować dla was tę książkę: mojej cudownej agentce Susannah Taylor, niewiarygodnie cierplivej redaktorce Amy Pierpont, najwspanialszej korektorce Carrie Andrews (wszelkie błędy – zwłaszcza te dotyczące koloru oczu – są wyłącznie moje). Asystentka Amy (i także redaktorka!), Lauren Plude, wie zawsze, co się dzieje, Diane Luger z GCP Art Department stworzyła wspaniałą okładkę, a Nick Small i Joan Schulhafer z działu reklamy pracowali niezmordowanie, robiąc wszystko, co możliwe, by moje książki były czytane.

Dziękuję wam wszystkim.

Rozdział 1

*Słyszeliście opowieść o Jeźdźcu z Piekieł, Hellequinie?
– z Legendy o Hellequinie*

*Londyn, Anglia
marzec 1740 roku*

Tej nocy, gdy Godric St. John zobaczył swoją żonę po raz pierwszy od dnia ślubu przed dwoma laty, kobieta mierzyła do niego z pistoletu. Lady Margaret stała obok powozu, na środku ulicy w St. Giles. Błyszczące czarne loki dziewczyny wymykały się spod aksamitnego kaptura peleryny. Ramiona miała wyprostowane, w oczach morderczy błysk, a delikatne dłonie trzymały broń tak pewnie, że na ułamek sekundy z podziwu zaparło mu dech.

W następnym ułamku sekundy lady Margaret pociągnęła za spust.

BUM!

Strzał był ogłuszający, ale na szczęście niecelny, gdyż jego żona była najwyraźniej fatalnym strzelcem. Nie stanowiło to jednak zbyt wielkiej pociechy, ponieważ natychmiast się odwróciła, sięgnęła w głąb powozu i wyjęła drugi pistolet. Nawet najgorszemu strzelcowi może w końcu dopisać szczęście.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się, jakie są szanse, iż żona zabije go tej nocy. Był zbyt zajęty ratowaniem niewdzięcznicy przed rzeźmieszkami, którzy zatrzymali jej powóz w najbardziej niebezpiecznej części Londynu.

Uchylił się przed ciosem olbrzymiej pięści, wymierzonym w jego głowę, i kopnął napastnika w brzuch. Facet chrząknął, ale się nie przewrócił, zapewne dlatego, że zbudowany był niczym perszeron. Zamiast paść na bruk, jął okręgać Godrica, podczas gdy jego kompani, jeden w drugiego wielkie chłopy, zaczęli powoli się zbliżać.

Godric zmrużył oczy i uniósł szpadę, trzymaną w prawej dłoni, lewa dzierżyła krótsze ostrze, przydatne podczas obrony i walki w bliskiej odległości. Wtem... A niech to – lady Margaret wypaliła doń z drugiego pistoletu.

Odgłos wystrzału rozdarł nocną ciszę, odbijając się od zrujnowanych budynków wąskiej ulicy. Godric poczuł, że kula przebiła krótką pelerynę,

dziurawiąc wełniane okrycie.

Lady Margaret zakłęła, posługując się imponująco bogatym słownictwem. Opryszek stojący najbliżej Godrica uśmiechnął się, odsłaniając zęby barwy tygodniowego moczu.

– Kobitka chyba nie bardzo cię lubi, he?

Nie tak się jednak sprawy miały. Lady Margaret próbowała zabić Ducha St. Giles. Niestety, nie mogła wiedzieć, że jest nim jej mąż, czarna skórzana maska całkiem skutecznie skrywała bowiem oblicze Godrica.

Na chwilę wszystko zamarło w bezruchu. Szósty rzeźmieszek nadal stał, celując z pistoletów do woźnicy lady Margaret i dwóch jej lokajów. Jakaś kobieta przemówiła z głębi powozu, bez wątpienia starając się przekonać lady Margaret, aby się w nim schroniła. Sama lady utkwiała w nim zaś pełne gniewu spojrzenie, najwidoczniej nieświadoma faktu, iż może zostać zamordowana – albo i gorzej – jeżeli Godricowi nie uda się jej ocalić. Wysoko nad ich głowami blady księżyc spoglądał obojętnie na walące się ceglane budynki, rozbity bruk i poskrzypujący na wietrze sklepowy szyld. Godric rzucił się na uśmiechniętego opryszka.

Lady Margaret może i zachowała się niemądrze, przychodząc tutaj, a opryszek podązał po prostu za głosem instynktu, nakazującym mu dopaść bezbronną zdobycz, ale nie miało to znaczenia. Godric był Duchem St. Giles, obrońcą słabych, drapieżcą, którego należało się obawiać, władcą nocnego Londynu i, do licha, mężem lady Margaret! Pchnął zatem szybko, nisko, nadziewając opryszka na ostrze szpady. Mężczyzna chrząknął, lecz zanim upadł, Godric wymierzył cios łokciem w twarz jego kompana, rozbijając mu nos.

Uwolnił zakrwawioną szpadę, obrócił się błyskawicznie i ciął trzeciego napastnika. Ostrze zraniło mu policzek i łotr zatoczył się z krzykiem do tyłu, przyciskając dłoń do twarzy. Pozostali dwaj zawahali się, co podczas ulicznej bójki zawsze źle się kończy.

Ostrze szpady świsnęło, kiedy Godric zaatakował jednego z opryszków. Chybił, ale udało mu się wbić kordelas, trzymany w lewej dłoni, głęboko w udo piątego napastnika. Mężczyzna wrzasnął, po czym obaj odwrócili się i jęli uciekać.

Skoro nie było już z kim walczyć, wyprostował plecy, oddychając ciężko, i rozejrzał się dookoła. Z szóstki przeciwników na polu bitwy został już tylko rabuś z pistoletami.

Woźnica – krępy mężczyzna w średnim wieku, o twardych rysach i wiecznie zaczerwienionej twarzy – spojrzał zmrużonymi oczami na opryszka, sięgnął pod

siedzenie i wyjął pistolet. Ostatni łotr odwrócił się i umknął bez słowa.

– Zastrzel go – rozkazała lady Margaret. Głos jej drżał, Godric przypuszczał jednak, iż raczej z gniewu niżli ze strachu.

– Milady? – Woźnica popatrzył na swoją panią skonsternowany, ponieważ ostatni z napastników zdążył już zniknąć z pola widzenia.

Godric wiedział, iż dama nie miała na myśli opryszka, i nagle coś w nim – coś, o czym sądził, że umarło na zawsze – ożyło. Spojrzał na mężczyznę, którego dla niej zabił, i powiedział:

– Nie ma potrzeby mi dziękować.

Mówił szeptem, by nie rozpoznała jego głosu, wyglądało jednak na to, że doskonale go słyszała. Krwiożercza dziewczka zacisnęła bowiem zęby i wysyczała:

– Nie miałam zamiaru dziękować.

– Nie? – Przechylił głowę i uśmiechnął się ponuro. – Nie dostanę nawet buziaka na szczęście?

Spojrzała na usta Godrica, których nie zakrywała maseczka, i skrzywiła się z niesmakiem.

– Wolałabym przytulić żmiję.

A to dobre. Uśmiechnął się szerzej.

– Boisz się mnie, skarbie?

Przyglądał się, zafascynowany, jak otwiera usta, bez wątpienia po to, aby go złać, przerwano jej wszakże, zanim zdążyła się odezwać.

– Dziękuję! – dobiegł z powozu damski głos.

Lady Margaret ściągnęła brwi i się odwróciła. Najwidoczniej znajdowała się na tyle blisko kobiety w powozie, by móc ją widzieć.

– Nie dziękuj mu! To morderca!

– Nas nie zamordował – wytknęła jej kobieta. – Podziękowałam w imieniu nas obu, wskakuj więc do powozu i opuśćmy to okropne miejsce, nim zmieni zdanie.

Mina lady Margaret przywiodła Godricowi na myśl dziewczynkę, której odmówiono deseru.

– Ona ma rację – wyszeptał. – Wierz lub nie, to miejsce znane jest z tego, że napadają tu na niemądrych elegancików.

– Megs! – syknęła kobieta w powozie.

Gniewne spojrzenie lady Margaret mogłoby podpalić drewno.

– Zamierzam znów cię odszukać, a potem zabić.

Mówiła absolutnie poważnie, zaciskając drobne szczęki.

Zdjął wielki kapelusz z opadającym rondem i skłonił się z przesadną atencją.
– Nie mogę się doczekać, by umrzeć w twoich ramionach, skarbie.

Dama zmrużyła gniewnie oczy, bynajmniej nierozbawiona jego ripostą. Jej towarzyszka zamamrotała wszakże ponagląco, spojrziała więc tylko po raz kolejny z pogardą na Godrica i wsiadła do powozu. Woźnica krzyknął na konie i pojazd ruszył z miejsca.

Godric St. John uświadomił sobie zaś dwie rzeczy: jego żona zakończyła już widać okres żałoby i powinien wrócić do domu przed nią. Zatrzymał się jeszcze i spojrzął na ciało mężczyzny, którego zabił. Ciemnoczerwona krew spływała krętą strużką do kanału pośrodku uliczki. Oczy zabitego wpatrywały się szklście w obojętne niebiosy powyżej. Godric stał przez chwilę nieruchomo, szukając w swoim sercu emocji – jakichkolwiek. I, jak zwykle, nie znalazł.

Ani jednej.

Obrócił się i pobiegł wąską alejką. Dopiero gdy zaczął się ruszać, poczuł, że boli go prawe ramię. Musiał uszkodzić sobie coś podczas bójki albo któremuś z rzezimieszków udało się zadać mu celny cios. Nieważne. Saint House znajdował się niedaleko, w pobliżu rzeki, Godric uznał jednak, iż najszybciej dostanie się tam po dachach.

Zdążył już niemal wdrapać się na pobliską szopę, gdy to usłyszał: wysoki, dziewczęcy krzyk, dobiegający zza zakrętu alejki. A po nim kolejny.

Do licha! Nie miał czasu. Mimo to zeskoczył z dachu, wyjął szpadę oraz kordelas i pobiegł za róg.

Zobaczył dwie dziewczynki. Jedna nie mogła mieć więcej niż pięć lat. Stała, drżąc, pośrodku cuchnącej uliczki i wrzeszczała ile sił w płucach. Nie była w stanie zrobić nic więcej, ponieważ jej towarzyszka została już pochwycona. Była nieco starsza i walczyła z desperacją zagnanego w kąt szczura. Na próżno jednak.

Mężczyzna, który ją trzymał, był trzy razy od niej większy. Zdzielił małą pięścią w głowę. Upadła bezwładnie na chodnik i młodsze dziecko natychmiast do niej podbiegło.

Mężczyzna pochylił się nad dziewczynkami.

– Hej, ty! – burknął Godric złowróźnie.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Co do...

Dobrze wymierzony cios prawą pięścią posłał łajdaka na ziemię, a wtedy Godric przyłożył mu czubek szpady do odsłoniętego gardła, pochylił się i zimno wycedził:

– Nie jest zbyt przyjemnie znaleźć się po drugiej stronie ostrza, co?

Osilek spochmurniał i potarł obolałą szczękę.

– Co jest? Mam prawo robić ze swoimi dziewczynkami, co mi się podoba!

– Nie jesteście twoimi dziewczynkami!

Godric spostrzegł kątem oka, że starsza z dziewczynek siada.

– On nie jest naszym tatą!

Krew spłynęła jej z kącika ust i Godric poczuł, że ogarnia go gniew.

– Zmykajcie do domu – powiedział, ścisząc głos. – Zajmę się tym łotrem.

– Nie mamy domu – pisnęła młodsza z dziewczynek, na co starsza wymierzyła jej natychmiast kuksańca i syknęła: – Cicho bądź!

Godric był zmęczony, a to, co usłyszał, rozproszyło go. Tak przynajmniej tłumaczył sobie fakt, że łobuz na chodniku podciął go nogami. Upadł na bruk i choć natychmiast się zerwał, zbir zdążył już zniknąć za rogiem.

Westchnął, wyprostował się i skrzywił. Ramię, i tak już nadwreżone, pulsowało bólem. Spojrzał na dziewczynki.

– Skoro tak, lepiej chodźcie ze mną.

Mniejsza posłusznie zaczęła się podnosić, lecz starsza pociągnęła ją z powrotem na ziemię.

– Nie bądź głupia, Moll. On może być takim samym porywaczem dziewczynek jak tamten.

Godric uniósł brwi. Od jakiegoś czasu nie słyszał tego określenia. Potrząsnął głową. Nie pora zgłębiać teraz ten temat. Lady Margaret wróci niebawem do domu, a jeśli go tam nie zastanie, mogą pojawić się niewygodne pytania.

– Chodźcie – powiedział, wyciągając rękę do dziewczynek. – Nie jestem porywaczem i znam miłe, ciepłe miejsce, gdzie będziecie mogły spędzić noc.

Jak również wiele następnych.

Sądził, że jego głos brzmi wystarczająco łagodnie, by rozwiać obawy dzieci, lecz starsza dziewczuszka skrzywiła się tylko i powiedziała:

– Nigdzie z tobą nie pójdziemy.

Godric uśmiechnął się przyjaźnie – a potem pochylił, chwycił błyskawicznie obie dziewczynki i powiedział:

– Owszem, pójdziecie.

Nie było to jednak wcale proste. Starsza obrzuciła go przekleństwami, szokująco wulgarnymi jak na panienkę w tym wieku, a młodsza natychmiast się rozplakała. Obie walczyły przy tym jak dzikie kotki. Kilka minut później, gdy w polu widzenia pojawił się Przytułek dla Sierot i Podrzutków, prawie upuścił niewygodny balast, kiedy starsza z dziewczynek omal nie pozbawiła go

męskości.

– Auć! – jęknął, powstrzymując się, aby nie użyć bardziej dosadnego języka.

Chwycił mocniej starszą pannę, podkraśl się do tylnego wejścia do sierocińca i kopał w drzwi, dopóki w kuchennym oknie nie zabłysło światło. Drzwi otwały się szeroko, ukazując wysokiego mężczyznę w pomiętej koszuli i bryczesach. Winter Makepeace, zarządca domu, uniósł brwi na widok Ducha St. Giles, trzymającego pod pachą dwie wyrywające się, zapłakane dziewczynki.

Godric uznał, że nie ma czasu na wyjaśnienia.

– Proszę – wydyszał tylko, po czym bezceremonialnie upuścił dzieci na kuchenną podłogę i spojrzał na rozbawionego zarządcę. – Radzę mocno je trzymać. Są bardziej śliskie niż naoliwiony węgorz.

Co powiedziawszy, zatrzasnął drzwi, odwrócił się i pognął ku własnemu domowi.

* * *

Lady Margaret St. John zaczęła się trząść, gdy tylko jej powóz opuścił St. Giles. Duch był tak potężnie zbudowany, tak szybki i śmiertelnie przerażający. Gdy rzucił się ku niej, wymachując zakrwawioną szpadą, utrzymaną w wielkich, okrytych skórzanymi rękawicami dłoniach, z oczami połyskującymi zza groteskowej maski, ledwie zdołała zapanować nad lękiem.

Wzięła głęboki oddech, by uspokoić szalejący puls. Od dwóch lat nienawidziła tego człowieka każdą cząstką swojej istoty, nie spodziewała się jednak, że kiedy w końcu go spotka, poczuje się tak... tak...

Pełna życia.

Spojrzała na pistolety na kolanach, a potem na swą drogą przyjaciółkę oraz szwagierkę, Sarah St. John.

– Przepraszam. To był...

– Idiotyczny pomysł? – Sarah uniosła jasnobrazową brew. Proste jak drut włosy w kolorze mysiego blondu, przeplatane pasemkami barwy najbledszego złota, miała związane z tyłu głowy w ciasny kok. Inaczej niż Megs, której bujne, ciemne kędziory wymknęły się już jakiś czas temu z upięcia i tańczyły teraz wokół jej twarzy niczym macki morskiego potwora.

Megs ściągnęła brwi.

– Cóż, nie wiem, czy „idiotyczny” to właściwe określenie...

– Może więc: głupi? – podsunęła Sarah szorstko. – Niemądry? Lekkomysłny?

– Choć wszystkie te przymiotniki wydają się po części odpowiednie –

wtrąciła Megs, nim przyjaciółka zdążyła rozwinąć listę; trzeba bowiem przyznać, że Sarah St. John mogła poszczycić się bardzo bogatym słownictwem – uważam, że „lekkomyślny” najbardziej tu pasuje. Przepraszam, że naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

– I siebie.

Megs zamrugła.

– Co takiego?

Sarah nachyliła się i jej twarz znalazła się w świetle latarni powozu. Zachowanie szwagierki cechowały zazwyczaj słodycz i opanowanie, właściwe pannie w wieku lat dwudziestu pięciu, skażone jedynie z lekka sardonicznym poczuciem humoru. Teraz wyglądała jednak jak ruszająca do boju Amazonka.

– Siebie – powtórzyła. – Ryzykowałeś nie tylko moje życie i życie służących, ale też swoje. Co mogło być aż tak ważne, że skłoniło cię do nocnej wyprawy do St. Giles?

Megs odwróciła wzrok. Sarah zjechała do majątku St. Johnów w Cheshire rok po ich ślubie, nie znała zatem przyczyny, dla której związek zawarto tak pośpiesznie.

Dziewczyna potrząsnęła głową, utkwivszy wzrok w miejskim krajobrazie za oknem.

– Przepraszam. Chciałam jedynie zobaczyć...

Nie dokończyła i Sarah poruszyła się niespokojnie.

– Co takiego?

Miejsce, gdzie został zamordowany Roger. Na samą myśl o tym serce ścisnął jej znajomy ból. Poleciała woźnicy, by zawiózł je do St. Giles, w nadziei, że pozostał tam jakiś ślad jej ukochanego, a ona go odnajdzie. Oczywiście, nic takiego nie nastąpiło. Roger był od dawna martwy. Stracony dla niej. Miała też jeszcze jeden powód, aby rozejrzeć się po St. Giles: pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który go zamordował, tak zwanym Duchu St. Giles. Przynajmniej to jej się udało. Duch się pojawił. Nie była tej nocy odpowiednio przygotowana, ale następnym razem...

Następnym razem jej się nie wymknie.

Następnym razem wystrzeli kulę wprost w jego czarne serce.

– Megs?

Cichy głos przyjaciółki zakłócił mordercze rozmyślenia Megs. Dziewczyna potrząsnęła głową i uśmiechnęła się radośnie – może zbyt radośnie – do szwagierki.

– Nieważne.

– Co...

– Boże, jesteśmy wreszcie na miejscu? – rzuciła, w mało subtelny sposób zmieniając temat. Powóz zwolnił bowiem, jakby miał wkrótce się zatrzymać.

Pochyliła się i wyjrzała przez okno. Ulica była ciemna.

Megs ściągnęła brwi.

– Chyba jednak nie.

Sarah założyła ramiona na piersi.

– Co widzisz?

– Jesteśmy na wąskiej, krętej uliczce, przed wysokim, ciemnym budynkiem.

Wygląda cokolwiek... eee...

– Odwiecznie?

Megs spojrzała na towarzyszkę.

– Tak?

Sarah skinęła głową.

– Czyli to Saint House. Jest stary jak Matka Ziemia. Nie widziałś go, kiedy brałaś ślub z Godrikiem?

– Nie – odparła Megs, udając, że bardzo zainteresował ją widok za oknem. – Weselne śniadanie zjedliśmy w domu mojego brata, a tydzień później wyjechałam z Londynu. – Tych siedem dni spędziła zaś, leżąc, pogrążona w rozpaczy, w łóżku w domu matki. Odsunęła smutne wspomnienia. – Jak bardzo jest stary?

– Zbudowano go w średniowieczu i, o ile pamiętam, pełno tam przeciągów.

– Ach, tak.

– Poza tym prawy brzeg rzeki to nie najmodniejsza dzielnica Londynu – kontynuowała Sarah radośnie. – Ale tak to już jest, gdy twoi przodkowie przybyli na wyspy z Wilhelmem Zdobywcą: trzeba mieszkać w szacownych starych budynkach bez stylu i nowoczesnych udogodnień.

– Za to z pewnością jest sławny – zauważyła Megs, starając się być lojalna. W końcu należała teraz do rodziny.

– O, tak – stwierdziła sucho Sarah. – Wspomniano o nim w niejednym podręczniku historii. Bez wątplenia będzie to stanowiło pociechę, gdy stopy zamienią ci się nocą w bryły lodu.

– Skoro tak tam okropnie, dlaczego zdecydowałaś się ze mną przyjechać? – spytała Megs.

– Żeby pomieszkać trochę w stolicy i pochodzić po sklepach, oczywiście. – Głos Sarah brzmiał całkiem wesoło, zważywszy na ponury obraz rodzinnego gniazda, jaki właśnie odmalowała. – Nie byłam w Londynie od wieków.

Powóz szarpnął, a potem się zatrzymał. Sarah sięgnęła po koszyk z robótką i szal. Oliver, młodszy z dwóch lokajów, których zabrały ze sobą z Cheshire, otworzył drzwi. Choć biała peruka, stanowiąca część liberii, skrywała jego włosy, rudych brwi nie dało się zamaskować w żaden sposób.

– Nie myślałem, że dotrzemy tu żywi – mruknął, rozkładając schodki. – Niewiele brakowało, by te rzeźmieszki załatwiły nas na amen, jeśli wolno zauważyć, milady.

– Ty i Johnny byliście bardzo dzielni – pochwaliła go Megs, wysiadając. Spojrzała na woźnicę. – Ty również, Tomie.

Woźnica chrząknął i pochylił szerokie ramiona.

– Lepiej niech panie wejdą do środka, gdzie jest bezpiecznie, milady.

– Tak zrobimy. – Megs odwróciła się w kierunku domu i dopiero wtedy zauważyła drugi powóz, stojący już przed wejściem.

Sarah wysiadła i stanęła obok niej.

– Wygląda na to, że twoja cioteczna babka Elvina przyjechała przed nami.

– Rzeczywiście – odpowiedziała z wolna Megs. – Ale dlaczego jej powóz wciąż stoi na ulicy?

Drzwi pojazdu otworzyły się jakby na dany sygnał.

– Margaret! – Zmartwioną twarz ciotecznej babki wieńczyła chmura miękkich siwych loczków, przeplecionych różowymi wstążkami. Jej tubalny głos odbił się echem od kamiennych ścian. Cioteczna babka zwykła mówić donośnie, była bowiem nieco przygłucha. – Margaret! Wstrętny kamerdyner nie chce nas wpuścić. Siedzimy tu już od wieków i Księżniczka zaczyna się denerwować. Dobiegające z powozu cokolwiek zduszone skomlenie zaświadczyło o prawdziwości tych słów.

Megs spojrzała na dom męża. W żadnym z okien nie paliło się światło, lecz najwidoczniej ktoś był jednak w środku, skoro zareagował wcześniej na stukanie. Podeszła zatem stanowczym krokiem do drzwi, uniosła wielką żelazną kołatkę i pozwoliła jej opaść z łomotem.

Następnie odsunęła się o krok i spojrzała w górę. Budowla stanowiła mieszanek różnych stylów. Dwa najniższe piętra wzniesiono ze starej czerwonej cegły – zapewne tak wyglądał oryginalny budynek. Lecz później któryś z właścicieli dodał kolejne trzy kondygnacje z innej – jaśniejszej i bardziej beżowej. Szczyty oraz kominy wznosiły się ponad dachem bez wyraźnego planu. Po obu stronach dodano też skrzydła, sięgające końca ulicy i tworzące swego rodzaju dziedziniec.

– Uprzedziłaś Godrica, że przyjeżdżamy, prawda? – wymamrotała Sarah,

podchodząc do szwagierki. Megs przygryzła wargi.

– Cóż...

W wąskim oknie po prawej stronie zabłysło światło, oszczędzając jej przyznania, że nie powiadomiła o swoich zamiarach męża. Drzwi otworzyły się ze złowróżbnym skrzypieniem i w progu stanął zgarbiony służący w wyłysiałej peruce, z pojedynczą świecą w dłoni.

Zaczerpnął drżącego oddechu.

– Pan St. John nie przyj...

– Och, dziękuję – przerwała mu Megs, ruszając.

Przez chwilę obawiała się, że mężczyzna nie ustąpi jej z drogi. Spojrzał jednak tylko kaprawymi oczkami, zaskoczony, po czym odsunął się na tyle, by mogła wejść. Będąc już w środku, odwróciła się i zaczęła zdejmować rękawiczki.

– Jestem lady Margaret St. John, żona pana St. Johna.

Kamerdyner ściągnął krzaczaste brwi.

– Żona...

– Właśnie. – Uśmiechnęła się, chociaż mężczyzna wyglądał teraz, jakby miał się udławić. – Ty zaś jesteś...?

Wyprostował się i Megs spostrzegła, że jest młodszy, niż się wydawało. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

– Moulder, milady. Kamerdyner.

– Cudownie! – Wręczyła mu rękawiczki i się rozejrzała. Hol nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Zważywszy na ilość pajęczyn pod sufitem, musiała tam zamieszkiwać rozliczna populacja tworzących je owadów. Megs zauważyła kandelabr na stoliku, zaczęła go zapalać, wzięwszy świecę od kamerdynera. – A teraz, Moulder, na zewnątrz czeka w powozie moja ukochana cioteczna babka. Możesz zwracać się do niej: panno Howard. A także najstarsza młodsza siostra pana St. Johna, Sarah... jeżeli takie określenie ma w ogóle sens.

Sarah, która także zdążyła już wejść, uśmiechnęła się promiennie do kamerdynera, podając mu rękawiczki.

– Nie byłam w Londynie od kilku lat. Musisz być tu nowy.

Moulder otworzył usta:

– Ja...

– Przyjechały też z nami trzy pokojówki – kontynuowała Megs, oddając kamerdynerowi świecę – czterech naszych lokajów plus jeden ciotecznej babki i dwóch woźniców. Ciotka uparła się, aby mieć własny powóz, muszę jednak przyznać, że trudno mi sobie wyobrazić, jak miałybyśmy pomieścić się w

jednym.

– To byłoby po prostu niemożliwe – wtrąciła Sarah. – Poza tym twoja ciotka chrapie.

Megs wzruszyła ramionami.

– W rzeczy samej. Oczywiście – dodała, zwracając się znów do kamerdynera – przywiozłyśmy też ogrodnika, Higginsa, i pucybuta Charliego, ponieważ to taki miły chłopiec. Poza tym jest bratankiem Higginsa, bardzo do niego przywiązany. No i Księżniczka. Jest przy nadziei i jada tylko wątróbkę z kurczęcia, dobrze przyprawioną i gotowaną powoli w białym winie. Czy wszystko zrozumiałeś?

– Ach... – wykrztusił oszołomiony Moulder.

– Wspaniale. – Obdarzyła go kolejnym olśniewającym uśmiechem. – Gdzie mój mąż?

Na twarzy kamerdynera oszołomienie zastąpił niepokój.

– Pan St. John jest w bibliotece, ale...

– Nie, nie! – Poklepała go pocieszająco po ramieniu. – Nie ma potrzeby mnie anonsować. Jestem pewna, że trafimy tam z Sarah. Zadbaj raczej o moją ciotkę i dopilnuj, aby służący dostali kolację – a także Księżniczka. To była długa podróż, jak się zapewne orientujesz.

Wzięła w dłoń kandelabr i ruszyła ku schodom na piętro. Sarah dreptała obok, chichocząc z cicha.

– Przynajmniej obrałaś właściwy kierunek. O ile dobrze pamiętam, biblioteka znajduje się na pierwszym piętrze, drugie drzwi po lewej stronie.

– Och, doskonale – wymamrotała Megs. Skoro zdobyła się na odwagę, by dotrzeć aż tutaj, głupio byłoby się teraz wycofać. – Jestem pewna, że chciałabyś jak najprędzej zobaczyć się z Godrikiem, podobnie jak ja.

– Naturalnie – mruknęła Sarah. – Nie okazaę się jednak na tyle samolubna, aby przeszkodzić ci w tym spotkaniu po latach.

Megs stanęła na podeście.

– Co takiego?

– Zobaczę się z bratem jutro rano. – Sarah uśmiechnęła się leciutko, zatrzymawszy się kilka stopni poniżej. – A teraz dopilnuję, by ciotka Elvina dostała wszystko, czego potrzebuje.

– Ale...

Słaby protest Megs rozpląnął się w powietrzu, Sarah zdążyła już bowiem zbiec ze schodów.

Racja, biblioteka. Drugie drzwi po lewej.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i odwróciła się, by stawić czoło pogrążonemu w półmroku korytarzowi. Po raz ostatni widziała męża dwa lata temu, zapamiętała go jednak – chociaż niewiele miała ku temu okazji – jako miłego i uprzejmego dżentelmena. Z pewnością nie przypominał ogra. Jego brązowe oczy podczas ceremonii ślubnej spoglądały na nią z sympatią. Skrzywiła się z powątpiewaniem. A może były niebieskie? Cóż, jakiegokolwiek były koloru, ich wyraz wydawał się zdecydowanie przyjazny.

Z pewnością nie zmieniło się to aż tak bardzo w ciągu dwóch lat?

Chwyciła za gałkę i przekreśliła ją, zanim zdążyła się rozmyślić. W końcu biblioteka to miejsce, do którego dramatyczne wydarzenia nie powinny mieć przystępu, nadaje się więc doskonale do tego, by zaskoczyć dawno niewidzianego męża niespodziewaną wizytą.

W pokoju, ciemnym i zagraconym jak korytarz, jedyne światło pochodziło od zamierającego na kominku ognia i pojedynczej świecy, stojącej obok starego, przesadnie wypchanego fotela. Podeszła bliżej, stąpając na palcach. Osobnik zajmujący fotel wydawał się równie jak on... wiekowy. Miał na sobie indyjski szlafrok koloru burgunda, lecz spłowiały materiał na łokciach i przy obrąbku wydawał się wręcz różowy. Jego odziane w pończochy stopy w podniszczonych kapciach spoczywały na pikowanym stołku, ustawionym tak blisko ognia, że ich czubki nosiły ślady wcześniejszych przypaleń. Głowę, opuszczoną na prawe ramię, zakrywał ciemnozielony turban z zawadiackim złotym fontaziem, opadającym na lewe oko. Na czole mężczyzny tkwiły okulary o połówkowych szklach i gdyby nie dobywające się spomiędzy warg ciche pochrapywanie, można by pomyśleć, że Godric St. John tuż przed chwilą umarł.

Ze starości.

Megs zamrugała i wyprostowała plecy. Z pewnością nie mógł być aż tak stary! Żywiła dotąd mgliste przekonanie, że jest niewiele starszy od jej brata Griffina, tego, który zaaranżował ich małżeństwo i liczył sobie teraz trzydzieści trzy lata. Ale choć bardzo się starała, nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek poinformowano ją, ile właściwie lat ma jej mąż. Wzięli ślub w najmroczniejszej godzinie jej życia i – za co powinna być zapewne wdzięczna – niewiele wtedy do niej docierało.

Spojrzała, zaniepokojona, na śpiącego mężczyznę. Chrapał z na wpół otwartymi ustami, lecz jego rzęsy, rzucające cień na policzki, wydawały się w półmroku czarne i gęste. Wpatrywała się w nie przez chwilę, dziwnie poruszona tym widokiem.

Zacisnęła wargi. Wielu mężczyzn zeni się w jesieni życia i mimo to radzą

sobie w sypialni. Na przykład księżę Frye – począł dziecko nie dalej jak w zeszłym roku, będąc już po siedemdziesiątce. Z pewnością Godric także podoła zadaniu.

Podniesiona nieco na duchu chrząknęła delikatnie. Doprowadzenie męża do apopleksji z pewnością nie przysłużyłoby się sprawie, która sprowadziła ją do Londynu.

Mężczyzna musiał wypełnić obowiązek – to znaczy: zapłodnić swoją żonę.

* * *

Godric St. John prychnął, udając, że się budzi. Otworzył oczy i zobaczył Margaret, wpatrującą się weń ze zmarszczką pomiędzy delikatnymi brwiami. Podczas ślubu, znużona i nieobecna duchem, unikała jego spojrzenia, nawet gdy przysięgała trwać przy nim, dopóki Bóg ich nie rozłączy. Kilka godzin po ceremonii rozchorowała się podczas weselnego śniadania i została odesłana pod opiekę matki i siostry. W liście, wysłanym następnego dnia, poinformowano go, że straciła dziecko, które stało się powodem pospiesznie zaaranżowanego ożenku.

Ponura ironia.

Teraz przyglądała mu się z tak nieskrywaną ciekawością, że miał ochotę sprawdzić, czy pasek jego szlafroka jest aby na pewno mocno zawiązany.

– Co? – wykrztusił, udając zaskoczenie.

Pospiesznie rozciągnęła wargi w szerokim, przesadnie szczerym uśmiechu, krzyżącym wręcz, że dziewczyna coś knuje.

– Och, witaj.

Witaj? Po dwóch latach nieobecności? Witaj?

– Ach... Margaret, prawda? – Powstrzymał grymas. To, co teraz powiedział, nie zabrzmiało bowiem o wiele lepiej.

– Tak! – Jej twarz pojaśniała, jakby był zdziecinniałym starcem, który na chwilę odzyskał rozum. – Przyjechałam z wizytą.

– Doprawdy? – Wyprostował się nieco na krześle. – Jakie to... nieoczekiwane.

Powitanie zabrzmiało widać cokolwiek chłodno, zerknęła bowiem na Godrica z niepokojem, po czym zaczęła okrążyć pokój.

– Rzeczywiście. Przywiozłam też Sarah, twoją siostrę. – Głęboko odetchnęła, wpatrując się w niewielką średniowieczną akwafortę na obramowaniu kominka. Niemożliwe, aby w panującym w pokoju półmroku zdolna była dostrzec, co

przedstawia obraz. – Cóż, wiesz oczywiście, że to twoja siostra. Nie mogła się doczekać, by znowu pochodzić po sklepach, pójść do teatru, a może nawet opery czy parku rozrywki, toteż... toteż...

Wzięła do rąk oprawione w skórę wydanie komentarzy Van Oostena do pism Katullusa i pomachała z lekka tomem, podkreślając swoje słowa.

– I...

– ...zajrzeć do kolejnych sklepów...? – Godric uniósł brwi. – Co prawda nie widziałem Sarah od wieków, pamiętam jednak, że uwielbia zakupy.

– W rzeczy samej. – Wydała mu się dziwnie przygnębiona, kiedy tak kartkowała od niechcenia poźółkłe strony.

– A ty?

– Co: ja?

– Dlaczego przyjechałaś do Londynu?

Książka rozpadła się jej w dłoniach.

– Och! – Osunęła się na klęczki i gorączkowo ją zbierała krusze stronice. – Och, bardzo przepraszam!

Godric stłumił westchnienie. Strony rozpadały się równie szybko, jak ona je zbierała. Tom, kupiony u Warwicka, kosztował go pięć gwinei i o ile się orientował, był to jedyny ocalały egzemplarz.

– Nie przejmuj się. Książka i tak wymagała ponownego oprawienia.

– Czyżby? – Spojrzała z powątpiewaniem na strony w dłoniach, a potem ostrożnie położyła plik rozpadających się kartek na swych kolanach. – Cóż, zawsze to jakaś pociecha, czyż nie?

Uniosła ku niemu twarz z wielkimi brązowymi oczami o dziwnie błagalnym wyrazie i coś w jej pozie, gdy tak przed nim klęczała, sprawiło, że oddech uwiązł mu w piersi. Dziwne, trudne do określenia uczucie ścisnęło go za serce, podczas gdy inne, całkowicie przyziemne i zgoła prymitywne, rozpałało mu lędźwie. Dobry Boże. Cóż za niedogodność! Chrząknął.

– Margaret?

Zamrugła powoli, niemal uwodzicielsko... Idiota. Musiała być po prostu śpiąca. To dlatego powieki miała tak ciężkie i omdlewające. Czy to w ogóle możliwe: uwodzicielsko mrugać?

– Tak?

– Jak długo planujesz zostać w Londynie?

– Och... – Spuściła głowę i zaczęła przekładać stronice książki, zapewne po to, by je uporządkować. Skutek był jednak wręcz przeciwny. – Cóż, jest tu tyle rozrywek, prawda? I... mam kilka bliskich, bardzo bliskich przyjaciółek, które

chciałabym odwiedzić...

– Margaret...

Zerwała się z klęczek, nadal ściskając w dłoniach zniszczoną okładkę Van Oostena.

– Nie chciałabym urazić żadnej z nich – odparła z uśmiechem, wycelowanym gdzieś na prawo od jego ramienia.

– Margaret.

Ziewnęła szeroko.

– Wybacz mi, proszę. Obawiam się, że podróż mocno mnie zmęczyła. Och, jesteś, Daniels – odwróciła się z ulgą ku drobnej pokojówce, która pojawiła się jak na zawołanie na progu. – Mój pokój jest już gotowy?

Dziewczyna dygnęła, rozglądając się z zaciekawieniem po bibliotece.

– Tak, milady. Przynajmniej na tyle, na ile dało się to osiągnąć tego wieczoru. Nie uwierzyłaby pani, ile pajęczyn...

– Tak, cóż... jestem pewna, że teraz już wszystko w porządku. – Odwróciła się na pięcie i skinęła głową. – Dobranoc, eee... mężu. Zobaczymy się rano, czy tak?

Po czym uciekła, wciąż ściskając okładkę biednego Van Oostena. Pokojówka zamknęła za nią drzwi.

Godric utkwił wzrok w solidnej dębinie. Pokój, pozbawiony ożywionej, błyskotliwej obecności Megs, wydał mu się nagle pusty i ponury niczym grobowiec. Dziwne. Do tej pory uważał bibliotekę za wyjątkowo przytulną. Zirytowany potrząsnął głową. O co jej chodzi? Po co przyjechała do Londynu?

Ich małżeństwo zostało zaaranżowane i było związkiem z rozsądku – przynajmniej z jej strony. Potrzebowała nazwiska dla dziecka w brzuchu. Jej brat, Griffin, zmusił go do ożenku szantażem, choć to nie on był ojcem. Nigdy nawet nie rozmawiał z lady Margaret przed dniem ich ślubu. Po nim zaś, gdy żona wyjechała, aby zamieszkać w zaniebawianej przezeń wiejskiej posiadłości, wrócił do poprzedniego trybu życia.

Przez rok w ogóle się nie komunikowali, jeśli nie liczyć strzępków informacji, przekazywanych mu przez macochę i przyrodnie siostry. A potem, ni z tego, ni z owego, lady Margaret napisała do niego z pytaniem, czy może wyciąć rozrosłe nadmiernie krzaki winorośli w ogrodzie. Jaka znowu winorośl? Nie odwiedzał Laurelwood Manor, dworu w Cheshire, od wczesnych lat małżeństwa z ukochaną Clarą. Odpisał zatem grzecznie, acz krótko, iż może robić w ogrodzie, co chce, z winoroślą i wszystkim, co tylko przyjdzie jej na myśl.

To powinno było zakończyć sprawę, lecz jego dziwna małżonka zaczęła

pisywać do niego raz albo dwa razy w miesiącu. W długich, gawędziarskich listach donosiła o zmianach w ogrodzie, wydarzeniach z życia jego najstarszej siostry przyrodniej, Sarah, która z nią zamieszkała, trudach i wyzwaniach, jakie postawił przed nimi remont zaniedbanego dworu oraz drobnych kłótniach i ploteczkach, którymi żyła pobliska wieś. Nie bardzo wiedział, jak reagować na ten zalew informacji, na ogół więc po prostu nie odpisywał. Po kilku miesiącach przyłapał się jednak na tym, iż wyczekuje listów od niej. Widok koperty leżącej rano obok filiżanki z kawą sprawiał, że czuł się przez chwilę dziwnie beztroski. A kiedy list spóźniał się dzień czy dwa, ogarniało go zniecierpliwienie.

Cóż. Żył w końcu samotnie od lat.

Lecz drobna przyjemność wynikająca z czytania listu to coś zupełnie innego niż dama najeżdżająca jego domostwo.

– Nie widziałem dotąd czegoś takiego – mruknął Moulder, wchodząc do biblioteki i zamykając za sobą drzwi. – Mogliby być trupą wędrownych handlarzy, tyle ich zjechało.

– O czym ty mówisz? – zapytał Godric, wstając i zdejmując szlafrok.

Pod spodem nadal miał na sobie kostium Ducha. Wślizgnął się do domu, kiedy powozy zajeżdżały przed drzwi frontowe. Wbiegając po ukrytych schodach, prowadzących z gabinetu do biblioteki, słyszał, jak Moulder próbuje powstrzymać gości. Saint House był tak stary, że pełno w nim było tajemnych przejść i kryjówek – co bardzo sprzyjało jego ukrytej działalności. Wpadł zatem do biblioteki, zdjął buty, po czym wrzucił szpadę, kordelas, pelerynę i maseczkę za jeden z regałów. Ledwie zdążył założyć turban i zawiązać pasek szlafroka, kiedy usłyszał, że gałka w drzwiach się obraca.

Niewiele brakowało... zbyt niewiele.

– O milady i tych, których ze sobą przywiozła. – Moulder rozłożył ręce, aby pokazać, jak liczna jest to gromada.

Godric uniósł brwi.

– Damy zazwyczaj podróżują z pokojówkami i takimi tam...

– Nie chodzi tylko o pokojówki – wymamrotał Moulder, pomagając mu zdjąć tunikę Ducha. Gdy zachodziła potrzeba, wykonywał bowiem również obowiązki osobistego lokaja. – Są też: ogrodnik, pucybut i jakiś dziwny pies, należący do ciotecznej babki lady Margaret... no i sama ciotka.

Godric zamrugnął, próbując rozeznąć się w sytuacji, Moulder zaś potrząsnął peleryną, wypatrując plam lub rozdarć. Spojrzał na pozór niewinnie na Godrica i zauważył:

– Co za szkoda.

– Mianowicie? – zapytał Godric, zdejmując getry Ducha i wkładając nocną koszulę.

– Nie będzie pan mógł teraz wymykać się nocami, żeby buszować po St. Giles, prawda? – odparł kamerdyner, składając tunikę. Potrząsnął ze smutkiem głową. – Szkoda, ale co zrobić. Pańskie dni jako Ducha dobiegły końca, skoro milady przyjechała, by z panem zamieszkać.

– Miałbyś zapewne rację – zdjął śmieszny turban i przesunął dłonią po krótko obciętych włosach – gdyby lady Margaret rzeczywiście zamierzała ze mną zamieszkać.

– Z pewnością przywiozła dość ludzi oraz bagażu, by zostać tu na zawsze – oznajmił Moulder z powątpiewaniem.

– To bez znaczenia. Nie zamierzam zaprzestać wypraw do St. Giles. To zaś oznacza – oznajmił, podchodząc do drzwi – że moja żona i reszta towarzystwa wyjedzie stąd przed upływem tygodnia.

A gdy tak się stanie, przyrzekł sobie w duchu, znów będzie mógł bronić biednych mieszkańców St. Giles, zapominając, że lady Margaret zakłóciła kiedykolwiek jego samotne życie.

Rozdział 2

Zrozum mnie dobrze: Hellequin to prawa ręka diabła. Przemierza świat na wielkim czarnym koniu w poszukiwaniu zmarłych, którzy byli za życia niegodziwi lub nie dostali rozgrzeszenia. A gdy takiego znajduje, zaciąga jego duszę do piekła. Towarzyszą mu skrzaty: nagie, sine i brzydkie. Nazywają się: Rozpacz, Smutek i Strata. Sam Hellequin jest zaś czarny jak noc, a jego serce – przynajmniej to, co z niego zostało – to po prostu bryła twardego węgla.
– z Legendy o Hellequinie

Następnego ranka Godrica obudził szmer kobiecych głosów w pokoju obok. Leżał przez chwilę nieruchomo, mrugając i rozmyślając, jakie to niezwykle słyszeć dobiegające stamtąd odgłosy krzątania.

Sypiał, co oczywiste, w sypialni pana domu, połączonej drzwiami z sypialnią małżonki. Lecz Clara zajmowała tamte pokoje jedynie przez pierwszy rok lub dwa. Później choroba zaczęła czynić postępy i lekarze zalecili pacjentce absolutny spokój. Przeniesiono ją więc do dawnego pokoju dziecinnego na piętrze, gdzie spędziła w cierpieniu dziewięć długich lat, nim wreszcie zmarła.

Godric potrząsnął głową, po czym zerwał się z łóżka, lądując bosymi stopami na zimnej podłodze. Pełne żalu myśli nie sprowadzą Clary z powrotem. Gdyby coś takiego było w ogóle możliwe, wyskoczyłaby z grobu radosna, szczęśliwa i wolna od bólu tysiące razy w ciągu tych lat, które minęły od jej śmierci.

Ubrał się szybko w prosty brązowy surdut i także spodnie, założył siwą perukę i wyszedł, ignorując szmer rozmów dobiegający zza drzwi drugiej sypialni. Świadomość, że lady Margaret spała tak blisko, pobudziła jego zmysły. Nie chodziło o to, że unikał tej sfery życia, nie przywykł jednak gościć innych – zwłaszcza kobiet – w ponurym, starym domiszczu.

Zszedł na parter. Zazwyczaj jadał śniadanie w pobliskiej kawiarni, aby posłuchać nowin, a także dlatego, iż posiłki w jego domu bywały w najlepszym razie skromne. Dziś wyprostował jednak plecy i zaryzykował wejście do rzadko używanej jadalni z tyłu domu. Tym razem ktoś tam wszakże był.

– Sarah.

Przez jedną denerwującą chwilę nie rozpoznał tej pewnej siebie damy, odzianej w skromną suknię barwy gołębiej szarości. Ileż to lat upłynęło, odkąd widział ją ostatni raz? Odwróciła się na dźwięk swego imienia i jej spokojną twarz rozjaśnił powitalny uśmiech. Rozgrzało mu to serce – co uznał za zaskakujące. Nie byli bowiem życzliwi – w końcu dzieliło ich dwanaście lat – i nie zdawał sobie sprawy, iż mógłby za nią tęsknić. Najwyraźniej jednak tak właśnie było.

– Godric!

Wstała i okrążyła długi stół o podniszczonym blacie. Uścisnęła brata, mocno i krótko. Żył samotnie od tak dawna, że jej dotyk niemal nim wstrząsnął. Odsunęła się, nim zdążył odpowiedzieć na uścisk, i jęła przyglądać mu się niepokojąco bystrym spojrzeniem brązowych oczu.

– Jak się miewasz?

– Dobrze.

Wzruszył ramionami i się odwrócił. Po blisko trzech latach przywykł do zatroskanych spojrzeń i delikatnego wypytywania, zwłaszcza ze strony kobiet. Niestety, nadal czuł się w takich sytuacjach skrępowany.

– Jadłaś już?

– Jak na razie nie zauważyłam tu nic jadalnego – stwierdziła chłodno. – Twój służący, Moulder, obiecał mi śniadanie i zniknął. Od tego czasu minęło dobre pół godziny.

– Ach, tak. – Żałował, iż nie potrafi udawać zaskoczenia, prawda wyglądała jednak tak, że nie był pewien, czy w domu znajduje się cokolwiek nadającego się do jedzenia. – Może więc... hm... udalibyśmy się do gospody i...

Moulder wparował do jadalni, niosąc ciężką tacę.

– Proszę bardzo.

Postawił ją z rozmachem pośrodku stołu i odsunął się o krok, spoglądając z dumą na swoje dzieło. Godric też spojrział na tacę. Stały na niej dzbanek z herbatą i filiżanka, a dookoła – pół tuzina spalonych niemal na węgiel grzanek, maselniczka i talerz z pięcioma jajkami. Pozostawało mieć jedynie nadzieję, że były ugotowane.

Godric spojrział pytająco na kamerdynera.

– Jak widzę, kucharz jest dziś... eee... niedysponowany?

Moulder prychnął.

– Kucharz zniknął. A wraz z nim spory krąg sera, solniczka i połowa srebrnej zastawy. Nie wydawał się uszczęśliwiony, kiedy usłyszał wczoraj wieczorem, że mamy tylu gości.

– Może to i lepiej, zważywszy na to, jak fatalnie radził sobie z pieczenią.

– Zaprzyjaźnił się też przesadnie z pańskim zapasem win, jeśli wolno mi zauważyć, sir – dodał Moulder. – Pójdę i sprawdzę, czy mamy więcej filiżanek, dobrze?

– Dziękuję, Moulder. – Zaczekał, aż kamerdyner opuści jadalnię, po czym zwrócił się do siostry. – Przepraszam za tak skromne przyjęcie.

Wysunął dla niej krzesło.

– Nie przejmuj się, proszę – odparła, siadając. – Spadłyśmy ci na kark bez uprzedzenia.

Sięgnęła po dzbanek z herbatą.

– Hm – mruknął Godric, siadając naprzeciwko siostry. – Zastanawiałem się dlaczego.

– Sądziłam, że Megs do ciebie napisała – powiedziała Sarah, unosząc brwi.

Potrząsnęła jedynie głową, sięgając po tost.

– Ciekawe, dlaczego nie uprzedziła cię, że przyjeżdżamy – zauważyła cicho, smarując masłem grzanekę. – Planowałyśmy tę wyprawę od miesiąca. Jak myślisz: mogła się obawiać, że jej odmówisz?

Niemal udławił się pieczywem.

– Nie zrobiłbym czegoś podobnego. Skąd taki pomysł?

Wzruszyła ramionami.

– Nie widywaliście się od ślubu, rzadko do niej pisujesz, podobnie jak do mnie. Lub, skoro już o tym mowa, do mamy, Charlotte czy Jane.

Godric zacisnął wargi. Pozostawał w poprawnych stosunkach z macochą i przyrodnimi siostrami, nie byli jednak ze sobą zbyt blisko.

– Nie pobraliśmy się z miłości.

– Najwidoczniej. – Sarah ostrożnie ugryzła grzanekę. – Wiesz, mama martwi się o ciebie. I ja także.

Nalał jej herbaty, ale milczał. Cóż mógłby powiedzieć? Och, u mnie wszystko w porządku? Straciłem, jak zapewne wiecie, miłość mojego życia, ale ten ból można jakoś wytrzymać. Udawanie, że jest się kompletnym i że wstawanie każdego ranka nie stanowi wyzwania, było męczące. Po co w ogóle pytali? Nie wiedzieli, że śmierć ukochanej go załamała i nic już nie mogło tego naprawić?

– Godric? – dobiegł go delikatny głos.

Zmusił się, by unieść nieco kąciki ust, po czym przesunął w stronę Sarah filiżankę z herbatą.

– Jak tam moja macocha i siostry?

Zacisnęła usta, jakby chciała dalej go wypytywać, lecz zamiast tego upiła

jedynie łyk herbaty.

– Z mamą wszystko w porządku. Jest pochłonięta przygotowaniami do debiutu Jane. Planują zatrzymać się na jesienny sezon u przyjaciółki mamy, lady Hartford.

– Ach tak. – Ulżyło mu, kiedy usłyszał, że macocha nie zamierza zatrzymać się w Saint House, lecz niemal natychmiast poczuł się winny: powinien był pamiętać, że jego najmłodsza siostra jest już na tyle dorosła, aby zadebiutować w towarzystwie. Do licha! Pamiętał Jane jako piegowatą dziewczuszkę, biegającą z patykiem za kółkiem. – A co u Charlotte?

Sarah przewróciła oczami.

– Oczarowuje wszystkich młodzieńców w Upper Hornsfield.

– A jest tam wielu odpowiednich dżentelmenów?

– Nie tak wielu jak w Lower Hornsfield, oczywiście, lecz mamy nowego wikarego, są też synowie miejscowego dziedzica, nie brakuje jej więc adoratorów. Nie jestem nawet pewna, czy zdaje sobie sprawę, że dokądkolwiek się uda, podążają za nią tęskne męskie spojrzenia.

Wyobrazenie sobie małej Charlotte – którą widział ostatni raz, kiedy zawzięcie kłóciła się z Jane o kawałek figowego ciasta – w roli prowincjonalnej *femme fatale* sprawiło, że po prostu musiał się uśmiechnąć.

Drzwi jadalni otwały się po raz kolejny. Odruchowo podniósł wzrok i spojrzał wprost w oczy żony, zamarłej w progu niczym królowa Budyka, gotowa najechać obóz niespodziewającego się ataku rzymskiego generała.

* * *

Megs zatrzymała się i wzięła głęboki oddech. Godric wyglądał inaczej niż mężczyzna, którego zapamiętała z poprzedniego wieczoru. Może to z powodu dziennego światła. A może dlatego, że tym razem miał na sobie znoszony, lecz świetnie skrojony żakiet i spodnie. A może sprawił to delikatny uśmiech, który wygładził zmarszczki smutku i troski na jego czole i wokół szarych oczu, przyciągając uwagę ku ustom, szerokim i pełnym, z dwiema głębokimi bruzdami po obu stronach. Przyłgnęła na chwilę spojrzeniem do tych ust, zastanawiając się, jakby to było poczuć je na wargach...

– Dzień dobry – powiedział, wstając, jak nakazywała grzeczność.

Zamrugła, podnosząc czym prędzej wzrok. Postanowiła zeszłej nocy – całkiem logicznie! – że zaczeka z rozpoczęciem kampanii uwiedzenia do rana. Któż mógłby oczekiwać, że od razu wskoczy do łóżka obcego sobie w gruncie

rzeczy mężczyzny, którego nie widziała od dwóch lat? Lecz teraz był już ranek, zatem...

A, tak. Uwiedzenie.

Jej milczenie sprawiło, że uśmiech znikł Godricowi z twarzy. Spoglądał teraz na nią zwężonymi oczami, czekając na odpowiedź. Wyglądał przy tym odrobinę przerażająco.

Dziecko! Pamiętaj, po co tu przyjechałaś, napomniała się w duchu.

Wyprostowała ramiona.

– Dzień dobry!

Uśmiechnęła się cokolwiek zbyt radośnie, by ukryć zakłopotanie. Sarah, która zdążyła się już odwrócić, uniosła brwi. Godric okrążył stół i wysunął dla żony krzesło obok siostry.

– Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

Pokój, w którym przyszło jej spędzić noc, był wilgotny, zakurzony i pachniał stęchlizną.

– Tak, bardzo dobrze.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Ruszyła ku niemu – a potem ku wolnemu miejscu tuż obok.

– Wolałabym usiąść tutaj, jeżeli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała, zniżając uwodzicielsko, jak jej się zdawało, głos i spoglądając na niego spod opuszczonych rzęs. – Blisko ciebie.

Przechylił głowę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Czyżbyś się przeziębiła? – zapytał. – Wydajesz się zachrypnięta.

Sarah zakrztusiła się herbatą.

Psiakość! Od tak dawna nie flirtowała, że najwidoczniej wyszła z wprawy. Zirytowana zerknęła na szwagierkę, powstrzymując chęć, aby pokazać jej język.

– Jak sobie życzysz. – Godric stanął koło niej i niemal podskoczyła, słysząc tuż przy uchu jego głęboki głos. Dobry Boże, potrafił poruszać się bezszelestnie!

– Dziękuję.

Opadła na krzesło, aż nadto świadoma jego onieśmielającej bliskości, po czym mężczyzna wrócił na swoje miejsce.

Przygryzła wargi, zerkając na męża kątem oka. Czy powinna potrzebować łydką o jego nogę pod stołem? Zdaje się, że byłoby to równie stosowne jak chwycenie za pośladek arcybiskupa Canterbury. Godric z profilu wydawał się taki... poważny.

Dziewczyna spojrzała na tacę ze śniadaniem i wszelkie myśli o uwodzeniu wyparowały jej z głowy, stołownicy zostawili jej bowiem jedynie spalone resztki grzanek i kilka ugotowanych na twardo jaj. Rozejrzała się po pokoju, ale

nie zobaczyła nic nadającego się do zjedzenia.

– Miałybyś może ochotę na tost? – wymamrotała Sarah.

– Och, dziękuję. – Megs spojrzała pytająco na szwagierkę.

– Wygląda na to, że kucharz dał nogę, jak powiedziałby nasz Oliver. – Sarah wzruszyła lekko ramionami i przesunęła tacę. – Moulder udał się na poszukiwanie kolejnych filiżanek, ale nim wróci, możesz napić się z mojej.

– Eeee... – Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi jadalni otwarły się gwałtownie.

– Tu jesteście, moje drogie! – Do pokoju wparowała cioteczna babka Elvina.

– Nie uwierzycie, w jak okropnym pokoju przyszło mi spędzić noc. Księżniczka cały czas straszliwie rzeźbiła z powodu kurzu!

Godric wstał na powitanie ciotki, po czym chrząknął i zapytał:

– Księżniczka?

Mały, lecz bardzo okrągły beżowy mops wtoczył się do pokoju, spojrzał od niechcienia na ciotkę i opadł na dywan, niemal natychmiast przewracając się na bok. Pozostał tam, dysząc żałośnie. Najwidoczniej wyczucie dramatu u suczki dorównywało temu, jakim mogła poszczycić się jej pani.

– To właśnie Księżniczka – wyjaśniła pospiesznie Megs, dodając, zapewne niepotrzebnie: – Jest przy nadziei.

– W rzeczy samej – mruknął Godric. – Czy... eee... Księżniczka dobrze się czuje? Wydaje się zmartwiona.

– Mopsy zawsze tak wyglądają – oznajmiła ciotka donośnie. Jej słuch zdawał się ulegać poprawie lub pogorszeniu z niedającą się przewidzieć regularnością. – Na pewno dobrze by jej zrobiła miseczka ciepłego mleka, doprawionego odrobiną sherry.

Godric zamrugął.

– Ach... stokrotnie przepraszam, ale chyba nie mamy mleka. Co zaś się tyczy sherry...

– Jej też nie mamy – wtrącił Moulder z ponurą satysfakcją, wchodząc do jadalni z tacą niepasujących do siebie filiżanek.

– Racja – mruknął Godric. – Może gdyby poinformowano mnie z wyprzedzeniem o waszym przybyciu...

– Och, nie ma potrzeby przepraszać – wtrąciła Megs pospiesznie.

Odwrócił się i utkwiał w niej spojrzenie. Z bliska widać było rozbiegające się od kąców jego oczu kurze łapki. Wyglądały całkiem pociągająco, czego zresztą zupełnie nie rozumiała – dlaczego zmarszczki miałyby być pociągające?

Megs wzdrygnęła się w duchu i kontynuowała:

– Dom potrzebuje kobiecej ręki, a ty od dłuższego czasu nie miałaś tu nikogo takiego. Spodziewam się, że kiedy zatrudnimy nowego kucharza i kilka pomywaczek...

– A także gospodynię i pokojówki – wtrąciła Sarah.

– Nie wspominając o lokajach – wymamrotała ciotka Elvina. – Najlepiej dużych i silnych.

– Przywiozłyśmy przecież Johnny’ego i Olivera, a także dwóch twoich lokajów – wytknęła jej Megs.

– Nie można oczekiwać od nich, że wykonają całą harówkę, jakiej potrzeba, by doprowadzić to miejsce do porządku – odparła ciotka, marszcząc brwi. – Widziałas górne piętra?

– Eee... – Megs nie zdążyła rozejrzeć się po domu, lecz jeśli stan, w jakim znajdowała się jej sypialnia, miałyby stanowić wskazówkę... – Najlepiej będzie zatrudnić przynajmniej pół tuzina silnych chłopaków.

– Wątpię, bym potrzebował do prowadzenia domu istnej armii – stwierdził jej mąż chłodno. – Zwłaszcza po tym, jak wyjedziecie, co, jestem pewien, wkrótce nastąpi.

– Co takiego? – burknęła ciotka, przystawiając dłoń do ucha.

Megs uniosła palec, prosząc w ten sposób, by jej nie przerywano, coś właśnie przyszło jej bowiem do głowy.

– Z pewnością ktoś pomaga ci w zajmowaniu się domem, Moulder? – spytała, zwracając się do kamerdynera.

– Z początku było tu kilku facetów i parę pokojówek, ale odeszli jedno po drugim, a nowych nie zatrudniono. – Wzniósł oczy do nieba, jakby zwracał się do pajaków, ukrytych w zwisających z sufitu festonach pajęczyn. – Mieliśmy dziewczynę imieniem Tilly, milady, ale miesiąc temu okazało się, że jest w odmiennym stanie – nie za moją sprawą.

Wszystkie oczy zwróciły się na Godrica.

Uniósł brwi, trochę zirytowany, a trochę rozbawiony.

– Ani moją.

Bogu niech będą dzięki. Megs znów spojrzała na Mouldera, świadoma, że mąż stoi tuż obok i nie wydaje się zadowolony.

Kamerdyner wzruszył ramionami.

– Tilly odeszła wkrótce potem. Myślę, że uganiała się za pomocnikiem rzeźnika. Może to on był ojcem. Albo druciarz. Często pukał do kuchennych drzwi.

Przez chwilę panowała cisza. Najwidoczniej obecni próbowali rozwikłać

tajemnicę ojcostwa dziecka Tilly.

Wreszcie Godric chrząknął.

– Jak długo, konkretnie, planujesz pozostać w Londynie, Margaret?

Megs uśmiechnęła się olśniewająco – choć nie lubiła pełnej wersji swojego imienia – zwłaszcza kiedy wypowiedane było przeciągłym tonem z nutką powagi, mającej w sobie coś niemal złowróbnego. Wolałaby nie odpowiadać na to akurat pytanie.

– Och, nie lubię robić planów. O wiele przyjemniej jest płynąć z prądem, dostosowując się do okoliczności, nie sądzisz?

– Prawdę mówiąc, nie...

Dobry Boże, ależ był uparty! Odwróciła się pospiesznie do Mouldera.

– Czyli zajmujesz się wszystkim w pojedynkę?

Moulder ściągnął krzaczaste brwi. Na jego czole i wokół oczu szubienicznika pojawiły się miriady zmarszczek, sprawiając, że wyglądał jak uosobienie męczeństwa.

– Muszę, milady. Nie ma pani pojęcia, ile pracy – właściwie harówki! – wymaga zajmowanie się takim domem. Nie mam na to zdrowia.

Godric wymamrotał pod nosem coś, z czego zrozumiała jedynie słowo „wazeliniarz”.

Zignorowała to.

– Muszę więc szczerze ci podziękować, Moulder, za to, że zajmujesz się panem St. Johnem z takim oddaniem pomimo nawału zajęć.

Moulder się zaczerwienił.

– No, robię, co się da, milady.

Godric prychnął głośno, a Megs dodała pospiesznie:

– Tak, cóż, jestem pewna, że teraz, kiedy już się tu znalazłam, szybko doprowadzimy dom do porządku.

– A ile czasu będzie wam potrzeba... – spróbował Godric ponownie.

– Och, spójrzcie tylko, która godzina! – wykrzyknęła Megs, spoglądając na zegar na kominku. Trudno było powiedzieć, czy nadal chodzi, ale nie miało to znaczenia. – Musimy się pospieszyć, inaczej spóźnimy się na spotkanie Syndykatu Pań na rzecz Przytułku dla Sierot i Podrzutków.

– Tego w St. Giles, o którym nam opowiadałaś? – spytała Sarah, ewidentnie zainteresowana tematem.

Megs skinęła głową.

Ciotka Elvina podniosła wzrok znad podłogi, gdzie próbowała nakłonić Księżniczkę, by ta zjadła odrobinę grzanki.

– A cóż to takiego?

– Syndykat dam, które spotykają się w sierocińcu – odparła Megs, a jej głos przypominał stłumiony krzyk. – Jeżeli mamy być tam na czas, pora ruszać.

– Doskonale – oznajmiła ciotka, pochylając się, by podnieść Jej Wysokość i wziąć ją na ręce. – Przy odrobinie szczęścia podadzą nam herbatę i jakieś przekąski.

– Zatem ustalone.

Megs spojrzała na męża. Na jego twarzy malował się upór i dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że Godric przez cały czas bacznie ją obserwował. Teraz jednak odwrócił wzrok.

– Przypuszczam, że zdążycie akurat na kolację – oznajmił tonem obojętnym, niemal znudzonym.

Megs poczuła, że ogarnia ją irytacja. Przyjął najazd krewnych na swe zaniedbane, stare domiszcze, podobnie jak plan zatrudnienia licznej służby, z kamienną miną.

Chciała, by przestał być taki niewzruszony.

Było jednak coś ważniejszego: dziecko.

Opanowała się więc i zamruczała:

– Ależ nie, zobaczymy się za dziesięć minut.

Odwrócił się ku niej z wolna.

– Słucham?

Otworzyła szeroko oczy.

– Pojedziesz z nami, prawda?

– To jest, o ile mi wiadomo, Syndykat Pań – wytknął jej, jednak niezbyt stanowczo.

– Chciałabym spędzić trochę czasu w twoim towarzystwie.

Musnęła koniuszkiem języka kącik warg.

I wtedy – nareszcie! – to zobaczyła. Zerknął przelotnie na jej usta. Z trudem stłumiła chęć, by się uśmiechnąć, kiedy powiedział z nutką podejrzliwości w głosie:

– Jak sobie życzysz.

* * *

Godric siedział w powozie, przyglądając się lady Margaret z miną, jak się obawiał, ponurą i nadąsaną. Nie był pewien, jak to się stało, że zgodził się im towarzyszyć. Zazwyczaj o tej porze siedział już, otoczony gazetami, w ulubionej

kawiarni lub w swoim gabinecie, przeglądając nabyty ostatnio tom literatury klasycznej. Tylko że nie była to prawda. Odkąd zawitał po raz ostatni do kawiarni Bashama, minęły tygodnie, a jeszcze więcej, odkąd znalazł w sobie dosyć energii, by czytać ulubione książki. Najczęściej siedział po prostu beczynnym, wpatrując się w zawilgocone ściany gabinetu. A jednak dzisiaj ta istna trąba powietrzna, jego żona, skłoniła go, by towarzyszył jej podczas wizyty.

Zmrużył oczy. Gdyby nie to, iż był człowiekiem, który zwykł posługiwać się rozumem, mógłby podejrzewać, że stało się tak za sprawą jakiegoś czaru. Siedziała naprzeciw niego, rozmawiając z ożywieniem z cioteczną babką i Sarah. Starannie unikała przy tym jego spojrzeń, bez przerwy gawędząc na temat Londynu i Syndykatu Pań. Policzki miała zarumienione z podekscytowania, a jej oczy błyszczały. Ciemny lok wymknął się z upięcia i kołysał się teraz uwodzicielsko przy skroni, jakby chciał skusić nieostrożnego mężczyznę, aby spróbował go ujarzmić.

Godric zacisnął wargi i utkwiał wzrok w miejskim krajobrazie za oknem.

Może jego żona ma kochankę. Myśl nie była przyjemna, ale z jakiego innego powodu tak żywotna dziewczyna szukałaby towarzystwa pośępnego, obcego jej męża? Przedtem nie przyszło mu do głowy, że nieobecna żona może znaleźć sobie adoratora, ale czy było to aż tak nieprawdopodobne? Nie była dziewczicą, a on nawet nie próbował skonsumować ich małżeństwa. To, że wybrał samotne życie w celibacie, nie znaczyło, iż ona dokonała podobnego wyboru. Lady Margaret była młodą, piękną kobietą. Do tego pełną temperamentu, jeśli dzisiejszy poranek miałby stanowić jakąś wskazówkę. Dama taka jak ona mogłaby mieć nawet kilku kochanków.

A jednak nie. Gdyby go miała, mieszkałby raczej w pobliżu wiejskiej posiadłości Godrica. W końcu lady Margaret opuściła Laurelwood Manor zaledwie kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat – za każdym razem po to, aby odwiedzić rodzinę. Musiała mieć zatem inny powód, by najechać jego samotnię.

– Jesteśmy wreszcie – oznajmiła Margaret.

Godric wyrzwał przez okno i zobaczył, że powóz istotnie zajeżdża przed Przytułek dla Sierot oraz Podrzutków. Budynek, czysty, schludny i liczący sobie zaledwie kilka lat, zajmował większą część Maiden Lane, kontrastując z otaczającymi go starymi i wałącymi się domami.

Godric zaczekał, aż lokaj lady Margaret wysunie schodki, a potem wysiadł, by pomóc damom. Cioteczna babka Elvina wstała chwiejnie. Dama musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, mimo to odmawiała posługiwania się laską.

Godric zauważył jednak, iż czasami poruszanie się sprawiało jej nieco trudności. Teraz trzymała w ramionach ciężarną suczkę i mężczyzna uświadomił sobie, że będzie musiał zachować się jak dżentelmen.

– Może mógłbym wziąć od pani Księżniczkę? – zaproponował, zbliżając usta do ucha starszej damy.

– Dziękuję, panie St. John – odparła, spoglądając na niego z wdzięcznością.

Godric przejął od niej ciepłe, dyszące stworzenie, udając, iż nie zauważa, że piesak zwilża mu śliną rękaw. Wyciągnął wolną rękę, by pomóc lady Elvinie. Dama wysiadła, a potem rozejrzała się i zmarszczyła brwi.

– Co za podła okolica. – Nagle jej twarz pojaśniała. – Czyż droga lady Cambridge nie będzie zaszokowana, kiedy jej o tym napiszę?

Godric pomógł tymczasem wysiąść Sarah, a potem ujął dłoń lady Margaret, ciepłą, drżącą i jakże żywą. Spoglądała w dół, wysiadając, a niesforny lok kołysał się, uderzając leciutko o policzek. W powietrzu rozniosła się słodka woń. Dziewczyna stanęła na chodniku i wstrząsnęła spódnice przesadnym gestem.

Do licha, nawet na niego nie patrzyła! Poddając się impulsowi, wyciągnął rękę, pochwycił pukiel i założył go jej za ucho.

Podniosła wzrok. Jej wargi się rozchyliły. Stała tak blisko, że widział złotawe punkciki w jej ślicznych brązowych oczach. Nagle uświadomił sobie, czym pachnie jego żona – kwiatem pomarańczy.

– Dziękuję – powiedziała bez tchu.

– Nie ma za co – odparł.

Odwrócił się, wszedł po schodkach prowadzących do drzwi domu i zastukał zdecydowanie. Otwarły się niemal natychmiast, ukazując lokaja, spoglądającego na gościa z taką wyższością, jakby służył w pałacu królewskim, a nie w skromnym sierocińcu w St. Giles. Godric skinął mężczyźnie głową i wszedł.

– Moja żona i pozostałe damy przybyły na spotkanie pań z syndykatu – wyjaśnił. – Zastanawiam się, czy Makepeace’a?

– Oczywiście, proszę pana – zaintonował śpiewnie kamerdyner. Odebrał kapelusze i rękawiczki od pań tłoczących się za Godrikiem. – Sprowadzę go.

– Nie ma potrzeby, Butterman.

Winter Makepeace pojawił się w drzwiach jednego z pomieszczeń wychodzących na hol. Miał na sobie, jak zwykle, czarny strój, skrojony wszakże zdecydowanie lepiej niż te, które zwykł nosić, zanim poślubił byłą lady Beckinhall.

– Witaj, St. John. Dzień dobry paniom.

– Och, panie Makepeace. – Lady Margaret ujęła z olśniewającym uśmiechem

dłoń zarządzającego i Godric spochmurniał, czując ukłucie zazdrości – co było absurdalne. Jego żona zwykła uśmiechać się olśniewająco do wszystkich. – Mogę przedstawić moją szwagierkę i kochaną cioteczną babkę?

Dokonano prezentacji. Makepeace pochylił jedynie z powagą głowę zamiast nisko się ukłonić, lecz ani Sarah, ani ciotecznej babce zdawało się to nie przeszkadzać.

A potem spojrzął na Godrica, stojącego z ziającym mopsem w ramionach, i uśmiechnął się rozbawiony.

– Kim jest twoja towarzyszka? – zapytał.

– To Księżniczka – odparł Godric krótko.

Makepeace zamrugął.

– Słucham?

Godric zaczął potrząsać głową, gdy nagle w holu pojawił się mały biały terier. Dźwięki, jakie z początku wydawał, przypominały buczenie chrabąszcza, lecz kiedy zobaczył Księżniczkę, rozszczękał się na dobre. Suczka zaskomlała – bardzo cienko – podczas gdy lady Margaret i Sarah próbowały uciszyć teriera. Zdaje się, że ciotka Elvina wymierzyła mu nawet dyskretnego kopniaka.

Makepeace odsunął się, otworzył drzwi salonu i uniósł brew. Godric skinął głową, oddał ciotce mopsa i wprowadził damy do pokoju, gdzie odbywało się zebranie. Zarządca zamknął drzwi tak szybko, że terier o mało nie postradał nosa. Spojrzął na Godrica:

– Tędy. – Odwrócił się w kierunku klatki schodowej z tyłu holu. – Doprawdy, to było z twojej strony bardzo niegościnne, Dodo.

Terier, drepczący z uwielbieniem przy nodze swego pana, przekrzywił łebek i postawił ucho, jakby z uwagą mu się przysłuchiwał.

– Masz szczęście, że nie zamknę cię za karę w piwnicy.

Głos Makepeace'a brzmiał spokojnie i stanowczo, gdy napominał psa. Godric chrząknął.

– Czy, eee, Dodo atakuje wszystkich gości?

– Nie. – Makepeace obrzucił Godrica sardonicznym spojrzeniem. – Tylko psich.

– Ach, tak.

– Ostatniej nocy w domu pojawiły się dwie nowe dziewczynki – kontynuował Makepeace, wchodząc po szerokich marmurowych schodach. – Przyprowadzone przez osławionego Ducha St. Giles.

– Doprawdy?

Makepeace zerknął na niego spod oka.

– Pomyślałem, że chętnie byś je zobaczył.

– Oczywiście.

Być może wyprawa do sierocińca na coś się jednak przyda.

– Proszę – powiedział Makepeace, otwierając drzwi jednej z klas.

Dziewczynki siedziały tam w kilku rzędach, gryzmołąc coś pracowicie na tabliczkach. Przy końcu jednego z rzędów Moll i jej starsza siostra rozmawiały szeptem, głowa przy głowie. Widok ten ucieszył Godrica. Wydawało się, że beztrudne pogaduszki to właściwa jedynie kobietom forma świadcząca o tym, iż czują się szczęśliwe – wspomniał lady Margaret, rozmawiającą w powozie z towarzyszkami – miał zatem nadzieję, iż oznacza to, że dziewczynki szybko zaaklimatyzują się w sierocińcu.

– Moll i Janet McNab – powiedział Makepeace, ścisząc głos. – Moll jest za mała na tę klasę, uznałem jednak, że lepiej nie rozdzielać ich w ciągu pierwszych kilku dni.

Zamknął drzwi i ruszył dalej opustoszałym korytarzem – wszystkie dzieci znajdowały się najwyraźniej na zajęciach.

– Dziewczynki są sierotami. Janet powiedziała mi, że ich ojciec zajmował się nocnym wywozem nieczystości i spotkał go smutny koniec – jeden ze zwalów... eee... śmieci na obrzeżach Londynu osunął się i go pogrzebał.

Godric się skrzywił.

– Okropność.

– Rzeczywiście. – Makepeace zatrzymał się na końcu korytarza, gdzie pod oknem ustawiono dwa krzesła. Nie wyglądało jednak na to, by zamierzał usiąść.

– Siostry McNab musiały żyć na ulicy przez blisko dwa tygodnie, nim wpadły w łapy porywaczy dziewcząt.

– Porywacze dziewcząt – powtórzył Godric cicho. – Słyszałem, że jakiś czas temu było tu o nich głośno. Poradziliście sobie jednak z nimi, prawda?

Makepeace rozejrzał się po korytarzu, nim odpowiedział, zniżając głos:

– Dwa lata temu łotry porywały dziewczęta z ulic St. Giles.

Godric uniósł brwi.

– Po co?

– By tkwały pończochy w nielegalnych warsztatach – odparł Makepeace ponuro. – Musiały pracować długie godziny, nie dostając prawie nic do jedzenia i znosząc częste bicie. I, oczywiście, w ogóle im nie płacono.

– Jednak udało się ich powstrzymać.

Makepeace kiwnął głową.

– Ja ich powstrzymałem. Znalazłem fabryczkę i odciąłem łeb żmii. Okazał się

nią arystokrata nazwiskiem Seymour. Od tego czasu o nich nie słyszałem.

Godric zmrużył oczy.

– Ale?

– Od kilku tygodni w okolicy mówi się, że wrócili – odparł Makepeace, pochmurniejąc. – Dziewczynki znikają z ulic. Podobno są porywane i zmuszane do pracy w ukrytych warsztatach. Co gorsza, moja żona znalazła dowód, że jedwabne koronkowe pończochy rozprowadzane są przez domokrażców i kupowane przez śmietankę arystokracji. – Z Isabel Makepeace nadal bardzo liczono się w eleganckim towarzystwie, mimo że wyszła za zarządcę sierocińca.

– Czyżbyś zabił nie tego, kogo trzeba? – zapytał Godric.

– Nic podobnego – odparł Makepeace ponuro. – Seymour do końca wręcz chełpił się swoim łajdactwem, możesz mi wierzyć. Ktoś inny przejął jego pomysł albo...

– ...Seymour nie działał wtedy w pojedynkę – mruknął Godric.

– Niezależnie od tego trzeba odkryć, kto stoi za porwaniami, i zakończyć ten proceder. Ja wypadłem z gry, odkąd się ożeniłem. – Umilkł na chwilę. – Zakładam jednak, że ty nadal działasz. Choć teraz, gdy twoja żona jest w mieście...

– Nie zostanie długo w Londynie – przerwał mu Godric stanowczo.

Makepeace uniósł brwi, lecz był zbyt dobrze wychowany, żeby naciskać. Godric zacisnął wargi.

– A co z tamtym?

Makepeace potrząsnął głową.

– Wiesz, że poluje tutaj wyłącznie na jedną zwierzynę. Od lat skupia się tylko na tym.

Godric przytaknął. Wszyscy byli samotnikami, jednak ostatni z ich dziwacznej trójki popadł niemal w obsesję. Nie pomoże im w tej kwestii.

– Obawiam się, że zostałeś już tylko ty – zauważył Makepeace.

– Cóż, trudno. – Godric zastanawiał się przez chwilę. – Gdyby Seymour miał współnika, jak sądzisz: kto mógłby nim być?

– Każdy, lecz gdybym był tobą, zacząłbym od jego przyjaciół: wicehrabiego d'Arque'a i lorda Kershawa. Przed śmiercią Seymoura byli wprost nierozłączni.

– Makepeace zamilkł i przez chwilę uważnie przyglądał się Godricowi. – Ale St. John...

Godric uniósł brwi.

– Będziesz musiał odnaleźć tę fabryczkę – oznajmił Makepeace poważnie. – Ostatnim razem kilka dziewcząt o mało tam nie umarło.

Rozdział 3

Pewnej bezksiężycowej nocy Hellequin natknął się na duszę młodego mężczyzny, umierającego na rozstaju dróg w ramionach ukochanej. Kobieta była śliczna, twarz miała niewinną i dobrą i na moment Hellequin się zatrzymał, zapatrzył na nią. Niektórzy powiadają, aczkolwiek jedynie szeptem, iż Hellequin nie zawsze był sługą diabła, ale człowiekiem jak każdy inny. O ile jest w tym ziarenko prawdy, być może twarz dziewczęcia przywołała wspomnienie ludzkiej natury, zagubione i ukryte głęboko w umyśle Jeźdźca z Piekieł...

– z Legendy o Hellequinie

Megs przycupnęła na sofie w przytulnym saloniku sierocińca, sącząc herbatę i przyglądając się pozostałym paniom. Wyglądało na to, że skład syndykatu nie zmienił się podczas jej nieobecności. Szwagierka Megs, lady Hero Reading, dama o włosach barwy płomienia i jedna z dwóch członkiń-założycielek, także przysiadła na sofie. Obok Hero ulokowała się jej młodsza siostra, lady Phoebe Batten, miła dziewczyna o pełnej figurze, uśmiechająca się leciutko z nieobecną miną.

Megs ściągnęła brwi, zmartwiona. Wzrok dziewczyny, kiedy ostatni raz ją widziała, pozostawiał wiele do życzenia – czyżby Phoebe w ciągu minionych dwóch lat zupełnie oślepla? Miejsce obok Phoebe zajmowała lady Penelope Chadwick, ponoć jedna z najbogatszych dziedziczek w Anglii. Obdarzona fiołkowymi oczami i czarnymi włosami była też z pewnością jedną z najpiękniejszych. Towarzyszyła jej, jak zwykle, panna Artemis Greaves, dama pełna rezerwy, lecz miła i sympatyczna. Dalej siedziała druga z patronek-założycielek, onieśmielająca srebrnowłosa lady Caire, mająca przy sobie synową, Temperance Huntington, młodszą lady Caire, a obok żonę jej brata, były lady Beckinhall – Isabel Makepeace.

Skład syndykatu może nie uległ zmianie, nie wszystko było wszakże tak, jak zapamiętała Megs. Na przykład pokój, w którym się znajdowały. Kiedy widziała go ostatnio, był co prawda czysty i schludny, ale zdecydowanie nieprzytulny. Teraz, za sprawą, jak podejrzewała, nowej pani Makepeace, nad kominkiem

wisiał śliczny pejzaż, na jego obramowaniu ustawiono zaś szereg zabawnych drobiazgów: jasnozieloną chińską wazę, połączony zegar, trzymany przez parę kupidynów, niebieski posążek bociana i coś przypominającego salamandrę.

Megs wyteżyła wzrok. Przecież to nie mogła być salamandra?

– Tak się cieszę, że postanowiłaś wrócić do miasta, siostrze – powiedziała lady Hero, wyrywając Megs z zamyślenia. Nabrała miłego zwyczaju nazywania szwagierki siostrą, odkąd wyszła za jej brata Griffina.

– Brakowało wam mnie podczas spotkań? – spytała Megs lekko.

– Oczywiście. – Hero spojrzała na nią z ledwie wyczuwalną naganą. – Wiesz, że Griffin za tobą tęskni, ja zresztą także. Nie widzujemy się tak często, jak bym chciała.

Megs zmarszczyła nos, pełna poczucia winy, i sięgnęła po herbatnik.

– Bardzo mi przykro. Zamierzałam przyjechać na Boże Narodzenie, ale pogoda była tak okropna... – Zamilkła. Wymówka brzmiała nieprzekonująco nawet w jej uszach. Problem polegał na tym, że odkąd Griffin znalazł sposób, aby ocalić siostrę przed skutkami jej szaleństwa, i nakłonił Godrica, by ten się z nią ożenił, nie wiedziała, jak spojrzeć mu w oczy. Ani co powiedzieć.

Hero złożyła dłonie na kolanach.

– Lecz teraz tu jesteś i tylko to się liczy. Widziałaś się już z Thomasem i Lavinią?

– Eee... – Megs upiła pospiesznie łyk herbaty.

Hero zmrużyła oczy.

– Markiz Mandeville wie, że jesteś w mieście, nieprawdaż?

Hero, jak zwykle domyślna, zorientowała się, że szwagierka nie poinformowała nikogo o planowanej wyprawie do stolicy. Miast zadreć ją pytaniami westchnęła jedynie i powiedziała:

– Cóż, twoja wizyta będzie stanowiła dobry pretekst, aby zaprosić wszystkich na kolację. A może wpadłabyś wcześniej zobaczyć mojego Williama? Jest już większy niż Annalise!

Po czym kiwnęła głową, wskazując kolejną zmianę w pokoju.

Annalise Huntington, półtoraroczna córka Temperance i lorda Caire'a, zmierzała właśnie ku Księżniczce, trzymając się kurczowo blatu stolika. Mops, schowany pod krzesłem ciotecznej babki Elviny, uważnie obserwował dziecko. Malutka ubrana była w białą sukieneczkę, przepasaną szarfą, a jej delikatne, ciemne włoski zdobiła niebieska kokarda.

Była teraz w tym samym wieku, w jakim byłoby dziecko Megs – gdyby przeżyło. Dziewczyna zamrugła i przełknęła stary, gorzki smutek. Tuż po tym,

jak poroniła – i straciła ostatnie ogniwo łączące ją z Rogerem – wydawało jej się, że nie przeżyje. Jak ciało może znieść tyle bólu, tyle łez i żyć dalej? Wyglądało jednak na to, iż żal nie jest w stanie zabić człowieka. Przetrwiała i doszła do siebie po fizycznej traumie związanej z poronieniem. Wstała z łóżka bóleści i stopniowo odzyskała zainteresowanie tym, co ją otacza. Zdarzało się nawet, że się uśmiechała albo wręcz śmiała. Nie zapomniała jednak o stracie. Niemal fizycznej potrzebie trzymania w ramionach dziecka.

Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. Ostatni raz widziała bratanka, gdy ten miał zaledwie tydzień – podczas wizyty, którą skróciła do trzech dni. Widok niemowlęcia stanowił bowiem zbyt wielką torturę.

– Nadal ma takie rude włoski? – spytała z tęsknotą w głosie.

Hero się roześmiała. William urodził się rudy niczym marchewka.

– Nie, zaczęły już ciemnieć. Myślę, że Griffin czuje się rozczarowany. Twierdzi, że pragnął dziedzica z włosami jak moje.

Dotknęła ognistoczerwonych loków. Megs poczuła, że się uśmiecha.

– Nie mogę się doczekać, żeby znowu zobaczyć mojego bratanka.

Uświadomiła sobie, że mówi szczerze – straciła już zbyt wiele czasu z Williamem z powodu bólu, jaki sprawiał jej widok szczęśliwego, zdrowego dziecka.

– Cieszę się – odparła po prostu Hero, Megs czuła jednak, że szwagierka doskonale rozumie, co dzieje się w jej duszy. Była też jedną z niewielu osób, które wiedziały, co kryje się za pospiesznym wydaniem Megs za mąż.

Kobiety zaśmiały się, kiedy Annalise dotarła w końcu do Księżniczki – po to jedynie, żeby zobaczyć, jak mops wstaje i pospiesznie odchodzi. Megs pomyślała z ulgą, iż zamieszanie pozwoli jej uciec przed nazbyt wiele rozumiejącym spojrzeniem szwagierki.

Suczka okrążyła pokój, ziając, a potem schroniła się pod krzesłem Megs. Annalise spojrzała na psa i jej buzia zaczęła się wykrzywiać. Temperance pochyliła się ku córce, lecz starsza lady Caire okazała się szybsza.

– Proszę, kochanie, weź sobie jeszcze herbatnika.

Temperance się nie odezwała, Megs dostrzegła jednak, że przewróciła oczami, gdy siwowłosa dama podała dziecku ciasteczko.

Temperance zarumieniła się lekko, spostrzegłszy, że Megs ją obserwuje, pochyliła się i wyszeptwała:

– Okropnie ją psuje.

– Od tego są babcie – zauważyła lady Caire. Najwidoczniej usłyszała szept. – A teraz może porozmawiałybyśmy o praktykach dla dziewcząt z przytułku. –

Spojrzała na Megs. – Liczba pensjonariuszy zwiększyła się w zeszłym roku i teraz mamy ich...

– ...czterdzieścioro pięcioro – podsunęła Isabel Makepeace. – Zeszłej nocy pojawiły się dwie nowe dziewczynki.

Lady Caire przytaknęła.

– Dziękuję, pani Makepeace. Cieszy nas, iż można pomóc aż tylu podopiecznym, wygląda jednak na to, że mamy problem z umieszczeniem ich – zwłaszcza dziewczynek – we właściwych miejscach.

– Z pewnością nie brak w Londynie domów, gdzie chętnie przyjęto by służbę – powiedziała lady Penelope.

– Przeciwnie – odparła Temperance. – Nie ma ich zbyt wiele, przynajmniej takich, w których dziewczęta dobrze by traktowano i gdzie mogłyby się czegoś nauczyć.

Isabel pochyliła się i dołała sobie herbaty.

– Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zabraliśmy z powrotem dziewczynkę, która źle trafiła.

Megs uniosła brwi.

– To znaczy?

– Pani domu uważała, że ma prawo bić dziewczęta szczotką do włosów – odparła lady Caire ponuro.

– Och – westchnęła Megs, zaszokowana. A potem coś przyszło jej do głowy. – Przecież ja potrzebuję pokojówek.

Pozostałe damy spojrzały na nią.

– Doprawdy? – spytała lady Caire.

– Och, tak – wtrąciła Sarah, włączając się po raz pierwszy do rozmowy. – Wygląda na to, że w domu mojego brata został już tylko jeden służący.

– Dobry Boże. – Temperance zmarszczyła brwi, zmartwiona. – Jestem pewna, iż Caire nie wiedział, że St. John znalazł się w podobnych tarapatach.

– Cóż, nie są to tarapaty natury finansowej. – Sarah posłała kobiecie pełne ironii spojrzenie. – Godric z pewnością może sobie pozwolić na zatrudnienie potrzebnej liczby służących – po prostu mu na tym nie zależało.

– Ach tak? – Cioteczna babka nachyliła się ku Sarah, ta zaś powiedziała głośno i wyraźnie: – Wątpię, czy mojemu bratu przyszło w ogóle na myśl, iż potrzebuje większej liczby służących.

– Mężczyźni nie mają do tego głowy – zauważyła ciotka z dezaprobatą.

– W rzeczy samej – zgodziła się z nią lady Caire. A potem dodała, zwracając się do Megs: – Skoro tak, oczywiście, pomożemy. Jestem pewna, że mamy tu

kilkoro dziewcząt gotowych do rozpoczęcia pracy?

Spojrzała na Isabel.

– Przynajmniej cztery – odparła ta ostatnia. – Lecz nie skończyły jeszcze dwunastu lat i będą potrzebowały ścisłego dozoru oraz opieki. Ktoś musi je też uczyć.

– Jeśli o to chodzi – powiedziała lady Caire – mogę zarekomendować gospodynię o doskonałej reputacji, manierach oraz zaletach umysłu.

– Dziękuję pani. – Megs zawsze uważała lady Caire za osobę cokolwiek surową, wyglądało jednak na to, że potrafi również być miłą. I naprawdę była jej wdzięczna. Wystarczyła chwila i miała już nie tylko pokojówki, ale też gospodynię.

Lady Caire pochyliła głowę.

– Przyślę ją jeszcze tego wieczoru, jeśli to pani odpowiada.

– O, tak! – Megs poczuła, że ktoś dotyka jej kolana, i spojrzała w dół. Annalise opierała się o nią, przykucnąwszy, by zajrzeć pod krzesło, skąd dobiegło po chwili ciche skomlenie.

Księżniczka została odnaleziona.

Annalise zachichotała i spojrzała na Megs, ukazując w uśmiechu malutkie, doskonałe ząbki. Megs zapało dech. To było to. Właśnie tego pragnęła z całego serca i duszy. Własnego dziecka.

* * *

Ostatniej nocy zawiodła ją odwaga, lecz to się nie powtórzy.

Dzisiaj uwiedzie swego męża.

Tylko jak właściwie powinna się do tego zabrać? Zastanawiała się nad tym przez całe popołudnie i wieczór, zajmując się domowymi obowiązkami. Poranna próba okazała się... co najmniej nieskuteczna. Może powinna go jakoś uprzedzić? Wysłać liścik? *Drogi Panie, byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał Pan skonsumować nasze małżeństwo. Z poważaniem, Pańska oddana żona.*

– Czy to by pani odpowiadało?

Megs podskoczyła, spoglądając wprost w ciemne oczy nowej gospodyni, pani Crumb. Znajdowały się w jadalni, którą pani Crumb uznała za jedno z niewielu pomieszczeń nadających się od razu do użytku.

– Tak? Przepraszam, umknęło mi, o czym przed chwilą rozmawialiśmy.

Pani Crumb była zbyt dobrze wyszkolona – doprawdy, niemal przerażająco

dobrze – by zwrócić Megs uwagę, że się powtarza.

– Jeśli to pani odpowiada, chętnie zajmę się wyszukaniem i zatrudnieniem nowego kucharza. Nauczyłam się już, iż nie warto czynić tego w pośpiechu. Służba pracuje o wiele lepiej, kiedy jest dobrze karmiona.

Mówiąc to, utkwiała w Megs spojrzenie pełne szacunku, ale i stanowczości. Stanowiła pewne zaskoczenie. Nie to, by Megs wątpiła, że jest absolutnie wyjątkowa – już w kilka minut po tym, jak kobieta znalazła się w Saint House, skierowała dziewczęta do czyszczenia, zmiatania i porządkowania, zastraszając przy tym Moulderę tak skutecznie, że nie zaprotestował, kiedy kazała mu wyrzucić wszystko, co pozostało do zjedzenia w ewidentnie brudnej kuchni. Wysoka jak na kobietę, o postawie, która mogłaby wprawić w dumę niejednego generała, miała ciemne włosy upięte schludnie pod białym czepkiem i ciemne oczy, które potrafiły wyegzekwować posłuszeństwo zarówno od małych dziewczynek, jak i dorosłych lokajów. A przy tym – i tu kryła się niespodzianka – nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Megs bardzo chętnie wypytałaby ją, gdzie zdobyła – i to w tak młodym wieku – umiejętności, dzięki którym lady Caire wystawiła jej wspaniałą opinię, lecz prawdę mówiąc, gospodyni nieco ją onieśmiała.

Nieco.

– Tak – odparła zatem pospiesznie. – To by mi odpowiadało.

– Doskonale, milady. – Pani Crumb pochyliła głowę. – Pozwoliłam sobie posłać do gospody po pieczoną gęś, chleb, pół tuzina pasztecików i gotowane warzywa na kolację, a także po jedzenie dla służby.

– Och, cudownie! – westchnęła zadowolona. Nie uśmiechała jej się kolacja złożona z gotowanych jaj – o ile jeszcze jakieś zostały – a pieczona gęś należała do jej ulubionych potraw. Tylko czy Godric także ją lubi? Nie miała pojęcia – w listach nie wspominał nigdy o jedzeniu, a sądząc po stanie kuchni, nie stało ono wysoko na liście jego priorytetów. To zaś było po prostu niemądre. Dobry posiłek tak bardzo poprawia nastrój! Będzie musiała się dowiedzieć, co jej mąż lubi jeść, i to jak najszybciej.

Jeśli pani Crumb zauważyła, że Megs znów popadła w roztargnienie, nie skomentowała tego.

– Za pozwoleniem, milady, kolacja zostanie podana tutaj, o ósmej.

Megs spojrzała na zegar na kominku i zobaczyła, że zostało jej zaledwie kilkanaście minut.

– Skoro tak, pójdę się odświeżyć.

Pani Crumb dygnęła.

– Tak, milady. Dopilnuję, by wszystko było gotowe.

Następnie wymaszerowała z pokoju.

Megs odetchnęła i pospieszyła do swojej sypialni. Zazwyczaj nie przebierała się do kolacji, lecz tego wieczoru miało być inaczej.

– Szkarłatny jedwab, Daniels, proszę – poinstruowała pokojówkę, a potem stała, niecierpliwiąc się, gdy Daniels pomagała jej się ubrać. Szkarłatna suknia liczyła już sobie dobre cztery lata – pochodziła z czasów, kiedy Megs mieszkała jeszcze w Londynie. Wydarzenia towarzyskie, w jakich uczestniczyła w Upper Hornsfield, były zdecydowanie mniej formalne, wydawało się więc marnotrawstwem szycie nowych sukien, skoro te, które miała, były i tak bardziej eleganckie niż stroje, jakimi dysponowały damy z okolicy.

Skrzywiła się, czując, że stanik trochę ją uwiera. Obfite wiejskie jedzenie zdążyło już odbić się na jej figurze. Zakarbowała sobie w pamięci, aby jak najszybciej odwiedzić krawcową.

Szkarłatny jedwab podkreślał wszakże czerń jej włosów i jasną, kremową karnację. Pochyliła się ku zamglonemu zwierciadłu nad wiekową toaletką i wsunęła na miejsce nieposłuszny lok. Powinna polecić Daniels, by rozpuściła jej włosy i uczesała je od nowa, ale nie miała już na to czasu – było pięć po ósmej.

Wybiegła z pokoju i zderzyła się z plecami – raczej szerokimi, jak zauważyła – męża.

– Och!

Odwrócił się, słysząc krzyk, i musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy. Stał bowiem tak blisko, że niemal dotykał piersią jej stanika.

Spojrzał szybko w dół, na biust Megs, a potem na jej twarz. Wyraz jego oczu nie zmienił się ani na jotę. Równie dobrze mogły spoglądać na połec wołowiny.

– Przepraszam, milady.

– Nie ma za co. – Nie była połciem wołowiny, do licha! Wzięła głęboki oddech, uśmiechnęła się słodko i wsunęła mu dłoń pod ramię. – Pojawileś się akurat na czas, by zaprowadzić mnie do jadalni.

Skinał uprzejmie głową, poczuła jednak, że cały sztywnieje u jej boku.

Cóż, nie była tchórzem. Być może potrzebowała trochę czasu w spokojnym wiejskim zaciszu, aby pogodzić się ze stratą Rogera i ich małżeństwa, nie oznaczało to jednak, że zamierza poddać się teraz bez walki.

Pragnęła dziecka.

Przysunęła się zatem, ignorując brak reakcji ze strony męża, i złączyła dłonie, przyciągając go bliżej.

– Brakowało nam Ciebie dzisiaj.

Zostawił damy, aby zajęły się domowymi obowiązkami, gdy tylko wrócili do Saint House, i spędził dzień, oddając się zapewne typowo męskim zajęciom.

To, że prawie na nią nie spojrział, było po prostu nie do uwierzenia.

– Przyjechałyśmy do Londynu, by odwiedzać znajomych – powiedziała.

– Odniosłem wrażenie, że chodzi raczej o zakupy. – Ton miał oschły niczym kurz, którego dziewczęta starały się pozbyć przez cały dzień. – Jak również przewrócenie mojego domu do góry nogami. Zabrałyście niemal całą wioskę.

Poczuła, że się rumieni.

– Sarah to twoja siostra i dobra przyjaciółka, poza tym potrzebujemy tych służących.

– Włącznie z ogrodnikiem? – Pomimo obojętnego zachowania starał się zgrać krok z jej krokiem.

– Jestem pewna, że ogród będzie potrzebował renowacji – powiedziała z przekonaniem. – Zwłaszcza jeśli jest w takim stanie, w jakim zastałam ten w wiejskiej posiadłości...

– Hm... A cioteczna babka Elvina? Nie wygląda na to, by cokolwiek było w stanie ją zadowolić – włącznie z tobą.

Zbliżali się do jadalni i Megs ściszyła głos. Cioteczna babka dowiodła już nieraz, że jej słuch w cudowny sposób potrafi się poprawiać.

– Jest trochę oschła, lecz serce ma złote, zapewniam.

Spojrzął na nią i uniósł brwi z niedowierzaniem.

Megs westchnęła.

– Jest samotna. Nie chciałam zostawiać jej w Laurelwood.

– Mieszka z tobą?

– Tak. – Przygryzła wargi. – Prawdę mówiąc, mieszkała już wcześniej u wszystkich krewnych.

Uśmiechnął się kątem ust.

– Byłaś zatem ostatnią deską ratunku?

– Cóż, tak. Chodzi chyba o to, że ma zwyczaj mówić bez ogródek. – Skrzywiła się. – Powiedziała kuzynce Arabelli, że jej córeczka ma nosek przypominający świński ryjek, co jest, niestety, prawdą, lecz nie powinna była o tym wspominać.

Godric parsknął.

– Mimo to przytuliłaś tę jędzę do łona.

– Ktoś musiał. – Megs zaczerpnęła powietrza i spojrziała na męża. Wydawał się odprężony... przynajmniej trochę. Uznała, że pora chwycić okazję. – Miałam nadzieję, że wykorzystam tę podróż, by poznać cię lepiej, Godricu.

Ledwie była w stanie wymówić – po raz pierwszy – jego imię.

– Cel godny pochwały, Margaret – odparł z sardonicznym uśmiechem. – Uważam jednak, że do tej pory radziłeś sobie całkiem nieźle.

– Nie robiliśmy nic razem – mruknęła Megs. Przypomniała sobie, co próbuje osiągnąć, zamilkła i jęła gładzić palcem jego przedramię. – Żyliśmy zupełnie osobno. I, proszę, mów mi Megs.

Zapatrzył się na jej palec, zataczający kręgi na rękawie jego surduta.

– Miałem wrażenie, że jesteś szczęśliwa.

Nie zwrócił się do niej po imieniu.

– Byłam. A przynajmniej zadowolona. – Skrzywiła się. Dlaczego tak jej to utrudnia? – Nie znaczy to jednak, że nie możemy czegoś zmienić, być może na lepsze.

Ściągnął ciemne brwi i Megs odniosła wrażenie, że ani trochę się z nią nie zgadza. Doszli już jednak do saloniku przylegającego do jadalni, gdzie czekały na nich Sarah i cioteczna babka.

– Poinformowano nas, że dostaniemy dziś prawdziwą kolację – powiedziała Sarah, gdy tylko ich dostrzegła.

Godric uniósł brwi i spojrzał na Megs.

– Udało ci się zatrudnić nowego kucharza?

– Lepiej. – Megs uśmiechnęła się do męża, ignorując poważny wyraz jego twarzy. – Zatrudniłam chyba najbardziej kompetentną gospodynię w Londynie, panią Crumb.

Gdzieś z tyłu dobiegło ją prychnięcie. Odwróciła się i zobaczyła Mouldera. Zupełnie przeobrażonego. Jego peruka została świeżo upudrowana, buty błyszcząły, a surdut wyglądał na wyczyszczony i odprasowany.

– Ta kobieta to istna megiera, sir.

– Moulder. – Czyżby twarz Godrica przybrała na chwilę wyraz rozbawienia? – Wyglądasz bardzo... kamerdynersko.

Moulder chrząknął i otworzył drzwi do jadalni. Weszli i Megs z zadowoleniem odnotowała, że pokój też uległ przeobrażeniu. Zniknęły pajęczyny nad głową. Palenisko kominka zostało wyczyszczone i teraz płonął tam, potrzaskując wesoło, ogień. Duży stół pośrodku wypolerowano do połysku pszczelim woskiem.

Godric zatrzymał się, zaskoczony.

– Pani Crumb to zaiste klejnot, skoro zdołała przemienić ten pokój w tak krótkim czasie.

– Miejmy nadzieję, że obietnica kolacji nie okaże się przedwczesna –

zahuczała gromko ciotka.

Jak się okazało, kandydatka polecona przez lady Caire udowodniła, że jest wręcz ideałem gospodyni. Promieniejący zadowoleniem Oliver i Johnny wnieśli wkrótce półmiski i Megs jeła z zapalem kroić swą porcję gęsiny. Westchnęła z zadowoleniem, przeżuwając soczyste mięso, i podniosła wzrok akurat na czas, by spostrzec, iż mąż przygląda się jej z zagadkowym wyrazem twarzy. Przełknęła pospiesznie, starając się wyglądać bardziej jak dama, a mniej jak wygłodzony ulicznik.

– Całkiem dobre, prawda?

Zerknął obojętnie na swój talerz.

– Owszem, jeżeli lubi się gęsinę.

– Ja lubię – odparła rozczarowana. – Ty nie?

Wzruszył ramionami.

– Uważam, że jest tłusta.

– Pusta? – spytała skonfundowana ciotka.

– Tłusta – powtórzył Godric głośniej. – Gęś jest tłusta.

– Powinna taka być – zahuczała ciotka. – Mięso nie wysycha wtedy podczas pieczenia.

Wzięła ze swego talerza kęs i podsunęła go Księżniczce, ani trochę się z tym nie kryjąc.

Megs się uśmiechnęła.

– Skoro nie gęś – to co właściwie lubisz?

Jej mąż wzruszył ramionami.

– Cokolwiek uznasz za stosowne podać, będzie w porządku.

Megs uczyniła naprawdę duży wysiłek, by zatrzymać uśmiech na miejscu.

– Chciałabym jednak wiedzieć, co ci smakuje.

– A ja powiedziałem ci, że to bez znaczenia.

Zaczęły ją boleć policzki.

– Dziczyzna? Wołowina? Ryby?

– Margaret...

– Węgorze? – próbowała dalej. – Flaczki? Mózdzek?

– Tylko nie mózdzek – odparł głosem tak niskim i chrapliwym, że brzmiał, jakby ktoś stąpał po żwirze.

Twarc Megs pojaśniała.

– Nie mózdzek. Zapamiętam.

Sarah zakaszła z ustami wtulonymi w serwetkę, by ukryć rozbawienie.

Cioteczna babka podała succe kolejny kęs gęsiny, mamrocząc pod nosem:

– Ja tam lubię mózdzek. Smażony na maśle.

Godric chrząknął i upił łyk wina, a potem precyzyjnym gestem odstawił kieliszek na stół.

– Lubię pasztet z gołębia.

– Naprawdę? – Megs nachyliła się ku niemu z przejęciem. Czuła się podekscytowana, jakby wygrała nagrodę na targu. – Dopilnuję, by pani Crumb poinformowała o tym kucharza.

Pochylił głowę, uśmiechając się kątem ust.

– Dziękuję.

Pochwyliła pełen czułości uśmiech, z jakim Sarah przyglądała się im obojgu, i poczuła, że się rumieni.

– Co porabiałeś, kiedy my zajmowałyśmy się domem?

Godric spojrział przed siebie, a potem upił kolejny łyk wina – zupełnie jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Odwiedzam zwykle kawiarnię Bashama.

Cioteczna babka Elvina zrobiła surową minę i Megs ogarnęły złe przecucia – ciotka miała bowiem ugruntowane poglądy i nie wahała się ich wygłaszać.

– Paskudne miejsca, te kawiarnie. Pełne gazet opisujących skandale, kobiet o podejrzanym reputacji i tytoniu.

– I, oczywiście, kawy – dodał Godric poważnie.

– Tak, oczywiście, jednak... – zaczęła ciotka.

– Jak czuje się dziś Księżniczka? – wtrąciła Megs pospiesznie. Mąż, siedzący po przeciwnej stronie stołu, rzucił jej ironiczne spojrzenie, lecz je zignorowała. – Zauważyłam, że ma apetyt.

– Spędziła cały dzień w łóżku, okropnie ziając. To dziecko zmęczyło biedaczkę, uganiając się za nią. – Z namysłem wbiła widelec w marchewkę. – Dzieci są urocze, oczywiście, lecz robią tyle zamieszania... Gdyby był jakiś sposób, żeby je odizolować, zwłaszcza kiedy w pobliżu znajdują się tak wrażliwe stworzenia jak Księżniczka...

– Na przykład w małej klatce? – spytała Sarah niewinnie.

– Lub przywiązane do palika, wbitego w grunt – dodał Godric.

Spojrzały na niego.

– A co, kiedy są we wnętrzu? – spytała Megs, ledwie wstrzymując się od śmiechu.

Uniósł brwi i odparł ze śmiertelnie poważną miną.

– To zły pomysł. Lepiej trzymać je na zewnątrz, na świeżym powietrzu. A jeśli już ktoś koniecznie chce zabrać dziecko do domu, hak wbity w ścianę, z

pasami, które można byłoby zapiąć maluchowi wokół klatki piersiowej, powinien spełnić zadanie.

Ciotka ściągnęła brwi. Nie słynęła z poczucia humoru.

– Panie St. John!

Odwrócił się ku niej i spytał uprzejmie:

– Madame?

– Nie mogę uwierzyć, iż sugeruje pan, aby przywiązać dziecko do ściany!

– Och, nie, madame – odparł, dolewając sobie wina. – Źle mnie pani zrozumiała.

– Co za ulga...

– Miałem na myśli, że powinno na niej zawisnąć. – Spojrzał na starszą kobietę. – Tak jak wiesz się obraży.

Megs musiała zakryć usta dłonią, lecz nie zdołała powstrzymać chichotu. Któż mógłby przypuszczać, że jej poważny, wręcz sztywny mąż potrafi być tak szokująco zabawny? Podniosła wzrok i zapało jej dech. Godric przyglądał się żonie, sącząc wino i uśmiechając się kątem ust. Przemknęło jej przez myśl, iż droczył się z ciotką jedynie po to, by ją rozbawić.

– Godricu – zgaśniła go Sarah.

Odwrócił się do siostry i Megs zamrugnęła. Dopatrywała się zbytniego znaczenia w tym, co było jedynie grą pomiędzy Godrikiem i jego siostrą.

Jednakże...

Byłoby miło odczuwać jakiegoś rodzaju więź. Zbliżała się bowiem nieuchronnie chwila, gdy będzie musiała pójść z nim do łóżka. Uczestniczyć w niebywale intymnym akcie, który odbyła dotąd tylko z jednym mężczyzną – tym, którego kochała. Nakłonienie kogoś niemal obcego, by dzielił z nią łożo, było zadaniem nie lada. Gdyby był inny sposób, pozwalający osiągnąć cel, chętnie by z niego skorzystała. Lecz nie ma rady – jeśli chce mieć dziecko, musi pójść z mężem do łóżka.

Przez resztę posiłku grzebała jedynie widelcem w talerzu, z każdą chwilą coraz bardziej się denerwując.

Po kolacji udali się we czwórkę do świeżo wysprzątanej biblioteki, gdzie Sarah namówiła Godrica, by poczytał im o angielskich monarchach, podczas gdy ciotka Elvina drzemała w fotelu. Sarah wyjęła robótkę i zajęła się haftowaniem, lecz Megs nie przepadała za szyciem. Wędrowała więc po pokoju, a głęboki, z lekka ochrypły głos męża podrażniał jej nerwy, dopóki szwagierka nie poskarżyła się, że „spacer” Megs przeszkadza jej się skupić.

Dziewczyna usiadła zatem i mogła już tylko przyglądać się Godricowi.

Świeca, ustawiona obok fotela, rzucała na jego twarz migotliwy blask, podkreślając wysokie kości policzkowe i delikatną zapowiedź zarostu na brodzie i nad górną wargą. Wzrok miał spuszczone, długie rzęsy rzucały cień na policzki. Pomimo siwej peruki i okularów, których używał do czytania, wydał jej się w nieokreślony sposób młodszy. I choć spostrzeżenie to powinno dodać jej otuchy, poczuła się jeszcze bardziej roztrzęsiona.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią ciemnymi oczami o nieodgadnionym wyrazie. Spróbowała się uśmiechnąć, odpowiedzieć zalotnym spojrzeniem, lecz wargi drżały jej niedostrzegalnie. Opuścił na nie wzrok i tak już pozostał. Twarz mu spochmurniała. Wstrzymała oddech. Nie знаła tego mężczyzny. Nie naprawdę.

W końcu powiedzieli sobie dobranoc i Megs niemal uciekła na piętro. Daniels już na nią czekała. Pomogła pani się rozebrać i założyć nocną koszulę. Megs wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, gdy pokojówka szczotkowała jej włosy. Przyszło jej na myśl, że powinna kupić nową koszulę. Może coś jedwabnego, lepiej nadającego się do uwiedzenia męża. Ta, którą nosiła, nie była stara, ale uszyta z dość zwyczajnego płótna i ozdobiona jedynie na karczku niewielkim haftem.

– Dziękuję, Daniels – powiedziała, gdy pokojówka wyszczotkowała jej włosy, poświęcając temu dwa razy więcej czasu niż zwykle.

Dziewczyna dygnęła i wyszła.

Megs wstała i podeszła do drzwi dzielących sypialnie. Żadnych więcej nerwów, złażała się w duchu. Środków ostrożności, wymówek, zwlekania. Chwyliła za gałkę, otworzyła drzwi... i przekonała się, że pokój jest pusty.

* * *

– Za nim!

Głęboki głos kapitana dragonów odbił się echem wśród budynków, a Godric zaklął i skręcił w wąską alejkę, pędząc, ile sił w nogach. Nie tak zaplanował tę noc w St. Giles. Zamierzał przepytac starego znajomego w kwestii porywaczy dziewcząt. Zamiast tego, ledwie wszedł do dzielnicy, natknął się na dragonów – i tego maniaka, ich kapitana.

Uliczka wychodziła na szereg podwórek, nie wątpił jednak, że dragoni spróbują go okrążyć. Zanurkował zatem do wnęki, utworzonej przez ciąg schodów prowadzący do pomieszczeń w suterenie.

W uliczce rozbrzmiały kroki.

Rozpłaszczył się na pobliskiej ścianie i zaczął modlić.

– Jeśli Bóg jest po naszej stronie, dopadniemy dziś tego bękarta – dobiegł go głos kapitana Jamesa Trevilliona, stojącego na chodniku tuż nad nim.

Przewrócił oczami. Kapitan i jego ludzie zostali przysłani do St. Giles trzy lata temu, aby ukrócić handel ginem i schwycić Ducha St. Giles. Żadnego z tych celów nie udało im się, jak dotąd, zrealizować. Och, wytropili wielu handlarzy ginem, lecz na ich miejsce wciąż zjawiali się nowi. Trevillion równie dobrze mógł próbować opróżnić Tamizę cynowym kubkiem. Co zaś tyczy się Ducha St. Giles, to chociaż tropił go z maniackim wręcz zapałem, musiał jeszcze poczekać, nim go dopadnie.

A jeśli Godric będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia, kapitanowi nie poszczęści się także tej nocy.

Odczekał, aż odgłos ciężkich żołnierskich kroków ucichnie w oddali, a potem zwlekał jeszcze przez kilka minut. Kiedy wreszcie wyszedł z kryjówki, uliczka była pusta.

A przynajmniej tak się wydawało. Trevillion był sprytnym myśliwym, znanym z tego, że potrafi się przycząić, a potem wrócić, kiedy zwierzynie wydawało się już, że jest bezpieczna.

Dzisiejszej nocy lepiej było nie pozostawać zbyt długo w St. Giles.

Godric dotarł do wylotu uliczki w samą porę, Trevillion rzeczywiście wysłał bowiem kilku żołnierzy, aby ponownie sprawdzili zaułek. Było ich trzech, oddalonych zaledwie o dwadzieścia jardów od miejsca, w którym się wyłonił, toteż musiał szybko uciekać, klnąc pod nosem.

Po długich trzydziestu minutach znalazł się wreszcie w ogrodzie swego domu. Saint House został zbudowany w czasach, gdy dostęp do rzeki był dla arystokratów niezwykle istotny – zarówno ze względów praktycznych, jak i wizerunkowych. Ogród rozciągał się więc pomiędzy tylną częścią domu a starą bramą, prowadzącą nad rzekę – wspinałym kiedyś, a teraz mocno zmurszałym łukiem, broniącym dostępu do prywatnych stopni. Jego przodkowie mogli rozkoszować się demonstrowaniem swojego bogactwa, pływając po Tamizie prywatnymi barkami, lecz Godricowi położenie domu odpowiadało z bardziej prozaicznych powodów: doskonale nadawało się bowiem do tego, by Duch mógł wychodzić i wracać niezauważony.

Tej nocy zatrzymał się na chwilę, ukryty, jak zwykł to czynić, w cieniu, aby upewnić się, że droga jest wolna. Nic się nie poruszyło – poza ulicznym kotem. Zwierzę przebiegło obok, nieświadome obecności człowieka. Godric odetchnął głęboko i wszedł na ścieżkę prowadzącą do domu. Otworzył ostrożnie drzwi i

wślizgnął się do gabinetu. Rozejrzał się pospiesznie, przekonał, że jest sam, i dopiero wtedy pozwolił sobie odetchnąć z ulgą. Nie tak dawno spotkała go tu przecież paskudna niespodzianka.

Dziś jednak pokój był ciemny, a na kominku nie płonął ogień. Mężczyzna podszedł po omacku do pewnego panelu obok obramowania i nacisnął stare drewno. Panel odskoczył, ukazując wnękę i zawieszony tam ubranie. Godric szybko pozbył się stroju Ducha, po czym założył nocną koszulę, szlafrok oraz pantofle. Odwrócił się i ruszył ku swojej sypialni, czując, jak znużenie wsącza mu się do żył. To był długi dzień. Nadal nie miał pojęcia, jak długo Margaret zamierza pozostać w mieście. Zarówno jego siostra, jak i ten stary babsztyl zasugerowały, aczkolwiek niejasno, że będą chciały wrócić niedługo na wieś. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, iż Margaret zamierza zostać dłużej albo – nie daj Bóg! – na stałe.

Ta niepokojąca myśl, podobnie jak fakt, iż dotarł bezpiecznie do domu, osłabiły jego czujność. Tymczasem został zaatakowany, ledwie wszedł do sypialni. Silne ramiona objęły go za szyję, czyjeś ciało napało na niego, przygwożdżając do ściany, a obce dłonie zacisnęły mu się na karku. Poczł woń kwiatu pomarańczy.

A potem Margaret go pocałowała.

Rozdział 4

Lecz w końcu Hellequin wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Sięgnął w dół, wepchnął rękę w pierś młodzieńca i wyszarpnął z niego duszę. Owinął ją trzy razy pajęczą nicią ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i, tak spętana, wrzucił do worka, uszytego ze skóry kruka. Odwrócił się, gotów odjechać, a wtedy ukochana młodzieńca krzyknęła:

– Zatrzymaj się!

– z Legendy o Hellequinie

Pierwszą myślą Megs było to, że Godric jest twardy – o wiele bardziej, niż przystało na mężczyznę w jego wieku. Wyglądało to tak, jakby wszystkie jego mięśnie zmieniły się w kamień, gdy tylko go dotknęła. Wiedziała o tym, ponieważ impet jej pocałunku pchnął go na ścianę. Przycisnęła się mocniej, czując, że pierś, brzuch, ramiona i uda tężeją mu pod dotykiem jej znacznie bardziej miękkiego ciała. Przechyliła głowę, otworzyła usta, smakując wino na jego wargach – i nic się nie wydarzyło. Wypróbowała wszystkiego, co wiedziała o pocałunkach. Nie było tego zbyt dużo, tym niemniej... czy facet rzeczywiście był z kamienia?

Westchnęła, sfrustrowana, odsuwając się, aby na niego spojrzeć.

Co było błędem.

Czyste szare oczy spoglądały spod przymrużonych powiek, usta miał zaciśnięte, a nozdrza lekko rozszerzone. Na pewno nie wyglądało to zachęcająco.

– Margaret – wycodził, posługując się całym jej imieniem. – Co ty wyprawiasz?

Skrzywiła się. Jeżeli musiał pytać, najwidoczniej próba uwiedzenia go na nic się nie zdała.

Dziecko. Nie wolno jej tracić z oczu celu.

Uśmiechnęła się, chociaż musiało to wyglądać nieco sztucznie.

– Ja... pomyślałam, że dobrze byłoby się bliżej poznać.

– Poznać.

Słowo spadło z jego warg, ciężkie i bez życia, i legło pomiędzy nimi jak martwa ryba. *A on nie lubi ryb.* Zaczepnęła powietrza, by wyjaśnić... a wtedy chwycił ją w talii, przestawił, wyminął i podszedł do kominka.

Megs wytrzeszczyła oczy. Nie należała do zwiewnych dziewcząt, żywiących się marcepanem i kilkoma truskawkami. Była, jak na kobietę, dosyć wysoka i miała figurę niewiasty lubiącej zdrowe, wiejskie jedzenie. Mimo to jej mąż – jej starzejący się mąż – podniósł ją i przestawił, jakby podnosił puszyste kocię.

Zerknęła na Godrica, klęczącego na jednym kolanie przed paleniskiem i dokładającego do ognia. Przygasł, kiedy drzemała, czekając na jego powrót. Nie miał szlafmicy i zobaczyła po raz pierwszy jego włosy – krótko przycięte i przylegające ciasno do głowy. Były ciemne, prawie czarne, z szerokimi pasmami siwizny na skroniach.

– Ile ty właściwie masz lat? – spytała bez zastanowienia.

Westchnął, podsycając umiejętnie ogień.

– Trzydzieści siedem. Obawiam się, że to za dużo, by lubić niespodzianki.

Wstał i się odwrócił. Nie wiedzieć czemu, był tego wieczoru jakby wyższy, bardziej masywny. Bez siwej peruki i połówkowych okularów wydawał się... cóż, może nie młodszy, ale z pewnością bardziej żywotny. Megs zadrżała, uznając, że to dobrze. By począć dziecko, mężczyzna powinien być żywotny.

Tylko dlaczego wydał się jej równocześnie bardziej onieśmielający?

– Usiądź, proszę – powiedział, wskazując jedno z krzeseł przed kominkiem.

Opadła na nie, czując się trochę jak wtedy, gdy guwernantka przyłapała ją na podkradaniu cukrowanych migdałów.

Godric podszedł tymczasem do kominka i, wsparty na jego obramowaniu, powiedział:

– Tak?

– Jesteśmy małżeństwem od dwóch lat – zaczęła, krzyżując ramiona i niemal natychmiast je opuszczając. Lepiej, by nie wyglądała jak uczeń, wezwany na dywanik przez dyrektora.

– Sądziłem, że jesteś w Laurelwood szczęśliwa.

– Byłam. Ja... – Rozłożyła dłonie i potrząsnęła głową. – Nie. – Nie miało to co prawda sensu, uznała jednak, że nie pora na wykrety. – Nie. Byłam dosyć zadowolona, lecz nie szczęśliwa.

Ściągnął ciemne brwi, nie przestając się w nią wpatrywać.

– Przykro mi to słyszeć.

Pochyliła się ku niemu i zapewniła gorąco:

– Nie winię ciebie, absolutnie. Laurelwood to cudowne miejsce. Uwielbiam

jego ogrody, a także Upper Hornsfield, jego mieszkańców i twoją rodzinę.

Uniósł wyżej brew.

– Ale?

– Ale... czegoś mi jednak brakuje. – Zerwała się z krzesła i jęła je okrażać, zastanawiając się, jak mu to wyjaśnić. W ostatniej chwili zorientowała się, iż zmierza w stronę łóżka. Zatrzymała się i odwróciła, czerwona z zażenowania. – Chcę... rozpaczliwie pragnę mieć dziecko, Godricu.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby nagle odjęło mu mowę. A potem opuścił wzrok i zapatrzył się w ogień. Jego blask obramowywał profil mężczyzny: wysokie czoło i prosty nos. Pomyślała, niezbyt stosownie, że jego usta, widziane pod tym kątem, wydają się takie miękkie, prawie kobiece.

Prawie, ale nie całkiem.

– Rozumiem.

Potrząsnęła głową, ruszając w kolejny spacer po pokoju.

– Naprawdę? – Tylko nie w kierunku łóżka, nakazała sobie. – Kiedy się pobieraliśmy, byłam w ciąży. Wiem, że nie powinnam, ale pragnęłam tego dziecka – dziecka Rogera. W morzu rozpaczy, spowodowanej jego śmiercią, miałam przynajmniej coś, czego mogłam się uchwycić, coś tak bardzo mojego. – Zatrzymała się przed niską komodą, zwyczajną i bez ozdób, na której stały jedynie miska, dzbanek i małe naczynko, ustawione w równej odległości jedno od drugiego. Sięgnęła po nie. – Dziecko. Maleństwo. Moje własne.

– Chęć bycia matką jest naturalna.

Zabrzmiało to obojętnie. Traciła go i nie wiedziała dlaczego.

Odwróciła się zatem i wyciągnęła przed siebie dłonie z naczynkiem.

– Owszem. Chcę dziecka, Godricu. Wiem, że nie taka była umowa. – Przystanąła i zaśmiała się gorzko. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jaką umowę zawarłeś z Griffinem.

Spojrzał na nią, jego twarz była zamknięta i nieobecna.

– Doprawdy? Nie powiedział ci?

Odwróciła wzrok, czując się zbyt obnażona. Była tak zawstydzona, zażenowana i pogrążona w smutku, że nie potrafiła spojrzeć wtedy Griffiniowi w oczy. Zadawanie pytań przerastało jej możliwości. A od tamtego czasu...

Uświadomiła sobie, iż unikała starszych braci od lat, chociaż tak bardzo ich kochała.

– Nie.

– O skonsumowaniu – bądź nie – małżeństwa nie było tam mowy.

Megs otwarła gwałtownie oczy, wpatrując się w nieznanego, który, tak się

złożyło, był jej mężem. Nie było mowy? Zbyt późno – o wiele zbyt późno – i po raz pierwszy zastanowiła się, dlaczego Godric zgodził się na ten układ. Wówczas, przed laty, była niemal oszalała z rozpaczy, przerażona tym, iż urodzi nieślubne dziecko. Sił starczyło jej tylko na bierne poddanie się woli brata. Teraz zaczęła się jednak zastanawiać. Gdyby dziecko przeżyło, zostałoby dziedzicem Godrica. Czy nie obchodziło go, że w prastarym rodzinnym gnieździe St. Johnów wylądował kukułka? Pieniądze stanowiłyby oczywiście odpowiedź – Readingowie mieli ich dość, by mężczyzna zgodził się przymknąć oko na to, czym dzieckiem jest tak naprawdę jego dziedzic. Megs wiedziała jednak, że w przypadku Godrica nie mogło chodzić o majątek – był wystarczająco bogaty. Poza Laurelwood Manor i otaczającymi dwór włościami posiadał także ziemię w hrabstwach Oksford i Essex, a choć Saint House nie znajdował się w chwili jej przybycia w najlepszym stanie, mężczyzna nawet nie mrugnął, gdy wymieniła sumę, jaką trzeba będzie wydać na pensje dla służby i wystrój. Jeśli już, wydawał się znudzony rozmową.

Spojrzała na swoje dłonie, bezwiednie obracające naczynko. Z pewnością nie zgodził się jej poślubić ze względu na przyjaźń łączącą go z Griffinem, ponieważ do chwili, kiedy poinformował ją o umowie, brat nie wspomniał o Godricu nawet słowem. Skoro zatem Godric nie poślubił jej ze względu na pieniądze ani na przyjaźń – to dlaczego?

– Margaret.

Podniosła wzrok, wyrwana z zamyślenia, i zobaczyła, że mężczyzna się jej przygląda.

Nie przestając się w nią wpatrywać, podszedł i delikatnie wyjął jej z rąk miseczkę.

– Wiesz, oczywiście, że byłem wcześniej żonaty?

Przełknęła ślinę. Historia Clary St. John, niszczącej ją choroby i niezachwianego oddania jej męża była szeroko znana w londyńskim towarzystwie.

– Tak.

Pochylił głowę, odsunął się i podszedł do toaletki. Odstawił naczynko na blat – ani zbyt blisko, ani zbyt daleko od dzbanka – i pozostał tam, odwrócony do niej plecami, przytrzymując długimi, eleganckimi palcami skraj ceramicznego cacka.

– Bardzo kochałem Clare. Majątki nasze i Hamiltonów – to jej rodzina – sąsiadowały ze sobą w Cheshire. Wydaje mi się, że jej brat z rodziną nadal tam mieszka.

Megs skinęła głową. Poznała pana i panią Hamilton podczas jednego z prowincjonalnych przyjęć, choć nie łączyła ich do tej pory z Godrikiem. Hamiltonowie byli ogólnie szanowani w okolicy.

– Znałem Clare przez całe jej życie – kontynuował i nutka bólu w jego głosie zdawała się o wiele bardziej przejmująca przez to, że była tłumiona – choć tak naprawdę nie dostrzegałem jej, dopóki nie wróciłem z uniwersytetu. Przyjąłem zaproszenie na wieczorek i ona była tam z przyjaciółmi, ubrana w jasnoniebieską suknię, podkreślającą blask jej włosów. Spojrzałem tylko raz i już wiedziałem – z absolutną pewnością – że to kobieta, z którą spędzę resztę życia.

Zamilkł, a drwa na kominku zatrzeszczały w ciszy, ponieważ, oczywiście, nie spędzili razem reszty życia.

Wiedziała, co to strata, unicestwienie prawdziwej miłości.

– Godricu...

Puścił naczynko i zacisnął dłoń w pięść.

– Po prostu... pozwól mi skończyć.

Skinęła głową, choć nie mógł tego widzieć, odwrócony plecami.

Zobaczyła, że jego barki unoszą się i opadają. Wziął głęboki oddech.

– Kiedy zachorowała, modliłem się do Boga – błagałem go, obiecywałem zrobić wszystko, czego zażąda, byle uchronić ją przed bólem. Gdyby wówczas stanął przy mnie diabeł, z ochotą oddałbym mu duszę, aby ocalić jej życie.

Zaczęła cicho protestować, a wtedy mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią, a właściwie jakby obok niej. Dobry Boże... Twarz miał jak wyrzeźbioną, jakby strata żony wypaliła mu rysy niczym kwas.

Skrzywił się okropnie. Pojedyncza łza spłynęła mu po policzku.

Po chwili znów się opanował.

– Zgodziłem się na szalony plan Griffina – kontynuował ochryple – ponieważ było bardziej niż oczywiste, że nie zainteresujesz się nigdy mną ani tym, aby naprawdę być żoną.

– Ale... – zaczęła, uświadamiając sobie nagle, jak to się skończy. Zrobiła krok w jego stronę i wyciągnęła ręce, lecz pochwyciła w nie jedynie powietrze.

– Nie – stwierdził z niezłomnym przekonaniem. – Nie spałem z kobietą od śmierci Clary i nie zamierzam tego robić. Miałem swoją miłość. Wszystko inne byłoby parodią intymności. Zatem nie, Margaret. Nie pójdę z tobą do łóżka, by począć dziecko.

* * *

Przyglądał się, jak drzwi dzielące ich sypialnie zamykają się za Margaret. Przesunął zasuwkę – na wszelki wypadek – choć wiedział, że jeszcze bardziej ją to zaboli.

Przeczesał dłońmi krótko ścięte włosy. Dobry Boże! Jak mógł odgadnąć, po co przyjechała do Londynu? Skrzywił się, wspominając zraniony wyraz twarzy dziewczyny, gdy ją odepchnął.

– Do diabła! – zaklął pod nosem, podszedł do stolika i nalał sobie wina.

Pociągnął solidny łyk cierpkiego trunku i westchnął. Skąd te żądania, i to akurat teraz? Sądził, że zabezpieczył jej byt. I że jest szczęśliwa. Powędrował spojrzeniem ku toalecie. Wypił jednym haustem resztę wina, podszedł, zdjął z szyi zawieszony na srebrnym łańcuszku klucz – bez wahania powierzyłby Moulderowi życie, lecz nie ten drobny kawałek metalu – a potem otworzył szufladę. Stare drewno zaskrzypiało, a on zaczerpnął powietrza i zajrzał do środka. Listy Clary spoczywały, jak je zostawił, przewiązane czarną wstążką. Rzadko się rozstawali, stosik był więc żałośnie cienki. Obok stała niewielka emaliowana szkatułka, zawierająca dwa kosmyki jej włosów. Pierwszy, z czasów gdy byli zaręczeni, był brązowy, mieniły się w nim złote błyski. Drugi: szorstki, cienki, z pasemkiem siwizny, stanowił pogrzebową pamiątkę.

Cóż.

Dotknął włosów na swojej skroni. Były siwe, nie takie jak u jego zbyt młodej żony. Mieli zestarzeć się razem, on i Clara, krok po kroku, mąż i żona, by odejść po życiu wypełnionym miłością i przyjaźnią. Zamiast tego ona spoczywała w grobie, a on pozostał, by trwać samotnie przez resztę życia.

Życia związanego teraz nierozzerwalnie z Margaret.

Z przodu szuflady, pod jego dłońią, leżała kupka rzuconych niedbale listów. Zawahał się, a potem podniósł jeden i rozłożył go. Wewnątrz nagryzmołone niedbale litery tłoczyły się, jakby Margaret, pisząc, nie była w stanie nadażyć za tokiem swych myśli. Przechylił list ku świecy i zaczął czytać.

18 września 1739

Drogi Godricu,

Nie uwierzysz, ale populacja stajennych kotów rozrosła się w Laurelwood Manor ponad wszelkie wyobrażenie! Zarówno bure, jak i czarne, rude i w łaty urodziły na wiosnę młode, a potem ta spryciara, szylkretowa kotka, zaszła jeszcze raz w ciążę. Teraz, ilekroć idę odwiedzić Minerwę (pamiętasz małą kłaczkę, o której Ci pisałam, kupioną od dziedzica Thompsona?), postępuje za mną istny orszak kotów. Czarne, bure i w łaty (te są, jak mnie zapewnił Toby, kulawy

chłopak stajenny, nieodmiennie samiczkami), a nawet jedna całkowicie pomarańczowa panienka podążają za mną z uniesionymi wysoko, jakby pytająco, ogonami. Toby powiada, iż muszę przestać dokarmiać je tłustymi resztkami z naszego stołu, ale czy tak byłoby uprzejmie, powiedz? W końcu przychodzą, spodziewając się poczęstunku, i...

Musiał przewrócić stronę, by czytać dalej.

... jeśli przestanę teraz im go zapewniać, zniechęcą mnie okrutnie, a może nawet dopadną w domu?

Sarah pokonała wreszcie przeziębienie i przestała mówić tym niskim, ochrypłym głosem, czego żałuję (głosu, nie tego, że wyzdrowiała!), ponieważ brzmiało to bardzo zabawnie, kiedy tak przemawiała niczym starszawy, zrzędlawy wuj.

Pamiętasz, pisałam Ci, że sufit w łazience przecieka? Przez ostatnie dwa tygodnie lało jak z cebra i co myślisz? Sufit po prostu się zawalił. Przestraszył śmiertelnie kucharkę (tak przynajmniej twierdzi Daniels), ponieważ stało się to w środku nocy. Biedaczka myślała zapewne, iż nadchodzi koniec świata – kucharka jest bowiem, jak ogólnie wiadomo, osobą bardzo religijną. Tak czy inaczej, spędziła resztę nocy na modlitwie, dlatego na śniadanie dostaliśmy jedynie zimne biszkopty. Twierdzi, że to nie jej wina. Spodziewała się, iż zmarli powstaną z grobów, tymczasem o świcie powitał ją jedynie stary Battlefield, kamerdyner. (Chociaż słyszałam, jak Sarah mamrocze pod nosem, że Battlefieldda nietrudno wziąć za umarłego).

A niech to, kończy mi się papier, pozostaję zatem niezmiennie oddana,

Megs

Typowy liścik od niej: szybki, błyskotliwy, dowcipny i pełen opisów życia, jakie stworzyła dla siebie w jego wiejskim majątku.

Pełen życia w samej jego istocie.

Poskładał ostrożnie kartki i dołączył je do pozostałych. Nie mógł zdradzić Clary i ich miłości, nie zmieniało to jednak faktu, iż nie powiedział Margaret wszystkiego. Prawda wyglądała bowiem tak, że jej bliskość go poruszyła. Pocałunek był tak typowy dla niej: nieplanowany, beztroski, niezbyt wyrafinowany – a przez to jeszcze bardziej podniecający.

Megs sprawiła, że coś w nim się obudziło i poruszyło, jakby nadal żył i miał nadzieję żyć.

Godric zamknął szufladę, zdjął szlafrok i koszulę. Zdmuchnął świece, wdrapał

się nago do zimnego łóżka, przewrócił na bok i jął wpatrywać w dogasający ogień.

Nieważne, jak uwodzicielska, obiecująca nowe życie byłaby propozycja Margaret, wszystko to stanowiło jedynie iluzję. Tej nocy, gdy Clara wydała ostatnie tchnienie, on także umarł.

* * *

– To drzewo uschło, milady – oznajmił następnego ranka z absolutną pewnością Higgins, ogrodnik. Po czym, jakby dla podkreślenia swoich słów, splunął na dywan uschłych liści, zaścielających ogród Saint House.

Albo przynajmniej to, co z niego zostało.

Megs przyjrzała się drzewu, bez wątpienia jednemu z najbrzydszych, jakie widziała. Kiedyś musiało to być drzewko owocowe, wiek i zaniedbanie sprawiły jednak, iż ciężkie dolne gałęzie wykrzywiły się, podczas gdy cienkie, podobne do biczów pędy wystrzeliły z konarów i odrostów, stłoczonych u podstawy pnia.

– Może jednak nie – odparła bez przekonania. – Mieliśmy w tym roku zimną wiosnę.

Higgins chrząknął z niedowierzaniem.

Drzewo stało w samym środku ogrodu. Bez niego nie będzie tam ani jednego pionowego elementu.

Kobieta chwyciła gałązkę i zgięła ją. Przełamała się z trzaskiem, ukazując brązowy rdzeń. Drzewo niemal na pewno było uschnięte.

Odrzuciła z grymasem złamany patyk. Martwy. Cóż, miała dość tego, co martwe. A zwłaszcza pewnej osoby, która odmawiała pomocy w powołaniu nowego życia. Skoro nie udało jej się go przekonać – jeszcze – do swoich planów, mogła zająć się w międzyczasie czymś innym.

– Proszę ściąć wszystkie odrosty i dzikie pędy – poleciła Higginsowi, ignorując jego wymowne pochrząkiwanie. Dotknęła palcem zbrązowiełej winorośli, obrastającej pień. – I wyciąć także to, czymkolwiek jest.

– Milady... – zaczął Higgins.

– Tak? – Spojrzała na niego. – Wiem, że to niemądre, lecz nawet jeśli drzewo uschło, możemy posadzić wokół niego na przykład pnące róże albo coś podobnego. Nie chcę się jeszcze poddawać.

Higgins westchnął ciężko. Był krzywonogim mężczyzną po pięćdziesiątce. Z pochylonymi barkami wyglądał, jakby dolna część jego ciała ugiwała się pod ciężarem górnej. Miał też ustalone poglądy na ogrodnictwo – sprawiły, że

zwolniono go już z kilku posad. Prawda wyglądała tak, że był bez pracy, gdy wikary w Upper Hornsfield podał Megs, acz niechętnie, jego nazwisko. Szukała doświadczonego ogrodnika, by zajął się renowacją ogrodu w Laurelwoods, i choć do tej pory nie widziała, by Higgins choć raz się uśmiechnął, cieszyło ją, że posłuchała wtedy impulsu i go zatrudniła. Może i był z niego weredyk, ale znał się na roślinach.

– Rzeczywiście, to niezbyt mądre, lecz zrobię, jak pani każe – wymamrotał.

– Dziękuję, Higgins.

Uśmiechnęła się do niego z sympatią.

To nie jego wina, że jest starym zrzedą, a skoro przez półtora roku nie zagroził ani razu, że odejdzie, najwyraźniej on też nieco ją polubił.

Przynajmniej miło było tak myśleć.

– A co z tamtym kwietnikiem? – zapytała i wkrótce Higgins drapał się już po głowie, wygłaszając niezbyt przychylne opinie na temat drewnianych kwietników obramowujących ścieżki.

Megs przytakiwała, zamyślona, ale nie słuchała. Dzień był słoneczny, choć rzeński i wędrowanie po zapuszczonym ogrodzie sprawiało jej przyjemność. Musiała odłożyć plany poczęcia dziecka, nie oznaczało to jednak, że się poddała. Znajdzie sposób, by przewyciężyć opór Godrica, albo...

Cóż, mogłaby wziąć sobie kochanka. Tak właśnie postąpiłaby inna kobieta w jej sytuacji – zakładając, że była jakaś w podobnym położeniu. Zaledwie jednak ta myśl przemknęła jej przez głowę, natychmiast ją odrzuciła. Nieważne, jak bardzo pragnęła mieć dziecko, nie mogła zrobić czegoś takiego Godricowi. Wyjść za mąż z powodu nieślubnej ciąży to jedno; czym innym byłoby urodzić z rozmysłem dziecko innego mężczyźnie, któremu przysięgała w obecności rodziny i przyjaciół. Nawet jeśli ten mężczyzna odznaczał się wyjątkowym uporem.

Ramiona jej opadły. Wiedziała, że zachowuje się nieuczciwie w stosunku do Godrica. Problem polegał na tym, że go rozumiała. Ona także kochała kogoś rozpaczliwie i na wpeł umarła razem z nim. Nagle uderzyła ją pewna myśl: czy zdradzała Rogera, pragnąc stworzyć bez niego nowe życie? Planując zrobić to z innym?

Ale to dziecka pragnęła, nie seksu. Gdyby jedno było możliwe bez drugiego, chętnie by się na to zgodziła. Zwłaszcza że nie spodziewała się, by seks z Godrikiem mógł sprawić jej przyjemność – bo jakże to? Kochała Rogera, nie swego oschłego, starszawego małżonka. Zresztą nie miało to znaczenia – potrzeba posiadania dziecka była zbyt silna, by dłużej ją ignorować.

Wspomnienie Rogera sprawiło jednak, że przypomniała sobie o złożonej przysiędze. Przyjechała do Londynu nie tylko po to, by skonsumować małżeństwo, ale by znaleźć Ducha St. Giles i sprawić, żeby zapłacił za swoją zbrodnię. Skoro nie może na raz osiągnąć jednego celu, zajmie się ze zdwojoną energią drugim. Przyglądając się, jak Higgins odkrywa żółte krokusy i pochrząkuje z satysfakcją, pomyślała, że pierwsze spotkanie z Duchem nie przebiegło tak, jak by sobie życzyła, może więc nie od rzeczy byłoby zebrać o nim więcej informacji.

Opuściła posępnego ogrodnika i wyruszyła na poszukiwanie Sarah.

– Tu jesteś! – wykrzyknęła niezbyt odkrywczco, kiedy znalazła szwagierkę w pokoju na najwyższym piętrze.

– W rzeczy samej – odparła Sarah, kichając donośnie. Zdejmowała właśnie zasłony z okien w asyście czworga dziewcząt z sierocińca.

Mary Evening, dziewczynka w wieku około jedenastu lat, piegowata i o mysiobrazowych włosach, parsknęła śmiechem. Mary Little, druga z dziewczynek, o ładnych, płowych puklach, zachowała poważną minę. Rzuciła koleżance pełne nagany spojrzenie, a potem powiedziała:

– Na zdrowie, proszę panienki.

– Dziękuję, Mary Little – odparła Sarah, mrugając do Mary Evening. – Może ściągnęłybyście resztę zasłon, gdy będę rozmawiać z lady Margaret?

– Tak, proszę panienki.

Przyskoczyły ku oknu, nie przejmując się kurzem.

– Co to za pokój? – spytała Margaret, rozglądając się. Wyglądał jak sypialnia, lecz nie dla służby.

– Nie jestem pewna. – Sarah zawahała się, a potem dodała: – Tak czy inaczej, wymaga dokładnego sprzątnia.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nią Megs, kiedy jedna z zasłon opadła, wzniesając tuman kurzu.

– Odniosłam wrażenie, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać – podsunęła jej Sarah.

– A, tak. – Megs przypomniała sobie, co skłoniło ją, by wyruszyć na poszukiwanie szwagierki. – Czy nie wspomniałaś wczoraj, że otrzymałyśmy mnóstwo zaproszeń?

– Cóż, większość była dla Godrica – odparła Sarah. – Nie uwierzyłybyś, ale znalazłam cały ich stos na biurku. Niektóre jeszcze z zeszłego roku. Doprawdy, powinnam znaleźć bratu sekretarza.

– Bez wątpienia.

– Lecz kilka w istocie wystosowano do mnie, ciebie i twojej ciotki – kontynuowała Sarah – a jesteśmy tutaj dopiero od dwóch dni! Nie przywykłam do tego, jak szybko w Londynie rozchodzą się wieści.

– Hm... Czy któreś z nich nie pochodziło aby od lorda Kershawa?

Sarah ściągnęła brwi, pocierając smugę kurzu na fartuchu przypiętym do sukni.

– Chyba tak, lecz było to jedno z tych adresowanych do Godrica. Dotyczyło balu, który lord i jego żona wydają dziś wieczorem.

– Znakomicie! – rozpromieniła się Megs. Kershaw był przyjacielem Rogera, słyszała również, że przez kilka miesięcy po śmierci jej ukochanego szukał w St. Giles jego zabójcy. Pójdzie tam i spróbuje wypytać lorda o Ducha. – Możemy wziąć jeden powóz. Lepiej dowiem się, czy cioteczna babka będzie miała ochotę się z nami wybrać. Lubi bale i nawet jeżeli Księżniczka ma się wkrótce oszczenić, sądzę...

– Ale... – zaczęła Sarah, po czym zamarła z otwartymi ustami.

– Co wy tu, u diabła, robicie?

Podskoczyły obie i odwróciły się na dźwięk złowroźnie cichego głosu.

Godric stał w progu z twarzą spokojną i nieruchomą – tak nieruchomą, że Megs dopiero po chwili zorientowała się, iż oblicze jej męża jest blade z gniewu.

– Nie dałem wam pozwolenia, abyście wchodziły do tego pokoju.

O rety!

Jedna z dziewczynek upuściła zasłonę, pisnąwszy ze strachu.

Sarah chrząknęła.

– Dziewczęta, zanieście, proszę, zasłony na dół do pani Crumb. Będzie wiedziała, jak je wyczyścić.

Godric przesunął się w bok, aby przepuścić struchlałe dziewczęta, lecz nadal wpatrywał się w Megs.

– Nie powinno cię tu być. Nie chcę cię w tym pokoju.

Poczuła, że się rumieni. Zadarła brodę i spojrzała w płonące gniewem oczy męża.

– Godricu...

Postąpił ku niej, wykorzystując swój wzrost, aby ją onieśmielić.

– Może i uważasz mnie za marionetkę, madame, którą będziesz mogła pod wpływem najlżejszego kaprysu manipulować, zapewniam cię jednak, że nic z tego. Wykazałem się cierpliwością, znosząc to, że zaprowadzasz tu swoje porządki, lecz posunęłaś się za daleko.

Megs wpatrywała się w męża szeroko otwartymi oczami, krew dudniła jej w

skroniach. Otworzyła usta, chociaż nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Uprzedziła ją Sarah.

– Przepraszam. To moja wina – wtrąciła drżącym głosem. – Megs po prostu tu weszła. Sprzątałyśmy wszystkie pomieszczenia. Niczego nie ruszałyśmy, choć nie potrafię sobie wyobrazić, do czego mógł służyć ten pokój.

– To była sypialnia Clary – odparł stanowczo. – I nie życzę sobie, żebyście w niej buszowały.

– Godricu, ja...

Lecz on już się odwrócił. Wyszedł, a Megs wystarczyło jedno spojrzenie na przepełnioną bólem twarz Sarah. Pobiegnęła za mężem.

Maszerował korytarzem, kompletnie nieświadom tego, jak wielką przykrość wyrządził siostrze.

– Godric!

Nawet nie zwolnił.

Megs okrążyła go, zmuszając, by się zatrzymał, spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich...

Boże! Ból, ostry i żywy.

Zaczerpnęła powietrza, tracąc nagle kontenans.

– Ona nie wiedziała.

Zacisnął wargi i odwrócił wzrok.

– Przepraszam – wyszeptała, wyciągnęła dłoń i dotknęła jego rękawa. Niemal spodziewała się, że ją odtrąci.

Zamiast tego zapatrzył się po prostu na jej palce.

– Powinna była zapytać.

– Oczywiście. Wszystkie powinnyśmy były zapytać, zanim przewróciłyśmy twój dom do góry nogami, ale Godricu... – Przysunęła się bliżej, nie puszczając jego rękawa. Stała teraz tak blisko, że niemal dotykała piersią sztywnej wełny jego surduta. Zadarła brodę, aby móc spojrzeć mu w oczy. – Gdybyśmy spytały, to byś się nie zgodził, prawda?

Milczał.

– Jesteś tak samowystarczalny. – Zaśmiała się cicho. – To zniechęcające, ponieważ reszta z nas nie jest. Twoje siostry i matka nie są...

– Macocha. – Przesunął spojrzenie, nadal nieugięte, na twarz Megs, ale przynajmniej jej słuchał.

– Niech będzie macocha – ustąpiła. – Znam jednak panią St. John i wiem, że jej na tobie zależy. Podobnie jak reszcie rodziny. Prawie się z nimi nie kontaktujesz. Twoje listy, nie dość, że rzadkie, są jeszcze tak błahe. Nic

dziwnego, że martwią się o ciebie.

Skrzywił się, zirytowany.

– Niepotrzebnie.

– Doprawdy?

Stał, wpatrując się w nią, i Megs nagle zrozumiała, że wypracował sobie ten obojętny, nieustępliwy wyraz twarzy.

– Wiesz, że to nieprawda – wyszeptała. – I że ci, którzy cię kochają, mają powód, aby się martwić.

– Margaret.

Wyprostowała się.

– Powinieneś wrócić i przeprosić siostrę.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie miała pojęcia, że to pokój Clary, a nawet gdyby o tym wiedziała... – Rozłożyła dłonie w bezradnym geście. – Zamierzasz trzymać go tak w nieskończoność, niczym kapliczkę?

Pochylił głowę i nagle uświadomiła sobie, jaki jest wysoki i onieśmielający. Znieruchomiła.

– Ty zaś – powiedział cicho, z ustami tak blisko jej ust, że ich wargi niemal się stykały – powinnaś nauczyć się, co ci wolno, a czego nie.

Przełknęła ślinę.

– Doprawdy?

Na chwilę zapało jej dech. Stał tak blisko, ciało miał napięte, jakby zamierzał... coś zrobić i to napięcie udzieliło się także Megs. Czuła, że drży niczym zbyt mocno naciągnięta struna skrzypiec.

Godric wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo i zrobił krok do tyłu.

– Przeproszę siostrę później.

Odwrócił się i zbiegł po schodach.

Megs otrząsnęła się i wróciła do pokoju Clary. Spojrzała na twarz Sarah, podeszła szybko do szwagierki i objęła ją.

– Mężczyźni potrafią być tacy uparci.

– Nie. – Sarah pociągnęła nosem i przyłożyła do niego koronkową chusteczkę. – Godric miał w zasadzie rację – powinnam była go zapytać, nim zabrałam się do porządkowania tego pokoju.

Megs się odsunęła.

– Lecz nie wiedziałas, że to był pokój Clary.

– Domyślałam się. – Poskładała chusteczkę i wskazała masywne łożo pośrodku. – Po co by to w nim stało? Kto inny mógłby tu mieszkać?

– Zatem dlaczego...

– Ponieważ nie powinien utrzymywać tego pokoju w nienaruszonym stanie jako swego rodzaju makabrycznej świątyni ku czci Clary.

– To właśnie mu powiedziałam.

Sarah otworzyła szeroko oczy.

– I co on na to?

Megs się skrzywiła.

– Cóż, nie był chyba zadowolony.

– Och, Megs! – krzyknęła Sarah. – Tak mi przykro, że cię w to wciągnęłam, ale... podejdź, proszę, tutaj.

Podbiegła do jednego z okien, gdzie nic nie zasłaniało teraz widoku.

Megs podążyła z wolna za szwagierką.

– O co chodzi?

– Spójrz. – Sarah wskazała żelazne kraty za oknem. Miały zapewnić bezpieczeństwo tym, którzy znajdują się w środku. – To był kiedyś pokój dziecinny. Ja... wiem, że wasze małżeństwo nie jest tego rodzaju, miałam jednak nadzieję, że kiedy przyjedziemy do Londynu... – Przełknęła ślinę i splotła przed sobą drżące dłonie. – Tak bardzo się o niego martwimy...

Megs skinęła głową.

– Wiem. I prawdę mówiąc, ja też miałam nadzieję, że zdołam bardziej się do niego zbliżyć. – Zarumieniła się, mimo to brnęła dalej. – Chodzi o to, że... nie wiem, jak to zrobić. Próbowałam, ale on jest uparty. Tak bardzo kochał Clare...

– Owszem – przyznała Sarah z ponurą miną. – Lecz ona nie żyje, a ty jesteś tutaj. Nie rezygnuj za szybko, Megs, proszę. Obiecujesz?

Megs skinęła głową, lecz nawet uśmiechając się do Sarah, by dodać jej otuchy, zastanawiała się, jak mogłaby pomóc mężczyźnie, który poddał się dawno temu i zrezygnował z siebie.

Rozdział 5

Musicie wiedzieć, że spośród śmiertelników jedynie nieliczni są w stanie zobaczyć Hellequina. Jako przynależny do nocy i śmierci jest dla większości niewidzialny. Ukochana młodzieńca była jednak inna. Miała na imię Faith, Wiara, i urodziła się z darem jasnowidzenia.

Wiedziała, kim jest Hellequin i – co więcej – dokąd zmierza.

– Mój ukochany nie skrzywdził nigdy człowieka ani żadnego stworzenia! – krzyknęła. – Nie możesz zabrać jego duszy do piekła, aby płonęła tam przez wieczność!

– z Legendy o Hellequinie

– Dokąd się wybiera? – Godric znieruchomiał, rozwiązując krawatę, i spojrzał na Mouldera.

– Na bal – powtórzył Moulder. – Wszystkie tam jadą. Szkoda, że pan nie widział, jak pokojówki uwijały się przez całe popołudnie, biegając po schodach dla służby. Wygląda na to, że przygotowanie damy do balu to kupa roboty.

Dlaczego Megs nie wspomniała, iż zamierzają wieczorem wyjść? Oczywiście, uświadomił sobie. Przecież się pokłócili, a potem starał się trzymać z dala od niej i od domu. Wrócił, gdy uznał, że pora przygotować się do kolejnej wyprawy do St. Giles. Co właśnie robił. Nie jego sprawa, jak zapełnia sobie czas jego żona.

– Czyj bal? – zapytał.

– Lorda Kershawa – odparł Moulder krótko. – Ponoć to jedna z największych atrakcji sezonu, a zaczął go wydawać, gdy ożenił się parę lat temu z tą zagraniczną dziedziczką.

Godric przyglądał się przez chwilę kamerdynerowi, zaskoczony. Odkąd to Moulder interesował się plotkami? Musiał podsłuchiwać przez cały dzień pod drzwiami. Potrząsnął głową. Kershaw. Jedno z nazwisk wymienionych przez Makepeace'a. Może podczas balu dowiedziałaby się o nim więcej niż w trakcie nocnej wyprawy do St. Giles. Zignorował z rozmysłem cichy głos, szepczący, że miałyby też dzięki temu okazję spędzić więcej czasu ze swoją piękną żoną.

– Przygotuj mi strój wieczorowy i dopilnuj, by powóz zaczekał.

– Bardzo rozsądnie, jeśli wolno mi zauważyć – mruknął Moulder, wypełniając polecenie.

Godric założył świeżą białą koszulę.

– Co masz na myśli?

– No cóż, nie wiadomo, kogo może pan tam spotkać, prawda?

– O czym ty – powiedział bardzo powoli – do licha, gadasz?

Moulder zdał sobie najwidoczniej sprawę, że mógł posunąć się za daleko, bąknął więc tylko:

– Ach... to nic takiego, zupełnie nic. Pójdę dopilnować, aby przygotowano powóz, dobrze?

– Ruszaj.

Moulder wybiegł z pokoju.

Godric chrząknął i skończył się ubierać, zdając sobie sprawę z tego, że zachowuje się nierozsądnie. Powiedział Margaret, iż nie może się z nią kochać, jeżeli więc zechce poszukać sobie kochanki, nie powinien zachowywać się jak pies ogrodnika. Zaklął i wymaszerował z pokoju. Kłopot w tym, że sprawiało mu to różnicę, i to nie tylko z powodu wstydu, jakiego doświadczyłby, gdyby Margaret urodziła dziecko innego mężczyzny. Gdy była poprzednio w ciąży, prawie jej nie znał. Teraz, kiedy czytywał niemal od roku jej listy, siadywał naprzeciw niej przy kolacji, zaznał słodkiego dotyku jej spragnionych warg...

Zatrzymał się na podeście. Do licha! Nie chciał, aby Margaret kochała się z innym – po prostu. Uświadomienie sobie tego nie poprawiło mu nastroju.

Wziął głęboki oddech i zszedł po schodach. Powinien skupić się na tym, po co wybiera się na bal: na sprawdzeniu, czy Kershaw wie, co jego przyjaciel Seymour robił w St. Giles z porywaczami dziewcząt. To było zadanie dla Ducha.

Tymczasem panie zdążyły już wsiąść do powozu. Moulderowi udało się je zatrzymać, nim wyruszyły. Godric otworzył drzwiczki i wskoczył do środka, w pełni świadomy, że kobiety zerkają na niego z zaciekawieniem.

Oczywiście to Margaret przemówiła jako pierwsza. Jej oczy błyszczały w półmroku.

– Nie sądziłam, że zechcesz wybrać się na bal – inaczej bym cię zaprosiła.

Godric postarał się, by jego twarz przybrała miły wyraz – a przynajmniej miał nadzieję, że tak właśnie wygląda.

– Cóż, powinienem towarzyszyć wam podczas wieczornych rozrywek.

– Naturalnie – powiedziała Sarah, nieco zbyt chłodno. A potem dodała, łagodząc odrobinę ton: – Cieszę się, że postanowiłeś się z nami wybrać.

Czy był doprawdy aż tak niewrażliwy na ich potrzeby? Sarah jest w końcu jego siostrą. A skoro ich ojciec nie żyje, to on powinien pełnić funkcję głowy rodziny, troszczyć się o siostry oraz macochę.

– Przepraszam – powiedział. Sądząc po wyrazie twarzy żony i siostry, bardzo je to zaskoczyło. Cioteczna babka Elvina prychnęła tylko, lecz zignorował starą żonę. – Nie powinienem był tak na ciebie naskoczyć dziś po południu.

– Nie. – Sarah potrząsnęła głową. – To tobie należą się przeprosiny. Nie powinnam była przestawiać rzeczy w pokoju Clary.

– Zrób z nimi, co uważasz – odparł. – Chyba już na to czas.

– Jesteś pewien? – spytała, wpatrując się w niego uważnie.

Spróbował się uśmiechnąć i odkrył, że to wcale nie takie trudne.

– Owszem.

Podczas jazdy milczał, pozwalając, by głosy kobiet obmywały go niczym łagodna fala. Dwa razy przyłapał Margaret, jak przyglądała mu się uważnie w półmroku, i pożałował, że nie potrafi znaleźć sposobu, by spełnić jej marzenia, nie zdradzając Clary.

Kershaw mieszkał w starej rezydencji, która wyglądała, jakby niedawno ją odnowiono. Godric przypomniał sobie, co powiedział mu wcześniej Moulder, i jął się zastanawiać, czy to pieniądze małżonki pomogły zapewnić domowi nową fasadę.

Tuż za drzwiami znajdował się wspaniały hol i Godric odwrócił się, by pomóc ciotecznej babce Elvinie uwolnić się od peleryny. Podał ją oczekującemu lokajowi i odwrócił się akurat na czas, aby zobaczyć Margaret. A właściwie jej suknię.

Zamarł pośrodku zatłoczonego pomieszczenia.

Jego żona miała bowiem na sobie łososiowo-różową toaletę, który to kolor idealnie podkreślał czerń jej loków. Włosy uczesała w bardziej skomplikowany niż zwykle sposób, a zdobiące fryzurę klejnoty mieniły się i rzucały błyski, odbijając światło zawieszzonego powyżej żyrandola. Głęboki okrągły dekolt ukazywał szczyty pełnych piersi, a kiedy Margaret odwróciła się ze śmiechem do jego siostry, mogło się wydawać, że to bogini radości zstąpiła tego wieczoru na ziemię.

Co za ironia, że miała za męża akurat jego.

Podał jej ramię.

– Wyglądasz ślicznie.

Zamrugnęła zdziwiona.

– Dziękuję.

Zreflektował się i obdarzył podobnymi komplementami Sarah i ciotkę, ta zaś uniosła brwi, co było jedynym przejawem poczucia humoru, jaki zdarzyło mu się u niej widzieć, po czym ujęła go pod drugie ramię.

Dookoła poruszała się z wolna masa ludzi.

– Boże święty! – wykrzyknęła cioteczna babka. – Ostatni raz widziałam taki tłok, gdy byłam dziewczynką.

– Spójrz, Megs, tam stoi twoja przyjaciółka, lady Penelope – powiedziała Sarah.

– Rzeczywiście – odparła Megs z roztargnieniem. – Zastanawiam się, gdzie też może być lord Kershaw.

Godric spojrzał na żonę.

Lecz Sarah pociągnęła już obie kobiety w kierunku lady Penelope. Godric popatrzył w ślad za nimi. Lady Penelope uważana była powszechnie za piękność, Godricowi wydawała się jednak tak niemądra, że psuło to wrażenie, jakie wywierała jej uroda.

– Poszukam czegoś do picia – powiedział do oddalających się pań.

Margaret obejrzała się, błysnęła uśmiechem i wtopiła się w tłum.

Jej mąż otrząsnął się z nieprzyjemnego poczucia straty i ruszył ku sali, gdzie podawano przekąski.

Nie sposób było poruszać się szybko, lecz jemu to nie przeszkadzało. Wypatrywał lorda. Poznał go już wcześniej i zapamiętał jako mężczyznę jowialnego i serdecznego. Nie pasowało to do człowieka wykorzystującego niewolniczą pracę dzieci w St. Giles, lecz z drugiej strony, Seymour również wydawał się zwyczajny. Po kwadransie Godric stał przed olbrzymią wazą z ponczem, zastanawiając się, jak zdoła przenieść trzy szklaneczki naraz.

– St. John – rozbrzmiał tuż obok czyjś głęboki głos.

Odwrócił się i spojrzał wprost w szare oczy swego przyjaciela, Lazarusa Huntingtona, barona Caire'a.

– Caire – powiedział, skinąwszy lekko głową.

– Nie sądziłem, że cię tu spotkam – powiedział Caire, sygnalizując lokajowi, by nalał mu ponczu.

– Ani ja ciebie.

Caire uniósł brwi.

– To zadziwiające, jak małżeństwo jest w stanie poprawić w oczach towarzystwa nawet najgorszą reputację.

– Bez wątplenia – zgodził się z nim Godric. – Potrzyjmy to, proszę.

Caire spojrzał z niejakim rozbawieniem na szklaneczkę, lecz wziął ją od

Godrica.

– Domyślam się, że przyjechałeś z żoną?

– A także z siostrą i ciotką żony – wymamrotał Godric, zonglując szklaneczkami.

– Masz więc dom pełen gości – zauważył Caire, przeciągając głoski.

Godric spojrział na przyjaciela, unosząc brwi. Twarz Caire'a przybrała łagodniejszy wyraz, który zastąpił malujące się tam zazwyczaj znudzenie.

– Cieszę się.

Godric odwrócił wzrok.

– Tak, cóż...

– Chodźmy – powiedział Caire. – Przedstawisz mnie, jak należy, żonie. Temperance była bardzo podekscytowana jej pojawieniem się podczas zebrania Syndykatu Pań.

Godric odwrócił się i wszedł w tłum, nie wypowiadając już ani słowa. Czuł jednak, że Caire za nim podąża. Zdążyli przejść połowę sali balowej, gdy Caire chrząknął i powiedział:

– Tam stoi Temperance z gromadką pań. Czy to nie twoja żona jest z nimi?

Godric podniósł wzrok i zobaczył, jak Margaret pochyla się ze śmiechem ku śniadej twarzy Adama Rutledge'a, wicehrabiego d'Arque'a oraz jednego z najbardziej osławionych uwodzicieli w Londynie.

* * *

Wicehrabia jest naprawdę przystojny, pomyślała Margaret, i dobrze o tym wie. Jego jasnoszare oczy zdawały się błyszczeć od niewypowiedzianych słów: „Czyż nie jestem najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałas? Chodź, podziwiaj mnie!”.

I Megs go podziwiała – od gładkich policzków, po pięknie wykrojone usta z wyraźnym łukiem Kupidyna – choć nie był to główny powód, dla którego stała tak blisko i śmiała się z jego ryzykownych bon motów. Nie, lord d'Arque był najbliższym przyjacielem Rogera i kiedy ten żył, czuła się zwykle nieco zawstydzona nazbyt rzucającą się w oczy urodą arystokraty i jego śmiałością. Poza tym lorda uważano powszechnie za niebezpiecznego uwodziciela, więc jako niezamężna dama musiała go unikać, by nie nadszarpnąć reputacji.

Lecz w przypadku męźatki sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Małżeństwo ma jednak pewne plusy, pomyślała z niejaką goryczą. Mogła dyskretnie flirtować z przystojnymi szelmami, choć tak naprawdę pragnęła

jedynie kontynuować swój spór z Godrikiem. I nagle Godric, jakby sprowadzony jej myślami, wyłonił się z tłumu i jął przedzierać ku nim z miną raczej ponurą. Megas uniosła wyżej brodę i powiedziała z rozmysłem do lorda d'Arque'a:

– Nie widziałam pana od wieków, milordzie.

– Każdy dzień z dala od tak pięknej damy wydaje się wiecznością – odparł lord D'Arque szarmancko, opuszczając rzęsy, a potem spoglądając jej wprost w oczy.

Czyżby oceniał jej biust? Facet był rzeczywiście strasznym łajdakiem. Uśmiechnęła się.

– Mamy chyba wspólnego przyjaciela – a przynajmniej mieliśmy.

Cyniczny uśmiech nie znikł z warg lorda, lecz jego oczy przybrały czujny wyraz.

– Doprawdy?

– Tak. – Ona i Roger trzymali swoją miłość w tajemnicy. W tamtym czasie wydawała się przez to jeszcze bardziej magiczna. Mieli właśnie ogłosić zaręczyny, gdy Roger... Westchnęła, czując, jak uśmiech znika jej z warg. – Rogera Fraser-Burnsby'ego.

W pięknych oczach lorda zabłysła ciekawość.

– Poncz – mruknął Godric, podchodząc. Drgnęła, zaskoczona.

– Och – zamrugła, odwracając się, aby zobaczyć, że jej zazwyczaj tak opanowany mąż kieruje mordercze spojrzenie ku lordowi d'Arque'owi. Gdyby wzrok mógł zabijać, lord wiłby się już w agonii na podłodze z różowego marmuru.

Interesujące. Powinna czuć się winna. Biedny, drogi lord d'Arque nie zrobił nic poza tym, do czego został stworzony. Nie jego wina, że flirtowała z nim bezwstydnie, drażniąc jego instynkt uwodziciela. Było jednak coś głęboko satysfakcjonującego w przyglądaniu się, jak mąż patrzy w ten sposób – z jej powodu – na innego mężczyznę.

Zerknęła na niego, rozpromieniona, przyjmując szklaneczkę. Godric przyglądał się jej przez chwilę uważnie, nim skupił spojrzenie na wicehrabi.

– D'Arque.

Wargi wicehrabiego drgnęły, choć trudno to było uznać za uśmiech.

– St. John. Gawędziłem właśnie z twoją cudowną żoną. I muszę powiedzieć, że masz o wiele więcej hartu ducha niż ja.

– Doprawdy? Dlaczegoż to?

Lord d'Arque otworzył szerzej oczy z niewinną miną.

– Och, ja za nic nie zdobyłbym się na to, by wywieźć tak śliczną damę daleko na wieś. Chciałbym mieć ją ciągle u swego boku – w dzień, a zwłaszcza w nocy.

Czyżby ćwiczył te niemądre odzywki przed lustrem? Sytuacja nie wyglądała dobrze – zarówno to, co sugerował d’Arque, jak i fakt, że tak bardzo cieszyła ją reakcja Godrica. Wiedziała jednak, że powinna przerwać ten pojedynek słowny. Naprawdę powinna.

Otworzyła usta.

Spóźniła się jednak, ponieważ jej mąż mówił właśnie:

– Jestem zaskoczony, sir. Przypuszczałbym raczej, że u twego boku nie będzie dla niej dość miejsca o żadnej porze – zwłaszcza w nocy.

Tuż obok Megs rozległ się nagle głęboki śmiech. Odwróciła się i ujrzała przystojnego dżentelmena o srebrnych włosach zaczesanych do tyłu i przewiązanych czarną wstążką. Pochwycił jej wzrok i skłonił się, kiedy lord d’Arque poczynił jakąś uwagę na temat celibatu.

– Lady Margaret. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe, jeżeli sam się przedstawię. Jestem Caire.

Oczywiście, lord Caire. Swego czasu równie sławny ze swoich podbojów jak teraz d’Arque.

Dygnęła i powiedziała:

– To dla mnie zaszczyt, lordzie Caire. Uważam pańską żonę za jedną z najbliższych przyjaciółek.

– Hm. – Lord nadal się uśmiechał, a Godric wspomniał coś na temat syfilisu. – Temperance i ja żałowaliśmy, że nie możemy być na waszym ślubie, ale jak się domyślam, była to skromna, ściśle rodzinna uroczystość. St. John i ja znamy się od wieków.

– Doprawdy? – Megs zerknęła, zaniepokojona, na Godrica i lorda d’Arque’a. Przynajmniej nie doszło jeszcze do wymiany ciosów. Choć gdyby doszło, i to z jej powodu, uczyniłoby to bal o wiele bardziej interesującym.

Och, nie wolno jej tak myśleć!

– Musi uważać mnie pan za okropną flirciarkę.

– Nic podobnego – wymamrotał lord Caire uprzejmie. – Prawdę mówiąc, nie widziałem St. Johna tak ożywionego od lat. – Zabrzmiało to nieco smutno, podchwycił jednak jej wzrok i uśmiechnął się kątem ust. – Odrobina gniewu od czasu do czasu dobrze robi mężczyźnie. Mam nadzieję, że pozostanie pani w Londynie.

Megs przygryzła wargę, nie planowała bowiem zostać dłużej niżli do chwili, gdy zajdzie w ciążę. Uwielbiała Laurelwood. Odpowiadało jej wiejskie życie,

poza tym byłoby wspaniale móc wychowywać tam dziecko.

Lord Caire najwidoczniej domyślił się, co oznacza jej mina, ponieważ jego twarz przybrała znów obojętny, światowy wyraz.

– Rozumiem. Szkoda, jestem wszakże i tak wdzięczny za każdą chwilę, którą zechce pani spędzić z moim przyjacielem.

– Spędzałabym z nim więcej czasu, gdyby nie stał pomiędzy nami duch – odparła Megs, starając się, by nie zabrzmiało to tak, jakby się broniła. W końcu to Godric życzył sobie, by wyjechała.

– Ach tak. – Lord Caire skinął głową. – Clara.

Megs się skrzywiła.

– Nie chciałabym, by odniósł pan wrażenie, że jestem zazdrosna. Wiem, że naprawdę się kochali i byli szczęśliwi.

– Kochali się głęboko – przyznał lord Caire, zamyślony – ale ktokolwiek powiedział pani, że byli szczęśliwi, kłamał.

– Co ma pan na myśli? – spytała, przysuwając się bliżej.

– Zachorowała rok po ślubie. A po tym, jak sprowadził do niej wszystkich dostępnych lekarzy, zarówno z Anglii, jak i z kontynentu, uświadomił sobie, że nic nie da się zrobić. – Nie odwracając głowy, spojrzał na Temperance rozmawiającą z Sarah. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co musiał czuć, zmuszony przyglądać się bezradnie, jak jego ukochana cierpi.

Megs zaczerpnęła powietrza, ponieważ – choć lord Caire mógł przywdziać maskę znudzonego światowca – ona wiedziała. Kochał żonę głęboko i bez reszty. Ona również zaznała takiej miłości – a przynajmniej jej początków. Znała Rogera zaledwie nieco ponad trzy miesiące i choć płomień ich namiętności płonął jasno i wysoko, uświadamiała sobie teraz, że był to zaledwie początek. Pragnęła miłości, która rosłaby z czasem, coraz bogatsza i wspanialsza.

Nie będzie dane jej wszakże zaznać podobnego uczucia.

Przygryzła wargi. Nie zaznała takiej miłości z Rogerem i nie zazna z Godrikiem. Może i wymieniał złośliwości z lordem d’Arkiem, była to jednak kwestia urażonej dumy, nie troski o nią.

Ta myśl sprawiła, że spochmurniała.

– Przepraszam – powiedział lord Caire. – Nie chciałem pani zasmucać.

– To nic takiego – próbowała się uśmiechnąć, na próżno jednak. – Żałuję jedynie...

Przez chwilę czekał, by dokończyła zdanie, widząc jednak, że nie zamierza – nie jest w stanie – tego zrobić, nachylił się ku niej i powiedział:

– To, że kochał Clare, nie znaczy, iż nie może pokochać pani. Odwagi, milady. Godric to twardy orzech do zgryzienia, zapewniam jednak, że mężczyzna ukrywający się pod skorupą wart jest wysiłków. Czuję też, że jeśli jakaś kobieta jest w stanie skruszyć tę skorupę, to jedynie pani.

Przyglądała się, jak Godric podnosi wzrok i spogląda na nią. W jego spojrzeniu dostrzegła gniew, żal i smutek i pożałowała, że nie potrafi uwierzyć w słowa lorda Caire'a.

* * *

Artemis Greaves przyglądała się, zaniepokojona, jak lord d'Arque uśmiecha się słodko i mówi coś doprawdy skandalicznego do pana St. Johna. Mąż lady Margaret zawsze wydawał jej się statecznym, choć bardzo smutnym dżentelmenem, lecz nawet najbardziej statecznego człowieka można sprowokować, żeby...

– Pojedynek! – syknęła lady Penelope z radością, do tego o wiele za głośno. – Och, mam nadzieję, że dojdzie do pojedynku!

Artemis utkwiała w kuzynce przerażony wzrok. Na ogół uwielbiała Penelope – cóż, powiedzmy raczej, że to się zdarzało – ale doprawdy, czasami potrafiła być taka dziecinna!

– Myślałam, że lubisz wicehrabiego – powiedziała, tłumiąc irytację.

Penelope odrzuciła głowę do tyłu ruchem, który musiała wyćwiczyć przed lustrem, ponieważ sprawiał, że klejnoty w przytrzymujących jej fryzurę grzebykach chwytają i odbijają światło. Było ich trzy, a każdy ozdobiony małutkimi kwiatkami z rubinów i pereł, osadzonymi na drucikach tak, że drżały, ilekroć Penelope się poruszyła. Kosztowały zapewne więcej niż cała garderoba Artemis, lecz trzeba przyznać, że pasowały idealnie do atramentowych loków kuzynki.

– Oczywiście, że lubię wicehrabiego – odparła przeciągle – lecz nie jest księciem, prawda?

Artemis zamruwała, starając się nadążyć za dziwacznym tokiem rozumowania kuzynki, ale nie było to łatwe.

– Co ma...

Wysoka postać przecinała właśnie tłum niczym szablą jabłko. Na twarzy mężczyzny widać było poirytowanie i choć miał na sobie surdut w spokojnym ciemnoniebieskim odcieniu i czarną kamizelkę, nikt nie mógłby wątpić, że potrafi wydawać rozkazy. Spojrzał w dół, na d'Arque'a, a w tym samym czasie

lord Caire wyszeptał coś St. Johnowi do ucha.

– Księciem takim jak ten – wyjaśniła Penelope z tak głęboką satysfakcją w głosie, że Artemis ściągnęła brwi, do głębi zaniepokojona. Głos kuzynki brzmiał bowiem nie tylko, jak zazwyczaj, przeciągle, lecz także chrapliwie.

– Przeziębiałaś się? – spytała.

– Nie, głuptasie – odparła Penelope z nutką zniecierpliwienia. Zorientowała się, że ma skrzywioną minę, i czym prędzej wygładziła twarz. Jedną z niewielu rzeczy, jakich się obawiała, były bowiem zmarszczki. – Uznałam, że najwyższy czas wyjść za mąż i, oczywiście, powinnam poślubić księcia. Zapewne tego.

Ponieważ, oczywiście, dżentelmenem, który sprawiał właśnie, że wysokie kości policzkowe lorda d'Arque'a poczerwieniały, był nie kto inny jak Maximus Batten, ksiązę Wakefield.

Artemis zamrugała. Penelope była córką pomniejszego lorda – pomniejszego, ale bajecznie bogatego. I choć tak już było na tym świecie, że książęta często poślubiali bajecznie bogate, utytułowane dziedziczki, czy ksiązę Wakefield chciałby mieć za żonę kobietę tak niemądrą, że upierała się, aby dodawać do porannej czekolady sproszkowane perły? Twierdziła, że dodają blasku jej cerze. Artemis uważała zaś, że dobra czekolada smakuje wtedy, jakby dosypano do niej piasku – poza tym: cóż za marnotrawstwo pereł! Zdawała sobie sprawę, że jej opinia niewiele znaczy. Skoro Penelope zawzięła się, aby poślubić księcia, zostanie zapewne księżną przed upływem roku.

Ale Wakefield?

Spojrzała na księcia, który właśnie zdążył się wyprostować. Był wysoki, o szerokich, choć szczupłych ramionach. Wyraz uporczywości, a teraz także zniecierpliwienia, malujący się na jego twarzy, sprawiał, że trudno było nazwać go przystojnym. Gdyby miała określić księcia jednym słowem, brzmiałoby ono: zimny.

Artemis zadrżała. Sądząc po tym, co zaobserwowała podczas licznych balów, na których nieodmiennie trzymała się w cieniu, Wakefield pozbawiony był poczucia humoru – a zapewne także współczucia. A ktoś, kto zdecyduje się żyć z Penelope, będzie potrzebował obfitych zasobów jednego oraz drugiego.

– Są inni książęta – przypomniała zatem kuzynce. – Na przykład ksiązę Scarborough. Owdowiał przed rokiem i ma jedynie córki. Bez wątplenia będzie chciał ponownie się ożenić.

Penelope prychnęła, nie odrywając oczu od Wakefielda.

– Musi mieć co najmniej sześćdziesiąt lat.

– To prawda, słyszałam jednak, że jest bardzo miły – odparła Artemis

łagodnie, a potem westchnęła i spróbowała znowu:

– Może więc księżę Montgomery?

Penelope odwróciła się i spojrzała na kuzynkę, zszokowana.

– Ten człowiek spędza cały swój czas na wsi lub za granicą. Czy ty go w ogóle widziałas?

Artemis zmarszczyła nos.

– Cóż, nie...

– Bo nikt nigdy go nie widział. – Penelope znowu zaczęła taksować Wakefielda. – Nikt nie widział Montgomery’ego od wieków. Z tego, co wiemy, może mieć garb, zajęczką wargę albo – Penelope się wzdrygnęła – może być szalony. Nie chciałabym wejść do rodziny, gdzie zdarza się szaleństwo.

Artemis wzięła głęboki oddech i spuściła wzrok. Nie, nikt nie chce wejść do rodziny, w której zdarza się szaleństwo. W ciągu kilku ostatnich lat próbowała uzbroić się wewnętrznie przeciwko takim uwagom, zdarzało się jednak, że przyłapywano ją, kiedy nie miała się na baczości, i była wtedy bezradna.

Na szczęście Penelope niczego nie zauważyła.

– A jeśli stracił cały majątek, włóczęc się po Europie?

– Jesteś dziedziczką.

– Tak, i chcę wydawać pieniądze na siebie, nie na renowację czyjś na wpół zrujnowanego starego zamczyska.

Artemis ściągnęła brwi.

– Czyli zostaje nam już tylko księżę Dyemore.

– No właśnie. – Dyemore miał przynajmniej trzy zamki i każdy wymagał odbudowy. Penelope skinęła z satysfakcją głową. – Nie, dla mnie jest tylko jeden księżę.

Artemis odwróciła się i spojrzała w ślad za oddalającym się Wakefieldem. Jakoś udało mu się nakłonić – a raczej zmusić – d’Arque’a, by poszedł za nim. Księżę mógł być sobie dumnym, zimnym człowiekiem, ale i tak było jej go żal.

A to dlatego, że lady Penelope Chadwick dostawała zwykle to, czego zapragnęła.

* * *

– Byłbym wdzięczny, gdybyś trzymała się z dala od wicehrabiego d’Arque’a – powiedział Godric, prowadząc żonę na parkiet. Skrzywił się w duchu, słysząc, jak oschle to zabrzmiało, jednak w tej sprawie nie potrafił zachować się rozsądnie. Margaret była jego żoną i nie pozwolił, aby sypiała z innym.

Przechyliła głowę, wydając się bardziej zaintrygowana niż oburzona.

– Czy to rozkaz?

Natychmiast poczuł się jak głupiec.

– Nie, oczywiście, że nie.

Rozbrzmiała muzyka i musieli rozdzielić się, nim zdążył powiedzieć coś więcej. Odetchnął głęboko, starając się zdusić irracjonalny gniew, jaki ogarnął go, kiedy zobaczył Margaret z wicehrabią.

A gdy znaleźli się znów obok siebie, powiedział cicho, aby nie usłyszeli ich inni tańczący:

– Wiem, że to dla ciebie trudne, skoro pragniesz dziecka, ale to nie jest dobry sposób.

– Co przez to rozumiesz? – spytała ostrożnie. Zbyt ostrożnie.

Nie pozostało mu zatem nic innego, jak odpowiedzieć szczerze.

– Miałem na myśli, że mogłabyś wziąć sobie d'Arque'a za kochanka.

Na chwilę, zanim zdążyła ukryć emocje, w jej oczach zabłysło cierpienie i zorientował się, że właśnie wykopał pod sobą dół.

– Sądzisz, że jestem dziwką – powiedziała.

Bardzo głęboki dół.

– Nie, oczy...

Lecz Margaret oddaliła się już, zgodnie z tym, co nakazywał taniec. Tym razem obserwował ją bacznie – tę żonę, o której wiedział tak niewiele. Gdyby Clara została w podobny sposób obrażona, zapewne by się rozplakała. Albo uciekła z parkietu. Tak naprawdę tego nie wiedział, ponieważ coś takiego nie mogło się wydarzyć. Nie prowadziłby takiej dyskusji z Clarą, to było po prostu nie do pomyślenia.

Margaret tymczasem trzymała głowę wysoko, a jej policzki poróżwiały, z czym było jej do twarzy. Istne uosobienie rozgniewanej bogini. Bogini, która mogłaby, gdyby byli sami, fizycznie go zaatakować. Nie wiedzieć czemu, ta myśl go podnieciła.

Kiedy taniec przybliżył ich znowu do siebie, w jednej chwili otworzyli usta.

– Nie miałem na myśli... – zaczął.

– Skazałeś mnie bez procesu – syknęła – i na podstawie żałośnie wątych dowodów.

– Flirtowałaś, madame.

– A jeśli nawet? – spytała, otwierając dramatycznie oczy. – Gdyby każdą kobietę, która flirtuje podczas balu, nazwano dziwką, wszystkie, poza dziećmi i zakonnicami, zostałyby w ten sposób naznaczone. Naprawdę myślisz, że

wdałabym się w romans z wicehrabią?

Wahał się odrobinę za długo.

Margaret ściągnęła piękne brwi.

– Jesteś okropnie irytujący.

Zaczęli już przyciągać spojrzenia, lecz nie mógł tak tego zostawić.

– Ja? Ja jestem irytujący? Zapewniam, madame, że to ty taka jesteś. Nigdy nie wywołałem sceny w publicznym miejscu...

– A teraz wywołujesz drugą – odpaliła.

Była to dziecinna odzywka, lecz także bardzo denerwująca, zwłaszcza że udało jej się rzucić ją tuż przed tym, jak znów musieli się rozdzielić. Miała więc, naturalnie, ostatnie słowo.

Nie starał się ukryć marsa na czole, kiedy podążał za nią z ponurą miną w tańcu. Jakaś pulchna dama spojrzała tylko na jego twarz i aż się potknęła. Mars na czole Godrica jeszcze się pogłębił.

– Czy dałam ci kiedykolwiek powód, byś mógł wątpić, że jestem ci wierna? – spytała, gdy tylko znaleźli się znów obok siebie.

– Nie, ale...

– Mimo to oskarżasz mnie o najgorszą rzecz, o jaką mężczyzna może oskarżyć kobietę.

– Margaret – powiedział bezradnie, gdyż nagle zabrakło mu słów.

Odetchnęła głęboko i zapytała, gdy ją okrążał:

– Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? Dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie jesteś mną zainteresowany, a zachowujesz się jak pies ogrodnika. Nawiasem mówiąc, dlaczego w ogóle mnie poślubiłeś?

Oderwał od niej wzrok i popatrzył na innych tańczących. Przysłuchiwali się im, starając się udawać, że tego nie robią.

– Twój brat poprosił mnie...

– Griffin ledwie cię znał.

Znów spojrzał na Margaret. Wydawała się zdeterminowana.

– To nie miejsce...

– Dlaczego?

– Nie miałem wyboru! – wymamrotał w końcu, natychmiast tego żałując.

Och, Boże, wydawała się zraniona.

– Margaret – zaczął, lecz ona była już poza zasięgiem słuchu. Nie był pewny: dobrze to czy źle. Nie powinno go obchodzić, czy sypia z innymi. Przedtem jakoś nie przeszkadzało mu, że miała urodzić dziecko innego mężczyzny... ale to się zmieniło. Radykalnie. Ta myśl wprawiała go w zdumienie. Tyle rzeczy

uległo zmianie, i to w kilka zaledwie dni. Od czasu, kiedy zobaczył swą żonę w St. Giles.

Do diaska! Co ona mu robi?

Nie mógł się teraz nad tym zastanawiać. Znajdowali się na parkiecie sali balowej, otoczeni przez bardziej znaczącą część londyńskiej elity. Musi odzyskać kontrolę nad żoną i spróbować wrócić do normalności.

Kiedy zbliżyli się do siebie po raz ostatni, był gotowy.

– Pomimo tego, jak zachowałeś się wcześniej, a także przed chwilą, Margaret, nie zmieniłem o tobie zdania. Chciałem zapobiec jedynie temu, aby porywczy temperament nie sprowadził cię na manowce.

Usłyszawszy te ze wszech miar rozsądne słowa, nachyliła się ku niemu i powiedziała:

– Może i mam porywczy temperament, ale przynajmniej nie zachowuję się, jakbym była martwa. I nienawidzę, kiedy mówi się do mnie Margaret!

Obróciła się na pięcie i odpłynęła, pozostawiając za sobą woń kwiatu pomarańczy. Godric po prostu musiał ją podziwiać, nawet stercząc jak głupiec pośrodku parkietu.

Nagle po prawej stronie zamajaczyła czyjaś wysoka sylwetka.

– Małżeństwo z pewnością cię odmieniło – zauważył z lekką kpina w głosie Caire. – Nie widziałem dotąd, byś znalazł się o krok od pojedynku, a potem na parkiecie skrzyżował szpady z żoną. Po prostu brak mi słów.

Godric zamknął oczy.

– Przepraszam...

– Źle mnie zrozumiałeś, przyjacielu.

Godric otworzył oczy i zobaczył, że Caire się uśmiecha. Caire! Uśmiecha się!

– Dobry Boże, St. John, a już niemal uznałem cię za martwego.

– Nie jestem martwy – mruknął Godric.

– Teraz wie już o tym cały Londyn – odparł Caire. – Chodź, domyślam się, gdzie nasz gospodarz trzyma brandy.

I Godric ruszył z wdzięcznością za przyjacielem, bo jeśli to, czego przed chwilą doświadczył, było życiem, to wydawało się ono o wiele bardziej skomplikowane, niżli zapamiętał.

Rozdział 6

Hellequin otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Ile czasu minęło, odkąd odezwał się po raz ostatni? Lata? Dziesięciolecia?

Millenia? Wreszcie zaskrzeczał:

– Nieważne, jak dobry był ten młodzieniec za życia. Umarł nierozgrzeszony.

Czy smutek Faith poruszył serce Hellequina? Nawet jeśli tak było, nie mógł nic zrobić, ponieważ zasady były jasne. Obrócił więc konia, aby odjechać, a wtedy Faith wskoczyła za nim na siodło...

– z Legendy o Hellequinie

Megs wypadła z sali balowej, nie bacząc na zamieszanie, jakie wywołała. Jak on mógł? Jak śmiał uznać ją za kobietę lekkich obyczajów, kiedy jedynie żartowała z lordem d'Arkiem, próbując się dowiedzieć, czy mężczyzna wie cokolwiek o śmierci Rogera. Otarła z policzka gorącą łzę i zbiegła po schodach. Nie zdążyła zadać ani jednego pytania o Ducha, kiedy pojawił się Godric i zaczął obrażać lorda – a także ją.

– Megs!

Zatrzymała się na podeście i odwróciła.

Sarah dogoniła ją, zdyszana, i Megs uświadomiła sobie, że przyjaciółka musiała wołać ją już kilka razy.

– Nic ci nie jest? – spytała szwagierka.

– Ja... – Megs spróbowała odpowiedzieć spokojnie, jak na damę przystało, nie wytrzymała jednak i wyrzuciła z siebie:

– Och, Sarah, czasami miałabym ochotę go uderzyć!

– Cóż, nie winię cię – odparła Sarah lojalnie, a raczej nielojalnie, gdyż brała właśnie stronę przyjaciółki, nie brata.

Lecz Megs była więcej niż szczęśliwa, widząc, że ma tak oddaną towarzyszkę.

– Nie mogę tam wrócić – nie teraz.

Sarah ściągnęła brwi.

– To dokąd się udasz?

– Powinam... – Powinna porozmawiać z Griffinem. Ta myśl rozkwitła w jej umyśle, w pełni ukształtowana. Wiedziała, że właśnie tak należało postąpić. Musi zadać bratu kilka zbyt długo odkładanych pytań.

Spojrzała na Sarah.

– Muszę porozmawiać o czymś niezwykle ważnym z Griffinem. Mogłabyś przeprosić gospodarzy w moim imieniu?

– Oczywiście. – W oczach Sarah zabłyśło współczucie. A także ciekawość. – Przyjechaliśmy wszakże jednym powozem, więc...

– Och – westchnęła Megs, rozczarowana.

Lecz Sarah znalazła już rozwiązanie.

– Twoja cioteczna babka plotkuje przez cały wieczór z lady Bingham. Jestem pewna, że da się ją przekonać, by nas odwiozła.

– Jesteś aniołem.

Z czułością cmoknęła szwagierkę w policzek i już jej nie było.

Piętnaście minut później jechała powozem ku domowi Griffina i Hero. Dopiero teraz przyszło jej na myśl, że może nie zastać brata.

Zastanowiwszy się jednak przez chwilę, uznała, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Griffin będzie jednak w domu. Wiedziała z listów Hero, że brat, ongiś jeden z najbardziej osławionych hulaków w Londynie, na ogół spędzał teraz wieczory z żoną i malutkim synkiem. Postanowiła, że nie będzie mu zazdrościć.

Dwadzieścia minut później powóz zatrzymał się przed schludną kamienicą. Po ślubie brat pozbył się domu, w którym mieszkał jako kawaler, i przeprowadził się do bardziej szacownej dzielnicy.

Megs weszła po frontowych schodach, uświadamiając sobie z drzeniem w sercu, że choć po obu stronach drzwi płoną latarnie, okna są ciemne. Zawahała się na moment, uznała jednak, że nie jest w stanie dłużej czekać: nie spotka się z mężem, póki nie wyjaśni tej zagadki.

Uniosła kołatkę i uderzyła nią dwa razy.

Po długiej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich kamerdyner. Przekonanie go, że naprawdę ma do czynienia z siostrą lorda Griffina, która wpadła zobaczyć się z nim o tak nieludzkiej porze, zajęło trochę czasu, lecz w końcu wprowadzono ją do niewielkiego saloniku. Zaspana pokojówka podsycała ogień w kominku i wyszła, gdy Griffin wpadł jak burza do pokoju. Przemierzył pomieszczenie długimi krokami, chwycił Megs za ramiona i jął wpatrywać się w nią bystrymi zielonymi oczami o przenikliwym spojrzeniu.

– O co chodzi, Megs? Nic ci nie jest?

O Boże, nie zamierzała go przestraszyć!

– Nie, nic. Chciałam jedynie... eee... porozmawiać z tobą.

Griffin zamrugał i odsunął się o krok.

– Porozmawiać? O... – powędrował spojrzeniem ku mosiężnemu zegarowi na kominku – ...wpół do pierwszej w nocy? Megs, unikałaś mnie od lat.

Megs głośno przełknęła ślinę.

– Zauważyłeś.

Przewrócił oczami.

– To, że ukochana siostra koresponduje częściej z moją żoną niż ze mną? Że odrzuciła pół tuzina zaproszeń, by nas odwiedzić? A kiedy przyjechała wreszcie po narodzinach Williama, ledwie się do mnie odezwała? Nie jestem głupi, Megs.

– Och. – Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Mogła jedynie wpatrywać się w swoje palce, skubiące luźną nitkę u sukni.

Griffin chrząknął.

– Hero powiedziała, że powinienem dać ci czas. Myliła się?

– Nie. – Megs odetchnęła i uniosła głowę. Była do tej pory tchórzem, lecz to niczego nie załatwiło. – Hero jest niemal denerwująco bystra.

Uśmiechnął się krzywo.

– Wiem.

– Przepraszam, że byłam taka niezdolna – powiedziała cicho.

– Dopiero teraz tak się zachowujesz – odparł, niemal zirytowany. – Nie musisz mnie przeproszać.

Wstrzymała oddech, czując, że zaczynają ją szczypać oczy. Wszystko przez Griffina, był taki miły. Dlaczego właściwie tak się od niego oddaliła?

Uśmiechnęła się przez łzy i usiadła na delikatnej sofie w kolorze pierwiosnka.

– Chodź, porozmawiaj ze mną.

– Megs? – zapytał podejrzliwie.

Poklepała puste miejsce obok siebie.

Griffin zmrużył oczy, a potem przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw siostry. Najwidoczniej zdążył się już położyć, gdyż miał na sobie ciemnoniebieski szlafrok, oblamowany czernią i złotem, a także nocne pantofle. W przeciwieństwie do jej męża nie używał szlafmocy. Podobnie jak większość mężczyzn noszących peruki, miał krótko przystrzyżone włosy.

– Co zatem było aż tak pilnego, że musiałaś wyciągnąć mnie z łóżka? – zapytał. – Mojego bardzo ciepłego łóżka?

Megs się zarumieniła. Choć większość par z ich sfery miała osobne sypialnie, była przekonana, że Griffin i Hero sypiają razem.

– Chcę wiedzieć, dlaczego Godric się ze mną ożenił – wypaliła, zaczerpnąwszy głęboko powietrza.

Twarz Griffina natychmiast przybrała obojętny, niemożliwy do odczytania wyraz, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawiła się Hero, otulona bladzielonym szlafrokiem, z masą rudych włosów opadających na jedno ramię.

– Megs? Co się stało?

Griffin natychmiast wstał i podszedł do żony. Nachylił się ku niej, mamrocząc jej coś do ucha i dotykając czułym gestem jej policzka. Ten gest mówił wyraźniej niż jakikolwiek uścisk, co jej brat czuje do swej żony.

Megs przygryzła wargę, znów zmagając się z tym niegodnym ukłuciem zazdrości. Nie chodziło o to, że nie życzyła bratu małżeńskiego szczęścia, tylko że... cóż, ona nigdy nie zazna tego z Godrikiem, prawda?

Skrzywiła się, zdjęta uczuciem, które niebezpiecznie przypominało ból. Miała przyjaciół, rodzinę, która się o nią troszczyła, majątek i przywileje. I może, jeśli zdoła przekonać Godrica do zmiany zdania, mogłaby mieć również dziecko.

Czy to nie dosyć, aby czuć się szczęśliwą?

Przyjaciółka Megs przytaknęła temu, co szeptał jej mąż, pomachała jego siostrze i uśmiechnęła się do niej.

– Przepraszam – wyszeptała bezgłośnie Megs.

Hero skinęła głową, wyszła z saloniku i zamknęła za sobą drzwi.

– A teraz powiedz – zapytał Griffin, znowu opadając na krzesło – co takiego zrobił Godric, że się tym zainteresowałaś?

Uświadomiła sobie, że wykorzystał przerwę w rozmowie, by zebrać myśli. Cóż, nie zamierzała powiedzieć bratu, iż mąż odmówił skonsumowania ich związku. Poza tym zorientowała się, że Griffin odpowiada pytaniem na pytanie, próbując zbić ją z pantafyku.

– Godric niczego nie zrobił – odparła spokojnie, a kiedy brat podejrzliwie zmarszczył brwi, westchnęła. – Zachowuje się jak dżentelmen. Nie dlatego tu jestem. Chcę wiedzieć, w jaki sposób zmusiłeś go do poślubienia mnie.

Uniósł brwi.

– Zmusiłem?

– Powiedział, że nie miał w tej kwestii wyboru, Griffinie. – Zacisnęła złożone na podolku dłonie, wspominając ukłucie bólu, jaki sprawiły jej wówczas słowa męża. – Dlaczego?

Griffin zaczerpnął powietrza, odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Przez chwilę Megs obawiała się, że nie odpowie.

– Byłaś tak załamana, Megs – zaczął. – Tak zrozpaczona, że obawialiśmy się,

iż powoli tracisz rozum. – Zacisnął mocniej szczęki. – No i spodziewałaś się dziecka.

Splonęła rumieńcem, odwracając wzrok, zażenowana tak bardzo, że prawie nie usłyszała słów brata.

– Gdyby twój kochanek nie był już martwy, zabiłbym go własnymi rękami.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– Griffinie! Roger był dobrym człowiekiem. Kochałam go, a on mnie...

– Uwiódł moją siostrzyczkę i ją zapłodnił. – Zielone oczy Griffina zabłyśły niebezpiecznie. – Rozumiem, że go kochałaś, nie spodziewaj się jednak, że będę wygłaszał peany na jego cześć. Nie powinien był cię dotykać.

– Gdyby żył, tobyśmy się pobrali – odparła z godnością, a potem dodała bardziej pragmatycznie: – Akurat ty nie masz prawa rzucać kamieniem.

Policzki Griffina poczerwieniały. Jego ślub z Hero – która była przedtem narzeczoną Thomasa – poprzedził głośny skandal.

– Odbiegliśmy od tematu. Cierpiałaś i potrzebowałaś męża. St. John cieszył się nieposzlakowaną opinią, pochodził ze starej arystokratycznej rodziny – co więcej, miał dość pieniędzy, by utrzymywać cię na wysokim poziomie przez resztę życia. Nie miałem zbyt wiele czasu, zaaranżowałem jednak najlepsze małżeństwo, jakie byłem w stanie.

– I dziękuję ci za to – odparła Megs szczerze. Gdyby nie Griffin, zostałyby na zawsze wykluczona z towarzystwa: czarna owca, ukrywana zapewne aż do śmierci w odległym zakątku rodzinnych włości. – Nie odpowiedziałeś jednak na pytanie, dlaczego Godric się zgodził. Bardzo kochał pierwszą żonę. Uważam, że gdyby miał wybór, nie ożeniłby się ponownie.

– Ale go nie miał – odparł Griffin łagodnie.

I nagle ją olśniło. Spojrzała na inteligentną twarz brata.

– Zaszantażowałaś go?

Griffin się skrzywił.

– Cóż, Meggie...

– Och, mój Boże, Griffinie! – Wstała, zbyt wstrząśnięta, by siedzieć. – Nic dziwnego, że on... *Nie chce ze mną sypiać.* – Zamilkła raptownie, uświadamiając sobie, że jeszcze chwila i zdradziłaby się przed swym nader spostrzegawczym bratem. – Czym go zaszantażowałaś? – spytała zamiast tego. – To musiało być coś doprawdy okropnego, skoro zgodził się ożenić, choć wcale tego nie chciał.

Griffin zmrużył podejrzliwie oczy, lecz odparł:

– Nie było to nic tak strasznego, jak ci się wydaje.

– Zatem co to było?

Lecz Griffin potrząsał już głową, wstając.

– Przyrzekłem, że zabiorę sekret do grobu. Nie mogę ci powiedzieć, Megs. Sugeruję, żebyś – jeśli naprawdę chcesz wiedzieć – zapytała o to St. Johna.

* * *

Godric zatrzymał się, zdyszany, po drugiej stronie ulicy, naprzeciw miejskiej rezydencji lorda Griffina Readinga. Sarah dopiero kwadrans po tym, jak Margaret opuściła bal, powiedziała mu, że jego ukochana żona zamierza wypytać swego brata o coś bardzo ważnego. Dziesięć następnych minut zmarnował na dopilnowanie, by siostra oraz cioteczna babka Elvina dotarły bezpiecznie do domu, a potem odszedł, wymamrotawszy niezbyt przekonującą wymówkę. Podjechał dorożką do Saint House i na wszelki wypadek przebrał się w kostium Ducha. Kto wie, dokąd Megs może go zaprowadzić?

Nie powinien był wychodzić tak nagle z balu, lecz nie miał wyboru. Było dla niego jasne, że Margaret chce wypytać brata o okoliczności ich małżeństwa.

Cholera! Już tej nocy, gdy natknął się na Readinga, czekającego nań w gabinecie Saint House, czuł w głębi duszy, że jeśli zgodzi się na szalony plan lorda, prędzej czy później to się na nim zemści. Lecz jaki miał wybór? Reading wiedział. Wiedział, że Godric jest Duchem z St. Giles. Dupek zagroził, że upubliczni tę wiedzę, i choć Godrica kusilo, aby powiedzieć, żeby to zrobił i szedł do diabła, powstrzymała go myśl o St. Giles. Nocą sprawował tam niepodzielną władzę. Nie było mu obojętne, co dzieje się z mieszkańcami dzielnicy i nie zmieniła tego śmierć Clary.

Poddał się więc szantażowi i poślubił Margaret, a teraz był na tyle głupi, że sprowokował ją, by zapytała brata o okoliczności ich małżeństwa.

Czy chciałby, żeby się dowiedziała? Ta myśl sprawiła, że gwałtownie się zatrzymał. Idiotyczny pomysł. Oczywiście, że nie chciał. Nie starczyło mu jednak czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać. Drzwi frontowe rezydencji Readinga otworzyły się bowiem i oczom Godrica ukazała się Margaret. Przystanęła w słabej aureoli zewnętrznych lamp, odwróciła się, żeby powiedzieć coś do brata, a potem zeszła po schodach: irydująco wścibska, a zarazem piękna w łososiowej balowej sukni i krótkiej złotej pelerynce, zawiązanej ciasno pod szyją.

Patrząc na nią, nie sposób było stwierdzić, czy poznała właśnie czyjś najgłębiej skrywany sekret.

Wsiadła do powozu i stangret dotknął koni czubkiem bata. Pojazd potoczył się ulicą, ale ponieważ była wąska, jak większość londyńskich traktów, Godric mógł bez trudu za nim nadążyć. Idąc, trzymał się cienia, prawie niewidoczny dla innych przechodniów. Cóż, z wyjątkiem zbieracza nieczystości, który wydał zduszony okrzyk i upuścił jedno ze śmierdzących wiader.

Godric skrzywił się, przebiegając obok.

Odetchnął z ulgą, gdy powóz zatrzymał się przed wejściem do Saint House. Teraz należy szybko obieć dom i dostać się do gabinetu na wypadek, gdyby Margaret zechciała zajrzeć tam i porozmawiać ze swym mężem.

Coś sprawiło jednak, że się zatrzymał, obserwując powóz i czekając niczym zakochany młokos, aby raz jeszcze zobaczyć żonę.

Lokaj opuścił schodki i otworzył drzwiczki. Lecz zamiast wysiąść, Margaret musiała coś do niego powiedzieć, nachylił się bowiem, jakby chciał lepiej usłyszeć wydane zbyt cicho polecenie. A potem się odsunął, zawołał coś do stangreta i wskoczył z powrotem na stopień z tyłu powozu.

Do licha! Co też chodzi jej po głowie?

Przyglądał się bezradnie, jak powóz zawraca i odjeżdża spod Saint House.

Zaklął pod nosem i ruszył w ślad za nim, zadowolony, że ma na sobie kostium Ducha. Jeśli podążyła na spotkanie z kochankiem...

Ścisnęło go w piersi na tę myśl. Może i zachowuje się – o co go oskarżyła – jak pies ogrodnika, czuł jednak, że nie może pozwolić jej, by pojechała do innego. Prędzej zabije sukinsyna.

Powóz toczył się ulicami, zmierzając na północ, a potem nieco na zachód. W kierunku St. Giles, bez wątpienia.

Z pewnością by tam nie pojechała? Nie po tym, jak została ostatnio zaatakowana?

Do diaska! Oczywiście, że właśnie to zamierzała zrobić. Powóz skręcił w St. Giles niczym jagnię prowadzone na rzeź, beczące głośno o tym, jak jest bezbronne i apetyczne.

Godric wyjął szpadę oraz kordelas i pospieszył za nim.

* * *

Megs spoglądała przez okno na wymarłe, ciche ulice St. Giles. Wszędzie panował spokój, wiedziała jednak, że jest to spokój pozorny. Znajdowali się przecież w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Londynu.

To właśnie tutaj Roger został dwa lata wcześniej zadźgany na śmierć. Leżał

samotnie w chłodną wiosenną noc, a życie wyciekało z niego do brudnego rynsztoka pośrodku zaułka, jego cenna krew mieszała się z ekskrementami i błotem.

Zamrugnęła, by pozbyć się łez, odetchnęła głęboko i otworzyła drzwiczki powozu. Oliver zaczął gramolić się ze swego miejsca za pudłem, lecz poleciła mu zostać.

– Lepiej, żeby wzięła go pani ze sobą – burknął Tom.

– Ja... potrzebuję chwili samotności. Proszę.

Cofnęła się w głąb powozu i wyjęła spod siedzenia pistolet. Zawahała się przez chwilę, a potem sięgnęła także po mały sztylet i wsunęła go sobie w rękaw. Przeznaczony był głównie do ozdoby, lecz mógłby opóźnić rabusia na tyle, aby zdążyła zawołać Toma i Olivera.

Nie zamierzała zbyt ryzykować i wpaść w zasadzkę, oddalając się od powozu. Powiedziała Tomowi prawdę – chciała pobyc przez chwilę sama... ze wspomnieniami o Rogerze.

Być może miała tej nocy do czynienia po prostu z męskim uporem: Griffina, Godrica i nawet lorda d'Arque'a – mężczyzny zbyt zainteresowanego flirtem, by przyszło mu do głowy zastanowić się, dlaczego szukała jego towarzystwa. Miała wrażenie, że z każdej strony napotyka mur. Odkąd przybyła do Londynu, nic nie szło po jej myśli.

Zwłaszcza, w pewnym sensie, to.

Czuła się bardziej oddalona od Rogera niż kiedykolwiek wcześniej. Zatrzymała się i rozejrzała się po opustoszałej uliczce. Tutejsi kupcy i mieszkańcy najwyraźniej albo nie mogli pozwolić sobie na oświetlanie domów, albo im na tym nie zależało. Tak czy inaczej, ulica pogrążona była w mroku, wysokie budynki pochylały się ku niej złowroźnie.

Nagle coś zakłóciło ciszę – odgłos zbliżających się kroków. Megs wzdrygnęła się i otuliła ciaśniej peleryną, choć noc nie była szczególnie zimna. Nie potrafiła określić, skąd dochodzi dźwięk. Budynki i ciasne, kręte przejścia pomiędzy nimi zdawały się pochłaniać, a zarazem odbijać szepty i tłumić krzyki.

To miejsce nawiedzane było nie tylko przez pamięć o Rogerze.

Megs się odwróciła. Powóz stał oddalony zaledwie o kilka jardów – oświetlony i dodający otuchy – mimo to czuła się dziwnie osamotniona.

Co przywiodło tutaj Rogera w środku nocy?

Nie mieszkał w pobliżu, o ile wiedziała, nie znał też tutaj nikogo. Kochała go i była pewna, że on również ją kocha, nie potrafiła jednak wyjaśnić, dlaczego pojawił się w tak podłej okolicy.

Wiedziała jedynie, że przyjechał do St. Giles i że widziano, jak Duch go zamordował.

Dlaczego? Dlaczego musiał zabić akurat Rogera?

Megs próbowała wyobrazić sobie ukochanego, trzymanego na końcu szpady, postanawiającego walczyć do końca, choć był bez szans. Potrząsnęła głową. Obraz, który usiłowała przywołać, był mglisty. Nie potrafiła przypomnieć sobie rysów kochanka. Gdy usłyszała po raz pierwszy o morderstwie, wierzyła, że Roger nie jest typem mężczyzny, który prowokowałby walkę z rzezimieszkiem. Teraz jednakże...

Teraz straciła część pamięci. Straciła część samego Rogera. Nie była już pewna, kim był, i uświadomienie sobie tego sprawiło, że ogarnęła ją panika.

Coś poruszyło się w mroku.

Ujęła w dłonie pistolet i wycelowała, nim Duch St. Giles wyłonił się z cienia.

Poczuła przyływ gniewu: szybki i gorący. Jak on śmiał? Kalał ziemię, która była dla niej święta, uświęcona pamięcią o Rogerze.

– Nie powinnaś być tutaj, moja...

Nacisnęła spust... lecz nic się nie wydarzyło. Tylko pusty dźwięk i mała iskierka.

A potem już był przy niej, wielki i twardy, wyrywając Megs pistolet i odrzucając go. Upadł z brzękiem na bruk, daleko poza jej zasięgiem. Otworzyła usta, aby wykrzyczeć swój gniew, lecz zakrył jej dłonią dolną połowę twarzy, obejmując drugim ramieniem jej barki, przyciskając ją mocno do siebie i unieruchamiając jej ramiona.

Wpadła w szal. Mężczyźni! Mówiący jej, co ma robić, traktujący ją tak, jakby nic nie znaczyła. Wierciła się, wiała, próbując wymierzyć mu cios łokciem, nastąpić na palce, choć jej balowe pantofelki zupełnie się do tego nie nadawały. Mimo to wyrywała się, wydając stłumione przez grubą rękawicę odgłosy gniewu i frustracji. Duch chrząknął i się zatoczył, pociągając ją za sobą w cień pod ścianą domu. Opuściła brodę, by walnąć go z całych sił czubkiem głowy w szczękę. Chybiła jednak i zamiast tego uderzyła się jedynie boleśnie, drżąc z furii, o jego twardą klatkę piersiową.

– Do licha... – wymamrotał cicho.

Nie wyglądało na to, by zdolna była wyrzucić mu jakąkolwiek krzywdę, temu mordercy, zabójcy, który pozbawił ją wszystkiego, na czym jej zależało. Uniosła więc głowę i wpatrywała się w niego, rzucając mu wyzwanie.

Napotkał jej spojrzenie i jego oczy zwięzły się pod tą głupią maską. A potem cofnął dłoń i nim zdążyła zaczerpnąć powietrza, przycisnął wargi do jej ust i

zaczął ją... całować?

Świat zawirował wokół niej, ponieważ była wściekła, on także był wściekły i nie traktował jej delikatnie. Lecz mimo to, a może właśnie dlatego, poczuła, że coś się w niej porusza... tam w dole budziło się znajome ciepło.

Nie! Nie, to nie było w porządku, nie miało prawa się wydarzyć, nie z tym mężczyzną. Próbowwała odsunąć twarz, ale położył jej dłoń na karku, przytrzymując ją, kiedy otwierał usta, rozkosznie gorące, bezprawnie kuszące... Więc go ugryzła. Zacisnęła zęby na jego dolnej wardze i poczuła krew. Nie mogła zrobić nic więcej, a on się nie odsunął. Nadal trzymał ją blisko swego wielkiego, ciepłego ciała i czuła, jak *ta* część jego anatomii, twarda i wzwiedziona, napiera na nią przez halki i spódnice. Powinno to było wzbudzić w niej odrazę i strach, tymczasem... sprawiało, że robiła się wilgotna.

Westchnęła, zaskoczona, a wtedy zaatakował jej usta w triumfalnym akcie dominacji i zawłaszczania.

Nie! Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie była tego rodzaju osobą. Nie będzie kimś takim.

On nie przestanie. Zamierzał sprawić, aby zdradziła siebie, zdradziła Rogera. Nie mogła na to pozwolić. Zniszczyłoby to do reszty jej świat. Duch tak bardzo skupił się na całowaniu, udowadnianiu jej, że nie jest ważne, kto wciska język pomiędzy jej wargi, liżąc tak... tak...

Puścił jej ramiona.

Objęła go za szyję, sięgnęła do rękawa, wyjęła sztylet i dźgnęła z całej siły, zrodzonej z gniewu, strachu i smutku. Poczuła opór wełny, a potem mięśni. Zupełnie jakbym kroić stek, pomyślała zdegustowana. Wbijała nóż najgłębiej, jak była w stanie, aż otarł się w końcu o coś twardego.

Mężczyzna uniósł głowę, spojrział na nią z zaskoczeniem i rozchylił krwawiące wargi.

– Och, Megs.

Rozdział 7

Paskudne skrzaty, Rozpacz, Smutek i Strata, próbowały zepchnąć ją z siodła, lecz była silniejsza, niż się wydawało. Hellequin nie odwrócił się, by na nią spojrzeć, czuła jednak, jak jego mięśnie napinają się i rozluźniają w rytm ruchów konia.

– Co zamierzasz? – zapytał ochryple.

– Przywrzeć do ciebie i pozostać tak, póki nie zdołam cię namówić, żebyś uwolnił duszę mojego ukochanego – odparła dzielnie.

Hellequin skinął jedynie głową.

– Przygotuj się więc, aby przekroczyć Rzekę Smutku...

– z Legendy o Hellequinie

Tylko głupiec pozwala sobie stracić czujność w St. Giles.

Słowa rozbrzmiały w głowie Godrica, wypowiedziane głosem zmarłego mentora, sir Stanleya Gilpina. Sir Stanley nazwałby swego ucznia przeklętym idiotą, gdyby mógł widzieć go teraz, z rękonością śmiesznego nożyka żony sterczącą mu z pleców.

– Godric!

Zamrugnął, skupiając wzrok na twarzy Megs. Spojrzała na niego, pobladła, z oczami szeroko otwartymi ze zgrozy, gdy tylko wyszeptała jej imię. Oczywiście, mogło się to zmienić w każdej chwili: wystarczy, by przypomniała sobie, że – jak sądziła – to Duch zabił jej ukochanego.

W pobliżu rozległ się stukot podków. Godric sięgnął za swoje ramię i chwycił nóż.

– Boże święty, zabiłam cię – powiedziała Megs ze łzami w oczach.

Godric pożałował, że nie ma czasu, aby się nimi napawać.

– Niezupełnie. – Wyszarpnął nóż z rany, czemu towarzyszyła fala mdlącego bólu i strumień świeżej, gorącej krwi. Wepchnął nóż za cholewkę buta i chwycił Megs za łokieć.

– Chodź.

Nikogo w St. Giles nie byłoby stać na posiadanie konia. Stukot podków mógł więc oznaczać tylko jedno.

– Ale... twoje plecy – załkała Megs. – Powinieneś się położyć. Zawołam Olivera i Toma...

– Szybko, kochanie – ponaglił ją, po czym odwrócił się w kierunku powozu, ściągnając jednocześnie kapelusz i maskę. Istniała szansa, że w panującym dookoła mroku woźnica i stangret nie zauważą wzoru na jego tunice. Lub faktu, że ma na sobie krótką pelerynę i buty z wysoką cholewką.

Nieistotne. Miał ważniejszy powód do strachu niż to, że służący odkryją jego sekret.

Na szczęście Megs nie stawiała oporu. Nie był pewien, czy byłby w stanie zaciągnąć ją teraz siłą do powozu. Walcząc, wykazywała się zadziwiającą determinacją.

Tom obrócił się i spojrzał na nich, kiedy wsiadali, nie odezwał się jednak, gdy Godric polecił:

– Do domu. Najszybciej, jak się da.

Pchnął Megs na siedzenie, a powóz ruszył i potoczył się szybko ulicą. Na szczęście dziewczyna miała w nim ukryte schowki – domyślił się tego już pierwszej nocy, gdy wydobyła skądś pistolety. Teraz podniósł więc pospiesznie klapę i wepchnął pod nią broń, pelerynę, kapelusz i maskę. Następnie opuścił siedzenie i osunął się na nie, zapewne dlatego, że powóz akurat gwałtownie skręcał.

Na zewnątrz rozległy się krzyki.

Megs znalazła się nagle tuż przy nim.

– Nadal krwawisz. Widzę na twojej tunice wilgotny połysk.

Nie odezwał się, lecz ściągnął tunikę przez głowę. Pod spodem miał zwykłą białą koszulę.

– Chodź tutaj.

Zaczynało brakować im czasu.

Uświadomiła sobie, że jego pośpiech spowodowany jest nie tylko koniecznością opatrzenia niegroźnej rany.

– O co chodzi?

– Za chwilę zatrzymają nas dragoni – stwierdził ponuro, po czym posadził sobie Megs na kolanach i rozsunał jej okryte spódnicą nogi tak, że siedziała mu okrakiem na udach. – Jeśli odkryją, że jestem Duchem, będziemy oboje zgubieni. Rozumiesz?

Jego żona była nie tylko dzielna, lecz także inteligentna. Przytaknęła bez słowa.

Powóz zaczął zwalniać, dragoni byli tuż za oknem. Słyszeć było, jak

nawołują woźnicę, a on im odpowiada.

– Doskonale – powiedział Godric. – Rób, co ci mówię.

Wyjął zza cholewki nożyk i rozciął stanik Megs, a także znajdujący się pod nim gorset i koszulę. Każda inna kobieta przynajmniej by krzyknęła – suknia, uszyta z drogiego jedwabiu, była kosztowna – lecz Megs przyglądała mu się jedynie szeroko otwartymi brązowymi oczami. Rozsunął poły stanika i jego oczom ukazała się para najpiękniejszych piersi, jakie kiedykolwiek widział: pełnych, krągłych, zwieńczonych ciemnoróżowymi sutkami. Gdyby chodziło wyłącznie o jego życie, może by się tak nie spieszył i dał sobie czas, by się im przyjrzeć. Lecz chodziło tu także o życie Margaret. A jeśli nie o życie, to przynajmniej o reputację. Gdyby powieszono go jako mordercę, zostałaby odrzucona przez wszystkich z wyjątkiem rodziny.

Przyciągnął ją bliżej i pochylił głowę, słysząc, że ktoś próbuje otworzyć drzwi powozu. A potem usta miał już pełne jej słodkiego sutka i ssał mocno, podczas gdy oszałamiający zapach kobiety i kwiatu pomarańczy otaczał go wonną chmurą. Widział puls, bijący na delikatnej szyi Megs niczym spłoszony ptak. Do licha, gdyby nie miał zajętych ust, chętnie by się roześmiał!

Był twardy jak skała.

Drzwi powozu otworzyły się gwałtownie.

Poczuł, że Megs zadrżała, jej silne, młode plecy wygięły się pod dotykiem jego rąk.

– Co... – Głos zadającego pytanie był donośny i rozkazujący. Głos kapitana dragonów.

Godric uniósł głowę, spojrzął zmrużonymi z gniewu oczami na kapitana i przyciągnął Megs do piersi, skrywając jej nagość. Megs pisnęła, zażenowana, i ukryła twarz na jego ramieniu.

I nagle gniew Godrica nie był już udawany.

– Cóż to, na miłość boską, ma znaczyć?! – warknął.

Wątpił, czy kapitanowi Trevillionowi często zdarzało się rumienić, lecz niech go diabli wezmą, jeżeli teraz policzki wojskowego nie pociemniały.

– Ja... Jestem kapitan James Trevillion z Czwartego Pułku Dragonów. Mam za zadanie schwytać Ducha St. Giles. Jednemu z moich ludzi wydawało się, iż widział, że Duch wskakuje do tego powozu. Jeśli pan...

– Nie dbam o to, choćby kazano panu schwytać samego następcę tronu – wyszeptał z groźbą w głosie Godric. – Lecz jeśli nie wyniesie się pan natychmiast z mojego powozu, wykluję panu oczy i użyję ich...

Jednak Trevillion mamrotał już przepaszająco, wycofując się. Drzwi

trzasnęły i znów byli sami.

Megs się wyprostowała.

– Zaczekaj – wymamrotał, przytrzymując ją dłonią, spoczywającą na miękkich, nagich plecach.

Trevillion może i się zawstydził, lecz był z niego szczwany lis.

Dopiero gdy powóz ruszył, Godric pozwolił, by Megs zsunęła mu się z kolan.

– To było sprytne – wyszeptała. – Jak twoje plecy?

– To nic takiego – odparł równie cicho. Nikt nie mógłby ich usłyszeć, gdyż turkot kół zagłuszał wszystko, lecz stosowniej było porozumiewać się szeptem. Opuścił wzrok na rozcięty stanik. Jeden sutek był zaczerwieniony i nadal wilgotny. Mężczyzna odwrócił oczy i przełknął ślinę. Jego erekcja za nic nie chciała zrozumieć, że przedstawienie skończone. – Przepraszam za suknię.

– Nie bądź idiotą – odparła, choć też się chyba trochę zarumieniła. Czy wygięła się ku niemu, ponieważ pieśczoła sprawiała jej przyjemność, czy była to jedynie gra? – Pozwól, że obejrzę twoje plecy.

Zaczerpnął powietrza, pochylił się i skrzywił. Przez krótki czas, gdy siedział z barkami przyciśniętymi do oparcia, krew zdążyła przyschnąć. Ruch musiał otworzyć ranę, gdyż czuł, że gorąca ciecz znów spływa mu po plecach.

Megs westchnęła, przestraszona.

– Masz plecy całe we krwi.

Głos jej drżał.

– To nic takiego – powiedział, by ją pocieszyć. – Przekonałem się już, że krew wygląda z reguły bardziej dramatycznie niż rana, z której wypływa.

Spojrzała na niego z mieszaniną troski, powątpiewania i ciekawości.

A potem wyciągnęła rękę, przycisnęła mu coś do pleców i znowu załała go fala bólu. Pochylając się, przyłgnęła mimo woli piersiami do jego ramienia i mężczyzna zamknął na chwilę oczy.

– Godric! – wyszeptała nagłaco. – Godric!

Otworzył oczy, zobaczył jej twarz tuż przy swojej twarzy i poczuł szaloną chęć, aby znów posadzić ją sobie na kolanach i poczuć, jak wygina się pod dotykiem jego ust.

Zamrugnął, gdyż powóz zdawał się kołysać i opadać.

– Tak bardzo mi przykro – wymamrotała Megs tonem pełnym niepokoju, majstrując przy jego plecach. Cokolwiek robiła, nie tamowało to krwawienia. – Będziemy potrzebowali lekarza. Poślę po jakiegoś, kiedy znajdziemy się w domu.

– Żadnych lekarzy. – Potrząsnął głową, lecz musiał przestać, gdyż ogarnęła go

fala mdłości. – Moulder.

– Co takiego? – Spojrzała na niego oszołomiona. Patrzyła przez chwilę na jego usta, a potem znów podniosła wzrok. – Gdybym wiedziała, że Duch to ty, nigdy bym cię nie dźgnęła.

– To nie zawsze jestem ja – powiedział Godric i po skonfundowanej minie Megs poznał, że go nie rozumiała. Język go zawodził, lecz czuł nieodpartą potrzebę przekonania jej co do pewnej sprawy. – Nie zabiłem Rogera Fraser-Burnsby’ego.

Odwróciła wzrok od jego twarzy i po raz kolejny zaczęła oglądać zranione plecy.

– Nie sądziłam...

Pochwycił jej ramię, zmuszając, żeby się odwróciła. Włosy opadły jej na ramiona dziką, wspaniałą chmurą czarnych loków, kontrastujących z białą obnażonej piersi. Gdyby miał dzisiaj umrzeć, dziękowałby niebiosom, iż dane mu było ujrzeć ją właśnie taką.

– Byłem na balu wydanym przez d’Arque’a – wydyszał. – Tamtej nocy. Ja...

Osunęła się tuż przed nim na wieść o śmierci Fräsera-Burnsby’ego – jej kochanka, choć wówczas o tym nie wiedział. Ledwie zdążył ją pochwycić, nim uderzyła głową o marmurową posadzkę. Zaniósł jej bezwładne ciało do odosobnionego pokoju i pozostawił pod opieką Isabel Beckinhall.

Zamrugnął, próbując skupić wzrok na twarzy Megs – zbyt zarumienionej, o oczach zbyt jasnych.

– Nie było mnie wtedy w St. Giles.

– Wiem. – Dotknęła jego policzka palcem, nieświadoma tego, że jej dłoń pokryta jest krwią. – Wiem.

Powieki Godrica zatrzepotały i przez chwilę zdawało jej się, że zemdłał.

– Godric! – Serce zamarło jej w piersi, gdy zobaczyła, jak opada mu głowa.

Lecz potem, wielkim wysiłkiem woli, znowu się wyprostował, jego jasne oczy spoglądały na nią przenikliwie z kredowobiałej twarzy.

– Ufasz swojemu woźnicy? Stangretowi?

– Tak, tak, oczywiście – zapewniła, a potem uświadomiła sobie, iż życie Godrica może zależeć od dyskrecji Toma i Olivera. Przełknęła ślinę, zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała szczerze:

– Zawsze byli lojalni. Cała moja służba taka jest.

– To dobrze. Gdy powóz się zatrzyma, pošlij, proszę, po Mouldera. Będzie wiedział, co zrobić.

Zacisnęła pobielające wargi i Megs uświadomiła sobie, że musi bardzo cierpieć.

– Ile razy już to robiłeś? – spytała szeptem.

Potrząsnął lekko głową.

– Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że rana nie jest śmiertelna.

Wpatrywała się w niego przerażona. Przed kilkoma zaledwie dniami uważała go za trzęsącego się starca. Teraz zaś... nawet gdy był ranny, biała koszula opinała ciasno jego szerokie ramiona, dłonie miał eleganckie i silne, twarz o rysach zdecydowanych i znamionujących inteligencję. Niemal wibrował żywotnością.

Jak mogło ją zwieść udawane niedołęstwo?

Zadrżała. Nadal była naga do pasa, ponieważ rozciął jej suknię i przycisnął te nedorzecznie zmysłowe usta do jej piersi. Szok i podniecenie sprawiły, że niemal zapomniała o niebezpieczeństwie. Kiedy kapitan dragonów otworzył drzwi powozu, nie musiała udawać zaskoczenia.

Potrząsnęła głową. Zajmie się tymi kłopotliwymi uczuciami później. Teraz zbliżali się do Saint House. Ściągnęła, na ile się dało, poły stanika, a potem ściśle zapięła pelerynkę. Jeśli nikt nie będzie przyglądał się jej zbyt uważnie, może zdoła dotrzeć do sypialni, unikając zażenowania.

Powóz zatrzymał się z szarpnięciem i Megs przypomniała sobie, co powiedział Godric. Uchyliła szybko drzwi i poleciała Oliverowi, żeby sprowadził Moulder'a. Bóg wie, co woźnica i stangret pomyśleli sobie o wydarzeniach tej nocy. Musieli dojrzeć fragmenty kostiumu Godrica, gdy wsiadał do powozu, a gdyby to nie wystarczyło, kapitan wszem wobec wykrzyczał swoje podejrzenia.

Mimo to Godric nie został aresztowany.

Przyrzekła sobie, że porozmawia z oboma służącymi i podziękuje im za dyskrecję.

Drzwi powozu otwarły się i Moulder powiedział:

– Znowu wpakował się pan w tarapaty, co? Mówiłem panu... – Umilkł, zaskoczony widokiem Megs. – Milady?

– Zostałem raniony nożem w bark – poinformował go Godric spokojnie, choć dłonie mu drżały.

Moulder zamrugał i spojrzał na swego mocodawcę.

– Lepiej wprowadźmy pana do domu.

– Tak, byle dyskretnie.

Godric spojrzał na służącego i to wystarczyło, aby porozumieli się bez słów.

– Jasne. – Moulder zarzucił chlebobawcy na plecy starą pelerynę, którą z sobą przyniósł, zakrywając kostium Ducha. A potem powiedział, tym razem głośniej:

– Wypiliśmy dziś trochę za dużo, prawda, proszę pana?

Godric przewrócił oczami, gdy Moulder otoczył go ramieniem w pasie i pomógł wsiąść.

– Nie znoszę tego akurat fortelu. Sprawia, że wyglądam jak idiota.

– Tylko idiota dopuściłby, żeby jakiś rzezimieszek dźgnął go w plecy – zauważył Moulder, znów zniżając głos. Chrząknął z wysiłku, kiedy stanęli na chodniku, a Godric się zatoczył.

– To nie był rzezimieszek – wysapał.

– Tak? A kto?

Chwiali się na nogach, jakby obaj byli pijani. Megs wysiadła pospiesznie, podbiegła do Godrica i zarzuciła sobie jego ramię na plecy.

– To byłam ja.

Moulder spojrział na nią szeroko otwartymi oczami – po raz drugi tej nocy.

– Naprawdę? Żałuję, że tego nie widziałem!

– Krwiożerczy bękart – syknął Godric, kiedy zmierzali ku frontowym drzwiom.

– Nie jestem z tego dumna – wyszeptała Megs żałośnie.

Godric zatrzymał się, odwrócił i spojrział na nią krystalicznie czystymi szarymi oczami.

– Nie twoja wina.

Moulder wymamrotał coś pod nosem i zatrzymali się na chwilę na podeście. Ramię Godrica spoczywało na barkach Megs, ciężkie niczym z ołowiu. Jutro będzie zapewne obolała, lecz nie to ją martwiło. Czowała, że Godric drży, a także, co gorsza, coś wilgotnego sączy się z jego pleców.

Najwyraźniej nadal krwawił.

– Dalej – ponagliła obu mężczyzn. – Odpoczniemy w twoim pokoju.

Na chwilę spojrzenia jej i Mouldera się spotkały. Uprzytomniła sobie, że kamerdyner także się martwi. Gdyby Godric do reszty opadł z sił i stracił przytomność na schodach, musieliby przywołać lokajów, by go zanieśli. Tymczasem im mniej osób wiedziało, co się dzieje, tym lepiej.

Nagle, jakby Megs przywołała ją myślami, u podnóża schodów zjawiała się pani Crumb.

– Mogę jakoś pomóc?

Megs odwróciła głowę, by spojrzeć na gospodynię. Musiało być bardzo wcześnie, tymczasem pani Crumb miała już na sobie sztywno wykrochmaloną czarną suknię, nieskazitelnie czysty biały fartuch oraz czepek i spoglądała na nich tak spokojnie, jakby pytała, czy życzą sobie wypić herbatę w małej bawialni.

– Gorąca woda – powiedział Moulder, zanim Megs zdążyła odzyskać kontenans, a jego następne słowa potwierdziły jej podejrzenia. Kamerdyner ewidentnie przywykł już do podobnych nagłych wypadków. – Stos czystych ręczników i brandy z gabinetu pana St. Johna, jeśli można prosić.

Megs wstrzymała oddech, czekając, aż gospodyni da wyraz swojemu oburzeniu. To, że rozkazywano jej w obecności chlebodawców, stanowiło złamanie obowiązującej wśród służby etykiety.

Lecz pani Crumb milczała jedynie przez chwilę, a potem powiedziała:

– Natychmiast, panie Moulder.

Twarz miała niewzruszoną jak zwykle. Odwróciła się i ruszyła wypełnić polecenia kamerdynera.

Megs spojrzała na Mouldera. Wydawał się równie zaskoczony.

– Niemal zaczynam lubić tę kobietę.

Reszta drogi do sypialni minęła bez niespodzianek. To dziwne, przez całe lata nienawidziła Ducha i pragnęła jego śmierci – równie mocno jak teraz tego, aby położyć go bezpiecznie do łóżka. Przygryzła wargi. Wiedziała, że rankiem znowu zacznie się zastanawiać, jak dopaść zabójcę Rogera, na razie pragnęła jednak tylko, by Godricowi nic się nie stało.

Kiedy dotarli w końcu do sypialni, oddychał ciężko, a na jego bladym czole błyszczała warstewka potu. Megs przyglądała się, jak Moulder pomaga mu usiąść na drewnianym krześle, a potem znika w garderobie. Godric zaczął niezdarnie skubać guziki przesiąkniętej krwią koszuli, podeszła więc i wymamrotała:

– Pozwól, że ci pomogę.

Płótno przywarło do rany i było oczywiste, że odrywanie go sprawia Godricowi ból. Skupiła się na swym zadaniu, nie mogąc spojrzeć mu w oczy, podczas gdy jego ciepły oddech owiewał jej włosy.

– Megs – wyszeptał i uświadomiła sobie mgliście, że zaczął w końcu posługiwać się zdrobnieniem jej imienia.

Łzy napłynęły jej do oczu, zacierając pole widzenia.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Poczuła, że Godric unosi dłoń, jakby chciał dotknąć jej policzka.

– Mam to – powiedział Moulder o wiele zbyt radośnie, wchodząc do pokoju z małą drewnianą szkatułką.

Zapukano do drzwi i Megs podbiegła, ocierając ukradkiem oczy. Na zewnątrz stała niezawodna pani Crumb, trzymając starannie poskładany stosik białych jak śnieg ręczników, butelkę brandy i parujący czajnik.

– Och, dziękuję – powiedziała Megs, odbierając przyniesione rzeczy od gospodyni.

– Potrzebuje pani czegoś jeszcze? – spytała pani Crumb.

– Nie, to byłoby wszystko. – Megs przygryzła wargi. – Byłabym wdzięczna, gdyby nie wspomniała pani reszcie służby o tym, co tu dzisiaj widziała.

Pani Crumb uniosła nieznacznie brwi.

– Oczywiście, milady – powiedziała, a potem dygnęła i się oddaliła.

O, nie! Najwidoczniej uraziłam cudowną nową gospodynię, pomyślała Megs, wdychając. Zamknęła drzwi. Porozmawia z panią Crumb później i naprawi jakoś swój nietakt. Odwróciła się i zobaczyła, że Moulder zdążył już zdjąć Godricowi koszulę. Jej mąż siedział teraz okrakiem na krześle, podczas gdy kamerdyner obmywał mu bark szybkimi, wprawnymi ruchami.

Megs ruszyła ku nim pospiesznie, po chwili jednak zwolniła kroku. Plecy Godrica... to nie były plecy mężczyzny w średnim wieku – a w każdym razie nie tak je sobie wyobrażała. Zamrugła, czując dziwny zamęt w głowie. Mężczyzna położył nagie ramiona na oparciu krzesła, sprawiając, że uwydatniły się mięśnie – silne, sprawne, nawykłe do machania siekierą – lub szpadą. Pochylił głowę i na jego szyi zabłysnął cienki srebrny łańcuszek. Grzbiet Godrica wydawał się po męsku pełen wdzięku, wyraźnie zarysowany i napięty, prowadził ku wąskiej talii i pośladkom w obcisłych spodniach.

Dobry Boże! Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok. Postawiła czajnik oraz butelkę brandy na stole i położyła obok stos ręczników. Czowała się tak, jakby brakowało jej tchu. Nie była w stanie połączyć Godrica ze swej wyobraźni z żywym, oddychającym mężczyzną, którego miała przed sobą.

Tego było już za wiele.

Godric odwrócił lekko głowę, jakby dostrzegł jej zmieszanie. Zobaczyła mocny nos i szczękę, zarys pełnych warg.

– Moulder się tym zajmie. Musisz być zmęczona.

– Ale... – rozłożyła bezradnie dłonie – chciałabym pomóc.

– Nie ma potrzeby, milady. – Moulder odwrócił się i otworzył drewnianą szkatułkę, zawierającą, jak się przekonała, kilka ostrych noży, nożyczki, igły i nici. Wyjął jedną z igieł i przyjrzał się uważnie zwisającej z uszka nitce. – To dość paskudna robota, z pewnością się pani nie spodoba.

Cóż, oczywiście, nie miała ochoty oglądać, jak kamerdyner zszywa Godricowi ranę, czowała jednak, że powinna – chciała – zostać i... i po prostu dodać mu otuchy.

– Megs – odezwał się Godric stanowczo. – Idź, proszę, do łóżka.

Nie powiedział tego, wiedziała jednak, co ma na myśli: przeszkadzała. Nie potrzebował jej wsparcia.

– Cóż, skoro tak – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał rozsądnie. – Dobranoc.

Zmusiła się, by podejść do drzwi łączących pokoje i wejść do swojej sypialni.

* * *

Następnego ranka Godrica obudził niedający się zignorować ból pleców. Przez chwilę leżał z zamkniętymi oczami, wspominając rozwiewające się fragmenty snu o słońcu i kwitnącym drzewie. Megs siedziała w jego koronie, otoczona fałdami łososiowej spódnicy. Nachyliła się ku niemu ze śmiechem, a wtedy stanik jej sukni rozchylił się i wysunęły się zeń słodkie, krągłe cycuszki. Uświadomił sobie, że już nie śpi i że obudził się z erekcją.

A także to, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

Nie, nie ktoś – Megs.

Leżał, próbując znaleźć logiczne wytłumaczenie tego, iż po prostu wiedział, że to ona. Musiał się jednak poddać. Wyglądało na to, że część jego świadomości, która reagowała na obecność żony, wymyka się pojmowaniu.

Otworzył oczy i przetoczył się na plecy. A przynajmniej próbował. Ukłucie bólu sprawiło, że wspomnienia poprzedniej nocy wróciły z pełną mocą. Słodka Megs o pełnych piersiach dźgnęła go nożem. Wiedziała, że jest Duchem St. Giles. Jego życie stało się przez to o wiele bardziej skomplikowane.

Megs stała w pobliżu toaletki, ubrana w czystą suknię barwy zielonego jabłuszka i rózu. Przyglądał się, jak wstawia dzbanek do miski, a potem podnosi naczynko, którego używał do przechowywania monet, i odwraca je, spoglądając na dno. Podeszła do kominka i, najwidoczniej bez zastanowienia, postawiła miseczkę w miejscu, gdzie zagrozić jej mogło najlżejsze choćby potrącenie.

Musiał wydać z siebie jakiś dźwięk, odwróciła się bowiem i jej twarz pojaśniała.

– Obudziłeś się.

Usiadł, starając się nie krzywić z bólu.

– Na to wygląda.

– Och. – Przesunęła palcami po obramowaniu kominka, marszcząc brwi na widok słoika z fidybusami, stojącego po przeciwnej stronie niż naczynko. Wyłowiła jeden zwitek i skręciła go w palcach.

– Lepiej się czujesz? Z pewnością lepiej wyglądasz. Byłeś zeszłej nocy blady

jak... cóż, jak duch.

– Megs... – zaczął.

Rzuciła fidybus na kominek i odwróciła się, aby spojrzeć na Godrica. Ramiona miała wyprostowane, brodę uniesioną. Wyglądała zupełnie jak tamtej pierwszej nocy, kiedy do niego strzeliła.

– Griffin powiedział mi wczoraj, że zmusił cię, byś mnie poślubił.

Nie to spodziewał się usłyszeć. Przechylił głowę i przyglądał się swej żonie przez chwilę, nim przyznał ostrożnie:

– Tak.

Skinęła głową.

– Przykro mi. Nie powinien był tego robić.

– Doprawdy? – zapytał szorstko. – Jest twoim bratem, a ty byłaś w nie lada tarapatach. Może i nie podobało mi się, że jestem szantażowany, lecz rozumiałem, dlaczego Griffin to robi.

– Och. – Zmarszczyła brwi, wpatrując się w czubki swoich pantofli, jakby czymś ją uraziły. – Mimo to musisz mnie nienawidzić.

– Nie bądź śmieszna. – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzał, lecz naprawdę bolały go plecy. – Wiesz, że nigdy nie winiłem cię za...

– A co ze mną? – Odrzuciła głowę do tyłu, jej ciemne oczy błyszczały, a włosy już zaczynały wymykać się z upięcia. – Do wczoraj sądziłam, że cię znam – powiedziała, uparcie drepcząc przed kominkiem. – Sądziłam, że jesteś statecznym, starzejącym się uczonym, żyjącym samotnie w nazbyt zaniedbanej rezydencji i uczęszczającym w poszukiwaniu odrobiny podniety do kawiarni. A potem – odwróciła się na końcu pokoju, machając dłońmi, jakby atakowało ją stado ptaków – a potem odkryłam, że jesteś osławionym szaleńcem, biegającym w śmiesznej masce i wdającym się w bójki z rzezimieszkami z St. Giles. Prawdę mówiąc, Godricu, chyba w ogóle cię nie znam.

Zatrzymała się gwałtownie i jęła wpatrywać w niego z falującą pierśią. Boże, rozgniewana wyglądała doprawdy wspaniale!

Chrząknął.

– Starzejącym się?

– Starzejącym – przedrzeźniła go o wiele zbyt wysokim głosem, co było odrobinę nie fair – jego głos nie brzmiał bowiem tak szkaradnie. – To wszystko, co masz do powiedzenia? Widziałam, jak zabiłeś tego opryszka pierwszej nocy, gdy przyjechałyśmy do Londynu.

– Owszem, zrobiłem to.

– Ilu?

– Co: ilu?

Jej dolna warga drżała i to niepokoiło go bardziej niż gniew jego żony. Rozgniewana Megs była wspaniała. Megs przestraszonej nie chciałby oglądać nigdy więcej.

– Ilu ich jeszcze zabiłeś, Godricu?

Odwrócił wzrok od jej ust.

– Nie wiem.

– Jak... – zamilkła i zaczerpnęła powietrza, aby się uspokoić. – Jak możesz nie wiedzieć, ilu ludzi zabiłeś?

Nie był tchórzem, podniósł więc wzrok i pozwolił, by wyczytała odpowiedź z jego spojrzenia.

Zobaczył, że przełknęła ślinę.

– Lecz byli złymi ludźmi, prawda? – Nie potrafiła ukryć niepewności w głosie. Próbowwała samą siebie przekonać – jak widać, na próżno. – Ci... ci, których zabiłeś, to były rzezimieszki – ocaliłeś innych, zabijając ich.

Widział w jej oczach, iż bardzo pragnie uwierzyć, że jej mąż nie jest potworem. Ułatwił jej to, choć wiedział, że w St. Giles nic nie jest jednoznaczne. Czarne lub białe. Tak, byli tam mordercy i złodzieje, żerujący na słabszych... czasami jednak po to, by móc wyżywić siebie lub swoich bliskich.

Nie sposób się było w tym rozeznąć.

Lecz to nigdy go nie powstrzymało.

– Tak – powiedział. – Zabijałem jedynie tych, których przyłapałem na atakowaniu słabszych od siebie.

Dostrzegł, że jej ulżyło – taki był jego cel. Megs była stworzona do światła i radości. Nie musiała zastanawiać się nad ciemnością, z którą zmagał się noc w noc w St. Giles.

– Tak się cieszę. – Milczała przez chwilę, wyjmując bezwiednie fidybusy ze słoika i rozrzucając je po obudowie kominka. A potem odwróciła się ku niemu, jakby coś sobie nagle przypomniała, i powiedziała, nadal trzymając fidybusy w dłoni:

– Właśnie tym szantażował cię Griffin, prawda? Dowiedział się, że jesteś Duchem St. Giles.

– Tak – odparł Godric, krzywiąc się.

– Rozumiem. – Skinęła głową, jakby potakiwała własnym myślom, i rzuciła resztę fidybusów na krzesło przed kominkiem. Kilka ześlizgnęło się i opadło na dywanik. – Cóż, cieszę się, że się tego dowiedziałam, naprawdę. Uważam, że żona, nawet tak nietypowo poślubiona, powinna znać przeszłość męża, a teraz,

kiedy masz to już za sobą – mamy to za sobą...

– Megs – wyszeptał, czując, jak ogarnia go chłód.

Lecz ona zdawała się nie słyszeć.

– W przyszłości jakoś sobie z tym poradzimy. Dowiem się, jaki naprawdę jesteś i... – Zamilkła, uświadamiając sobie w końcu, że coś jest nie tak. – O co chodzi?

– Nie zamierzam przestać być Duchem.

– Ale... musisz – odparła skonsternowana.

Uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Ponieważ – rozłożyła szeroko dłonie, niemal zrzucając naczynko z monetami – to niebezpieczne i... zabijałeś ludzi. Musisz przestać.

Westchnął, przyglądając się Megs. Mógłby opowiedzieć jej o wdowie, którą ocalił w zeszłym miesiącu przed gwałtem, rabusiach, których przegonił, gdy próbowali okraść starą kwiaciarkę, albo osieroconych dziewczynkach, które uratował tej nocy, kiedy ocalił też samą Megs. Mógłby opowiedzieć straszliwe historie i chwalić się swoją odwagą, lecz w końcu i tak nie miało to znaczenia. Wiedział, w głębi swojej okaleczonej duszy, że nawet gdyby nigdy nikogo nie ocalił, jego odpowiedź byłaby taka sama.

– Nie, nie przestanę.

Żrenice Megs rozszerzyły się i przez chwilę wydawało mu się, iż dostrzega w nich ból zdrady. A potem zadarła brodę i rzuciła mu spojrzenie, w którym płonął gniew.

– Doskonale. Przypuszczam, że wybór należy do ciebie.

Czuł, że to nie wszystko i że cokolwiek Megs jeszcze powie, z pewnością mu się to nie spodoba. I rzeczywiście, gdy już się odezwała, poczuł się tak, jakby wymierzono mu cios w żołądek:

– Tak jak moim wyborem jest, by znaleźć mordercę Rogera... i go zabić.

Rozdział 8

Faith podniosła wzrok i zobaczyła czarną, wijącą się rzekę. Rozciągała się jak okiem sięgnąć w obu kierunkach. Hellequin nie zawahał się i wprowadził wielkiego wierzchowca do wody. Faith uczepliła się mocniej barków swego towarzysza i spojrzała w dół. Tam zaś, w atramentowo czarnej wodzie, przepływały obok nich białe, niemal przejrzyste kształty, z każdą chwilą coraz bardziej przypominające ludzi...
– z *Legendy o Hellequinie*

Za drugim razem zbudziły go zduszone chichoty. Spojrzał na okno i biorąc pod uwagę kąt, pod jakim padały promienie słońca, uznał, że musi być już późne popołudnie. Najwidoczniej po katastrofie, jaką okazała się rozmowa z Megs, zdołał przespać resztę dnia. Wspomnienie tego, jak przysięgała, że będzie przemierzać St. Giles, póki nie znajdzie mordercy swego przekłętogo kochanka i przykładowie go nie ukarze, sprawiło, że Godricowi serce zaczęło mocniej bić w piersi.

Była jego żoną.

Miał obowiązek chronić ją, także przed jej brakiem rozsądku, i zrobiłby to, gdyby nie... polubił jej tak w ciągu kilku ostatnich dni.

Ukłucie bólu za lewym okiem na myśl o tym nie było przyjemne.

Westchnął i ostrożnie wstał. Moulder opatrzył go w nocy, mamrocząc coś o tym, że rana to drobiazg niewart zachodu. Dziś jednak nie wydawała się wcale drobiazgiem. Ledwie zdołał unieść lewe ramię, by włożyć koszulę, a co dopiero pończochy, spodnie i buty. Miał jednak świadomość, że odnosił w przeszłości gorsze obrażenia. Czasami nie był w stanie podnieść się z łóżka przez wiele dni.

Włożył kamizelkę, zapiął ją i na tym skończył swą toaletę. Podeszedł do drzwi łączących sypialnię z pokojem Megs. Kolejny wybuch tłumionego śmiechu pobudził jego ciekawość, zapukał więc raz i otworzył drzwi.

Megs siedziała na okrągłym dywanie, jej rozpostarte spódnice wyglądały jak różowo-zielona kałuża. Cztery młodziutkie pokojówki, przybyłe niedawno z sierocińca, kucaly obok niej niczym akolitki wyjątkowo urodziwej pogańskiej

kapłanki. Na kolanie tejże wierciła się, popiskując, przyczyna ich wesołości: tłuściutki, podobne do szczura stworzonko. Megs spojrzała na niego z twarzą jaśniejącą radością i Godricowi zaparło dech. Miał wrażenie, że jej twarz świeci własnym blaskiem. Ucieszyło go, że najwidoczniej zapomniała już o kłótni.

– Och, Godricu, spójrz tylko! Księżniczka się oszczeniła!

Podniosła ku niemu podobne do szczura stworzenie – najwidoczniej szczenię mopsa – niczym fajkę pokoju.

Godric uniósł brwi i opadł na krzesło.

– Jest dosyć... milutkie.

– Phi! – Cofnęła dłonie i przytuliła szczeniaka do policzka. – Nie słuchaj pana St. Johna – wyszeptała mu do ucha, jakby w zaufaniu. – Nie widziałam dotąd nic bardziej uroczonego.

Wszystkie cztery pokojówki zachichotały.

Godric uniósł brwi i powtórzył:

– Powiedziałem przecież, że jest milutki.

Roześmiane oczy żony spojrzały na niego ponad łebkiem miękkiego, płowego stworzenia.

– Twój ton mówił co innego.

Próbował wzruszyć ramionami, lecz nagłe ukłucie bólu sprawiło, że natychmiast tego pożałował. Sądził, że udało mu się nie skrzywić, lecz Megs zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Dziękuję wam, dziewczęta. Mary Compassion, jestem pewna, że pani Crumb przyda się wasza pomoc.

Dziewczynki wyglądały na nieco rozczarowane, podniosły się jednak posłusznie i wyszły, podążając za najstarszą z nich.

Megs zaczęła, aż zamkną się za nimi drzwi.

– Jak się czujesz?

Trzymała szczenię przytulone do policzka jak tarczę. Wolałby, aby je postawiła. Mógłby wtedy dostrzec wyraz jej twarzy.

– Dość dobrze – odparł.

Skinęła głową i spojrzała wreszcie na Godrica. W jej oczach zabłyśły łzy i na ten widok aż ścisnęło go w piersi.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro, że cię zraniłam.

Jeśli wolała nie wracać do ich poprzedniej rozmowy, jak najbardziej mu to odpowiadało.

– Już przeprosiłaś, poza tym nie ma potrzeby, żeby było ci przykro. To nie była twoja wina. Myślałaś pewnie, że zamierzam cię zaatakować.

Odwróciła wzrok i Godrica ogarnęło przygnębienie. Czyżby ich pocałunek wydał się jej aż tak odrażający?

Na chwilę w pokoju zapadła niezręczna, przynajmniej dla niego, cisza.

– Czy mama nie chciałaby odzyskać już swego potomka? – zapytał wreszcie, przerywając milczenie.

– O, tak – mruknęła Margaret, po czym, ku zaskoczeniu Godrica, położyła się na brzuchu i wsunęła szczeniaka pod łóżko, skąd dobiegły natychmiast ciche piski oraz szelesty.

Megs wyprostowała się i odwróciła.

Uniósł pytająco brwi.

– Księżniczka jest tam z trójką szceniąt – odparła na niezadane pytanie. – Sądziłyśmy, że oszczeniła się późnym wieczorem, ale zauważyłam to dopiero dziś rano, kiedy maluchy zaczęły skomleć.

– Dziwne – wymamrotał Godric, przyglądając się, jak żona wstaje z podłogi – że wybrała akurat twój pokój.

Megs wzruszyła ramionami, strzepując spódnice.

– Dobrze, że ją znalazłam. Ciotka Elvina bardzo się zmartwiła, gdy okazało się, że suczki nie ma dziś rano w jej sypialni.

Skinął głową, zamyślony. Jak ma zapewnić Megs bezpieczeństwo? Uratować ją przed porywami jej szlachetnego serca?

Zaczerpnęła powietrza, jakby zbierała się na odwagę.

– Godricu?

– Tak? – zapytał, przyglądając się jej uważnie.

– Czy mógłbyś powiedzieć mi, jak to się stało? – spytała, gestykulując. – Jak zostałeś Duchem St. Giles?

– Tak, oczywiście – odparł.

* * *

Może gdy dowie się, dlaczego jej mąż robi te okropne rzeczy, zdoła go przekonać, by ich zaniechał. Megs żywiła taką nadzieję.

Nadal wyglądał blado. Patrzyła na niego, próbując ukryć, że się martwi. Spojrzenie miał wszakże jasne, a ciało, przynajmniej na pozór, silne.

Przez chwilę zastanawiała się, jak to możliwe, że mogła uznać tego mężczyznę za prawie niedołęznego. Teraz widziała już, że choć nieprzesadnie wysoki i niezbyt potężnie zbudowany, sprawia wrażenie twardego, jakby stworzono go z trwałego, niezniszczalnego materiału. Może granitu. Albo

żelaza, które nie rdzewieje. Czegoś mocnego, umięśnionego i... męskiego.

Utkwiła wzrok w swoich dłoniach, zakłopotana tym, że rozmyśla o ciele męża, i niemal przegapiła jego następne słowa.

– Słyszałaś kiedyś o sir Stanleyu Gilpinie?

Podniosła wzrok.

– Nie, nie sędzę.

Skinął głową, jakby spodziewał się, że to powie.

– Nie żyje od kilku lat. Był dalekim krewnym mego ojca. Kuzynem trzeciego stopnia czy kimś podobnym. A także bogatym człowiekiem interesu z City. Miał też inne zainteresowania.

– Na przykład?

– Teatr. Był swego czasu właścicielem jednego i napisał nawet kilka sztuk.

– Doprawdy? – Niełatwo jej było wyobrazić sobie, jaki ma to związek z Duchem St. Giles, zmusiła się jednak, by usiąść na krześle na prawo od Godrica, z dłońmi założonymi jedna na drugą. Jak zwykle trudno jej było wysiedzieć nieruchomo. – Znasz ich tytuły? Może którąś widziałam.

– Bardzo w to wątpię. – odparł. – Kochałem sir Stanleya jak ojca, lecz nie miał talentu do dramtopisarstwa. Nie jestem nawet pewien, czy któraś z jego sztuk, poza pierwszą, *Romansem morświna z jeżem*, została kiedykolwiek wystawiona.

Megs uniosła brwi, mimo woli zaintrygowana.

– Morświna...?

Godric skinął głową.

– Z jeżem. Jak powiedziałem, okropność, zboczyliśmy jednak z tematu. – Pochylił się, skrzywił lekko, oparł łokcie na kolanach i zapatrzył się na złożone dłonie. – Nie wiem, czy o tym słyszałaś, lecz moja matka zmarła, gdy miałem dziesięć lat.

Wiedziała, że matka Godrica nie żyje, skoro Sarah to jego przyrodnia siostra, nie zdawała sobie jednak sprawy, że stracił ją tak wcześnie.

– Przykro mi.

Nie podniósł wzroku.

– Byliśmy zżyci i mocno przeżyłem jej śmierć. A kiedy trzy lata później mój ojciec ponownie się ożenił, nie zareagowałem zbyt dobrze.

Mówił o tym spokojnym, niemal obojętnym tonem, podejrzewała jednak, że jako młody chłopiec nie odznaczał się podobnym stoicyzmem. Musiał odczuwać wewnętrzny zamęt.

– Co się wydarzyło?

– Ojciec odesłał mnie do szkoły, a potem sir Gilpin zaproponował, bym zatrzymał się u niego na okres wakacji.

Ściągnęła brwi.

– Nie pojechałeś do domu, do rodziny?

– Nie. – Zacisnął lekko usta, przyciągając ku nim spojrzenie Megs. Reszta jego rysów była jak wykuta w kamieniu, lecz jego usta, zwłaszcza dolna warga, wydawały się miękkie.

Były miękkie. Przypomniała sobie dotyk tych warg na swoim sutku, to, jak Godric go przygryzał, muskał wargami. Obchodziły się z sutkiem delikatnie, choć na ustach Megs wydawały się twarde i nieubłagane.

Przełknęła ślinę, odpędzając wspomnienie. Co się z nią dzieje? Skubnęła nitkę wystającą ze spódnicy.

– To... musiało być trudne pozostawać z dala od ojca.

– Tak było najlepiej – odparł. – Kłóciliśmy się nieustająco i była to moja wina. Obwinałem go o śmierć matki i o to, że ponownie się ożenił. Zachowywałem się okropnie w stosunku do macochy.

– Miałeś zaledwie trzynaście lat – zauważyła łagodnie, ze ściśniętym sercem.

– Jestem pewna, że rozumiała twój żal, burzę uczuć, jakie tobą miotają.

Spochmurniał i potrząsnął głową. Domyśliła się, że jej nie wierzy.

– Tak czy inaczej, przez kilka następnych lat nic się nie zmieniło: kiedy nie przebywałem w szkole, mieszkalem z sir Stanleyem. A on mnie uczył.

Zmarszczyła brwi, pociągając mocniej za nitkę.

– Czego?

– Jak być Duchem St. Giles. – Rozłożył dłonie. – Choć wtedy sądziłem, że to po prostu ćwiczenia. Miał w domu pokój z manekinami, tarczami i temu podobnymi. Tam uczył mnie akrobacji, szermierki i walki wręcz.

– Akrobacji? Jak w cyrku? – Pochyliła się, zaciekawiona, wyobrażając sobie Godrica wykonującego salto.

– Tak, jak aktorzy z komedii. – Spojrzał na nią, uśmiechając się leciutko. – Wiem, to brzmi absurdalnie, lecz wcale niełatwo się tego nauczyć, a dla chłopaka, który ma w sobie zbyt dużo złości...

Przygryzła wargi, rozmyślając o zagubionym chłopcu, odciętym od rodziny, pełnym żalu i gniewu. Poczula nagły przypływ wdzięczności do sir Stanleya Gilpina. Może i był cokolwiek ekscentryczny, lecz wiedział dość o młodych mężczyznach i ich potrzebach.

Godric powędrował spojrzeniem ku jej ustom, a potem opuścił je znów na splecione dłonie.

– I tak to trwało. Dopiero gdy miałem osiemnaście lat, domyśliliśmy się – z pewnych oznak, a także dziwnych pór, o jakich wychodził i wracał – że sir Stanley musi być Duchem St. Giles i...

– Co takiego? Zaczekaj. – Uniosła gwałtownie dłonie, wyrywając nitkę, lecz była zbyt podekscytowana, by się tym przejąć. – Sir Stanley był pierwszym Duchem St. Giles?

– Cóż, tak. – Godric uśmiechnął się kątem ust i przechylił głowę. – Ja wiem przynajmniej tylko o nim. Opowieści o Duchu krążą po St. Giles od lat, może nawet stuleci. Kto wie, czy jakiś inny mężczyzna, w innym czasie, nie nosił kostiumu?

Wargi Megs rozchyliły się na myśl o paradzie mężczyzn, którzy udawali rok po roku Ducha St. Giles. Kto robiłby coś takiego? Spojrzała na Godrica z pytaniem na ustach, nie chciała jednak zapomnieć o innej, równie ważnej kwestii.

– „My” – czyli kto?

– Ach. – Godric wyprostował się na krześle, bezwiednie podniósł rękę do lewego barku, zreflektował się i ją opuścił. – Jeśli o to chodzi...

Dlaczego zwlekał?

– Tak?

Odetchnął głęboko i spojrzał jej w oczy.

– Jest nas więcej, nie tylko ja.

– Więcej... – Otworzyła szerzej oczy. – Duchów? W tym samym czasie? – dodała głosem piskliwym z niedowierzania.

Skinął głową.

– W pewnym momencie dołączył do nas inny chłopiec. Był młodszy ode mnie, lecz pełen gniewu, tak jak ja w wieku czternastu lat. – Ściągnął brwi. – A może nawet bardziej.

– Kto?

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł przeproszającym tonem.

– Co takiego? – Megs wyprostowała się, oburzona. – Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Ponieważ to nie mój sekret.

Cóż, to zapewne z jego strony bardzo honorowe – i bardzo, bardzo frustrujące dla słuchacza.

– Było was zatem dwóch...

Godric chrząknął.

– Prawdę mówiąc, trzech. Kolejny pojawił się, gdy ja odszedłem.

Pytania tłoczyły się w głowie Megs, wchodząc jedno na drugie i przepychając się. Nie wiedziała, które zadać najpierw.

– Trzech? Ale...

Uniósł dłonie, jakby się bronił.

– Wiem, wiem. Powiedziano ci, że Rogera zabił Duch St. Giles, lecz to nieprawda. Żaden z nas nie zabiłby – za nic w świecie – dobrego człowieka, takiego jak Roger.

Skinęła głową. Od początku coś jej nie pasowało w tej opowieści. Świadek się pomylił albo...

Skłamał. Spochmurniała na tę myśl.

– Megs.

Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Postanowiła, że nadal będzie badała zagadkę śmierci Rogera, lecz teraz Godric musiał dokończyć swoją historię.

– Jak to się stało, że było was aż trzech?

Godric westchnął.

– Myślę, że dla sir Stanelya przebieranie się za Ducha było z początku żartem, psikusiem. Miał dosyć przewrotne poczucie humoru. Jednak zanim opuściłem Oksford, zaczął szukać następcy. Przywiązał się do ludzi z St. Giles i chciał, by mieli obrońcę, gdy on będzie już za stary, aby uganiać się po dachach ze szpadą.

Kolejne pytania cisnęły się Megs na usta i musiała przygryźć policzek, by je powstrzymać i siedzieć cicho. Skinęła głową, dając Godricowi znak, aby kontynuował.

– Jak powiedziałem, opuściłem w końcu sir Stanleya i pogodziłem się z ojcem, gdyż zrozumiałem, że zachowuję się jak niedojrzały chłystek. Postanowiłem naprawić swoje życie i może zasłużyć na szacunek ojca oraz macochy. Sir Stanley był z pewnością rozczarowany, rozumiał jednak moją decyzję. Poza tym miał już wówczas innego ucznia.

Megs musiała wbić sobie paznokcie we wnętrze dłoni, tak bardzo ją korciło, by zacząć zadawać pytania. Kim był kolejny uczeń? Czy Godric chciał zostać w tak młodym wieku Duchem St. Giles? Czy ojciec Godrica wiedział, do czego przygotowywany jest jego syna?

– Wyjechałem więc do Oksfordu – kontynuował tymczasem Godric – gdzie nauczyłem się wielu rzeczy, dojrzałem, a kiedy przyjechałem z wizytą do Laurelwood, poznałem na wiejskim balu Clare.

Zamknął oczy.

– Jak ci mówiłem, byliśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi, przez blisko rok. A

potem ona zachorowała. Przenieśliśmy się do Londynu, żeby być bliżej lekarzy. Miałem nadzieję – modliłem się o to – że uda nam się znaleźć skuteczne lekarstwo. Żyłem tą nadzieją przez półtora roku, nim zdałem sobie sprawę, że nie ma ratunku dla mojej Clary. Umrze, a ja nic nie mogę na to poradzić – mogę się tylko przyglądać. – Uniósł kącik zmysłowych ust w brzydkim grymasie bólu. – Patrzyłem więc, jak chudnie, a cierpienie zżera ją od środka.

Otworzył czyste szare oczy i zobaczyła w nich tamtą rozpacz. To musiało być prawdziwe piekło – patrzeć bezradnie, jak ukochana osoba cierpi. Nie była w stanie dłużej tego znieść. Wyciągnęła rękę i ujęła jego zimną dłoń. Godric pochylił głowę, wpatrując się w jej palce. Nie uczynił nic, by zacieśnić uścisk, ale też jej nie odtrącił.

Zawsze to jakaś pociecha.

– Myślę, że postradałbym wtedy zmysły – wymamrotał ze wzrokiem utkwionym w ich splecione dłonie – gdyby pewnego dnia sir Stanley nie wezwał mnie do siebie. Usłyszał od mego ojca o chorobie Clary i zaproponował, bym wrócił i znów z nim trenował. Miał wówczas trzeciego ucznia, bardzo młodego, nieledwie chłopca. Drugi uczeń, ten, którego znałem, wyprowadził się już od sir Stanleya i działał jako Duch. Sir Stanley utrzymywał, że jestem potrzebny, by chłopak miał partnera do ćwiczeń, lecz ja wiedziałem. Proponował mi zbawienie, chwilę oddechu od codziennego przyglądania się, jak Clara umiera. Podarował mi Ducha.

Megs utkwiała w nim wzrok.

– Nie rozumiem. Skoro był tam już jeden Duch, po co kolejny?

– Nie chodziło jedynie o mnie – odparł. – Inny mężczyzna przywdział pelerynę i szpadę krótko po tym, jak zrobiłem to ja, i wkrótce było nas w St. Giles trzech.

Megs ściągnęła brwi.

– Nie wpadaliście na siebie nawzajem?

W kryształowo czystych oczach Godrica zajaśniał na chwilę uśmiech.

– Bardzo rzadko. Musisz zrozumieć – nie wychodziłem każdej nocy, podobnie inni. Jeżeli przypadkiem dwóch z nas działało w tym samym czasie, ludzie zaczęli szeptać, że Duch może być w dwóch miejscach naraz, co było, oczywiście, prawdą – dodał z krzywym uśmiechem.

– Ale trzech różnych mężczyzn... – Megs potrząsnęła głową. – Nikt się nie zorientował?

Godric wzruszył ramionami.

– Nie. Byliśmy podobnej budowy. Poza tym, jeżeli ktoś ma na sobie maskę,

pelerynę, wielki kapelusz i strój arlekina, świadek nie ma szans zauważyć, co się pod nimi kryje.

Megs skinęła z namysłem głową.

– Sir Stanley musiał być bardzo mądrym człowiekiem.

– Och, właśnie taki był – powiedział Godric łagodnie. Pochylił głowę i zatonął na chwilę we wspomnieniach. Odwrócił bezwiednie dłoń i zataczał teraz kciukiem kółka na grzbiecie dłoni Megs.

Całkiem przyjemne uczucie, pomyślała.

– Godricu – szepnęła ostrożnie.

Spojrzał na nią.

– Hm?

Przełknęła ślinę, nie mając ochoty zakłócać tej chwili. Jednak ciekawość zawsze była jej piętą achillesową.

– Clara umarła przed trzema laty, prawda?

Zesztywniał, gdy wymówiła imię jego żony, i puścił jej dłoń.

– Tak.

Poczuła się dziwnie opuszczona, zebrała się jednak w sobie i zapytała:

– Dlaczego więc nadal jesteś Duchem St. Giles?

* * *

Dlaczego nadal był Duchem St. Giles?

Godric prychnął pod nosem, przywierając do ściany walącej się kamienicy. Wyrzwał za róg, aby upewnić się, że w mrocznej alejce nie ma żołnierzy, a potem szybko okrążył budynek. Często łatwiej było – i bezpieczniej – przemieszczać się po dachach, dziś wszakże ranny bark skutecznie mu to uniemożliwiał. Zmuszony był więc poruszać się ulicami, wystrzegając się spotkania z Trevillionem i dragonami.

Zatrzymał się przy końcu alejki, nasłuchując i wspominając spojrzenie Megs, gdy zadawała mu powyższe pytanie: ciekawość mieszała się w nim z troską. Troską o niego.

Skrzywił się. Kiedy ostatni raz ktoś się o niego troszczył? Z pewnością nikt od śmierci Clary, a przedtem to on troszczył się o nią, nie odwrotnie. Clara nigdy nie dowiedziała się, że był Duchem, lecz nawet gdyby zdawała sobie z tego sprawę, i tak wierzyłaby, że jest dość silny, bystry i męski, aby skutecznie o siebie zadbać. Powinien więc czuć się urażony tym, iż Megs uznała go za tak słabego, by trzeba się było o niego martwić, lecz nie potrafił wzbudzić w sobie

gniewu. Przeciwnie, jej troska była mu dosyć miła. Jego żona miała miękkie serce – lecz bystry umysł. Zaszokowało ją, że nie zgodził się porzucić swego życia jako Duch. Zdawał sobie sprawę, że ją tym rozczarował, i jakaś część jego istoty żałowała, iż nie może dać jej tego, czego pragnęła.

Obu tych rzeczy.

Przebiegł ulicę i skrył się ponownie w cieniu, ponieważ usłyszał, że ktoś nadchodzi. Na ulicy, oświetlonej blaskiem księżyca, zjawili się dwaj mężczyźni. Szli, chwiejąc się i podpierając nawzajem. Wyższy potknął się tak skutecznie, że upadł niczym worek kartofli. Musiał być bardzo pijany. Jego towarzysz objął się za kolana i zaniósł pijackim śmiechem. Zamilkł jednak, gdy zauważył, że Godric wyłania się z cienia i odchodzi. Pijak spoglądał w ślad za nim szeroko otwartymi oczami.

Obaj pijani mężczyźni wydawali się nieszkodliwi, lecz krew zastygła Godricowi w żyłach na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby natknęła się na nich Megs. Bardzo niewielu mężczyzn w St. Giles – pijanych czy nie – potrafiłoby oprzeć się pokusie, gdyby w pobliżu pojawiła się bogata, piękna kobieta. Zacisnął mocniej szczęki. Każda inna trzymałaby się po doświadczeniach pierwszej nocy jak najdalej od tej dzielnicy Londynu. Każda inna, ale nie Megs. Wątpił również, by zdołały ją powstrzymać wydarzenia ostatniego wieczoru. Nie, oznajmiła, że wróci do St. Giles i będzie to robić, póki nie znajdzie zabójcy Fraser-Burnsby'ego. Mogła, oczywiście, tylko się przechwalać, lecz wątpił, aby tak było. Jego żona ewidentnie obrała kurs na samobójstwo.

Do licha! Nie pozwoli, by upór sprowadził na nią nieszczęście. Będzie musiał znaleźć sposób, aby odesłać ją na wieś – im szybciej, tym lepiej.

U wylotu alejki zamajaczył kościół St. Giles in the Fields. Iglica jego wysokiej wieży przecinała na pół tarczę księżyca. Godric podszedł do ceglanego muru, okalającego niewielki cmentarz. Brama miała co prawda zamek, lecz był on otwarty.

Zawiasy musiały zostać niedawno naoliwione, wsunął się więc bezszelestnie na kościelny dziedziniec. Wiatr wzmógł się, szarpiąc gałęziami samotnego, żałosnego drzewa i jęcząc wśród nagrobków. Ktoś mógłby uznać to miejsce za nawiedzone, lecz Godric wiedział, że w St. Giles jest wiele rzeczy, których należało obawiać się bardziej niż miejsca, gdzie spoczywali zmarli.

Spod przeciwległej ściany dobiegło go zdecydowanie ludzkie chrząknięcie i Godric uśmiechnął się ponuro: nie przybył tu dziś na próżno. Przemykał, kryjąc się w cieniu, póki nie znalazł się o krok od swej zwierzyny.

– Dobry wieczór, Digger.

Digger Jack, mały, zgarbiony mężczyzna, który był jednym z najbardziej osławionych wykopywaczy zwłok w Londynie, wyprostował się, wzdychając.

Jego towarzysz, krzepki, niezdamny młodzian, nie był tak powściągliwy.

– Diabeł! – wykrzyknął, po czym rzucił łopatę i pognął ku bramie cmentarza z zadziwiającą szybkością, zważywszy na jego posturę.

Digger Jack poruszył się, jakby chciał pójść w ślady swego pomagiera, lecz Godric położył mu na ramieniu ciężką dłoń.

– Mam z tobą do pomówienia.

– Auuu! – jęknął Digger. – Musiał pan to robić? Wystraszył pan Jeda. Ma pan pojęcie, jak trudno znaleźć w St. Giles silnego chłopaka? Starzeję się i coraz bardziej dokucza mi lumbago. Jak mam wykonywać swoją robotę bez pomocy?

Godric uniósł brwi, skryte za maską.

– Twoja smutna opowieść nie bardzo mnie wzrusza, zważywszy, że przyłapałem cię, jak wykopujesz jakiegoś nieszczęśnika.

Digger wyprostował się na całą wysokość – to znaczy nieco poniżej pięciu stóp i dwóch cali.

– Człowiek musi na siebie zarobić, Duchu. Poza tym – dodał, mrużąc kaprawe oczka – przynajmniej nie jestem mordercą.

– Och, nie bawmy się w przezywanie.

Mężczyzna prychnął grubiańsko.

– Nie przyszedłem, żeby się dowiedzieć, co o mnie sądzisz, Digger – powiedział Godric cicho, tracąc cierpliwość.

Rabuś grobów oblizał nerwowo wargi i odwrócił wzrok.

– To czego chcesz?

– Co wiesz o porywaczach dziewcząt?

Digger wzruszył kościstymi ramionami.

– Takie tam...

– Powiedz mi.

Digger skrzywił się, myśląc intensywnie.

– Krążą słuchy, że wrócili.

Godric westchnął.

– Tak, wiem.

– Eee... – bąknął Digger, grzebiąc stopą w świeżo rozkopanej mogile. Grudki ziemi osypały się bezgłośnie. – Niektórzy powiadają, że porwali prawie dwa tuziny dziewczyn.

Dwadzieścia cztery dziewczynki zaginęły? Gdyby stało się tak w innej

dzielnicy Londynu, podniósłby się straszny krzyk. W gazetach ukazałyby się pełne oburzenia artykuły, lordowie grzmieliby w Parlamencie. Tymczasem wyglądało na to, że tutaj nikt tego nawet nie zauważył.

– Dokąd je zabierają?

– Nie wiem. – Digger potrząsnął głową. – Ale to nie jest zwyczajny burdel. Nikt o nich więcej nie słyszy.

Godric się zamyślił. Digger zdawał się nie wiedzieć, że dziewczęta zmuszono do pracy w fabryczce. Miejsce musiało być zatem dobrze schowane, a jego lokalizacja okryta ścisłą tajemnicą.

– Jest taka jedna... – powiedział Digger, jakby właśnie sobie o tym przypomniał. – Pomaga ponoć chwycić dziewczyny.

– Wiesz, jak wygląda?

– Wiem coś lepszego – pochwalił się Digger. – Mianowicie, jak się ten babsztyl nazywa.

Godric przechylił głowę, czekając.

– Pani Cook. Słyszałem, że tak na nią wołają.

Nie było to dużo, lecz zawsze coś. Godric wyjął srebrną monetę i wcisnął pieniądze w brudną dłoń Diggera.

– Dziękuję.

Kopacz poweselał na widok srebra, choć gdy się odezwał, w jego głosie nadal słychać było niezadowolenie:

– Do usług szanownego pana.

Godric odwrócił się, by odejść, kiedy coś przyszło mu do głowy.

– Jeszcze jedno.

Rabuś grobów westchnął ostentacyjnie.

– Co takiego?

– Dwa lata temu zamordowano w St. Giles arystokratę, niejakiego Rogera Fraser-Burnsby'ego. Wiesz coś o tym?

Gdyby Godric nie spędził tyle czasu, przepytując świadków o wątpliwej wiarygodności, mógłby nie zauważyć, że ciało Diggera lekko zeszywniało.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł na pozór obojętnie. – A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, muszę dokończyć robotę przez wschodem słońca.

Godric pochylił się tak, że zakrzywiony nos jego czarnej skórzanej maski niemal dotykał twarzy mężczyzny.

– Ale ja mam coś przeciwko.

– Ja... nic nie wiem, przysięgam!

– Jack – wyszeptał Godric złowróźnie. – Kłamiesz.

– No dobrze już, dobrze. – Digger uniósł dłonie, jakby bronił się przed fizycznym atakiem. – Krążyły wtedy jakieś plotki. Powiadano, że to nie Duch go zabił.

Godric uniósł brwi.

– Słyszałeś, kim był prawdziwy morderca?

Digger obejrzał się przez ramię, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Ponoć inny fagas z tego samego towarzystwa.

– Coś jeszcze?

Kopacz wyrzucił dłonie do góry.

– A to nie dosyć? Też mogę zostać zamordowany, jeśli to porachunki jaśnie państwa i zabójca dowie się, że chlapię ozorem.

– Nikt się nie dowie – zapewnił Godric mężczyznę. – Ty nie powiesz, a ja też nie zamierzam.

Digger prychnął tylko z pogardą.

Godric dotknął róna kapelusza w ironicznym geście podziękowania, po czym wymknął się z cmentarza i ruszył piechotą ku rzece i domowi. Myśl o tym, że Megs będzie szukała krwawej zemsty, mocno go niepokoiła. Nie może pozwolić, by to zrobiła. Nawet gdyby szukanie mordercy w St. Giles było bezpieczne, nie mógł ryzykować, że Megs utraci wewnętrzne światło, zabije w sobie radość. Tego rodzaju doświadczenie okaleczyłoby ją na zawsze.

Był w stanie wymyślić tylko jeden sposób, aby skutecznie odwrócić jej uwagę i skłonić dziewczynę, by natychmiast wyjechała z Londynu.

Dwadzieścia minut później dotarł do Saint House i ukrył się, jak zwykle, w cieniu wnęki, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Przez wszystkie te lata, gdy działał jako Duch, na palcach jednej ręki mógłby policzyć sytuacje, kiedy ktoś przebywał w środku nocy w pobliżu jego domu, i za każdym razem ostrożność się opłacała.

Tak jak tej nocy.

Zorientowanie się, że ktoś ukrywa się za rogiem domu, zajęło mu ledwie minutę. Cień był tak nieruchomy i cichy, że gdyby nie fakt, iż Godric latami wpatrywał się w sylwetki budynków, widoczne w świetle księżyca, zapewne nic by nie zauważył.

Zastygł w bezruchu. Mógł wykurzyć obserwatora, rzucić mu wyzwanie i uciec. Albo zaczekać i sprawdzić, kto tak bardzo interesuje się Saint House. Lewe ramię pulsowało bólem, zmusił się jednak, aby oddychać spokojnie i głęboko, gdyż miał przeczucie, że przyjdzie mu długo czekać.

Jak się okazało, potrwało to aż trzy godziny. Trzy godziny stania w bezruchu i rozmyślania o tym, jak bardzo chciałby leżeć teraz we własnym łóżku. Jednak pod koniec czuwania wiedział już, kto trzyma wartę przy jego domu.

Gdy niebo na wschodzie pojaśniało, kapitan James Trevillion wyłonił się z cienia, po czym, nie oglądając się na dom, którego pilnował całą noc, odszedł spokojnie ulicą.

Godric zaczekał, aż stukot podkutych butów dragona ucichnie w oddali – a potem czekał jeszcze pięć minut. Dopiero wtedy przekradł się na tył domu, a następnie do swego gabinetu, gdzie powoli zdjął kostium, krzywiąc się z bólu utrudniającego ruchy. Pas ze szpadą wysunął mu się z rąk i spadł z brzękiem na podłogę. Godric stał, wpatrując się w broń. Podstęp, do którego uciekł się tej nocy, gdy Megs go dźgnęła, nie przekonał kapitana. Trevillion nadal go podejrzewał. Inaczej nie czuwałby przez całą noc pod domem w nadziei, że zdoła przyłapać Godrica, gdy ten będzie wracał z nocnych wędrówek. St. John miał przeczucie, że oficer nie zważałby na pozycję społeczną arystokraty, gdyby zyskał dowód, że to on jest Duchem. Kapitan zdawał się należeć do osób, które nie miały innego życia poza pracą. Godric uśmiechnął się sardonicznie. Może jego nemezis czuła, że żyje, tylko podczas polowania.

Jeśli tak, mieli ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż kapitan podejrzewał. Godric dawno już pogodził się z tym, że cokolwiek ocalało z jego dawnego „ja” po śmierci Clary, kryło się za maską.

Westchnął ciężko. Należało poradzić sobie jakoś z kapitanem, odnaleźć porwane dziewczęta wraz z panią Cook i zadbać o bezpieczeństwo Megs – choćby wbrew jej woli.

Zajmie się tym, gdy tylko trochę się prześpi.

Schował strój Ducha, przebrał się w nocną koszulę i szlafrok, po czym opuścił gabinet. Wchodząc schodami na piętro, przypomniał sobie po raz kolejny pytanie Megs: Dlaczego nadal jesteś Duchem?

A także odpowiedź, której jej nie udzielił: Ponieważ to jedyny sposób, bym czuł, że nadal żyję.

Rozdział 9

Skrzat noszący imię Rozpacz uśmiechnął się, pokazując ostre kły i żółte zęby, kontrastujące z ciemnoczerwoną skórą.

– Dusze uwięzione pomiędzy Niebem a Piekłem toną bez końca w wodach poniżej, czekając, aż ich czas się dopełni i zostaną uwolnione. Ciesz się, że dusza twojego kochanka nie została skazana na przebywanie w wodach tej rzeki, ponieważ ci, którzy w niej pływają, to samobójcy.

Faith zadrzała, przyglądając się, jak dusza w czarnej wodzie otwiera usta szeroko, jakby do krzyku, lecz nie dobywa się z nich żaden dźwięk...

– z Legendy o Hellequinie

Następnego dnia, późnym rankiem, Megs stała w ogrodzie Saint House, wpatrując się w stare drzewo owocowe. Wyglądało tak samo jak przed kilkoma dniami.

Martwo.

Higgins chciał, by pozwoliła mu je ściąć, lecz Megs nie miała serca tego zrobić. Choć brzydkie i pokrzywione, wydawało się też okropnie samotne. Oczywiście, to niemądre, przypisywać ludzkie uczucia roślinie, ale co zrobić: współczuła staremu, sękatemu drzewu.

– Ono jest martwe – dobiegł ją z tyłu mroczny głos.

Odwróciła się, tłumiąc podniecenie.

Godric stał na ścieżce, ubrany w swój zwykły, poważny strój – tym razem szary. Przyglądał się żonie uważnie, jakby próbował dostrzec coś w jej twarzy. Megs się uśmiechnęła.

– Tak właśnie twierdzi Higgins, mój ogrodnik.

– Mogę kazać je ściąć.

– On też to zaproponował.

– Nie chcesz, żeby je ścięto, prawda? – zapytał, spoglądając na nią dziwnie.

Zmarszczyła nos i w opiekuńczym geście położyła dłoń na chropowatej korze.

– Nie.

– Oczywiście – mruknął do siebie.

– Cieszę się, że wstałeś. Kiedy usłyszałam rankiem, że nadal śpisz, przestraszyłam się, że znów czujesz się gorzej.

Odwrócił na chwilę wzrok i ogarnęło ją przecucie, że zamierza skłamać, powiedział jednak tylko:

– Byłem zmęczony i uznałem, że najlepiej będzie to odespać.

Skinęła głową, zamyślona, szukając tematu do rozmowy. Jak to możliwe, że stał przed nią ten sam mężczyzna, który rozdarł jej suknię i całował jej piersi, jakby miał umrzeć, jeśli natychmiast nie posmakuje jej skóry?

– Zaproszono nas na wyprawę do parku rozrywki dziś wieczorem – powiedziała. – Moja szwagierka, lady Hero, uwielbia Harte's Folly i wybiera się tam dziś do teatru. Pojedziesz z nami?

Zacisnął wargi.

– Twój brat Griffin również tam będzie?

– Tak.

Megs spodziewała się, że Godric odmówi, on uśmiechnął się jednak tylko cokolwiek ponuro.

– Przypuszczam, że będę musiał od czasu do czasu się z nim widywać – jestem w końcu mężem jego siostry.

Nie powinna być tak podekscytowana faktem, że będą oglądać razem sztukę, ale cóż... tak właśnie się czuła. By się upewnić, zapytała:

– Czyli wybierzesz się z nami?

Pochylił głowę.

– Tak.

Odwróciła się, aby przesunąć palcem wzdłuż szpary w korze starej jabłoni.

– Godricu?

– Tak? – Przysunął się bliżej i miała wrażenie, że jeśli odwróci się raz jeszcze, znajdzie się w jego ramionach.

Zadrżała i skupiła się na dotykaniu kory.

– Skąd mój brat wiedział, że jesteś Duchem?

Godric milczał przez chwilę i niemal słyszała, jak myśli.

– Byłem nieostrożny – powiedział w końcu. – Przyszedł za mną pewnego dnia z St. Giles.

Ściągnęła brwi.

– Z St. Giles? A co on miałby tam robić w nocy?

– Nie wiesz?

Cóż, nikt nie byłby w stanie się powstrzymać. Odwróciła się i rzeczywiście

niemal wpadła mu w ramiona. Spoglądał na nią z góry z tą dobrze już teraz znaną pochmurną miną.

– Wiem co? – spytała bez tchu, nie spodziewając się, że odpowie. Z pewnością zbędzie ją byle wymówką, jak zwykli robić dżentelmeni, odpowiadając na niewygodne pytania dam.

Lecz Godric ją zaskoczył.

– Twój brat prowadził wówczas w St. Giles interes.

Zamruła, zaskoczona zarówno jego szczerością, jak i informacją.

– Ale... Griffin nie zajmował się interesami. Nie musiał... – Zamilkła na widok miny Godrica. – Czyżby..?

Jej mąż wzruszył ramionami, zakłopotany.

– Nie znam stanu finansów twojego brata. Wiem tylko, że zanim poślubił lady Hero, prowadził w St. Giles interesy.

Ściągnęła brwi.

– Jakiego rodzaju interesy?

Przyglądał się jej przez dobrą minutę, a widząc, że nie zamierza ustąpić, odparł:

– Produkował gin.

– Co takiego?

Dosłownie opadła jej szczęka. Prowadzenie nielegalnej gorzelni było ostatnim, czego mogłaby się spodziewać po swoim bracie, synu markiza. Dlaczego miałby zajmować się czymś tak niemoralnym? Wiedziała, że w młodości dopuścił się kilku grzeszków, uchodził też za niepoprawnego uwodziciela, lecz przecież go znała. Był w głębi duszy dobrym człowiekiem, nie pędziłby ginu, gdyby rozpaczliwie nie potrzebował pieniędzy. A dlaczego miałby ich potrzebować? Posiadali przecież włości, fundusze...

Nagle uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie miała pojęcia, jak wyglądał stan posiadania rodziny. Była damą, a damy nie interesują się finansami – uważano to za wulgarne. Kiedy chciała mieć modną suknię lub czekał ją debiut i potrzebowała nowej garderoby, nie pytała, czy mogą sobie na nią pozwolić, ponieważ tak właśnie było.

A jeśli nie?

Teraz przypomniała sobie kilka sytuacji. To, jak mama zasugerowała, aby wybrała na suknię tańszy jedwab w paski zamiast droższego, z haftem. Megs i tak bardziej podobał się ten w paski – śliczny róż – więc nie oponowała. Potem modystka zaczęła rzucać uszczypliwe uwagi, sugerując, że jej nie zapłacono. Mama powiedziała, że nastąpiła pomyłka, lecz co, jeśli było inaczej?

Co, jeśli rodzina miała finansowe problemy – skrywane finansowe problemy – a ona nie miała o tym pojęcia?

– Czy on nadal ma ten interes w St. Giles? – spytała niepewnie.

– Nie. – Potrząsnął natychmiast głową. – Zamknął gorzelnię, a właściwie wybuchł tam pożar i wszystko spłonęło. Tuż przed tym, jak ożenił się z lady Hero.

Skinęła głową, przygnębiona.

– Cieszę się. Lecz skoro potrzebował pieniędzy, to jak zarabia teraz?

– Nie wiem – odparł Godric łagodnie. – Nie rozmawialiśmy od kilku lat. Jestem wszakże pewien, że posag lady Hero zaspokaja z nawiązką ich potrzeby.

Megs przysła nagle do głowy straszna myśl.

– A mój posag? Był wystarczający?

– Twój brat nie zaoferował posagu.

– Ale... – Spoglądała teraz na niego szeroko otwartymi oczami.

– Wszystko w porządku. – Wyciągnął przed siebie dłonie, uprzedzając jej protest. – Mam więcej, niż mi potrzeba. Nie potrzebowałem twojego posagu, Megs.

Cóż, zapewne powinna się z tego cieszyć. Postukała, lekko zirytowana, w pień starej jabłoni, a potem westchnęła.

– Żałuję, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Musiałeś być wściekły na mojego brata, kiedy wysunął swoje żądania.

Spojrzała na niego spod rzęs.

Wzruszył ramionami.

– Już ci powiedziałem: byłem zły na niego, lecz nigdy na ciebie. Poza tym poślubienie cię nie było znowu aż takim poświęceniem.

Lepszy taki komplement niż żaden, zapewne. Przynajmniej tak sobie powiedziała, wciskając paznokiec w pień drzewa.

– Nadal nie rozumiem. Dlaczego nigdy mi nie wspomniał, że brakuje nam pieniędzy?

– Nie wiem. – Godric znów wzruszył ramionami. – Zapewne starał się chronić siostrę.

Megs nie miała zbyt dobrego zdania o dżentelmenach, którzy sądzą, że najlepiej jest chronić damy, trzymając je w niewiedzy. Przynajmniej Godric powiedział jej prawdę o bracie i gorzelni.

Westchnęła i odsunęła się od pnia.

– Powinnam chyba pójść i spytać Daniels, czy moje nowe suknie będą gotowe, nim przyjdzie pora ruszyć do teatru.

Lecz gdy go mijala, zatrzymał ja, chwytajac za reke.

Jego palce byly lodowate. Megs zamarla, spojrzala na niego, a wtedy mezczyzna puscił jej dlon, jakby go sparzyla.

Oblizal wargi i gdyby nie znala go lepiej, pomyslalaby, ze sie denerwuje.

– Wlasciwie przyszedlem, zeby cos ci powiedziec.

Przechylila glowe na bok.

– Tak?

– Postanowilem – skupil spojrzenie czystych szarych oczu na twarzy Megs – ze chcialbym jednak skonsumowac nasze malzenstwo. Dzis wieczorem.

* * *

Oto ma, czego chciala. Godric zgodzil sie pojsc z nia do lozka. Dlaczego wiecej byla tak roztrzesiona?

Dookola rozlegl sie glonsny smiech i Megs skupila uwage na scenie, gdzie stapala, wdzieczac sie, ladna aktorka, przebrana za mlodziencza. Odwrócila sie i spojrzala zalotnie przez ramie, po czym sie potknela, a widownia znów ryknela smiechem. Tuż obok Megs chichotala Hero, nawet Griffin wydawal sie rozbawiony. Tylko na twarzy Godrica nie bylo widać uśmiechu.

Moze on rowniez denerwowal sie tym, co mialo nastapic tej nocy.

Siedzieli we czworo w eleganckiej lozy w Harte's Folly. Jej sciany wylozone byly czerwonym aksamitem, a poręcz ozdobiono złotem. Na malym stoliku stalo wino, ciasteczka, owoce, orzechy i sery. Megs nie mogla sie powstrzymac, aby nie myśleć, ile tez musi kosztowac wynajecie lozy. Jezeli Griffin mial przed trzema laty klopoty finansowe, najwyrazniej musialy sie skonczyc.

Z drugiej strony, nigdy nic nie wskazywalo na to, aby kiedykolwiek byl w tarapatach.

Westchnela niespokojnie, zalujac, iz nie moze zostac na kwadrans sama z bratem. A takze zapomniec o tym, ze kiedy wraca, Godric zamierza isc z nia do lozka.

Spuscila wzrok, a potem zerknela na niego spod oka. Mial na sobie stroj w kolorze kawy, z mankietami i kieszeniami obszytymi nitka barwy starego zlota. Na plaskim brzuchu ciasno opinala sie srebrzysto-blekitna kamizelka. Widziala go przez chwile bez koszuli i ten widok ja zaskoczyl. Jak jej maz wygladalby nago?

Godric wyczul chyba, ze Megs mu sie przyglada. Poruszył prawie niedostrzegalnie broda i spojrzal na zone. Wstrzymala oddech. Spod na wpol

opuszczonych powiek spoglądały na nią przejrzyście szare oczy. Mężczyzna patrzył, jakby nie mógł się zdecydować, w jaki sposób najlepiej będzie ją zjeść. Rozchyliła bezwiednie wargi, a wtedy opuścił na nie wzrok. Nozdrza rozszerzyły mu się nieznacznie, po czym znowu spojrzął jej w oczy i zapomniała, jak się oddycha.

Na widowni wybuchły oklaski i Meks podskoczyła, przywołana zbyt nagle do rzeczywistości.

Griffin chrząknął.

– Mam przynieść lody, nim zacznie się drugi akt?

Hero uśmiechnęła się do męża.

– Tak, proszę.

Griffin skinął głową, a potem spojrzął czujnie na Godrica i spytał:

– Przyłączysz się do mnie?

Godric uniósł brwi, lecz wstał, nie protestując.

Hero poruszyła się i wyciągnęła dłoń.

– Widzę po drugiej stronie mojego brata. Pójdiesz ze mną go przywitać?

– Tak, oczywiście.

Meks wstała, spoglądając z niepokojem na oddalające się plecy brata i męża.

– Nie przejmuj się. – Hero wsunęła sobie dłoń Meks pod ramię i ruszyły razem ku przeciwnej stronie sali. Korytarz za lożami był zatłoczony, ponieważ widzowie korzystali z okazji, by odszukać znajomych albo po prostu przejść się i zaprezentować odświeżone stroje. – Griffin i Godric się dogadają.

– Chciałabym mieć taką pewność.

Hero uścisnęła jej dłoń w pocieszającym geście.

– Griffin kocha nas obie, a Godricowi także na tobie zależy, wiem to na pewno. Obaj mają zatem interes, aby zażegnać ten mały spór.

Meks zerknęła spod oka na bratową, przechadzającą się spokojnie w jasnozielonej sukni, oblamowanej jasną koronką.

– Godricowi na mnie zależy? Skąd wiesz?

Hero spojrzała na nią, rozbawiona.

– Widzę, jak się o ciebie troszczy, głuptasie. Dopilnował, byś zajęła najlepsze miejsce – obok mnie, żebyśmy mogły sobie poplotkować. Napełnił ci talerz ciasteczkami i winogronami – bez włoskich orzechów, gdyż wie, że za nimi nie przepadasz – no i sam fakt, że zgodził się przyjść tu z tobą dzisiaj... cóż. Muszę ci powiedzieć, iż spodziewałam się, że odmówi. Przez kilka ostatnich lat był z niego istny pustelnik. Prawie się go nie widywało. Nie, wszystko, co robił dzisiaj, wszystkie te drobiazgi, były dla ciebie, siostrze.

Megs zamruwała. Czy mogła to być prawda? Czy Godric coś do niej czuł? Cokolwiek? Zgodził się w końcu dać jej dziecko. Na samo wspomnienie o tym oblała ją fala gorąca, pomieszanego z niepokojem. W Laurelwood, kiedy układała plan uwiedzenia męża, był on jedynie postacią z kartonu. Znała go wyłącznie z krótkich, obojętnych w tonie listów. Pójście do łóżka z kartonową figurą wydawało się stosunkowo proste.

Kochanie się z Godrikiem to coś zupełnie innego.

Był prawdziwym mężczyzną, z krwi i kości, targanym przez silne emocje – choć robił, co mógł, by ukryć je przed światem. Dopiero teraz, gdy było niemal za późno, uświadomiła sobie, że jej uczucia mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie, jeżeli mu się odda. Przygryzła wargi. Nie życzyła sobie uczuciowego związku. Roger był miłością jej życia i nadal czuła ból straty. Musiała pójść do łóżka z Godrikiem, jeśli chciała mieć dziecko, lecz gdyby coś przy tym czuła – byłaby to zdrada wobec Rogera i ich miłości.

Hero uścisnęła nagle jej dłoń.

– Tam jest.

– Kto? – zapytała Megs, mrugając.

– Hippolyta Royle – wymamrotała Hero. – Dama w sukni o cudownym odcieniu mocnej kawy i różu.

Megs dyskretnie podążyła spojrzeniem za wzrokiem Hero. Wysoka dama stała samotnie, spoglądając na tłum spod na wpół opuszczonych powiek. Nie sposób było nazwać jej piękną, ale ze śniadą karnacją, ciemnymi włosami i królewską postawą z pewnością przyciągała spojrzenia.

– Kto to taki? – spytała Megs.

Hero prychnęła cichutko.

– Wiedziałybyś, gdybyś nie ukrywała się od dwóch lat w głuszy. Panna Royle to dość tajemnicza dziedziczka. Pojawiła się nie wiadomo skąd w Londynie przed kilkoma miesiącami. Niektórzy powiadają, że wychowywała się we Włoszech lub nawet w Indiach Wschodnich. Sądzę, że musi być bardzo interesującą osobą, lecz jeszcze nas sobie nie przedstawiła.

Przyglądały się, jak lady Royle odwraca się i odchodzi.

– Wygląda też na to, że i dziś nie będę miała okazji jej poznać – zauważyła Hero z żalem. – Nie widzę nikogo, kto mógłby nas sobie przedstawić. Lecz oto i loża Maximusa. Wejdziemy?

Megs skinęła głową i Hero wprowadziła ją do wspaniałej loży, znajdującej się dokładnie naprzeciw tej, którą wynajął Griffin.

Wnętrze było równie luksusowe jak w loży Griffina, może nawet bardziej. W

środku siedziały samotnie dwie damy. Starsza wyciągnęła ku nim dłoń na powitanie.

– Hero, kochanie, jak miło cię widzieć. – Panna Bathilda Picklewood wychowała Hero i jej młodszą siostrę, Phoebe, po śmierci ich rodziców. Pulchna dama z miękkimi siwymi włosami, zwiniętymi na czole w pierścionki, trzymała na kolanach małego, starszawego spaniela rasy King Charles.

Hero podeszła, pochyliła się i ucałowała ją w policzek.

– Jak się miewasz, kuzynko? – spytała.

– Całkiem dobrze – odparła panna Picklewood – lecz chyba minęły już wieki od czasu, kiedy widziałyśmy ostatnio Williama.

Jakby dla podkreślenia jej słów spaniel szczeknął ostro.

Hero się uśmiechnęła.

– Postaram się naprawić ten błąd jak najszybciej. Może więc jutro po południu?

– Cudownie!

– Kto jest z tobą, Hero? – spytała druga z dam i Megs ścisnęło w piersi, gdyż rozpoznała lady Phoebe.

Podeszła bliżej, mając nadzieję, że słaby blask świecy odrobinę pomoże.

– To ja, Phoebe, Megs.

– Oczywiście – odparła Phoebe, zakłopotana. Skupiła spojrzenie na twarzy Megs, ta jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że dziewczyna i tak nie widzi jej dokładnie. – Podoba ci się sztuka?

– O, tak – odparła Megs, choć prawie nie zwracała uwagi na to, co dzieje się na scenie. – Minęło sporo czasu, odkąd jakąś widziałam, więc to prawdziwa przyjemność.

– Robin Goodfellow jest taka zdolna – zauważyła panna Picklewood i Megs musiała chwilę się zastanowić, nim przypomniała sobie, że tak brzmi nazwisko aktorki wcielającej się w młodzieńca. – Podobała mi się każda ze sztuk, w których grała.

– Harte postąpiło bardzo sprytnie, zwabiając pannę Goodfellow z Teatru Królewskiego – odezwał się tuż za nimi głęboki głos.

Odwróciły się i zobaczyły Maximusa Battena. Księżę stał w drzwiach, trzymając w dłoniach dwa rożki z lodami.

– Gdybym wiedział, że do nas dołączycie, przyniosłbym więcej lodów.

– Griffin i pan St. John je nam przyniosą – odparła Hero. – Pamiętasz lady Margaret?

– Oczywiście. – Księżę skłonił się elegancko, mimo że miał zajęte dłonie.

– Wasza Miłość. – Megs dygnęła wdzięcznie. Znała księcia od lat – był bowiem politycznym sojusznikiem jej brata Thomasa – lecz niezbyt dobrze. Zawsze wydawał jej się cokolwiek onieśmielający.

– Znasz Harte’a z Harte’s Folly? – spytała Hero, zaciekawiona. Wzięła od brata lody i podała siostrze.

– Nie osobiście – odparł książę, podając drugi rozek pannie Picklewood. – Prawdę mówiąc, nie jestem nawet pewien, czy Harte to jedna osoba – być może za nazwiskiem kryje się cały syndykat udziałowców – lecz powszechnie wiadomo, że panna Goodfellow została zwabiona z poprzedniego teatru, zapewne za pomocą pieniędzy. I był to ze strony właścicieli Harte’s Folly sprytny ruch. Park rozrywki potrzebował znanej aktorki.

– A panna Goodfellow jest w Londynie najbardziej znaną aktorką od ról męskich – dodał wicehrabia d’Arque, wchodząc do łoży. – Wasza Miłość. – Ukłonił się z wdziękiem. – Drogie panie.

– D’Arque – odparł książę niezobowiązująco.

Wicehrabia z aprobatą omiółł wzrokiem zebrane damy, by utkwić go na koniec w Megs. Zrobił krok do przodu i nim zdążyła się zorientować, ujął jej palce.

– Wygląda pani dziś czarująco, lady Margaret.

Co powiedziawszy, pochylił się ku jej dłoni.

I wtedy to zobaczyła: tuż za wicehrabią stał Griffin, a za nim Godric.

* * *

– Przerwa zaraz się skończy – zauważyła Artemis Greaves. – Nie powinniśmy wrócić do łoży?

– Eee tam. – Lady Penelope odrzuciła głowę do tyłu, aż zabłyśły szpilki w jej ciemnych lokach. – Nie przejmuj się tak. Nie przywitałam się jeszcze z księciem Wakefieldem.

Artemis westchnęła cicho, przekładając Bon Bon z jednego ramienia na drugie. Puszysty biały piesek jęknął, po czym znów zapadł w sen, a one ruszyły korytarzem za łożami. Artemis pożałowała – nie po raz pierwszy – że Penelope nie ma za grosz rozsądku. Suczka, choć słodka i posłuszna, była już za stara, by wszędzie ją zabierać. Zaskomliła, kiedy Artemis brała ją na ręce w powozie – zapewne z powodu reumatyzmu w tylnych łapach.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy uważają ją za tak fascynującą – wymamrotała Penelope, przyciągając uwagę Artemis.

– Kogo?

– Ja. – Penelope machnęła ręką w kierunku wysokiej damy, która zniknęła właśnie w łoży. – Tę całą Hippolytę Royle. Najgłupsze imię, jakie słyszałam. Ma cerę niczym dzikus z Afryki, jest wysoka niemal jak mężczyzna i nawet nie posiada tytułu.

– Ponoć jest także bajecznie bogata – wymamrotała Artemis, zanim zdążyła się powstrzymać.

Penelope odwróciła się i spojrzała na towarzyszkę zmrużonymi ze złości oczami.

O, nie, tylko nie to.

– Ja jestem najbogatszą dziedziczką w Anglii – syknęła – i wszyscy o tym wiedzą.

– Oczywiście – wymamrotała Artemis uspokajająco, głaskając śpiącą Bon Bon.

Penelope prychnęła jeszcze raz, a potem dodała znacznie łagodniejszym tonem:

– No proszę, jesteście.

Artemis podniosła wzrok i zobaczyła, że stoją przed wejściem do łoży księcia.

Penelope wpłynęła z wdziękiem do środka – a raczej próbowała wpłynąć, ponieważ, jak się okazało, w łoży było już dosyć tłoczno. Artemis wcisnęła się za kuzynką i rozejrzała dookoła. Zobaczyła lady Hero z lady Margaret, a także lady Phoebe, pannę Picklewood, samego księcia, lorda Griffina i pana St. Johna, który zdawał się toczyć pojedynek na spojrzenia z wicehrabią d’Arkiem.

Cóż, wieczór zapowiadał się całkiem interesująco.

Penelope odezwała się – zapewne rzucając jakieś prowokujące zdanie, mające przyciągnąć uwagę mężczyzn. Artemis precyzyjnie się do lady Phoebe i usiadła obok młodej damy.

Phoebe odwróciła głowę i przysunęła się bliżej, aby pociągnąć dyskretnie nosem.

– Artemis?

– Tak – odparła Artemis, bardzo z siebie dumna. Zauważyła, że Phoebe posługuje się czasem węchem, aby rozpoznać niektóre osoby, i starała się używać odtąd stale tych samych perfum. Podejrzewała, że dziewczyna prawie nic nie widzi w przyćmionym świetle. – Przyniosłam Bon Bon, choć suczka nie czuje się dobrze. Myślę, że to przez reumatyzm.

– Och, biedactwo. – Phoebe delikatnie przesunęła palcami po białym futrze spanielki. – Co jest nie tak z dżentelmenami? Odkąd pojawił się pan d’Arque,

wydają się dziwnie spięci...

Artemis pochyliła się ku młodszej damie tak, że niemal stykały się głowami.

– Lord d’Arque flirtował z lady Margaret, a jej mąż, pan St. John, poczuł się dotknięty. Urządzili niezłą scenę podczas balu u Kershawów.

– Naprawdę? – Phoebe uniosła brwi, jej piwne oczy tańczyły w miłej, okrągłej twarzy. Może i była siostrą Hero, jednak kobiety bardzo się różniły, Hero była bowiem wysoka i smukła, a Phoebe – niska i pulchna. – Przykro mi ze względu na lady Margaret, ale i tak żałuję, że nie mogłam tego zobaczyć. – Wygięła usta w grymasie smutku. Lady Phoebe brała udział jedynie w tych wydarzeniach towarzyskich, podczas których rodzina mogła otoczyć ją troskliwą opieką. – Mam nadzieję, że nie myślisz o mnie źle.

– Och, nic podobnego, moja droga. – Artemis poklepała ją po kolanie. – Gdyby nie to, że dżentelmeni zachowują się czasem niepoprawnie podczas balu, już dawno umarłabym z nudów.

Phoebe zaśmiała się cicho.

– Co robią teraz?

– Niewiele. Lady Penelope zdominowała konwersację. – Artemis westchnęła.

– Obawiam się, że zagięła parol na twego brata.

Phoebe przechyliła głowę, zaciekawiona.

– Tak?

– Owszem, choć nie przypuszczam, by miała szansę go usidlić.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Nie większą ani nie mniejszą niż każda inna dama. Mój brat będzie się musiał w końcu ożenić, a lady Penelope to bogata dziedziczka. Może uzna taki ożenek za praktyczny.

– Doprawdy? – Artemis ściągnęła brwi, obserwując, jak książę przysłuchuje się Penelope z głową wspartą na dłoni. Poruszył się niespokojnie i czerwony kamień w jego sygnecie zapłonął, chwytając światło. Wydawał się znudzony. – Nie wygląda na szczególnie zainteresowanego.

– Maximusa interesuje wyłącznie polityka i osobista wojna z producentami ginu – odparła Phoebe, zbyt inteligentnie jak na swój wiek. – Nie sądzę, żeby został mu choćby kawałek serca, który mógłby zaoferować damie.

Artemis zadrżała.

– Zastanawiam się, czy lady Penelope zdaje sobie z tego sprawę.

Phoebe odwróciła lekko głowę w stronę swej rozmówczyni i powiedziała ze smutkiem w głosie:

– A czy miałoby to dla niej znaczenie? Chodzi jej przecież o tytuł brata, nie o

niego samego.

– Cóż, masz zapewne rację – odparła Artemis z wolna. Jakież to jednak smutne, pomyślała.

Lady Penelope pochyliła się z uwodzicielskim uśmiechem, dotknęła lekko rękawa księcia i odwróciła się ku drzwiom.

Artemis wiedziała, że kuzynka zwykła żegnać w ten sposób przystojnych dżentelmenów, wstała zatem, przyciskając do piersi Bon Bon.

– Niestety, muszę już iść, lecz miło było z tobą pogawędzić, Phoebe.

Młoda kobieta uśmiechnęła się leciutko.

– Przyjemnego oglądania.

Artemis ruszyła pospiesznie ku drzwiom, aby dogonić Penelope.

– Widziałas, z jaką uwagą księżę przysłuchiwał się temu, co mówiłam? – syknęła lady Penelope, kiedy Artemis się z nią zrównała.

– O, tak – odparła ta ostatnia, nie do końca szczerze.

– Myślę, że dobrze mi poszło, nawet bardzo dobrze – zauważyła Penelope, nie kryjąc satysfakcji.

– Cieszę się. – Penelope w dobrym nastroju była bardziej skłonna spełnić prośbę, Artemis chrząknęła więc delikatnie i zapytała:

– Jak sądzisz, mogłabym mieć wolne w piątek rano?

Penelope ściągnęła brwi.

– A po co?

Artemis przełknęła ślinę.

– To dzień wizyt.

– Powiedziałam ci już, że powinnaś po prostu o nim zapomnieć – zganiała ją kuzynka.

Artemis milczała, ponieważ nic, co mogłaby powiedzieć, nie przysłużyłoby się jej sprawie – wiedziała o tym z doświadczenia.

Kuzynka westchnęła wreszcie ciężko i powiedziała:

– No, dobrze.

– Dziękuję...

Lecz Penelope wróciła już myślami do ulubionego tematu: siebie.

– Zauważyłam, że Jego Miłość zerknął co najmniej raz na mój dekolt. Przynajmniej w tym panna Royle nie jest w stanie ze mną konkurować. Jest płaska jak chłopiec.

Artemis ściągnęła brwi.

– Nie wiedziałam, że panna Royle staje do zawodów.

– Nie bądź naiwna, kuzynko – odparła Penelope, wchodząc do loży. – Każda

kobieta, która ma choćby cień szansy na sukces, stara się zwrócić na siebie uwagę księcia Wakefielda. Na szczęście jest nas doprawdy niewiele.

Penelope opadła na wyściełane czerwonym aksamitem krzesło akurat w chwili, kiedy uniosła się kurtyna. Artemis zajęła miejsce obok. Pierwszy akt sztuki był całkiem zabawny – nie wspominając już o tym, że pełen dwuznaczności – toteż nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć, jak panna Goodfellow poradzi sobie w słownym pojedynku z męskimi aktorami.

Penelope poruszyła się niespokojnie, spojrzała na podłogę, a potem na stolik pomiędzy krzesłami.

– Do licha!

– O co chodzi? – wyszeptała Artemis. Orkiestra zaczęła właśnie przygrywać.

– Zapodziałam gdzieś wachlarz. – Penelope podniosła wzrok, ściągając brwi.

– Musiałam zostawić go w łoży księcia. Fatalnie, gdyby nie to, że drugi akt już się rozpoczął, mogłabym wrócić i spędzić z księciem więcej czasu. – Wzruszyła ramionami. – Będziesz musiała po niego pójść.

– Oczywiście – odparła Artemis, wzdychając w duchu.

Ostrożnie położyła Bon Bon na swoim krześle i wyszła na korytarz. Tym razem nie było tam nikogo, uniosła zatem spódnice i pobiegła ku łoży księcia. Pod drzwiami przystanęła, by uspokoić oddech i poprawić włosy. Drzwi nie były całkowicie zamknięte, usłyszała więc mimo woli, o czym rozmawiano.

– ...musi należeć do lady Penelope. Jest o wiele zbyt kosztowny, by mógł stanowić własność Artemis – mówiła właśnie panna Picklewood.

– Kogo? – zapytał książę, ewidentnie znudzony.

– Artemis Greaves – powtórzyła panna Picklewood. – Daj spokój, Maximusie, musiałeś zauważyć, że lady Penelope ma towarzyszkę.

Artemis położyła dłoń na drzwiach, gotowa pchnąć je i otworzyć.

– Masz na myśli to niewidoczne kobieciątko, które podąża za nią wszędzie niczym blade widmo?

Głęboki, męski głos księcia zdawał się przenikać Artemis na wylot. Zauważyła bezwiednie, że jej palce drżą. Zwinęła dłoń w pięść i opuściła ją.

– Maximusie! – zganiła księcia panna Picklewood, zaszokowana.

– Musisz przyznać, że to właściwy opis – odparł zniecierpliwiony książę. – I nie myśl sobie, że będę obwiniać się o to, że nie pamiętam nazwiska kobiety, która robi wszystko, co możliwe, by wtopić się w tło.

– Artemis jest moją przyjaciółką – powiedziała Phoebe tonem bardzo stanowczym jak na tak młodą osobę.

Artemis zaczerpnęła powietrza, po czym wycofała się ostrożnie, po cichu,

spod drzwi. Nawiedziła ją bowiem okropna wizja, że drzwi otwierają się same i wszyscy widzą, jak stoi za nimi i podsłuchuje.

Obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do łoży Penelope. Miłe słowa Phoebe powinny były zaleczyć ranę, jaką księżę zadał tak beztrosko jej dumie. Nie znał jej i nie chciał poznać. To, co mężczyzna taki jak on myśli o kobiecie takiej jak ona, nie powinno sprawiać jej różnicy.

Nieważne jednak, jak stanowczo to sobie powtarzała, strzała jego słów tkwiła wbita głęboko w jej krwawiącą pierś.

A Artemis nadal trzęsła się z gniewu.

* * *

Jak na kogoś, kto szczyił się swoją inteligencją, zorientowanie się, dlaczego Megs chciała porozmawiać z wicehrabią, zajęło mu stanowczo zbyt dużo czasu. Dopiero gdy znaleźli się w łoży księcia, a dziewczyna pochyliła się, sądząc, że Godric tego nie widzi, ku wicehrabiemu i powiedziała: „Musi panu bardzo brakować Rogera Fraser-Burnsby’ego”, Godrica olśniło.

D’Arque był najlepszym przyjacielem ukochanego Megs. I to podczas balu u d’Arque’a powiadomiono ich o tym, że Roger został zamordowany. Megs starała się uzyskać od wicehrabiego informacje, a nie wziąć go sobie na kochanka.

Gdy tylko to sobie uświadomił, jego zazdrość zniknęła i mógł znowu rozsądnie myśleć. D’Arque był nie tylko przyjacielem Rogera, lecz także jednym z mężczyzn wymienionych przez Wintera Makepeace’a.

Jednym z tych, którzy mogli stać za porywaczami dziewcząt.

Gdy opuścili zatem łożę księcia, Godric zwrócił się do d’Arque’a, ignorując obawę widoczną w oczach Megs oraz badawcze spojrzenie Readinga, i zaprosił go do swojej łoży.

Z satysfakcją zauważył zaskoczenie na twarzy wicehrabiego. Ten przyjął jednak zaproszenie i tak oto Godric siedział teraz pomiędzy dwoma mężczyznami, których lubił najmniej na świecie.

Rozpoczął się drugi akt i panie zwróciły twarze w kierunku sceny.

D’Arque odczekał chwilę, a potem mruknął pod nosem:

– Zdziwiał mnie twoja uprzejmość, St. John. Mam spodziewać się ciosu sztyletem pod żebra?

Godric odwrócił się ku wicehrabiemu z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Może i rozumiał, że Megs pragnęła uzyskać od niego wyłącznie

informacje, nie sprawiło to jednak, iż wybaczył mu fakt, że otwarcie z nią flirtował.

– A zasługujesz na to, d’Arque?

Słyszając to, Griffin westchnął ciężko, a potem wycodził przez zęby:

– Z pewnością tak właśnie jest, St. John, nie chciałbyś jednak, by panie zobaczyły, że łoża zalana jest krwią.

Fala śmiechu przetoczyła się przez salę – najwidoczniej aktorzy powiedzieli albo zrobili coś zabawnego.

– Prawdę mówiąc, chciałbym się dowiedzieć, co powiedziałeś mojej żonie o Fraser-Burnsbym.

D’Arque zeszywniał.

– Prawdę: że Roger był moim bliskim przyjacielem.

Godric skinął głową.

– Wiesz cokolwiek o jego śmierci?

Wicehrabia zmrużył oczy. Był notorycznym uwodzicielem, spędzającym dnie – i noce – na uganianiu się za kobietami, Godric nie uważał go jednak za głupca. Przez chwilę oczekiwał, że wicehrabia zapyta, dlaczego interesuje go śmierć Fraser-Burnsby’ego, lecz w końcu d’Arque wzruszył jedynie ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że zabił go Duch St. Giles.

Godric poczuł, że lord Griffin zerka na niego spod oka.

– Tylko że to nieprawda.

– Skąd o tym wiesz, St. John? – Słowa wicehrabiego zabrzmiały drwiąco, lecz w jego oczach zabłyśła ciekawość.

– Po prostu wiem – odparł Godric cicho. – Ktoś zamordował biedaka i zrzucił winę na kozła ofiarnego: Ducha St. Giles.

– Nawet jeśli tak było – odparł d’Arque szeptem – co ma to wspólnego z pańską żoną?

Griffin zaczerpnął powietrza, jakby zamierzał coś wtrącić, lecz Godric był szybszy.

– Bardzo lubiła Fraser-Burnsby’ego. Obawiam się, że postawiła sobie za cel znaleźć jego zabójcę.

– Co takiego? – wykrzyknął Reading na tyle głośno, że panie odwróciły się, zaintrygowane. Na szczęście na scenie akurat dużo się działo, zrezygnowały więc z bliższych dociekań. Godric odczekał chwilę, aby mieć pewność, że sztuka przyciągnęła na dobre ich uwagę, a potem spojrział na Readinga.

– Nie wątpię, że wiedziałby pan o tym, gdyby zapytał pan siostrę, dlaczego wróciła do Londynu.

Twarz Readinga pociemniała.

– Moje stosunki z Megs to nie pańska sprawa...

– Błąd – wytknął mu Godric. – Mam prawo w nie wnikać, odkąd podpisał pan ugodę małżeńską.

– Fascynująca dyskusja, panowie – wtrącił d'Arque spokojnie – lecz bardziej interesuje mnie śmierć mojego przyjaciela. Kto, jeśli nie Duch, zabił Rogera?

– Nie wiem – odparł Godric.

Wicehrabia odchylił się na krześle i potarł dłonią szczękę. Na scenie damski głos zaintonował sprośną piosenkę.

D'Arque spojrział w końcu na Godrica.

– Jeśli pańska ocena jest słuszna – a nie jestem o tym jeszcze przekonany – zabójstwo Rogera nie było przypadkowe ani nie zdarzyło się podczas rabunku. Ktoś go zamordował, a potem próbował to zamaskować.

Godric przytaknął.

– Lecz to po prostu niemożliwe – zauważył d'Arque powoli, jakby mówił do siebie. – Roger nie miał wrogów. Wszyscy go lubili – i to od czasu, kiedy byliśmy w szkole. Wystarczyło, że uśmiechnął się do jakiegoś brutalnego osiłka i nagle byli już najlepszymi kumplami. Naprawdę nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby go zabić.

– Nie było świadków? – zapytał Reading.

D'Arque zerknął na niego z ukosa.

– Był, lokaj. To on przyszedł powiadomić nas podczas balu, że Roger nie żyje.

– Przepytałiście go? – zapytał Godric.

– Krótko. – Wicehrabia się zawahał. – Nazywał się Harris. Zniknął niedługo po śmierci Rogera. Pamiętam, że kazał przesłać sobie rzeczy do gospody Pod Jednorogim Kozłem w St. Giles.

– To on doniósł, że mordercą jest Duch? – zapytał Reading.

D'Arque przytaknął.

– Może został przekupiony – mruknął Reading.

Godric pochylił się na krześle.

– Długo służył u Fraser-Burnsby'ego?

– Nie. – D'Arque potrząsnął z wolna głową, zaciskając szczęki. – Roger zatrudnił go na miesiąc przed śmiercią.

Zamilkli, rozważając oczywisty wniosek.

– Do diaska! – zaklął cicho d'Arque. – Miesiącami szukałem zabójcy Rogera, ale nie przyszło mi do głowy, że może nim być ktoś inny niż Duch St. Giles.

Zabrzmiało to szczerze, lecz Godric widywał już żebraków, płaczących rzewnymi łzami z powodu chorych nóg – na chwilę przed porwaniem komuś sakiewki i rączą ucieczką.

– A co z waszym przyjacielem Seymourem? – zapytał wicehrabiego. – Czy on także zginął w St. Giles?

Reading zaczął coś mówić, lecz zamilkł. D'Arque zmrużył czujnie oczy.

– Co ma to wspólnego ze śmiercią Rogera?

Godric wzruszył ramionami, ponieważ nie mógł ujawnić, co wie na temat śmierci Seymoura. Wicehrabia usiadł wygodniej, wpatrując się w scenę, choć Godric wątpił, by widział cokolwiek z tego, co się tam działo.

– Byliśmy wszyscy przyjaciółmi: Kershaw, Seymour, Roger i ja. Kershaw i Seymour pomagali mi szukać Ducha, zanim... zanim Seymour został zabity w tak niedogodnym momencie.

Zadrgały mu powieki i Godric to zauważył. Winter poinformował go, że d'Arque wiedział o zaangażowaniu Seymoura w interes z porywaniem dziewcząt i pomógł ukryć, co się naprawdę stało, ze względu na wdowę po przyjacielu.

Makepeace sądził chyba, że wicehrabia nie miał nic wspólnego z porywaczami i nielegalną fabryczką, lecz Godric postanowił wstrzymać się z osądem. W końcu gdyby to d'Arque był współnikiem Seymoura, postąpiłby sprytnie, przyczajając się, aby przekonać Makepeace'a, że udało mu się oczyścić St. Giles i pozbyć porywaczy.

A kiedy sprawa nieco przycichła, mógł wznowić działalność.

– To dziwne – zauważył cicho – że dwaj pańscy przyjaciele zginęli w St. Giles.

D'Arque zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał.

– Proszę nie sądzić, że o tym nie pomyślałem, nie widzę jednak związku pomiędzy zabójstwami. – Odwrócił się i spojrzał na Godrica. – Żadnego.

Publiczność wydała zbiorowy okrzyk zachwyty i wstała, klaszcząc. Godric popatrzył na żonę, wymieniającą z lady Hero jakieś kobiece sekrety. Przedstawienie najwidoczniej dobiegło końca.

Wicehrabia chwycił go za ramię. Godric spojrzał na dłoń na swoim rękawie, po czym D'Arque puścił go z miną wyrażającą chyba zakłopotanie.

– Chciałbym, byśmy jeszcze o tym porozmawiali.

– Proszę się nie martwić. – Godric wstał, obserwując, jak Megs odwraca się i uśmiecha do niego. Wspaniała i pełna życia, była wszystkim, czym nie był on. Wszystkim, co należało chronić. – Na pewno wkrótce porozmawiamy.

Rozdział 10

- *Trzymaj się mocno – burknął Hellequin, prowadząc wielkiego czarnego konia ku odległemu brzegowi.*
- *Troszczysz się o mnie? – spytała Faith, nachylając się ku jeźdźcowi.*
 - *Nie posłużyłoby ci, gdybyś wpadła do Rzeki Smutku.*
 - *Dlaczego to?*
- *Wody wzięłyby cię za samobójczynię i spędziłybyś wieczność, tonąc. Wielki czarny koń poderwał się i wydostał z atramentowoczarnej wody, a kiedy to robił, Faith wepchnęła Rozpacz do rzeki...*
 - *z Legendy o Hellequinie*

Megs skubała nerwowo troczki szlafroka. Stała samotnie w swoim pokoju – cóż, nie licząc Księżniczki i trojga jej szczeniąt, śpiących pod łóżkiem. Wrócili do domu, milcząc niemal przez całą drogę. Gdyby nie znała swego męża lepiej, mogłaby pomyśleć, że denerwuje się on tym, co miało wkrótce nastąpić, nie mniej niż ona.

Ale to byłoby niemądre, prawda? Był mężczyzną. Nawet jeżeli z początku odepchnął ją ze względu na pamięć o zmarłej żonie, musiał, jako mężczyzna, traktować akt małżeński bardziej niefrasobliwie niż kobieta. Bo inaczej dlaczego miałby zmienić zdanie w tej kwestii?

Przygryzła wargi, obawiając się, że okłamuje samą siebie. Odkąd przybyła do Londynu, nie zauważyła, by Godric zachowywał się niefrasobliwie w jakiegokolwiek sprawie. Musiał mieć powód – starannie przemyślany powód – żeby się do niej zbliżyć. Do licha! Powinna była przepytąć go dokładniej tego popołudnia w ogrodzie, zamiast tak dalece poddać się radości i podnieceniu, że niemal straciła zdolność myślenia. Czuła, że jakimikolwiek kierował się powodami, powinna je zrozumieć – zrozumieć jego. Po dzisiejszej nocy będzie jej mężem nie tylko na papierze. Była mu winna przynajmniej tyle, by zastanowić się nad jego motywami. Postanowiła, że nie będzie czuła wyrzutów sumienia. Był jej mężem, więc to, co zamierzali zrobić, było legalną – i naturalną – konsekwencją małżeństwa.

Nawet jeżeli do zawarcia tego związku zmuszono go szantażem.

Westchnęła ciężko i spojrzała na zegar z różowej porcelany, stojący na toaletce. Było już dobrze po północy i od ich powrotu minęła prawie godzina. Czyżby Godric zapomniał?

A może zasnął?

Podeszła na palcach do drzwi łączących pokoje. Jeżeli zasnął, będzie musiała, do licha, go obudzić!

Drzwi się otworzyły i Megs zatrzymała się raptownie, mrugając z zaskoczenia.

Przez chwilę Godric wydawał się równie zaskoczony tym, że natknął się na Megs. Miał na sobie szlafrok, pod spodem nocną koszulę, a na nogach te śmieszne haftowane pantofle.

Megs powstrzymała nagłą – i jakże niestosowną – chęć, by się roześmiać.

Godric zamknął za sobą drzwi.

– Pomyślałem... – zamilkł, a potem kontynuował, zmarszczywszy brwi: – To znaczy chciałbym porozmawiać z tobą, zanim... – Chrząknął i zabrzmiało to niczym odległy głos gromu. – Chodź.

Wyciągnął rękę o długich, eleganckich palcach. Megs przełknęła nerwowo ślinę. Chyba nie zmienił zdania?

– Megs. – Jego oczy, czyste i spokojne, spoglądały na nią uważnie.

Przypomniała sobie dotyk jego ust, gorących i pożądlivych, na swojej piersi. Spłonęła rumieńcem i podała mu dłoń. Pociągnął ją z lekka ku krzesłom przy drzwiach. Usiadła, złożyłwszy skromnie dłonie na podółku, i spojrzała na niego.

– Jeśli to zrobię...

Spochmurniała, zginając palce.

– Kiedy to zrobimy – poprawił się. – Chciałbym, byś mi coś obiecała.

– Cokolwiek zechcesz – odparła bez zastanowienia.

Twarz miał poważną, a ją tak bardzo zaabsorbowało obserwowanie, jak długie rzęsy ocieniają mu policzki, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Kiedy upewnisz się, że jesteś przy nadziei, wyjedziesz z Londynu. Wrócisz do Laurelwood i tam zostaniesz.

Otworzyła usta, gotowa zaprotestować. To było niemądre. Posługiwała się nim jak... ogierem, a jednak poczuła się zraniona.

– Chcesz, żebym wyjechała?

– Chcę, żebyś była bezpieczna.

– A będę bardziej bezpieczna w Laurelwood? – I nagle zrozumiała. – Nie chcesz, żebym szukała mordercy Rogera.

Zacisnął szczęki, aż zagrały na nich mięśnie.

– Tak.

Wyprostowała się.

– Nie możesz mnie powstrzymać – odparła gniewnie.

Zacisnął wargi.

– Rzeczywiście. Lecz mogę powstrzymać siebie przed pójściem z tobą do łóżka, jeżeli nie zgodzisz się na moje warunki.

Dziecko lub sprawiedliwość dla Rogera... nie chciała dokonywać takiego wyboru. Potrzebowała jednego i drugiego.

Wstała gwałtownie, rozglądając się po sypialni i zastanawiając gorączkowo, jak go przekonać. Godric zwykł postępować zgodnie z logiką, ale potrafił też czuć, i to głęboko. Jego miłość do zmarłej żony stanowiła tu doskonałe świadectwo. Spojrzała na niego.

– Gdyby chodziło o twoją Clare, poddałbyś się i nie szukał jej zabójcy?

Zacisnął wargi.

– Oczywiście, że bym się nie poddał, lecz jestem mężczyzną...

– A ja kobietą. – Rozłożyła szeroko ramiona, aby przekonać go o sile swych uczuć. – Nie waż się cenić mojej miłości mniej z powodu płci. Kochałam Rogera całym sercem. Gdy umarł, o mało nie umarłam wraz z nim. Mam prawo szukać jego zabójcy. Dopilnować, by został pomszczony. I nie przestanę, póki tego nie osiągnę. Proszę, nie próbuj mnie zniechęcić, ponieważ nie zamierzam w tej sprawie ustąpić.

Przyglądał się jej, milcząc, tak długo, iż zaczęła się obawiać, że zostawi ją i po prostu wyjdzie. W końcu westchnął jednak tylko i powiedział:

– Doskonale. Będziemy starali się począć dziecko, a ty będziesz kontynuowała poszukiwania mordercy Fraser-Burnsby'ego.

– Ale...? – zawiesiła głos, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Gdy tylko upewnisz się, że nosisz dziecko – moje dziecko – wyjedziesz z Londynu bez względu na to, czy uda ci się do tego czasu znaleźć mordercę.

Przygryzła wargę, rozmyślając. Nie było to dokładnie to, na czym jej zależało, wiedziała jednak, że Godric może jej odmówić. Lepiej było pójść na kompromis.

Musi po prostu bardziej się starać i jak najszybciej znaleźć zabójcę.

Uniosła wyżej brodę i wyciągnęła rękę.

– Zgoda.

Ujął jej dłoń i poważnie ją uścisnął, uśmiechając się kątem ust.

– Pozwolisz, abym przynajmniej pomógł ci w poszukiwaniach? Jeździł za ciebie do St. Giles?

Zaczerpnęła powietrza, dziwnie poruszona.

– Oczywiście.

Pochylił głowę, nadal trzymając w uścisku jej dłoń.

– Doskonale. Będę pomagał ci znaleźć mordercę Fraser-Burnsby’ego, dopóki pozostaniesz w Londynie, i będę odwiedzał co noc twoje łóżko. Ty zaś opuścisz ten dom i Londyn i udasz się do mojej wiejskiej posiadłości, gdzie będziesz bezpieczna, gdy tylko cię zapłodnię. Czy tak?

– Tak.

– Ale Megs...

– Hm? – Wzmianka o łóżku i każdej nocy sprawiła, że nagle trudno jej się było skupić.

– Zastrzegam sobie prawo do wznowienia tej rozmowy – powiedział cicho. – Może się okazać, że sytuacja wymusi na nas zmianę umowy albo znajdziemy lepsze rozwiązanie.

Powinna była zaprotestować, ponieważ nie grał fair – ustalili już w końcu warunki. Lecz jego dłoń była tak silna i ciepła, długie, eleganckie palce otulały jej palce, a łóżko było tuż obok.

Czekała na tę chwilę, odkąd przyjechała do Londynu.

Skinęła więc tylko głową.

– Dobrze, skoro nalegasz.

– Nalegam – wyszeptał, a potem pociągnął ją ku sobie.

Nagle była już tak blisko, wpatrując się w bijący na jego szyi puls. Przełknęła ślinę, otworzyła usta...

A on pochylił głowę i pocałował ją. To nie był taki pocałunek jak tamten w St. Giles, namiętny i pełen gniewu. Ten był delikatny, niemal niewinny, jakby pytał ją wargami: Czy właśnie tego chcesz? Mnie? Przez chwilę nie była w stanie myśleć. To nie jego pragnęła, ale Rogera. To on był miłością jej życia. To jemu z radością oddała dziewictwo. I niemal umarła, oplakując go.

Lecz wargi Godrica były powolne, przekonujące. Poruszały się na jej ustach niemal z zaciekawieniem, jakby była nowym, nieznanym stworzeniem. Czymś obcym i cennym. Przesunął dłońmi po ramionach Megs, a potem po barkach, by po chwili objąć jej twarz. Przechylił głowę i zaczął lizać jej dolną wargę. Westchnęła, otwierając usta, a on natychmiast skorzystał z zaproszenia i wślizgnął się do środka – nie natrętnie, lecz jakby mimo woli, dotykając jej zębów, a potem języka w słodkim powitaniu. I nagle było już tego zbyt wiele.

Odsunęła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Pierś jej falowała – o wiele szybciej, niż powinna.

– O co chodzi? – zapytał powoli, ochryple.

Przełknęła ślinę.

– O nic. Ja tylko... – Przygryzła wargę. – Musimy się całować?

Uniósł brwi.

– Nie, jeśli tego nie lubisz.

– Nie chodzi o to... – Potrząsnęła głową, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że nie chce myśleć o nim, gdy będą to robili. I że chce, aby było z nią w łóżku po prostu męskie ciało, nie konkretny mężczyzna. Nie Godric.

Jego twarz zamknęła się przed nią, stała się chłodna i nieobecna.

– Nie musimy robić tego dzisiaj.

– Nie – zaprotestowała drżącym głosem. – Miałam na myśli...

Westchnęła, rozpaczliwie starając się zapanować nad emocjami. Czuła, że właśnie coś zniszczyła, lecz jeśli pozwoli mu odejść, mogą już nigdy tego nie zrobić.

Otworzyła więc oczy i spojrzała na niego błagalnie.

– Proszę. Chcę, żeby to było teraz.

Przyglądał się jej przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem skinął powoli głową.

– Doskonale.

Wskazał gestem łóżko, a ona na wpół świadomie zdjęła szlafrok i się położyła. Zadrzała, kiedy jej gołe nogi dotknęły zimnych prześcieradeł.

Godric także zdjął szlafrok, a potem pantofle i spytał, ubrany jedynie w nocną koszulę:

– Mam zgasić świece?

Skinęła z wdzięcznością głową.

– Tak, proszę.

Nie odezwał się już, zdmuchnął tylko świece: jedną na toalecie i drugą przy łóżku. Ogień na kominku wygaszono przed nocą i żarzące się węgle nie dawały zbyt wiele światła. Megs usłyszała, że Godric unosi kłodrę, poczuła, jak kładzie się obok niej.

Znieruchomiała z napięcia, a potem poczuła jego dotyk, pewny, lecz delikatny. Teraz nie mogła się już wycofać.

Próbowała myśleć o Rogerze, zobaczyć jego drogą twarz, lecz Godric przesunął dłonią wzdłuż jej boku, rozpraszając ją, sprawiając, że Roger zniknął niczym odbicie w stawie, gdy zmaści się wodę. Godric zawisł nad nią, wsparty na łokciu, i przyszło jej na myśl, że gdyby był to inny mężczyzna, mogłaby poczuć

lęk.

Lecz to był Godric.

Poczuła na twarzy jego oddech, kiedy pochylił się z dłonią na jej biodrze. Popieścił je chwilę przez delikatny materiał koszuli, a potem przesunął z wolna dłoń w dół, wzdłuż nóg Megs: powoli, ostrożnie. Było to słodkie i delikatne – i nie powinno jej rozbudzić.

Oddychała jednak zdecydowanie zbyt szybko. Może jest z natury rozpustna, pomyślała. Może po tym, jak spróbowała cielesnych przyjemności, uzależniła się od nich bezwiednie i teraz nawet bezosobowy dotyk był w stanie rozpalić w niej dawno zapomniany płomień.

Mężczyzna nie wydawał się szczególnie poruszony. Oddychał miarowo i spokojnie. Ujął skraj koszuli Megs i zadarł ją, obnażając jej kolana, uda i trójkąt Wenerę. Położył skraj koszuli na brzuchu Megs, a potem znów zsunął dłoń na jej, nagie teraz, kolano. Pozostała tam, duża i ciepła, i Megs musiała przygryźć wargi, żeby nie dobył się spomiędzy nich żaden dźwięk.

Jego oddech nie był już tak spokojny – dzięki ci, Boże, choć za to! Przesuwał czubkami palców po wewnętrznej stronie jej kolana – powoli, bardzo powoli – zmierzając ku zwieńczeniu jej ud. Rozsunęła nogi, dając mu lepszy dostęp, zapraszając te wprawne palce, aby dotknęły centrum jej kobiecości, ale on cofnął dłoń i jął delikatnie gładzić jej pachwinę.

Nachylił się ku Megs i domyśliła się, że zamierzał ją pocałować. W tym samym momencie przypomniał sobie jednak, że jego żona sobie tego nie życzy, i się wycofał. Teraz to ona chciała przyciągnąć go bliżej, przywrzeć wargami do jego ust i powiedzieć, że się myliła, że pragnie jego pocałunków. Otwarłoby to jednak drogę myślom, emocjom, którymi nie chciała się teraz zajmować. Byli tu razem po to, by spłodzić dziecko. I tylko po to.

Jego palce gładziły teraz jej włosy łonowe, muskając delikatnie i zbliżając się nieuchronnie do fałdek poniżej. Odwróciła głowę, wpatrując się w kominek i próbując zapanować nad emocjami. Chciała dotknąć Godrica, poczuć ciepło, serce bijące tuż przy jej sercu, zdecydowała już wszakże, że akt ma pozostać bezosobowy. Nie byłoby dobrze, gdyby zmieniła zdanie akurat teraz, kiedy nie mogła myśleć jasno.

A potem dotknął jej tam i wszelka myśl uleciała jej z głowy. Jego palce wślizgnęły się w nią, do miejsca, gdzie byli tylko ona i Roger. Powinna poczuć się zniewolona, lecz, dzięki Bogu, tak nie było.

Nie było.

Wezbrał w niej szloch, niemożliwy do powstrzymania, uciszenia. Wepchnęła

sobie do ust pięść, bojąc się, że się rozplącze i zniszczy tę intymną chwilę.

Godric musnął najwrażliwszy kawałek jej ciała i Megs szarpnęła się, jakby ją dźgnął. Chciała... więcej. Chciała przywrzeć do niego, jęczeć, głośno i swobodnie, ująć jego dłoń i skłonić go, by dotknął jej bardziej stanowczo. Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy, ponieważ była damą, która poprosiła go o niewyobrażalną przysługę, i jeśli on był dżentelmenem na tyle, by spełnić jej życzenie, mogła znieść to przynajmniej z godnością i opanowaniem.

Nawet gdyby miało ją to zabić.

Nadal pieścił ją tymi delikatnymi, nieubłaganymi muśnięciami i czuła, że zaczyna nabrzmiewać, wypełniać się płynną przyjemnością, żarem, pulsującym w łądźwiach. Czuła to już wcześniej, wiedziała, do czego to prowadzi.

Chwyliła go za nadgarstek, a odgłos, jaki wydobył się przy tym z jej piersi, przypominał skomlenie.

– Ciii... – wyszeptał. – Już dobrze, wszystko w porządku. Pozwól mi...

– Nie – westchnęła. – Proszę, nie.

– Megs – szepnęła zaniepokojony.

Nie była w stanie odpowiedzieć, mogła jedynie ciągnąć go za nadgarstek, wskazując bez słowa, o co jej chodzi. Zlitował się i wsunął na nią.

Puściła go wtedy i rozsunęła nogi, by mógł się pomiędzy nie wcisnąć. Zadarł koszulę i poczuła ciepło jego obnażonych nóg, delikatnie szorstki dotyk włosów na ciele. Tak intymnie. Tak blisko. Coś, drobny metalowy przedmiot, opadło pomiędzy jej piersi – ewidentnie jakiś rodzaj wisiora, który musiał mieć zawieszony na szyi. Ciekawe, co to takiego – pomyślała, a potem przestała myśleć w ogóle.

Główka jego penisa napała na wejście w głąb jej ciała.

Zacisnęła zęby, bezwiednie tężejąc.

Wyszeptał coś uspokajająco, a potem przesunął członek pomiędzy fałdkami jej płci, zwilżając go. Drażniąc się z nią.

Miała ochotę powiedzieć mu, by włożył go wreszcie do środka. Zrobił, co trzeba, i się wycofał, by mogła odzyskać równowagę. Lecz on się nie spieszył, pocierając członkiem jej wrażliwe miejsca. Słyszała ciche, wilgotne odgłosy, czuła dreszcz przyjemności za każdym razem, kiedy się zbliżał. Nim przyjął w końcu właściwą pozycję i zaczął pchać, drżała już, powstrzymując się przed przekroczeniem granicy, za którą czyhała rozkosz. Wsuwał się w nią dręcząco powoli, wypełniając z każdym ruchem coraz bardziej. Zachowywał się, jakby była dziewczyną.

Jeśli dalej będzie to robił, doprowadzi ją do szaleństwa.

Nie tego chciała, nie tego potrzebowała. Nie prosiła o czułe, delikatne kochanie się.

Zależało jej tylko na nasieniu.

Kiedy myślała już, że dłużej nie wytrzyma, pchnął mocniej i uderzył biodrami o jej biodra. Pozostał tak przez chwilę, napierając pierśią na jej piersi. Kołysał się, ślizgając w niej bez słowa i oddychając ciężko w ciemności. Zaczęła się zastanawiać, jak też wygląda teraz jego twarz.

Czy nienawidził jej, ponieważ skłoniła go, by to zrobił?

Nie mogła go dotknąć – zabroniła sobie tej przyjemności – zacisnęła więc dłonie na poduszce, wbijając w nią paznokcie.

A jego twardy penis nadal ją atakował, wsuwając się i wysuwając, żądając czegoś bez słów. Żądając tego, czego postanowiła sobie odmówić.

Kiedy wstrzymał oddech i przyspieszył ruchy, wciskając ją w materac, przełknęła ślinę, wyęzając w ciemności wzrok. A gdy nagle znieruchomiał, zanurzony głęboko w jej pulsującym ciele, zespolony z nią z niemal zwierzęcą intensywnością, zapragnęła... czegoś więcej.

Dostała jednak tylko to, o co poprosiła.

Jego nasienie.

* * *

Godric zsunął się z Megs i przewrócił na bok. Chciał zostać, może ją przytulić i gdyby mu pozwoliła, pocałować. Dała mu jednak jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie tego rodzaju emocji, a nie był przecież niedoświadczonym młokosem.

Wstał zatem, otulił ją kołdrą, a kiedy mruknęła pytająco, powiedział:

– Dobranoc.

Odwrócił się, wymacał w ciemności szlafrok oraz pantofle i wyszedł.

Zostawił w swojej sypialni zapaloną świecę i widok światła go ucieszył. Pomogło mu wyrwać się z intymnej ciemności, przypominając, kim jest.

I kim jest ona.

Podszedł bezwiednie do toaletki. Palce nie drżały mu, kiedy umieszczał klucz w zamku, i był z tego dumny.

Otworzył emaliowaną szkatułkę. Pasma włosów leżały tam, takie same jak zwykle. Wyciągnął rękę, aby ich dotknąć, i przekonał się, że nie jest w stanie tego zrobić. Jego palce były nadal wilgotne od dotyku skóry Megs.

– Wybacz mi – wyszeptał do Clary.

W tej chwili nie był w stanie przypomnieć sobie jej twarzy, śmiechu, ciepłego spojrzenia. Przemawiał do pustego powietrza.

Chwycił brzeg szuflady. Twarde drewno wbijało mu się boleśnie w dłoń, mimo to nadal nie potrafił przywołać Clary.

Poczuł, że ją stracił i został sam.

Zaczerpnął drżącego oddechu i grzebał przez chwilę wśród rozrzuconych listów, dopóki nie znalazł tego, którego szukał.

2 listopada 1739

Drogi Godricu!

Dziękuję za pieniądze, które mi przesłałeś. Kazałam naprawić dach i teraz we wschodnim skrzydle prawie już nie przecieka! Został tylko jeden uparty przeciek w pokoiku obok biblioteki. Nie jestem pewna, czemu służyło to pomieszczenie, choć Battlefield poinformował mnie, że poprzednia pani domu była tam przetrzymywana po tym, jak jej mąż zakochał się w swoim zarządcy (mężczyźnie!). Wiesz jednak, że Battlefield lubi opowiadać anegdotki.

Zjedliśmy w zeszłym tygodniu ostatnie maliny i krzewy zostały wycięte. Wszystko, co ponad gruntem, zniszczył mróz – wszystko poza czerwoną kapustą, za którą jakoś nigdy nie przepadałam. A ty? Muszę przyznać, że o tej porze roku często ogarnia mnie melancholia. Wszystko, co zielone, schowało się pod ziemię i zostały jedynie pokryte szronem drzewa z kilkoma zbrązowiałymi liśćmi – martwymi, a mimo to utrzymującymi się na gałęziach.

Co za okropne rzeczy opowiadam! Nie winiłabym cię, gdybyś jęknął pod nosem, znudzony moim marudzeniem. Obawiam się, że niezbyt zabawna ze mnie korespondentka.

Byłam wczoraj na herbatce na plebanii, odgrywając panią ze dworu, i zostałam poczęstowana, poza herbatą, bardzo pożywnymi ciastkami. Nie uwierzysz, lecz uraczono nas również czymś w rodzaju tarty z nadzieniem ze śliw daktylowych. Wyglądała bardzo ładnie, choć smakowała cokolwiek cierpko (podejrzewam, że śliwki nie były wystarczająco dojrzałe). Jak mi powiedziano, jest to specjalność żony pastora (nie mogłam więc zrobić nic innego, jak tylko dzielnie przełykać i się uśmiechać). Najmłodszy synek pastora, który przyszedł na świat przed zaledwie czterdziestoma dniami, został mi uroczyście zaprezentowany i choć wykazał się odwagą i nie zapłakał, oczy mi, nie wiedzieć czemu, zwilgotniały. Musiałam zaśmiać się i skłamać, że jakiś pyłek wpadł mi do oka.

Nie wiem, dlaczego Ci o tym piszę.

No i masz, znowu! Zboczyłam na wyjątkowo nudne terytorium. Powinnam zebrać się w sobie i poprawić. Obiecuję, że w przyszłości będę już tylko radosna!
Szczerze oddana
Megs

PS. Wypróbowałaś może tę herbatkę z imbiru, jęczmienia i anyżku, którą Ci poleciłam? Wiem, że wygląda odrażająco, ale pomoże na obolałe gardło, jestem tego pewna!

Postscriptum rozplynęło mu się przed oczami. Zamrugął mocno, wzdychając. To właśnie dla takiej Megs to zrobił: kobiety, która uważa, że starzy, zrzedliwi kamerdynerzy mogą mieć poczucie humoru, zjada placki z gorzkim nadzieniem, by sprawić przyjemność żonie miejscowego pastora, płacze na widok niemowlęcia i nie jest w stanie przyznać nawet przed sobą, dlaczego tak się dzieje.

Zasłużyła, by mieć własne dziecko. Będzie z pewnością cudowną matką: wyrozumiałą, czułą i kochającą.

Schował list z powrotem do szuflady, po czym zamknął ją na klucz.

Obiecał, że da jej dziecko i słowa dotrzyma.

Nieważne, ile go to będzie kosztować.

* * *

Megs obudziła się, gdy Daniels zaczęła wyjmować rzeczy z szafy. Zerknęła na okno i uświadomiła sobie, że musi być już dość późno, a kiedy się przeciągnęła, uświadomiła sobie coś jeszcze – że jej uda dziwnie się lepią.

Godric kochał się z nią w nocy.

Wiedziała, że twarz jej płonie. Mięśnie pomiędzy nogami poboływały ją, choć nie zaznała tego uczucia od lat. Pożałowała, że nie jest sama, by móc w spokoju zastanowić się nad zmianami, jakie zachodziły właśnie w jej życiu.

I w niej.

Na szczęście umysł Daniels zaprzętało coś zupełnie innego.

– Mamy gości, proszę pani.

Megs zamrugnęła. Niemożliwe, by było aż tak późno. Poza tym do tej pory nikt ich w Londynie nie odwiedzał. Nie była nawet pewna, czy salon został już wysprzątnany.

– Doprawdy?

– Tak, proszę pani. – Daniels ściągnęła brwi, przyjrzała się żółtej sukni z

brokatu i odwiesiła ją na powrót do szafy. – Trzy damy.

– Co takiego? – Megs pospiesznie usiadła. – Kim są?

– Krewnymi pana St. Johna, jak sędzę.

– Boże święty. – Megs wygramoliła się, odrobinę zirytowana, z łóżka. Dlaczego Godric nie wspomniał, że spodziewa się wizyty krewnych? Z drugiej strony, pomyślała, zważywszy, w jakim stanie był dom, gdy się tu zjawiły, mógł wcale o tym nie wiedzieć.

Boże święty, w rzeczy samej!

Umyła się pospiesznie, korzystając z ciepłej wody, którą służąca, odwrócona teraz dyskretnie plecami, zdążyła wnieść już na górę, a potem stała posłusznie, gdy Daniels z pomocą jednej z dziewczynek ubierała ją w dopasowaną różowo-czarną suknię. Suknia w żadnym razie nie była nowa i Megs zanotowała sobie w pamięci – kolejny raz – że naprawdę powinna odwiedzić londyńską krawcową.

Daniels cmoknęła z dezaprobatą, zajmując się włosami swej pani. Zwykle potrzeba było trzech kwadransów, by okiełznać sprężyste loki. Dziś udało jej się tego dokonać w dziesięć minut.

– Wystarczy – powiedziała Megs, starając się, aby zabrzmiało to spokojnie, choć myślała wyłącznie o tym, by zbiec po schodach, nim krewne Godrica odejdą, zaszokowane stanem, w jakim znajdował się dom. Dobre pokojówki niełatwo było jednak znaleźć – zwłaszcza takie, które zgodziłyby się pracować na prowincji, podziękowała więc Daniels uprzejmie.

Służąca prychnęła i odsunęła się, a Megs mogła wreszcie wyjść.

Na piętrze panował podejrzany spokój i Megs przygryzła wargi. Czyżby kobiety zdążyły opuścić już niegościnnie dom?

Lecz na parterze powitała ją pani Crumb, jak zwykle nieskazitelna.

– Dzień dobry pani. Ma pani gości. Czekają w salonie pierwiosnkowym.

Megs spojrzała na nią, oszołomiona. To w Saint House był salon pierwiosnkowy?

– Eee... który to pokój? – zapytała.

– Trzeci po lewej, tuż za biblioteką – odparła gospodyni bez mrugnięcia okiem.

– Ten z festonami pajęczyn, zwieszającymi się z sufitu? – spytała przerażona Megs.

– Ten sam – odparła pani Crumb, unosząc nieznacznie lewą brew.

– Hm. – Megs przygryzła wargę, wpatrując się w cokolwiek onieśmielającą gospodynię. – On chyba jeszcze...

Pani Crumb uniosła wyżej brew.

– Nie. Oczywiście, że nie. – Megs uśmiechnęła się z ulgą.

Gospodyni z powagą skinęła głową.

– Pozwoliłam sobie polecić, by kucharz przygotował herbatę oraz ciasteczka.

Megs znów o mało nie opadła szczęka.

– To mamy kucharza?

– W rzeczy samej, milady. Od szóstej rano.

– Jest pani ideałem, pani Crumb.

Wargi gospodyni uniosły się w kącikach. Bardzo, bardzo nieznacznie.

– Dziękuję, milady.

Megs wzięła głęboki oddech i wygładziła spódnice, a potem ruszyła spokojnie korytarzem. Otworzyła drzwi do pierwszokowego saloniku, przygotowując się wewnątrz na spotkanie z leciwymi krewnymi Godrica. Odprężyła się jednak natychmiast, gdy zobaczyła, kim są goście.

– Och, pani St. John! – wykrzyknęła, spiesząc ku najstarszej z dam. – Dlaczego nie uprzedziła mnie pani, że wybieracie się do Londynu?

Objęła starszą damę, a potem się odsunęła. Macocha Godrica musiała mieć około pięćdziesięciu pięciu lat. Była niska, dość mocno zbudowana, o płowych włosach, które odziedziczyły po niej córki. Z biegiem lat ich kolor mocno przyblakł, a twarz pani St. John poczerwieniała. Z wyglądu dość pospolita, zdawała się wszakże tak pełna życia, że nie zwracało się uwagi na jej niedoskonałości. Megs wiedziała z wiejskich plotek, że ojciec Godrica był głęboko zakochany w swej drugiej żonie.

– Postanowiłyśmy pójść twoim śladem, Megs. Uznałam, że najlepiej będzie pojawić się po prostu na progu. – Pani St. John westchnęła i usiadła na sofie.

– Trochę jak ci wędrowni handlarze – powiedziała Jane, najmłodsza, osiemnastoletnia siostra przyrodnia Godrica. – Ci, którzy nie odejdą, zanim nie kupisz od nich jakiejś paskudnej wstążki.

– Ta wstążka nie była paskudna. – Charlotte, starsza od siostry o dwa lata, wydawała się oburzona. – Przysięgam, że jesteś zazdrosna, ponieważ handlarz przyszedł, gdy uganiałaś się po polu z Patem i Harriet.

– Pat i Harriet tego potrzebowały. – Jane zadarła brodę. – Poza tym nie chciałabym tak brzydkiej wstążki, nawet gdyby dawano mi ją za darmo.

– Dziewczęta – powiedziała pani St. John karcąco i siostry natychmiast zamilkły. – Jestem pewna, że Megs nie obchodzi wasze kłótnie na temat fatalaszków i psów.

Megs to jednak nie przeszkadzało. Uważała ewidentną miłość, jaką okazywały sobie siostry – oczywiście, kiedy akurat się nie kłóciły – za

odświeżającą. Sama nie była zżyta ze swoją starszą siostrą, Caro.

– Nie mam pojęcia, gdzie może być Sarah – powiedziała dyplomatycznie. – Czy, jeśli już o tym mowa, Godric.

– Powiedziano nam, że zdążył już wyjść – poinformowała ją Jane. – I nikt nie potrafił znaleźć Sarah.

– To dlatego, że wyszłam się przejść – powiedziała Sarah od progu. Tuż za nią stały młodziutki pokojówki, trzymając tacę z herbatą i ciasteczkami. – Dopiero wróciłam.

Charlotte i Jane zerwały się natychmiast, obejmując siostrę i paplając, jakby nie widziały jej od miesiący, a nie od zaledwie tygodnia. Pani Crumb weszła do saloniku w ślad za pokojówkami i korzystając z zamieszania, dopilnowała, by wszystko zostało rozstawione, jak należy, po czym spojrzała pytająco na Megs. Megs podziękowała jej, a wtedy wyszła, zabierając dziewczęta i zamykając za nimi drzwi.

– Mama – powiedziała Sarah, całując matkę w policzek. – Co za niespodzianka.

– Taki był właśnie zamysł – odparła pani St. John.

Sarah usiadła.

– Dlaczego?

– Cóż, to milczenie trwa już stanowczo zbyt długo, a skoro Godric nie ma raczej zamiaru nic z tym zrobić, postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce. Dziękuję, kochanie. – Pani St. John wzięła z rąk Megs filiżankę i wsyłała do herbaty kilka łyżeczek cukru. – Poza tym – dodała rozsądnie, upiwszy łyk – wszystkie potrzebujemy nowych sukien, zwłaszcza Jane, która ma zadebiutować jesienią. Tobie również przydałoby się odświeżyć garderobę, kochanie – stwierdziła, zwracając się do Sarah.

– Boże – wymamrotała Megs. – Zamierzałam odwiedzić krawcową. Będziemy mogły zrobić to razem.

– Ale będzie zabawa! – Jane podskoczyła na krześle. Drzwi saloniku się otwały, lecz dziewczyna kontynuowała, nieświadoma, co się dzieje za jej plecami. – Znosi się na coś o wiele ciekawszego niż tylko wizyta u starego, zgryźliwego Godrica.

– Jane! – syknęła Megs, lecz było za późno.

– Nie wiedziałem, że spodziewamy się gości – rozbrzmiało od drzwi.

Megs przygryzła wargi. Godric nie wydawał się zadowolony.

Rozdział 11

- *Czy to już piekło?* – spytała Faith, spoglądając na skalisty brzeg.
- *Nie* – odparł Hellequin. Wydawał się nie zauważać, że Faith zepchnęła z konia Rozpacz, a może po prostu go to nie obchodziło.
- *Nadal mamy przed sobą długą podróż. A oto i Góra Szeptów.* – Wskazał pasmo czarnych stromych szczytów na linii horyzontu.
- *Jesteś pewna, że chcesz jechać dalej?*
- *Tak* – odparła Faith i mocniej objęła Hellequina w pasie. Skinął zatem jedynie głową i dźgnął ostrogami boki konia...
- *z Legendy o Hellequinie*

Zgryźliwy, stary Godric.

Była to trafna ocena – choć Godric wątpił, by ją przemyślano. Bo był zgryźliwy – a przynajmniej posepny. Co zaś tyczy się wieku – cóż, zapewne tu także Jane miała rację. Był stary – przynajmniej w porównaniu z przyrodnimi siostrami. Miał trzydzieści siedem lat, Sarah tuzin mniej. Charlotte była odeń młodsza o siedemnaście, a Jane o dziewiętnaście wiosen.

Spokojnie mógłby być jej ojcem.

Dzieliła ich przepaść nie do zasypania. Zawsze tak było i zawsze będzie.

– Godricu – powiedziała macocha cicho. Wstała i podeszła do pasierba, a potem go zaskoczyła, ujmując jego dłonie w swoje, małe i miękkie.

– Tak dobrze cię widzieć.

I oto znowu tu były: poczucie winy i dziwna niechęć, która towarzyszyła mu za każdym razem, kiedy spotykał tę kobietę. Sprawiały, że czuł się jak niezdarny uczeń, a bardzo tego nie lubił.

– Madame – powiedział, świadomy, że brzmi to zbyt sztywno, zbyt oficjalnie.

– Czemu zawdzięczam przyjemność tej wizyty?

Spojrzała na niego – czubkiem głowy sięgała mu ledwie do piersi – a jej oczy zdawały się szukać czegoś w jego twarzy.

– Chciałyśmy się z tobą zobaczyć – odparła w końcu.

– No i potrzebujemy nowych sukienek – dodała Jane, kryjąc się za matką. Choć w głosie siostry pobrzmiwał upór, minę miała cokolwiek niepewną.

Zapewne sam wyglądał podobnie w jej wieku.

Godric skinął głową i doprowadził macochę ku miejscu, które zajmowała przed chwilą.

– Jak długo zamierzacie pozostać?

– Dwa tygodnie – odparła.

– Ach – mruknął, a Megs odwróciła wzrok. Po raz pierwszy tego dnia spojrział na żonę. Żonę, z którą kochał się ostatniej nocy.

Tego ranka miała na sobie różowo-czarną suknię. Jej ciemne włosy połyskiwały, kiedy siedziała bardzo wyprostowana, przyglądając mu się ze ściągniętymi, pięknie zarysowanymi brwiami. Prawie zapało mu dech. Była taka śliczna, ta Megs, jego żona. Gdyby nie rodzina ojca, mógłby podejść do niej, podnieść ją z siedzenia i zaprowadzić do ich pokoi, gdzie...

Ale nie.

Powiedziała jasno, że nie o to jej chodzi. Nawet gdyby macocha i siostry nie przyglądały mu się z zaciekawieniem, i tak musiałby poczekać do wieczora.

Był tylko ogierem, niczym więcej.

Zaczerpnął powietrza, skupiając się znowu na konwersacji.

– Chciałybyście, bym towarzyszył wam podczas zakupów?

Spojrzał z ukosa na Megs i dostrzegł w jej oczach zdziwienie. Jane, co było do przewidzenia, otworzyła usta jako pierwsza, lecz jedno spojrzenie ze strony matki sprawiło, że na powrót je zamknęła.

Macocha uśmiechnęła się do niego:

– Byłoby cudownie.

Skinął głową. Megs uśmiechnęła się do męża z wdzięcznością i podała mu filiżankę z herbatą. Nie przepadał za tym napojem, przyjął go jednak i sączył, przysłuchując się swobodnej rozmowie pań i obserwując.

Wyglądało na to, że żona nawiązała serdeczną więź z rodziną jego ojca. Nie powinien się dziwić, ponieważ wdowi dom znajdował się w pobliżu Laurelwood. Tworzyła wraz z jego siostrami ładny obrazek, jej ciemna głowa kontrastowała z ich jasnymi. Wszystkie trzy odziedziczyły koloryt po matce. Charlotte miała najjaśniejsze włosy, a płowe loki Jane były zdecydowanie ciemniejszej barwy. Sarah siedziała tuż obok Megs, śmiejąc się z czegoś, a Jane niemal wdrapała się Charlotte na kolana, obejmując szyję siostry przyjacielskim gestem. Fałdy ich obfitych spódnic mieszały się ze sobą. Macocha Godrica spoglądała na młodsze kobiety życzliwie i krąg wydawał się zamknięty: bractwo sióstr, doskonałe i samowystarczalne.

Spojrzał w dół na swoją herbatę.

Niedogodnie będzie mieć w domu rodzinę ojca. Nadal musiał wykonywać zadania Ducha, szukać porywaczy dziewczynek, a także zabójcy Rogera. Sytuacji nie poprawiał fakt, że kapitan Trevillion podejrzliwie mu się przyglądał.

Oczywiście nie było mowy, żeby takie okoliczności zdołały go powstrzymać.

– ...jeżeli to ci odpowiada, Godricu? – spytała jego macocha.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że przygląda mu się z zaciekawieniem pięć par damskich oczu. Chrząknął, zakłopotany:

– Przepraszam bardzo?

Megs westchnęła, dając mu do zrozumienia, że stracił sporą część rozmowy.

– Postanowiłyśmy, że odwiedzimy po lunchu modystkę, a wieczorem udamy się, jak planowaliśmy, z wizytą do Griffina i Hero. Jestem pewna – dodała, zwracając się do rodziny męża – że Hero chętnie was zaprosi, gdy tylko się dowie, że jesteście akurat w mieście.

Jane otworzyła szeroko oczy z podziwu.

– Ona jest córką księcia, prawda?

Megs się uśmiechnęła.

– I siostrą drugiego. Prawdę mówiąc, księżę prawdopodobnie też tam dziś będzie.

Dziewczyna zamarła na chwilę z zachwytu. A potem zaczęła miotać się po saloniku, paplając z podekscytowaniem o sukniach, butach i co-ona-na-siebie-założy.

Godric westchnął. To będzie długi dzień. Megs przyglądała mu się jednak z lekkim, aprobującym uśmiechem na wargach.

Długi, ale być może wart wysiłku.

* * *

Wieczorem Megs przyglądała się, jak księżę Wakefield popatruje na swego siostrzeńca z dezaprobatą i mówi:

– Nie rozumiem, dlaczego mały płacze za każdym razem, kiedy mnie widzi.

– Wyrabia sobie dobry gust – odparł uprzejmie Griffin, biorąc na ręce małego Williama, który natychmiast przestał płakać, przytulił się do piersi ojca i jął pracowicie ssać kciuk.

Hero przewróciła dyskretnie oczami – coś, czego za nic nie zrobiłaby przed zamążpójściem.

Siedzieli w rodzinnej bawialni, gdzie niania przyniosła Williama, aby pobawił się z rodzicami, zanim położy go spać. Cioteczna babka Elvina przysunęła się do

Hero i przyłożyła dłoń do ucha, by lepiej słyszeć, co młoda kobieta do niej wykrzykuje. Jane siedziała sztywno wyprostowana, śledząc wzrokiem pełnym zachwytu i przerażenia zarazem każdy ruch księcia Wakefielda. Jej siostry i matka wyglądały na mniej spięte i najwidoczniej dobrze się bawiły w tak ekskluzywnym towarzystwie. Zważywszy, jak pracują młyny, mielące w Hornsfield plotki, Megs pewna była, że będą miały o czym opowiadać przez całe miesiące. Godric stał obok kominka, przyglądając się towarzystwu. Jego żona ściągnęła brwi. Dlaczego zawsze wydawał się tak oddalony, nawet pośród członków swojej rodziny?

William zagulgotał, zwracając uwagę Megs. Strużka dziecięcej śliny zwilżyła kamizelkę Griffina i Megs po prostu musiała się uśmiechnąć. Jej brat był zaprzysięgłym kawalerem i uwodzicielem, nim poznał Hero.

– Mogę? – spytała nieśmiało, wskazując Williama.

– Oczywiście.

Griffin podał jej dziecko i teraz to jej mały zaczął przyglądać się wielkimi zielonymi oczami, tak podobnymi do oczu ojca. Był cięższy, niż się spodziewała, solidne, ciepłe zawiniątko, pachnące mlekiem i biszkoptami. Włoski miał rudobrązowe, kręcone, policzki pulchne, a zaciśnięte wokół kciuka usteczka tak różane i słodkie, że nie zdołała się powstrzymać, aby nie pocałować go w policzek.

Wkrótce, proszę, niech to się stanie wkrótce.

William wysunął kciuk z buzi i poklepał Megs po policzku, zostawiając mokry ślad.

– Dzieciaki robią tyle bałaganu – oznajmiła srogo ciotka Elvina, a potem wszystko zepsuła, ćwierkając słodko do Williama.

– Znowu wyrzyna mu się ząb – poinformowała Hero. – Chcesz, żebym go zabrała? Nie zawaha się poplamić ci sukni.

– Nie, pozwól, że jeszcze go potrzykam – mruknęła Megs. – Śliczny z niego kawaler.

– Prawda? – Hero uśmiechnęła się, przepelniona macierzyńską dumą, a Megs poczuła w piersi znajomą tęsknotę.

Tak, właśnie tego pragnęła.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Godric nadal ją obserwuje. Musiał domyślić się, co chodzi jej po głowie, prawie niedostrzegalnie uklonił się bowiem, jakby czynił obietnicę. Wstrzymała oddech. Jaki inny mężczyzna byłby dla niej tak dobry? Tak opiekuńczy, taki uprzejmy. Przez cały dzień towarzyszył gromadce niewiast podczas zakupów, nie bocząc się ani nie okazując znudzenia. Czas

upłynął im tak przyjemnie, że dopiero gdy ubierała się przed kolacją, przypomniała sobie, iż obiecał, że pomoże jej schwytać zabójcę Rogera. Wiedziała, że powinna zapytać go o plany w tym względzie, przycisnąć i upewnić się, że nie zapomniał o obietnicy, chciała wszakże nieco odpocząć od całej tej sprawy.

Od śmierci, smutku i straty. Gdyby tylko...

– Ach, Mandeville – zauważył książe, przeciągając głoski.

Megs odwróciła się i zobaczyła swego brata, Thomasa Readinga, markiza Mandeville'a. Stał w progu ze swoją pełną życia żoną Lavinią, której włosy wydały jej się jeszcze bardziej ogniste niż ostatnio.

– Masz plamę na kamizelce – powiedział Thomas do Griffina.

– Tak, wiem – wycedził Griffin przez zaciśnięte zęby.

Megs westchnęła. Bracia nie byli zżyci, lecz teraz przynajmniej rozmawiali. Przez kilka tygodni po ślubie Griffina nawet się do siebie nie odzywali.

Dżentelmeni zebrali się przed kominkiem, rozmawiając ściszymi głosami o polityce, póki kamerdyner nie oznajmił, że podano kolację.

Hero odebrała z rąk Megs Williama, pocałowała synka w policzek i oddała niani, spoglądając za nimi z tęsknotą. Zauważyła, że Megs się temu przygląda, i uśmiechnęła się z żalem:

– Zwykle sama kładę go spać. Wiem, że to niemądre, ale nie znoszę, gdy robi to ktoś inny.

– Możesz zajrzeć do niego później – zauważył Griffin z czułością, podając żonie ramię.

Ujęła je, marszcząc nos.

– Nie powinieneś pobłażać moim sentymentalnym kaprysom.

– Ale ja lubię ci pobłażać – wyszeptał prosto w kasztanowe loki na skroni żony i Megs zarumieniła się, sądząc, że ostatnie słowa brata nie były przeznaczone dla jej uszu.

– Możemy? – zapytał Godric, podchodząc.

– Oczywiście. – Położyła mu palce na rękawie, czując, że ramię pod nim leciutko drży. Coś w Godricu sprawiało, że kiedy byli blisko, jego ciepło przepływało ku niej, wywołując swego rodzaju wibracje, jakby jej ciało dostosowywało się do jego ciała. Uświadomiła sobie, zaszokowana, że nawet gdyby nie chodziło o poczęcie dziecka, i tak by go pragnęła.

To nie w porządku, pomyślała, kiedy prowadził ją do stołu i odsuwał dla niej krzesło. Opadła na nie, mając głowę pełną splątanych myśli. Jej ciało nie powinno było tęsknić za jego ciałem. Kochała przecież Rogera i choć była

wdzięczna Godricowi, trochę go już poznała i miała dlań coś w rodzaju podziwu, to przecież nie była miłość!

Jej ciało nie powinno było reagować bez miłości, nie powinno.

Uświadomiła sobie, że po jej lewej stronie siedzi Charlotte – pań było bowiem więcej niż panów – po prawej zaś sam książę. Westchnęła w duchu. Książę Wakefield był dość onieśmielającym dżentelmenem i rozmowa z nim nie należała do najłatwiejszych. Tymczasem lokaje wnieśli olbrzymie półmiski z rybą i zaczęli podawać, podczas gdy ona szukała gorączkowo tematu, który mogłaby poruszyć.

Tymczasem to książę odezwał się pierwszy:

– Ufam, że podobała się pani sztuka?

– O, tak, Wasza Miłość – wymamrotała, przyglądając się, jak książę rozrywa chrupiącą bułeczkę. – A Waszej Miłości?

– Muszę wyznać, że teatr niezbyt mnie pociąga – odparł cokolwiek znudzonym tonem, lecz potem jego spojrzenie złagodniało. – Ale Phoebe i kuzynka Bathilda świetnie się bawiły.

Po raz pierwszy Megs pomyślała, że mogłaby polubić księcia.

– Często Wasza Miłość tam je zabiera?

Wzruszył ramionami.

– Tam albo do innych teatrów w Londynie. Lubią też operę, zwłaszcza Phoebe. Myślę, że muzyka rekompensuje jej w pewnym stopniu fakt, iż nie widzi dokładnie sceny.

Spojrzał, nachmurzony, na rybę, jakby ta czymś go uraziła.

Megs poczuła, że ogarnia ją współczucie.

– Jest zatem tak źle?

Skinął jedynie głową i wyglądało na to, że mu ulżyło, kiedy z drugiego końca stołu dobiegł ich głos Thomasa.

– Minęło niezbyt wiele czasu, odkąd ustanowiliśmy akt – mówił do Griffina. – Kiedy aresztujemy wreszcie wszystkich sprzedawców, ilość ginu na ulicach Londynu znacząco się zmniejszy.

– Minęły całe dwa lata – zaoponował Griffin burkliwie – i wasz akt nie działał nic poza tym, że paru podejrzanych informatorów napełniło sobie kieszenie. Gdybym zechciał, nadal mógłbym kupić gin w co czwartym domu w St. Giles.

Oczy Thomasa zabłysły, kiedy lokaje wnieśli następne danie – pieczeń z warzywami. Otworzył usta, by coś powiedzieć.

Lecz w tym momencie wtrącił się książę:

– Griffin ma rację.

Bracia odwrócili się ku niemu, zaskoczeni. Książę nie był blisko z Griffinem – protestował energicznie przeciwko temu, by młodszy z braci poślubił jego siostrę – i Megs wiedziała, że Thomas uważa go za przyjaciela i sojusznika. Tymczasem książę odłożył widelec i wyprostował się na krześle.

– Przez te dwa lata rzeczywiście niewiele się zmieniło. Zdołaliśmy jedynie dostrzec luki prawne i je uzupełnić – książę się skrzywił – a to zbyt mało. Znaleźliśmy się w impasie. Londyn nie może funkcjonować dłużej, tracąc siły i krew, które gin wysysa z jego mieszkańców niczym bezbożny pasożyt.

– Co zatem sugerujesz? – zapytał z wolna Thomas.

Książę przyspilił go spojrzeniem chłodnych oczu.

– Potrzebujemy nowego aktu prawnego.

Po czym Griffin, Thomas i książę wdali się w burzliwą dyskusję na tematy polityczne, podczas gdy Godric obracał w dłoni nóżkę kieliszka, śledząc uważnie przebieg rozmowy. Nie był parem, nie zasiadał więc w Parlamencie, jednak każdy mężczyzna wydawał się od jakiegoś czasu dotknięty zarazą ginu i miał własne zdanie w kwestii jego wyeliminowania.

Zresztą plaga, jaką był gin, w istocie wpływała w St. Giles na wszystko, niszczyła każdy aspekt życia dzielnicy.

Megs westchnęła i odwróciła się ku siedzącej po drugiej stronie Charlotte.

– Podobają ci się sukienki, które dzisiaj wybrałaś?

– Tak, choć bardzo chciałam mieć tę z błękitnej mory.

Zerknęła z wyrzutem na siedzącą naprzeciw niej siostrę. Niemal pobily się o kupon materiału i pani St. John musiała zagrozić, że jeśli natychmiast się nie dogadają, nie dostanie go żadna z nich. Charlotte i Jane spojrzały na siebie w milczeniu, a potem Charlotte prychnęła i zgodziła się zrezygnować z materiału. Po dziesięciu minutach jadły lody, trzymając się pod rękę, i nikt nie mógłby się domyślić, że toczyły przed chwilą tak zażarty spór.

Nie oznaczało to, oczywiście, że Charlotte wybaczyła siostrze.

– Zdobyłaś za to śliczny turkusowy brokat – przypomniała jej dyplomatycznie Megs.

– Tak – twarz Charlotte pojaśniała – i delikatne koronkowe mitenki. – Westchnęła, uszczęśliwiona, a potem dodała: – A brzoskwiniowy jedwab będzie doskonale pasował do twoich ciemnych włosów. Jestem pewna, że Godric będzie oczarowany.

Megs się uśmiechnęła, ale nie mogła się powstrzymać, aby nie zerknąć ukradkiem na męża. Czy chciała, żeby Godric się w niej zakochał? Podniosła

wzrok i zobaczyła, że przygląda się jej szarymi oczami o ciężkich powiekach, bawiąc się kieliszkiem do wina.

Obracając go, obracając, obracając.

Nie wiedzieć czemu splonęła rumieńcem i odwróciła pospiesznie wzrok, a potem upiła łyk wina, by uspokoić emocje.

– Megs? – spytała Charlotte niepewnie.

Megs na powrót skupiła uwagę na szwagierce:

– Tak?

Charlotte przesuwiała po talerzu stosik tłuczonych ziemniaków i rzepy, formując z nich cienkie równoległe rzędkie. Nachyliła się ku Megs i zapytała, ścisząc głos:

– Jak myślisz, czy Godric... – chrząknęła, jakby szukała właściwego słowa, a potem zmarszczyła czoło tak, iż przypominało drobne rzędkie warzyw na jej talerzu – ...zechce w końcu bardziej się do nas zbliżyć?

– Nie wiem – odparła Megs szczerze. Teraz, gdy opowiedział jej o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości, wiedziała, że rozdźwięk pomiędzy nim a nową rodziną ojca powstał na długo przed tym, nim zmarła Clara. To, że ją stracił, uczyniło zeń niemal pustelnika. Już wtedy nie utrzymywał bliskich kontaktów z krewnymi, a czas i oddalenie jeszcze pogorszyły ten stan rzeczy.

Megs przygryzła wargi i wyprostowała się na krześle, gdyż lokaje zaczęli zbierać talerze, aby postawić przed każdym salaterkę z galaretką ze śmietanki i wina.

– Chodzi o to... – mówiła dalej Charlotte, marszcząc czoło i wpatrując się w deser. Wzięła do rąk łyżeczkę, postukała nią w trzęsącą się masę, a potem westchnęła i odłożyła łyżkę. – Pamiętam, że kiedy byłam mała, wydawał mi się taki wysoki i silny. Myślałam, że jest bogiem, ten mój starszy brat. Mama powiada, że kiedy przyjeżdżał, chodziłam za nim krok w krok – chociaż nieczęsto nas odwiedzał. Musiało mu przeszkadzać, że kilkuletni brzdąc trzyma się kurczowo jego nogawki.

Megs poczuła nieprzewartą chęć, by rzucić w męża łyżeczką.

– Jestem pewna, że nie chodziło tu o ciebie – odparła łagodnie. – Po prostu twoi rodzice pobrali się, kiedy Godric był w trudnym wieku. No i stracił niedawno matkę... – zamilkła. Godric mógł cierpieć, kiedy był chłopcem, lecz przecież dorósł i jako mężczyzna nie miał powodu, by trzymać się z dala od siostr.

– Jest moim bratem – wyszeptała Charlotte tak cicho, że ledwie było ją słychać. – Moim jedynym bratem.

Nawet słodka galaretka nie była już w stanie poprawić Megs samopoczucia. Uznała, że musi znaleźć sposób, by uświadomić mężowi, że macocha i siostry są dla niego ważne. Że to ostatni moment, aby się do nich zbliżyć, bo kiedy dorosną i wyjdą za mąż, nie będzie im już tak zależało, żeby ocieplić ich relacje.

A on zostanie zupełnie sam.

Opuściła z wolna łyżeczkę, uderzona tą myślą. Obiecała wyjechać z Londynu – opuścić Godrica – gdy pocznie dziecko. Będzie miała tam, na wsi, maleństwo, krewnych i przyjaciół. Będzie żyła pełnią życia – do czego brakowało jej dotąd jedynie dziecka. Lecz Godric...

Kogo on będzie miał?

Owszem, był lord Caire. Jednakże lord, choć dobry przyjaciel, miał rodzinę – ta zaś bez wątpienia będzie się rozrastać i pochłaniać coraz więcej jego czasu. Uderzyła ją wizja Godrica, starego i samotnego, otoczonego wyłącznie książkami. Kiedyś będzie musiał zrezygnować z odgrywania roli Ducha – o ile wcześniej przy tym nie zginie – a wtedy nie zostanie mu już nic.

Ta myśl ją zaniepokoiła. Spojrzała na Godrica, nachylonego ku Lavinii i przysłuchującego się jakimś jej wywodom. Nawet jeśli go nie kochała, był jej mężem. Miała obowiązek troszczyć się o niego. Jak mogła nie dostrzec wcześniej, że nie potrafi go zostawić?

Dzientelmeni nagle wstali i Megs uświadomiła sobie, że nie zauważyła, kiedy Hero poprosiła panie, by przeszły na herbatę do saloniku. Księżę odsunął krzesło pani St. John, a później Megs – przedkładając wiek ponad status. Zdaniem tej ostatniej – całkiem słusznie.

Pani St. John ujęła pod jedno ramię Megs, a pod drugie Charlotte.

– O czym tak szeptałyście podczas deseru?

– O Godricu. – Charlotte westchnęła, a pani St. John skinęła jedynie głową, ponieważ w tej sprawie niewiele było to powiedzenia. Prawda?

W saloniku Hero podawała już herbatę, a Sarah zasiadła przy harfie, trącając od niechcenia struny.

– Och, zaśpiewajcie, dziewczęta – poprosiła pani St. John, przyjmując z rąk gospodyni filiżankę. – Tę starą balladę, której się niedawno nauczyłyście.

Charlotte i Jane objęły się więc ramionami i zaczęły śpiewać. Sarah akompaniowała im na harfie, gdyż okazało się, że ona również zna ten utwór.

– Ślicznie, ślicznie – wymamrotała cioteczna babka Elvina, wystukując rytm na oparciu fotela.

Megs usiadła wygodnie i z przyjemnością słuchała. Jej śpiew mógłby wystraszyć kraczącą wronę, lubiła jednak słuchać, jak śpiewają inni, a głosy

dziewcząt St. Johnów, choć niekształcone, brzmiały bardzo przyjemnie. Gdyby panny przestały nagle śpiewać i zaczęły po dziewczęcemu chichotać, Megs zupełnie by to nie przeszkadzało. Śpiewały dla rodziny i cieszyło ją, że poczuły się w towarzystwie Hero i Lavinii na tyle swobodnie, by włączyć je do kręgu bliskich im osób.

Po godzinie dołączyli do nich panowie i Megs zauważyła, że dziewczęta St. Johnów zeszywniały. Westchnęła. Niełatwo było czuć się swobodnie w obecności Thomasa i księcia. Lecz był też z nimi Griffin i zamierzała wykorzystać okazję. Podeszła zatem do niego, kiedy był sam, i zasugerowała ściszym głosem, by oprowadził ją po domu – w końcu był nowy i nie obejrzała go jeszcze do tej pory w całości.

Griffin spojrzął na Megs czujnie, posłusznie wyciągnął jednak ramię i wyprowadził ją z salonu, mruknąwszy jakieś wyjaśnienie. Wychodząc, czuła na sobie zaciekawione spojrzenie Godrica. Poza salonem w domu panował spokój – póki znów nie rozbrzmiały dźwięki harfy, a głęboki, męski głos nie zaintonował kolejnej piosenki. Megs ściągnęła brwi. A to ciekawe. Thomas nie miał, podobnie jak ona, za grosz słuchu, a nie wiedziała, że Godric potrafi śpiewać.

Chętnie przystanąłaby i posłuchała, lecz Griffin prowadził ją już ku głównym schodom, mamrocząc coś o świetlikach, pilastrach i wpływie włoskim. Megs zerknęła na brata. Kpi sobie z niej?

– Och, na miłość boską, przestań! – powiedziała w końcu.

Odwrócił się i uśmiechnął szelmowsko.

– Wiedziałem, że nie chodzi ci o to, aby zobaczyć dom. A skoro tak, to o co?

– O ciebie i o gorzelnię – wypaliła wprost, gdyż nie widziała innego sposobu. Poza tym nie było czasu na zwłokę.

– To znaczy? – zapytał na pozór beztrosko, lecz jego twarz zamknęła się przed nią i to go zdradziło.

Zaczerpnęła powietrza.

– Słyszałam, że wspierałeś rodzinę, nawet Thomasa, produkując w St. Giles gin.

– Przeklęty St. John! – wybuchnął. – Nie miał prawa ci mówić.

Megs uniosła brwi.

– Przeciwnie. Jestem jego żoną i, co ważniejsze, twoją siostrą. Dlaczego nigdy nam nie powiedziałeś, że mamy kłopoty finansowe?

– To nie była wasza sprawa.

– Nie nasza? – Spojrzała na starszego brata i pomyślała, nie po raz pierwszy zresztą, że solidny cios w głowę bardzo by mu się przysłużył. – Beztrosko

wydawałyśmy z Caro pieniądze, pamiętam również, jak Thomas kupił po śmierci papy ten okropny złocony powóz. Z pewnością nie postąpiłby tak, gdyby wiedział. Oczywiście, że to nasza sprawa. Mogliśmy być bardziej oszczędni. Ograniczyć wydatki.

– Nie chciałem, żebyście musiały oszczędzać. – Griffin westchnął ciężko i odsunął się o krok. – Nie rozumiesz, Megs? To był mój ciężar i obowiązek. To ja musiałem zaopiekować się tobą, mamą i Caro.

– A Thomas? – spytała cicho, z niedowierzaniem.

– Nie miał głowy do interesów, podobnie jak tatuś. Nie było nikogo innego.

– Griffinie. – Delikatnym gestem położyła mu dłoń na ramieniu. – Miałeś przecież mnie. Na pewno masz mnie teraz, kiedy skończyłam już dwadzieścia pięć lat. Mam prawo cię wspierać, przynajmniej duchowo. Mam prawo wiedzieć.

Griffin skrzywił się i odwrócił wzrok. Niemal spodziewała się, że zaprotestuje – Griffin sprzed trzech lat, sprzed ślubu z Hero – z pewnością tak by postąpił – lecz kiedy na nią popatrzył, jego spojrzenie złagodniało.

– Och, Megs – westchnął. – Wiesz, że nie potrafiłbym niczego ci odmówić. – Uniosła pytająco brwi, a wtedy zamachał dłońmi. – No dobrze. Zgoda. Powinienem był ci powiedzieć, pozwolić, abys pomogła mi nieść ten ciężar.

– Dziękuję – odparła z nutką satysfakcji. – Mam jeszcze jedno pytanie.

Wydawał się zaniepokojony, mimo to skinął dzielnie głową.

– Czy nasza rodzina ciągle ma kłopoty finansowe? – spytała. – A ty?

– Nie – odparł natychmiast i najwyraźniej mu ulżyło. – Nadal zajmuję się interesami, ale to nic nielegalnego, choć może chwały mi nie przynosi. Hoduję na naszej ziemi owce i mam w Londynie przedziałnię. – Wzruszył ramionami. – Na razie to nic wielkiego, ale przynosi niezły dochód i wkrótce zamierzam rozszerzyć działalność. Oczywiście – dodał chłodno – nie informując o tym wytwornego towarzystwa.

Posiadanie pieniędzy było w porządku, zarabianie uchodziło za niegodne dżentelmena. Uważano powszechnie, że takowy powinien raczej głodować, niż brudzić sobie ręce handlem.

Jak dobrze, pomyślała, że brat nie przejmował się zbytnio tym, co myślano o nim w towarzystwie. Ujęła go pod ramię.

– Miło mi to słyszeć. Ale Griffinie?

– Hm? – Prowadził ją z powrotem ku salonikowi, skąd nadal dobiegał męski śpiew.

– Obiecuj, że jeśli wpadniesz jeszcze kiedyś w kłopoty – jakiegokolwiek natury

– nie będziesz tego przede mną ukrywał.

– Obiecuje – odparł, przewracając oczami.

Megs uśmiechnęła się leciutko. Mógł robić uniki, lecz, co ważniejsze, był z nią szczery. Tak to już było w rodzinie – jej członkowie powinni dzielić zarówno to, co dobre, jak i to, co trudne.

Zastanawiała się właśnie, jak skłonić Godrica, aby podzielił ten pogląd i zbliżył się do macochy i sióstr, gdy weszli do saloniku i zatrzymała się zaskoczona.

Okazało się bowiem, że to nie Godric śpiewał, lecz ksiązę Wakefield.

* * *

Leżała tej nocy w łóżku, otoczona chłodną ciemnością sypialni, udając, że wcale nie czeka na Godrica.

Ani za nim nie tęskni.

Przypominała sobie, po co robi to, co robi, lecz argumenty straciły swą siłę i mogła jedynie leżeć, wsłuchując się w swój przyspieszony oddech. Skupiła myśli na kolacji u Hero i Griffina, wspominając słodką buzię Williama, serdeczną rozmowę z bratem i zaskoczenie tym, że sztywny zwykle jak kij ksiązę Wakefield potrafi śpiewać niczym anioł. Obrazy przelatywały jej wszakże przez umysł, nie dając się zatrzymać. Spróbowała nawet przypomnieć sobie smak galaretki, gładką konsystencję śmietanki, cierpkość wina, lecz wyobrażona słodycz rozplynęła się jej na języku i czuła jedynie smak ust Godrica.

Jęknęła cicho w ciemności.

W końcu się pojawił, cichy i nieuchwytny jak duch. Nie wiedziała, że jest w pokoju, póki nie poczuła, że ugina się pod nim łóżko, i nie dotarła do niej fala ciepła, jaką promieniowało jego ciało.

Zadrzała, nim zdążył jej dotknąć.

A potem przesuwiał już dłońmi po jej ramionach, wzdłuż okrytych koszulą boków, po wzgórkach piersi, unosząc się nad nią niczym jastrzęb, który dostrzegł zdobycz.

Wstrzymała oddech. Było w nim teraz coś niebezpiecznego. Zagrożającego. Może zawsze tam było, lecz ostatnio skutecznie to stłumił. To była dopiero ich druga wspólna noc, a niemal wpadła w panikę. Przed nimi jeszcze wiele nocy. Nocy, gdy będzie leżała w ciemności, czekając na niego i rozpaczliwie próbując zapanować nad myślami. A przede wszystkim: nie czuć.

Tak jak próbowała nie czuć nic teraz – i nie udawało jej się to.

Godric objął dłońmi piersi Megs i nie miała najmniejszego problemu, aby przypomnieć sobie, jak jego ręce są blade, smukłe i eleganckie. I jak wyglądałyby na jej ciele.

Przygryzła wargi, a on przesuwiał kciukami po sutkach, twardych już i sterczących. Ciało Megs pokryła gęsia skórka. A kiedy przesunął po sutkach palcami jeszcze raz i ścisnął oba, z najwyższym trudem powstrzymała się, aby nie wygiąć ciała w łuk pod dotykiem tych pięknych rąk.

Roger. Myśl o Rogerze, nakazała sobie w duchu.

Mężczyzna z zastraszającą szybkością pochylił głowę i objął sutek wargami, ciepłymi i wilgotnymi. Pieścił go językiem przez cienki materiał koszuli i Megs już po chwili nie była w stanie myśleć. Wygięła się pod nim, jęcząc, a wtedy objął ją i unieruchomił. Chłodny metalowy wisiorek jej męża przesuwiał się po brzuchu Megs. Po chwili Godric odsunął się, podmuchał lekko na cienki, wilgotny materiał i przeszył ją dreszcz. A wtedy zajął się drugą piersią – dokładnie i umiejętnie. Skupiony całkowicie na niej i jej ciele nie dawał jej czasu, by mogła dojść do siebie, odzyskać kontrolę.

Mogła jedynie czuć i tęsknić.

Gdy w końcu uniósł głowę, oddychała urywanie, a wtedy jął przesuwac otwartymi ustami w dół jej drżącego brzucha. Z początku nie miała pojęcia, co zamierza, nie była w stanie myśleć, lecz kiedy uniósł jej koszulę i nadal wędrował ustami w dół, ogarnęło ją okropne przeczucie.

– Nie. – Było to pierwsze słowo, jakie padło pomiędzy nimi, odkąd wszedł tego wieczoru do sypialni. Zabrzmiało szorstko nawet dla jej uszu.

Oblizwała wargi, czując obsceniczną wilgoć na sutkach i nieruchomy spokój wieczoru. Mężczyzna zamarł, słysząc jej protest, lecz nie z obawy albo oczekiwania. Kiedy tak wisiał nad nią, z łokciami po obu jej bokach, wydawał się dziwnie niebezpieczny. Jakby jego opanowanie mogło w każdej chwili prysnąć. Jakby mógł zignorować protest i przycisnąć wargi do jej płci. Bo to tam właśnie zmierzał. Nie była dziewicą i domyślała się, co Godric próbuje osiągnąć: sprawić, by się poddała. Czuła, że gdyby pozwoliła mu kochać się w ten sposób, nie byłaby w stanie nad sobą zapanować. Uległaby pieszczocie tych pięknych ust i zapomniała o wszystkim.

Ostatnie ślady Rogera rozwiałyby się i zniknęły z jej umysłu.

Zaczerpnęła zatem powoli powietrza i sięgnęła z wahaniem ku jego ramionom. Mięśnie, twarde i niepoddające się uściskowi, miał napięte. Nie byłaby w stanie go poruszyć, gdyby jej na to nie pozwolił.

– Proszę – wyszeptała.

Przez chwilę trwał nad nią w bezruchu, a potem strząsnął z ramion jej dłonie, zadarł Megs koszulę i ułożył się pomiędzy jej nogami. Była już wilgotna, lecz może nie dosyć. Kołysał się zatem nad nią, napierając twardym penisem, póki nie zwilgotniała wystarczająco, by mógł bez trudu w nią wejść.

Przełknęła ślinę i odrzuciła głowę do tyłu, próbując się odprężyć, podczas gdy Godric wsuwał się w nią stopniowo coraz głębiej. Zwierzęta robią to bez zastanowienia. Dlaczego nie ludzie? Wiedziała, że dla niektórych jest to możliwe. Lecz najwidoczniej nie dla niej.

Zastanawiała się bowiem – i czuła – aż za dużo.

Objęła go ramionami, kiedy pchnął mocno i zagłębił się do końca w jej ciele. Podniosła wzrok, spoglądając na niego w ciemności i próbując dostrzec... co właściwie? Wyraz jego twarzy?

Widziała jednak tylko solidną męską sylwetkę.

A przecież... wiedziała, że to on. Poznałaby go, nawet gdyby zawiązano jej oczy. Może za sprawą zapachu lub innych zwierzęcych instynktów – a może powinowactwa dusz? – czuła go każdą cząstką swojej istoty.

Godric. Nad nią.

Godric. Wysuwający członek jednym długim, gładkim ruchem.

Godric. Wciskający ją biodrami w materac w kolejnym mocnym pchnięciu.

Odurzający jej zmysły, zawłaszczający duszę.

Walczyła, stawiając rozpaczliwy opór, zamykając oczy, cofając dłonie, próbując zamknąć przed nim zmysły.

Lecz było to niemożliwe. Jak mogłoby nie być, skoro się z nią kochał?

Na tym polegał problem: Godric nie próbował tylko jej zapłodnić: on się z nią kochał.

Walczyła ze wszystkich sił i w końcu odniosła niewielkie zwycięstwo. Gdy czuła, że jego ruchy stają się coraz bardziej gorączkowe, a oddech przyspiesza, zebrała się w sobie. Napał mocniej, próbując sprawić, by czuła, lecz była silna i zdecydowana, a kiedy skończył, odrzucając głowę do tyłu, był w tej rozkoszy sam.

Nie miała jednak czasu sobie pogratulować.

Pochylił się w ciemności i uznała, że chce ją pocałować. Odwróciła głowę, a wtedy zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał, muskając je wargami:

– To z kim się dzisiaj kochałaś, milady? Bo na pewno nie ze mną.

Rozdział 12

Faith siedziała przytulona do szerokich pleców Hellequina i coraz bardziej głodna. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła małe jabłko. Nozdrza Hellequina zadrżały, kiedy wgrzyła się w soczysty, słodko-cierpki miąższ. Zawstydzila się swojego braku uprzejmości.

– Chciałbyś kawałek? – spytała.

– Nie jadłem ludzkiego pokarmu od tysiącleci – odparł chrapliwie.

– Cóż, skoro tak – powiedziała – najwyższy czas to zmienić. –

Odgrzyła kawałek jabłka, wyjęła go z ust i podała Hellequinowi...

– z Legendy o Hellequinie

Usłyszawszy to, zamarła.

Gniew pulsował Godricowi w żyłach, zabójczy i wrzący. Mężczyzna czuł, że eksploduje, jeżeli natychmiast się stamtąd nie wydostanie. Wysunął się ostrożnie z jedwabistego wnętrza Megs, tak żeby nie sprawić jej bólu.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by musiał się obawiać, że zrobi kobiecie krzywdę, tak bardzo był na nią wściekły. Pościel przesunęła się i poczuł woń nasienia, seksu i swej żony. Owładnięty emocjami, nie był w stanie myśleć.

– Ja nie... – zaczęła niemądra dziewczucha.

Jak śmiała zaprzeczać? Nawet próbować?

– Cicho bądź – burknął, zsuwając się z łóżka.

– Godric.

– Przystaniesz? – syknął, odwracając się ku niej w ciemności. Musi wyjść, nim powie – lub zrobi – coś, czego będzie żałował.

Lecz ona, jak zwykle, musiała mu się przeciwstawić. Poczuł, że jej palce, kobiece i silne, obejmują go za nadgarstek.

Zamarł.

– Dokąd idziesz? – wyszeptała.

Nadal czuł jej zapach i uświadomił sobie ze zgrozą, że chyba wniknęła mu na dobre pod skórę.

– Wychodzę.

– Dokąd?

Wykrzywił pogardliwie usta, chociaż w ciemności nie była w stanie tego dostrzec.

– A jak myślisz? Do St. Giles. Szukać mordercy twojego kochanka. Być Duchem.

– Ale... – Jej głos był teraz niewiele głośniejszy od szeptu. – Nie chcę, żebyś tam szedł, Godricu. Wydaje mi się, że za każdym razem, kiedy zakładasz kostium, tracisz kawałek duszy.

– Powinnaś była pomyśleć o tym, zanim zawarłaś ze mną ten układ, milady. – Poruszył dłonią, lecz nie próbował jej uwolnić. – Chciałaś, bym przeprowadził dochodzenie. Cóż, właśnie to robię. Zmieniłaś zdanie? Chcesz, bym zaprzestał szukania mordercy Fraser-Burnsby’ego?

Usłyszał, że wzdycha w ciemności, wyobraził sobie muśnięcie jej włosów na swoim ramieniu. Zawahała się i jego serce zamarło na chwilę w oczekiwaniu – w nadziei – choć nie był właściwie pewien, czego ta nadzieja miałyby dotyczyć.

Puściła wreszcie nadgarstek Godrica i poczuł się tak, jakby wraz z palcami zabrała z jego ciała całe ciepło.

– Nie.

– Muszę wypełnić więc moją część umowy.

Nie zczekał, czy jakoś to skomentuje, lecz wyszedł czym prędzej z pokoju.

Na dole przywdział szybko kostium, z rozmysłem wypierając z głowy wszelką myśl, i zanurzył się w mrok.

Dwadzieścia minut później Duch szedł uliczką w St. Giles. Gospoda Pod Jednorogim Kozłem nie cieszyła się dobrą opinią. Już sam fakt, że lokaj Fraser-Burnsby’ego był z nią w jakiś sposób powiązany, powinien był wzbudzić podejrzenia d’Arque’a.

Z drugiej strony, wicehrabia nie znał najwidoczniej St. Giles tak dobrze jak on.

Gospoda zajmowała parter zaniedbanego i pochylonego budynku. Kozioł z ciemnego drewna, widoczny na szyldzie, nie miał na głowie ani jednego rogu. Miejsce znane było jako ośrodek wszelkiej zakazanej działalności: handlu ginem i kradzionymi rzeczami, prostytutce. Niejeden rozbójnik traktował je jako swą bazę wypadową.

Godric przycupnął w cieniu i czekał, aż pomocnik karczmarza wyjdzie, aby opróżnić do kanału cebrzyk z wodą po zmywaniu.

– Chłopcze.

Dzieciak stanowił typowy produkt St. Giles. Otworzył więc szerzej oczy, lecz nie próbował uciekać, kiedy zobaczył, kogo ma przed sobą. Godric rzucił mu

monetę.

– Powiedz Archerowi, że chciałbym zamienić z nim słowo – i nie zapomnij dodać, że go dopadnę, jeśli nie zjawi się tu za dwie minuty.

Chłopak schował monetę i wrócił pospiesznie do gospody. Godric nie musiał długo czekać. Wysoki, chudy mężczyzna pochylił głowę, by nie uderzyć nią o nadproże, wyprostował się i rozejrzał, zrezygnowany.

– Czego chcesz, Duchu?

– Dowiedzieć się czegoś o niejakim Harrisie.

– Nie znam żadnego Harrisa. – Archer odwrócił wzrok, ale zawsze tak spoglądał. Jego cera, blada niczym wodne stworzenie zamieszkujące jaskinie, miała niezdrowy żółty kolor. Wyłupiaste oczy pozbawione były z kolei jakiegokolwiek barwy, najdziwniejsze wrażenie sprawiały zaś włosy, czarne, tłuste i przylegające do głowy.

Godric uniósł brwi i oparł się o mur, krzyżując ramiona.

– Lokaj, który widział, jak Roger Fraser-Burnsby został zamordowany w St. Giles?

– Wielu zostało tu zamordowanych. – Archer wzruszył ramionami.

– Kłamiesz. – Godric zniżył głos do jedwabistego szeptu. – Fraser-Burnsby był dżentelmenem, a po jego śmierci zaczęło się tu istne polowanie. Wszyscy w St. Giles to pamiętają.

– A jeśli nawet? – zapytał karczmarz burkliwie. – Co to ma ze mną wspólnego?

– Rzeczy Harrisa odesłano do twojej gospody kilka tygodni po morderstwie.

– I?

– Kto po nie przyszedł?

Karczmarz wydał z siebie dziwny charczący dźwięk, który miał być zapewne śmiechem.

– Spodziewasz się, że będę to pamiętał? Minęły już lata, Duchu.

Godric opuścił skrzyżowane ramiona i Archer natychmiast przestał się śmiać.

– Słowo, Duchu! Przysięgam na grób matki! Nie mam pojęcia, kto mógł zabrać rzeczy tego, jak mu tam... Harrisa.

Godric postąpił krok bliżej.

Karczmarz pisnął i cofnął się, unosząc dłonie.

– Zaczekaj! Wiem coś, co może ci się spodobać.

Godric pochylił głowę.

– Mianowicie?

Archer obliznął nerwowo wargi.

– Powiadają, że Harris nie żyje.

– Od kiedy?

Archer potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale minęło już sporo czasu. Może umarł, zanim przysłano do mnie jego rzeczy.

Godric przyglądał mu się uważnie przez dobrą minutę. Archer był urodzonym łgarzem, lecz wyglądało na to, że tym razem mówi prawdę. Można było spróbować jeszcze bardziej go przycisnąć, Godric miał jednak przeczucie, że byłaby to strata czasu.

Drzwi gospody otwarły się z hukiem i z wnętrza wytoczyło się trzech żołnierzy, ewidentnie zawianych.

– Jeżeli jeszcze czegoś się dowiesz, będę chciał o tym usłyszeć. – Rzucił mężczyźnie monetę, odwrócił się i zniknął w alejce.

Wysoko ponad nim księżyc świecił w ciemności bladym, niezdrowym blaskiem. Z tyłu dobiegł go pijacki śmiech i odgłos spadających na bruk beczek. Nie odwrócił się. Czuł, że ktoś go śledzi, i krew śpiewała mu w żyłach. Złość na Megas wróciła, czysta i żywa.

Jak ona śmiała?

Poświęcił dla niej swoją samotność, spokój ducha, oddał do dyspozycji dom i przekłete ciało i tak mu się odpłaciła? Wyobrażając sobie, że kocha się z innym? Już za pierwszym razem jej reakcja wzbudziła w nim podejrzenia, ale je zignorował. Lecz dzisiaj coś – sposób, w jaki się powstrzymywała, nie patrzyła mu w oczy, nie pozwoliła, by kochał się z nią, jak należy – na nowo wzbudziło wątpliwości. A potem go olśniło: to nie z nim się pieprzyła. Nie wiedział: marzyła o Fraser-Burnsbym, d'Arque'u czy kimś, kogo nigdy nie poznał, lecz prawie nie miało to znaczenia.

Nie zamierzał pozwolić, by traktowała go w ten sposób.

Wyjechali z za rogu, a on był tak rozkojarzony, że zauważył ich dopiero, gdy niemal na niego wpadli. Nie wiedział, kto był tym bardziej zaskoczony: on czy dragoni.

Facet po prawej oprzytomniał jako pierwszy. Wyciągnął szablę i ruszył. Godric wiedział, że nie zdoła uciec przed galopującym wierzchowcem, a uliczka była wąska. Rozpłaszczył się zatem na brudnej ceglanej ścianie i dragon wyminął go w pędzie, niemal ocierając mu się o tunikę, lecz drugi żołnierz okazał się sprytniejszy. Natarł na Ducha St. Giles, próbując zmiażdżyć go albo dźgnąć szablą. Nie było gdzie uskoczyć ani jak wyminąć parskającego, spoconego wierzchowca. Godric spojrzał w górę i zobaczył rozpadający się

drewniany balkon, doczepiony do ściany jakby po namyśle. Przegniłe drewno mogło nie wytrzymać ciężaru jego ciała, wiedział jednak, że nie ma wyboru.

Uniósł zatem ramiona, wyciągnął je, podskoczył i chwycił się jednej z podpór, na których opierał się balkon. Podkulił nogi i skrzywił się z bólu, czując, jak puszczają szwy w lewym ramieniu. Jego nogi znalazły się nagle tuż przy głowie konia. Zwierzę szarpnęło się, przestraszone, a kiedy dragon ściągnął wodze, próbując nad nim zapanować, wierzchowiec stanął dęba.

Godric zakołysał się i skoczył, lądując za koniem. Przetoczył się po bruku i wstał, wyciągając szpadę. Pierwszy dragon zdążył jednak zawrócić konia, zamykając Godrica w pułapce. Jediną pociechę stanowił fakt, że podczas patrolu żołnierze chodzili parami.

– Podдай się! – zawołał drugi dragon, sięgając do pistoletu przy siodle.

Do licha! Godric skoczył na mężczyznę i chwycił go za ramię, zanim ten zdążył wyciągnąć broń. Dragon niemal zsunął się z konia. Zwierzę uskoczyło gwałtownie, przestraszone zmianą środka ciężkości, i mężczyzna spadł na bruk.

Godric odwrócił się akurat na czas, aby sparować cios szablą, wymierzony w jego głowę. Choć szanse nie były wyrównane, nie miał ochoty uciekać. Zamierzył się na konnego, chybił i omal nie przegapił błysku w jego oczach.

Było już jednak za późno.

Cios, zadany od tyłu, powalił go na kolana. Zakręciło mu się w głowie, lecz nie był w nastroju, żeby się poddać czy choćby uciec. Objął nogi atakującego, przewrócił go, dosiadł i...

A niech to wszyscy diabli!

Przeklęty dragon! Naprawdę nie powinien był kopać go w jądra.

Stęknął z bólu, zaczerpnął gwałtownie powietrza i wymierzył dragonowi cios pięścią w twarz. A potem kolejny i kolejny. Odgłosy uderzeń rozbrzmiewały w ciemnej alejce satysfakcjonująco donośnie. Gdzieś za nim drugi żołnierz coś krzyczał, odgłosy podków rozbrzmiewały niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie leżeli, lecz nie dbał o to ani trochę.

Dopiero kiedy dotarło do niego, że jeźdźców musi być więcej, oprzytomniał. Spojrzał na mężczyznę pod sobą. Dragon miał opuchnięte oczy i rozbite, krwawiące usta, żył jednak i nadal próbował walczyć.

Bogu dzięki.

Godric wstał i pobiegł. Baryłka, pozostawiona na rogu ulicy, zapewniła mu chwilową przewagę. Wykorzystał ją i zaczął wdrapywać się po ścianie domu, wyszukując palcami dłoni i stóp wystające fragmenty cegieł, których mógł się uchwycić. Kiedy znalazł się na dachu, usłyszał dobiegający z dołu krzyk, nie

zatrzymał się jednak i nie obejrzał. Pobiegł, nie zważając na to, że obluzowane dachówki usuwają mu się spod nóg i spadają, rozbijając się na bruku. Krew pulsowała mu w skroniach i nie zatrzymał się, póki od miejsca, gdzie natknął się na dragonów, nie dzieliło go pół mili.

Dopiero wtedy przystanął, dysząc, wsparty o komin i uświadomił sobie, że nadal jest śledzony. Wyjął kordelas i patrzył, jak smukła sylwetka ostrożnie wyłania się zza skraju dachu. Zaczekał, aż chłopak znajdzie się tuż przy nim, a wtedy chwycił go za kołnierz, odgiął mu głowę i przystawił ostrze do nagiej szyi.

– Dlaczego mnie śledzisz?

Chłopak błysnął szybkim, inteligentnym spojrzeniem, lecz nie próbował się uwolnić.

– Digger Jack mówi, że potrzebujesz informacji na temat porywaczy dziewcząt.

– I?

Szerokie usta chłopaka wykrzywił uśmiech, w którym nie było śladu wesołości.

– Jestem jednym z nich.

* * *

Dwadzieścia minut później Godric przyglądał się, siedząc w kuchni Przytułku dla Sierot i Podrzutków, jak chłopiec napycha sobie usta chlebem, posmarowanym obficie masłem, i popija kanapkę herbatą. Kiedy zobaczył go na dachu, ocenił, że ma do czynienia z młodym mężczyzną, lecz teraz zmuszony był zrewidować tę opinię. Miękkie policzki, smukła szyja i delikatna linia szczęki wskazywały, że chłopak nie może mieć więcej niż piętnaście lat.

Brązowe włosy związał kawałkiem sznurka. Wymykające się pasma okalały owalną twarz. Ubrany był w zatłuszczoną kamizelkę i surdut, o kilka numerów za duży, a także kapelusz z opadającym rondem, którego nie zdjął nawet w pomieszczeniu. Nadgarstki miał szczupłe i delikatne, a paznokcie – brudne.

Spostrzegł, że Godric mu się przygląda, i zadarł brodę ze śladami bawarki.

– Co?

Winter Makepeace, siedzący obok Godrica, poruszył się i spytał:

– Jak masz na imię?

Chłopak wzruszył ramionami. Najwyraźniej uznał jednak, że nic mu chwilowo nie zagraża, na powrót skupił zatem uwagę na talerzu z chlebem.

– Alf.

Nałożył na chleb solidną porcję truskawkowego dżemu, zgiął kromkę na pół i wpakował sobie do ust.

Godric wymienił spojrzenia z Winterem. Doprowadzenie Alfa do domu wymagało chwili perswazji – o paru groźbach nie wspominając. Godric nie śmiał jednak pozostać na zewnątrz, gdzie dragoni bez wątpienia nadal na niego polowali, z pewnością nie miał też zamiaru zabierać obcego chłopaka do Saint House.

Zwłaszcza jeśli ten przyznał się, że brał udział w porywaniu dziewczynek.

– Jak długo pracujesz dla porywaczy? – zapytał Winter głębokim, spokojnym głosem.

Alf popił chleb długim łykiem herbaty.

– Około miesiąca, ale nie pracuję już dla tych dupków.

Winter dolał mu bez pytania napoju, lecz Godric nie był tak cierpliwy.

– Pozwoliłeś mi sądzić, że jest inaczej.

Alf przestał żuć i spojrzał szacująco na Godrica.

– Nic lepszego pan nie dostanie. Żaden z tych tam porywaczy nie będzie z panem gadał. Musi pan zadowolić się mną.

Winter podchwycił spojrzenie Godrica i pokręcił nieznacznie głową.

Godric westchnął. Trudno mu było przepytywać chłopaka szeptem, nie chciał jednak, by tamten mógł rozpoznać kiedyś jego głos. Poza tym Winter miał w postępowaniu z chłopcami o wiele więcej doświadczenia.

Nawet z tymi trudnymi.

– Jak zostałeś porywaczem? – zapytał. Sięgnął po chleb i odkroił jeszcze dwie kromki.

Godric uniósł brwi. Chłopak zdążył pochłonąć już pół bochenka.

– Słyszysz się to i owo – powiedział Alf, obficie smarując chleb masłem. – Lubią pracować parami, na przykład facet i chłopak. Usłyszałem, że jednego przejechał wóz. Oberwał w głowę i było po wszystkim. Zwolniło się miejsce, to się zgłosiłem. Płacili dobrze. – Zamilkł i siorbnął herbaty, a potem sięgnął po dżem. – Robota też wydawała się niczego sobie.

– To dlaczego już z nimi nie pracujesz? – zapytał Winter neutralnym tonem.

Kanapka była przygotowana, dżem zachęcająco wyciekał bokami, lecz Alf tylko się w nią wpatrywał.

– Była tam taka jedna mała, Hannah. Miała rudawe włosy i nie więcej jak pięć lat. Paplała i wcale się mnie nie bała, nawet kiedy sprzedawała ją nam jej ciotka. Zabraliśmy ją z Samem do fabryczki i wydawało się, że wszystko będzie w

porządku...

– W porządku? – warknął Godric. – Kazał im harować, biją je i prawie nie karmią.

– Może być jeszcze gorzej. – Zabrzmiało to butnie, lecz chłopak nie patrzył mu w oczy. – Burdele, żebracy, którzy nie wahają się oślepić dzieciaka, żeby budził większe współczucie.

Winter rzucił Godricowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Co przytrafiło się Hannah, Alf?

– Właśnie to. – Alf wbił brudne palce w kromki, aż wypłynął spomiędzy nich dżem. – Kiedy zjawiłem się tam następnym razem, już jej nie było. Nie powiedzieli, co się z nią stało. Po prostu... zniknęła. – Spojrzał na nich gniewnie wilgotnymi od łez oczami. – I wtedy przestałem. Nie zamierzam brać udziału w krzywdzeniu małych dziewczynek.

– Postąpiłeś bardzo odważnie – powiedział Winter łagodnie. – Raczej nie byli zadowoleni, że zdezerterowałeś.

Alf prychnął, podnosząc wreszcie kanapkę do ust.

– Nie wiem, co to dokładnie znaczy, ale na pewno ucieszyliby się, gdyby mogli położyć mnie w ziemi.

– Powiedz nam, kim są i gdzie ich szukać, a rozwiążemy problem za ciebie.

– To nie jest tylko jedno miejsce – odparł Alf poważnie. – Z tego, co wiem, są trzy takie warsztaty, a może i więcej.

– Trzy? – powtórzył Winter, zaskoczony. – Jak to możliwe, że o nich nie słyszeliśmy?

– Bo to spryciarze, no nie? – Alf odgryzł potężny kęs kanapki i przez chwilę milczał, żując. – Najlepiej dobrać się do nich w nocy. Wystawiają strażę, lecz w nocy wszyscy są mniej czujni. Pokażę wam.

– Będziemy musieli działać szybko – powiedział Godric, spoglądając na Wintera, który przytaknął. – Zaprowadzisz mnie do nich jutro w nocy?

– Tak. – Alf wepchnął resztę chleba do kieszeni. – Lepiej pójde, zanim zrobi się widno.

– Mógłbyś tu zostać – zaproponował Winter. – Byłbyś bardziej niż mile widziany.

Alf potrząsnął jednak głową.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale trochę tu dla mnie za tłoczno.

– Nic ci się nie stanie? – zapytał Godric, ściągając brwi.

Alf przechylił głowę, uśmiechając się cynicznie.

– Boicie się, że mogę nie wrócić? Bez obaw – nikt mnie nie złapie, jeżeli nie

zechcę dać się złapać. Dzięki za herbatę.

Po czym wyszedł kuchennymi drzwiami.

– Do licha, powinienem za nim pójść – mruknął Godric.

Lecz Winter potrząsnął głową.

– Nie chcemy go wystraszyć. Poza tym widziałem dziś w bocznej alejce dragonów.

Godric zaklął.

– Śledzili mnie.

Co oznaczało, że jeszcze trudniej będzie wrócić tej nocy do domu. Spojrzał na Wintera.

– Naprawdę sądzisz, że nic mu się do jutra nie stanie?

Winter wzruszył ramionami, odkładając chleb.

– Na razie nic więcej nie da się dla chłopaka zrobić.

Godric uznał, że musi zadowolić się tą świadomością przynajmniej do jutrzejszego wieczoru.

* * *

Dźwięk męskich głosów za oknem obudził Megs z niespokojnego snu. Zamrugła sennie i rozejrzała się po sypialni. Było już widno, ale na tyle wcześnie, że Daniels nie przyszła jeszcze, żeby obudzić swoją panią i pomóc jej się ubrać.

Wstała i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała na dziedziniec. Zobaczyła Godrica, rozmawiającego z mężczyzną w trójgraniastym kapeluszu. Stał, owinięty szczelnie peleryną. Megs nie odeszła od okna, gdyż było w tym drugim mężczyźnie, a także w sztywnej postawie Godrica, coś mocno niepokojącego.

A potem mężczyzna w kapeluszu spojrział na dom i Megs gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

To był kapitan Trevillion.

Bez ostrzeżenia wyciągnął rękę i rozchylił pelerynę Godrica.

Obróciła się na pięcie, chwyciła szlafrok i ruszyła, owijając się nim, ku drzwiom, z sercem w gardle. Czy fakt, że Godric miał na sobie kostium Ducha, wystarczy, aby go aresztować?

Lecz kiedy wpadła bez tchu do holu, jej mąż właśnie zamykał za sobą drzwi. Spokojnie, jakby wrócił dopiero co z pogawędki z królem.

– Godricu! – syknęła.

Spojrzał na nią i Megs zamarła.

Zmiana była subtelna, lecz nauczyła się już rozpoznawać symptomy – zaciśnięte w wąską kreskę usta, lekko zwężone źrenice. Nie był spokojny, ani trochę. Już raczej zmęczony i zły.

Nie pamiętała, jak udało jej się zbiec ze schodów. Uniosła dłonie ku jego twarzy, pragnąc go uspokoić. Pocieszyć.

Pochwycił je i unieruchomił.

Zamruła, skupiając wzrok na jego oczach, i zobaczyła, że wpatruje się w nią spojrzeniem pozbawionym wszelkiego wyrazu.

Nie przebaczył jej zatem tego, jak zachowała się w nocy.

– Co zaszło w St. Giles? – spytała cichym głosem. Rozpaczliwie pragnęła go dotknąć, przekonać się, że jest cały i w dobrej kondycji. – Dlaczego kapitan cię puścił?

– Godric – dobiegł ich od strony schodów pełen zaskoczenia głos. Megs obejrzała się i zobaczyła, że stoi tam pani St. John. A także siostry Godrica. Wszystkie trzy.

Po chwili, nie wiadomo skąd, zjawił się Moulder.

– Proszę pana?

– Dlaczego wszyscy są już na nogach? – mruknął Godric.

– Wychodziłeś? – spytała Sarah cicho.

– Nie twój interes – odparł stanowczo jej brat, zmierzając ku tylnej części domu.

– Ale... – zaczęła jego macocha.

– Proszę mnie nie przesłuchiwać – burknął, po czym odmaszerował, nie oglądając się, i zniknął w głębi holu.

Pani St. John spojrzała bezradnie na Megs oczami błyszczącymi od łez.

– Porozmawiam z nim – powiedziała Megs z przekonaniem, które, jak wiedziała, będzie musiała dopiero w sobie rozbudzić, po czym ruszyła w ślad za mężem.

Gdyby nie chodziło o teściową i łzy w jej oczach, nie ośmieliłaby się przeciwstawić mu po raz drugi tej samej nocy. Wiedziała, że go zraniła i że nie życzy sobie jej obecności.

Cóż, jakoś będzie musiał to przeżyć.

Otworzyła drzwi gabinetu, nie pofatygowawszy się, aby zapukać.

Godric nalewał sobie właśnie szklaneczkę brandy i rozmawiał z Moulderem.

– To samo miejsce co zwykle. Upewnij się, że nie jesteś śledzony.

– Tak, proszę pana – odparł Moulder i wyszedł pospiesznie z pokoju.

Wyglądał, jakby mu ulżyło.

Megs zamknęła za nim drzwi i cicho chrząknęła.

– Odejdź – burknął Godric, wychylając na raz pół szklaneczki brandy.

Megs się skrzywiła. Naprawdę zachowywał się jak niedźwiedź w gawrze.

Wzięła głęboki oddech.

– Nie. Jestem twoją żoną.

Przechylił głowę i wycedził, krzywiąc piękne wargi:

– A jesteś?

– Tak – odparła. Czowała, że twarz jej płonie.

Odwrócił wzrok, jakby Megs przestała go interesować, i zdjął, poruszając się sztywno, pelerynę. Megs zamrugęła. Pod peleryną jej mąż miał bowiem na sobie skromny brązowy surdut, nie pstry kostium arlekina. Mężczyzna nacisnął panel boazerii obok kominka, a ten otworzył się, ukazując wbudowaną w ścianę skrytkę. Tam Godric schował wyjęty z wewnętrznej kieszeni kordelas.

Dziewczyna zaryzykowała i weszła głębiej do pokoju.

– Czy kapitan cię śledził?

– Tak. – Syknął cicho, zdejmując przez głowę koszulę, i Megs westchnęła przerażona. Rana otworzyła się bowiem i po plecach Godrica spływała strużka krwi. – Od St. Giles. Jest w tym bardzo dobry. Kilka razy nie byłem nawet pewien, czy jest tam gdzieś z tyłu.

Megs podniosła koszulę i zaczęła rwać ją na pasy – i tak nie nadawała się już do noszenia.

– Bardzo się cieszę, że nie miałeś dzisiaj na sobie stroju Ducha.

– Ależ miałem.

Zamarła, wpatrując się w szare oczy męża.

– Jak to?

Wzruszył ramionami, a potem się skrzywił.

– Wiedziałem, że mnie śledzi i bez wątpienia zechce skonfrontować się ze mną, jeśli doprowadzę go do Saint House. Na szczęście zabezpieczyłem się przed podobną ewentualnością już przed laty, zostawiając zwykły strój u pewnej starej wdowy. Wystarczył moment, by wślizgnąć się do zatłoczonej czynszówki i zmienić ubranie. Prawdę mówiąc – dodał, wpatrując się z namysłem w szklaneczkę – to prawdziwy cud, że Trevillion nie stracił wtedy tropu. Ale, jak powiedziałem, jest dobry.

– Miło, że tak go podziwiasz. – Megs oddarła przesadnie gwałtownym ruchem kolejny pas materiału. Poskładała go i zanurzyła, nie pytając, w brandy.

– To dobra francuska brandy – zauważył Godric spokojnie.

– A twój bark to dobre angielskie ciało – odpaliła dość nonsensownie, przyciskając prowizoryczny opatrunek do rany.

Godric chrząknął.

– Och, Godricu – westchnęła, przemywając trzęsącymi się dłońmi ranę. – Co wydarzyło się tej nocy?

Zerknął na nią przez ramię i przez chwilę sądziła, że powie coś, czego oboje będą żałować.

– Przepytałem w twojej sprawie właściciela gospody.

– I?

Zacisnął szczękę.

– Niewiele zdołałem się dowiedzieć. Lokaj, który powiadomił o śmierci Fraser-Burnsby’ego, podobno również nie żyje.

Megs znieruchomiała.

– Zamordowano go?

Potrząsnął głową.

– Możliwe. Po prostu nie wiem. Lecz to z pewnością podejrzane, że jedyny świadek zniknął i stracił życie niedługo po tym, jak Fraser-Burnsby został zamordowany.

Rana przestała krwawić, a plecy też były już czyste. Mimo to Megs ostrożnie przyciskała opatrunek do skóry Godrica. Z jakiegoś powodu nie miała ochoty przestać go dotykać.

– I dokąd nas to prowadzi?

– Lokaj musiał mieć rodzinę albo przyjaciół. – Godric ściągnął brwi. – Jeżeli nie będzie innego sposobu, mogę wypytać jeszcze raz d’Arque’a.

– Ja mogłabym to zrobić...

– Nie.

Odsunął się od niej.

Zamrugła z dłonią uniesioną bezsensownie w powietrzu.

Skrzywił się i odwrócił wzrok, a potem sięgnął po szlafrok, przewieszony przez oparcie krzesła.

– Jeżeli lokaja zamordowano, jest tam gdzieś przynajmniej jedna osoba gotowa zabijać, by ukryć swoje zbrodnie. Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

– Godricu...

– Zawarliśmy umowę. – Włożył szlafrok i zapiął guziki. – Dotrzymałem swojej części.

Przyglądała mu się przez chwilę, nim opuściła dłoń z przeklętym kawałkiem lnu. Będą musieli dyskretnie go spalić, by służba niczego nie zauważyła.

– Doskonale.

Godricowi ulżyło.

Megs zacisnęła bezużyteczne dłonie.

– Powiedziałeś wcześniej, że masz do załatwienia w St. Giles własny interes.

Mogę zapytać jaki?

Zastanawiał się przez chwilę i kiedy sądziła już, że nie odpowie, wyjaśnił:

– Staralem się wyśledzić grupę, która uprowadza małe dziewczynki i zmusza je do pracy nad siły przy produkcji jedwabnych pończoch. Nazywają ich porywaczami dziewcząt.

Megs wpatrywała się w męża zaszokowana. Pomyślała o dziewczętach, które dopiero co zatrudnili. Na myśl o tym, że ktoś mógłby bezlitośnie je wykorzystywać, przewracał się jej żołądek.

– Och – westchnęła tylko.

Skinął krótko głową.

– A teraz, jeśli zaspokołaś już ciekawość...?

Była to odprawa, jednak ciekawość Megs nie została bynajmniej zaspokojona.

– A twoje plecy? Rozerwałeś szwy.

– Nie przejmuj się tym. Moulder je później opatrzy – odparł szorstko. – Brzegi rany i tak się rozejdą, kiedy...

Spojrzał na nią i zamknął usta.

– ...kiedy wrócę dziś w nocy do St. Giles – zakończył po chwili, krzywiąc się.

Rozdział 13

Pochłodniało, gdy wielki czarny koń Hellequina jął wspinać się na zbocza Góry Szeptów. Faith zadrżała i przywarła mocniej do jeźdźca, a wtedy ten wyjął z juków pelerynę i podał jej.
– *Owiń się nią, dziewczyno – burknął, a Faith przyjęła z wdzięcznością okrycie, dziękując. Wysokie sosny, posępne i czarne, otaczały ich ze wszystkich stron, a kiedy wiatr świszczął w gałęziach, Faith wydawało się, że słyszy dobiegające z oddali słabe krzyki i mamrotanie. Obejrzała się i zobaczyła unoszone wiatrem pasemka mgły, wątle i niemal przejrzyste...*
– *z Legendy o Hellequinie*

Artemis Greaves przemykała po zatłoczonych ulicach szybko i zdecydowanie. Miała do dyspozycji zaledwie kilka godzin, nim Penelope obudzi się i zażąda, by razem z nią analizować każdą minutę wczorajszego balu. Artemis westchnęła – z niejaką czułością. Penelope mogła na co dzień zachowywać się niemądrze, ale nie wtedy, gdy postawiła sobie za cel, by wyjść za księcia. Starannie wybierała zaproszenia, organizując niby to przypadkowe spotkania i dając upust nieustającej zazdrości o pannę Royle, która, jak podejrzewała Artemis, nie była w ogóle świadoma, że ma tak zagorzałą rywalkę.

Byłoby to nawet zabawne, gdyby Penelope wybrała sobie inny obiekt obsesji. Artemis nie lubiła księcia, wątpiła również, czy byłby w stanie uszczęśliwić jej kuzynkę. A gdyby się pobrali...

Zatrzymała się nagle i została niemal potracona przez tragarza niosącego na grzbiecie dwie gęsi.

– Uważaj, skarbie – rzucił mężczyzna dosyć uprzejmie przez ramię, wymijając ją.

Artemis przełknęła ślinę i ruszyła dalej, lawirując zgrabnie pomiędzy przepychającymi się, biegnącymi, maszerującymi, potykającymi się londyńczykami. Ulice stolicy były niczym wielka rzeka ludzi, płynąca nieprzerwanie, wzbierająca, rozdzielająca się na węższe odnogi oraz tworząca tu i ówdzie jeziora stłoczonych, drepczących istot ludzkich.

Płyn, inaczej ryzykujesz, że utoniesz.

Gdyby Penelope poślubiła księcia Wakefielda, w najlepszym przypadku Artemis przeprowadziłaby się wraz z nią do nowego domu: stale obecne blade widmo, jak określił to Jego Miłość. Towarzyszka Penelope, a po jakimś czasie, być może, kochająca ciotka jej dzieci. W najgorszym razie Penelope mogłaby zdecydować, że nie potrzebuje już towarzyszk.

Dziewczyna zaczerpnęła drżącego oddechu. Na razie nic nie dało się z tym zrobić. Miała do załatwienia pilniejsze sprawy.

Po dwudziestu minutach dotarła wreszcie do celu: małego sklepu jubilerskiego w niezbyt modnej dzielnicy Londynu. Zdobycie tego adresu kosztowało ją miesiące podchodów i ostrożnego wypytywania znajomych dam. Gdyby po prostu o niego spytała, wywołałoby to niepożądane komentarze, a potem plotki.

Artemis rozejrzała się dyskretnie, a potem otworzyła drzwi małego sklepiku. Wnętrze było mroczne i niemal puste. Za wysoką ladą z kilkoma pierścionkami, bransoletkami i naszyjnikami siedział starszy mężczyzna. Kobieta spostrzegła, że jest jedyną klientką.

Sklepiarz spojrział na nią, gdy weszła. Był niskim człowieczkiem o zgarbionych plecach, niespotykane dużym nosie i pomarszczonej skórze. Ubrany w czerwony surdut z kamizelką oraz znoszoną siwą perukę spoglądał na Artemis, jak się jej zdawało, przychylnie – nie wyglądała na bogatą. Powstrzymała chęć, by spuścić głowę.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparła, zbierając się na odwagę. Musiała to zrobić – nie było innego sposobu.

– Powiedziano mi, że kupuje pan czasem biżuterię.

Zamrugał i spytał ostrożnie:

– Tak?

Podeszła do lady i wyjęła z kieszeni jedwabny woreczek. Troczki były ciasno splątane i dobrą minutę zajęło jej rozwiązanie ich. Gdy to robiła, łzy napłynęły jej do oczu. To był jej najcenniejszy skarb.

Potrzeba zwycięża jednak sentyment.

Sznureczki dały w końcu za wygraną. Artemis otworzyła woreczek, zanurzyła w nim dłoń i wyjęła znajdujący się w środku skarb. Zielen i złoto zabłysły w półmroku, zaprzeczając prawdziwej wartości naszyjnika. Wiedziała, że kamień jest sztuczny, a złoto to jedynie połączony metal. Mimo to wpatrywała się w błyskotkę z nie mniejszym podziwem niż przed trzynastoma laty, kiedy dostała

ją na piętnaste urodziny. Jego drogie oczy błyszczące oczekiwaniem, kiedy podawał jej woreczek. Nie zapytała, jak wszedł w posiadanie naszyjnika – niemal bała się to zrobić.

Patrzyła, jak jubiler zakłada okulary, przyciąga bliżej lampę i pochyła się nad ozdobą z lupą w dłoni. Delikatny pozłacany filigran otaczający zielony kamień zabłysnął w świetle. Wisiorek miał kształt łyzy, a łańcuszek, na którym był zawieszony, wykonano z tańszego, bardziej matowego materiału.

Mężczyzna zeszywniał, pochylił się nad kamieniem, a potem podniósł nagle wzrok i spojrzął na Artemis.

– Skąd pani go ma? – zapytał stanowczo.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Dostałam w prezencie.

Jubiler przesunął bystrym spojrzeniem po jej skromnym stroju.

– Bardzo w to wątpię.

Zamrugała, zaskoczona podobnym brakiem uprzejmości.

– Słucham?

– Młoda damo – odparł, prostując się i wskazując leżący na ladzie wisiorek. – Mamy tu nieskazitelny szmaragd, osadzony, jak podejrzewam, w czystym złocie. Albo sprzedajesz go w imieniu swojej pani, albo go ukradłaś.

Artemis zadziałała bez namysłu. Chwyciła wisiorek, uniosła spódnice i wybiegła ze sklepu, ignorując krzyki sprzedawcy. Serce biło jej mocno w piersi, kiedy pędziła ulicą, mijając przechodniów i spodziewając się usłyszeć za sobą odgłosy pogoni. Nie przestała biec, póki nie zabrakło jej tchu.

Nie podała jubilerowi swojego nazwiska. Nie wiedział, kim jest, więc nie mógł posłać za nią łapaczy złodziei. Wzdrygnęła się na myśl o nich, a potem zerknęła dyskretnie na wisiorek. Szmaragd mrugnął do niej szelmowsko – skarb, którego nigdy nie pragnęła, a teraz nie mogła sprzedać, ponieważ był zbyt kosztowny. Zaśmiała się gorzko. Naszyjnik był rzeczywiście prezentem, nie miała jednak na to dowodu.

Boże święty, skąd Apollo wytrzasnął coś tak cennego?!

* * *

Kiedy Megs wyszła po wczesnej kolacji do ogrodu, aby zaczerpnąć nieco powietrza, zapadał już zmierzch. Higgins oczyścił alejki i wysypał na nich żwir. Wypielił też klomby i starannie je odgrodził. Pod ścianą domu dzielnie walczyło o przetrwanie kilka żonkili, posadzonych przez któregoś z przodków Godrica, a

potem zapomnianych.

Megs spacerowała, rozmyślając. Ogrody były tak spokojnym miejscem – nawet, jak ten, na wpół ogołoczone. Wkrótce będą mogli posadzić jednak róże i irysy, piwonie oraz michałki.

Jeżeli Godric pozwoli jej zostać na tyle długo.

Ściągnęła brwi. Gdy wrócił nad ranem, zamknął się w swoim pokoju i nie pokazał podczas lunchu ani kolacji, chociaż zauważyła, że zaniesiono mu na górę tace. Przynajmniej nie głodował.

Kobieta zatrzymała się przy starej jabłonce i położyła dłoń na chropowatej korze. Nie wiedzieć czemu wyraźnie ją to uspokoiło. Było już prawie ciemno, mimo to pochyliła się ku najniższym gałęziom i serce zaczęło szybciej bić w jej piersi. Mogłaby przysiąc, że na wyrastających z nich pędach pojawiły się zalążki pączków. Może...

– Megs.

Głos, choć cichy, niósł się echem po ogrodzie, spokojny i rozkazujący. Odwróciła się i zobaczyła Godrica, stojącego w otwartych drzwiach Saint House. Padające z korytarza światło sprawiało, że jego sylwetka rzucała na ogród długi cień. Megs przez sekundę zadrżała na wyobrażenie mrocznego nieznanego, który przyszedł, aby najechać jej spokojny ogród, lecz potem się otrząsnęła. To był Godric, a cokolwiek by o nim powiedzieć, z pewnością nie był nieznanym.

Tylko jej mężem.

Podeszła, a wtedy wyciągnął ku niej dłoń. Ujęła ją i uniosła głowę, aby na niego spojrzeć – tak jak patrzyła przed chwilą na drzewo: szukając oznak, że tli się w nim życie.

– Chodź – powiedział i pociągnął ją delikatnie w stronę domu.

Poprowadził ją przez hol, a potem schodami na piętro, z dłonią nadal zamkniętą na jej dłoni. Z każdym krokiem serce Megs biło coraz mocniej, a kiedy otworzył drzwi do swojego pokoju, prawie zabrakło jej tchu.

Sypialnia tonęła w blasku świec. Megs zamrugła i spojrzała na Godrica.

Przyglądał się jej oczami, które niczego już nie skrywały, a to, co w nich dostrzegła, sprawiło, że niemal zapragnęła się cofnąć.

Nie puścił wszakże jej dłoni.

– Złożyłem ci obietnicę – powiedział. – Zamierzam jej dotrzymać, ale nie tak, jak robiliśmy to poprzednio.

Nagle wiedziała już, że mówi o tym, jak się kochali ostatniej nocy.

– Ja... przepraszam – wykrztusiła. – Nie chciałam, byś odniósł wrażenie, że

wmawiam sobie, iż kocham się z Rogerem, bo tak nie było. Po prostu to, co razem robiliśmy, wydawało mi się zdradą wobec niego. Nie chciałam jeszcze bardziej go stracić.

Otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk, a Megs w tym samym momencie uświadomiła sobie nagle, kogo tak naprawdę zdradzała.

– Nie sądzisz, że mogłem czuć podobnie, jeśli chodzi o Clarę? – zapytał cicho. – Nie przyszło ci do głowy, że ja też coś poświęcam, by dać ci to, czego pragniesz?

Pochyliła głowę, gdyż było jej wstyd.

– Przepraszam, Godricu.

Objął dłońmi jej twarz i uniósł ku sobie, by mogła spoglądać w jego czyste szare oczy.

– To już bez znaczenia. Teraz liczy się to, jak ja – jak my – zamierzamy iść dalej. Zaczynając od tego.

Pochylił ku niej głowę – powoli, tak, aby wiedziała, co zamierza. Otworzyła szeroko oczy, a potem przymknęła je, poddając się.

Przynajmniej tyle mogła zrobić, by go przeprosić.

Pocałunek nie był tak delikatny jak przedtem. To była obietnica, przypieczerowanie, poświadczenie tego, że się rozumieją i dążą do wspólnego celu. Godric lekko nacisnął kciukiem jej brodę, by móc lizać wnętrze jej ust, zawłaszczyc je. Ogarnęły ją wątpliwości. Zesztywniała, lecz nie pozwolił jej się wycofać. Przytrzymał Megs i przygryzł jej dolną wargę, czekając, aż znowu się uspokoi.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że się jej przygląda. Puścił jej wargę, a potem przesunął po niej językiem. Zamknęła pospiesznie oczy. To było zbyt osobiste, za bardzo intymne.

Zatrzymał język w kąciku jej ust, liząc niemal z zadumą, póki nie zadrżała i nie poddała się, rozchylając szerzej wargi, zapraszając go. Zamruczał cicho, przeciągle, a już po chwili znowu był w jej ustach. Pochwyciła jego język, ssąc, jakby chciała odpokutować wcześniejszą wstrzeźliwość. Przesunął dłonie na kark Megs, odchylając jej głowę do tyłu tak, że była teraz całkowicie otwarta, zdana na jego łaskę.

Przesunął dłonie z jej karku na talię, a potem dźwignął ją i poniósł przez pokój, ani na chwilę nie odrywając warg od jej ust. Posadził ją na łóżku i dopiero wtedy podniósł głowę. Megs czuła ucisk w piersi i brakowało jej tchu.

– Rozbierz się – polecił.

Megs otworzyła szerzej oczy.

Pochylił głowę, przesywając swą żonę świdrującym spojrzeniem.

– Teraz.

Rozchyliła wargi, nabrzmiałe i nadmiernie wrażliwe, i dotknęła ich delikatnie językiem.

– Pomożesz mi?

– Rozepnę wszelkie haftki i guziki, których nie będziesz w stanie dosięgnąć.

Pochyliła głowę, majstrując przy staniku. Nie tak łatwo było damie się rozebrać. Zwykle pomagała jej Daniels i dwie pokojówki. Potrzeba było na to czasu, a sama czynność nie wyglądała nazbyt wdzięcznie.

A na koniec stanie przed nim obnażona.

Czekał jednak, oddalony zaledwie o kilka cali, więc posłuchała.

Na pierwszy ogień poszedł stanik, a kiedy udało jej się go zdjąć, ruszyła ku środkowi pokoju, aby położyć go na stole lub krześle, lecz Godric wziął go od niej i rzucił niedbale na podłogę.

Przygryzła wargi, lecz się nie odezwała, walcząc z troczkami w talii. Wreszcie spódnice opadły, tworząc kałużę wokół jej stóp. Wyszła z niej i kopnięciem odrzuciła połyskliwy materiał. Rozwiązała pantofle i pochyliła się, by unieść koszulę i zrolować pończochy. Mężczyzna nie poruszył się i niemal dotknęła głową jego uda. Pozycja sprawiła, że gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

A przynajmniej miała nadzieję, że chodzi wyłącznie o pozycję.

Wyprostowała się, stojąc boso, i zaczęła się zmagać ze sznurówkami gorsetu. Zawsze się plątały, gdy próbowała rozebrać się sama. Palce jej drżały. Prychnęła cicho, zniecierpliwiona, gdy węzeł jeszcze bardziej się zacieśnił. Godric wydawał się niezainteresowany, kiedy tak stał tuż przed nią, oddychając powoli, głęboko. Lecz potem spuściła wzrok i zobaczyła...

Cóż, chyba nie był jednak tak zupełnie niezainteresowany.

Sznurówki w końcu ustąpiły i zaczęła przeciągać je przez oczka. Serce biło jej mocno, a biust falował. Spojrzała na Godrica i nie odrywając wzroku, przesunęła gorset przez głowę.

Mężczyzna popatrzył wymownie na jej ciało. Nadal miała na sobie koszulę.

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Wszystko.

Wiedziała, że do tego dojdzie, że Godric zamierza udowodnić jej, iż ta noc różni się od poprzednich. Zgodzi się na to, chociaż jej twarz i kark płonęły. Nie była jednak pewna, czy robi to, czego się od niej domaga, ponieważ pragnie dziecka – bardzo – czy też czegoś innego, co mogła dostać już, natychmiast.

Stał nieruchomo, czekając, aż się dla niego rozbierze.

Ujęła skraj koszuli, podciągnęła ją i zdjęła, a potem zamarła, stojąc przed nim naga. Postąpił krok w przód i ich ciała wreszcie mogły się spotkać – jej nagie sutki naprzeciw wełny jego surduta, gdyż Godric nadal był całkowicie ubrany. Położył dłonie na jej barkach, a potem zsunął je delikatnie na piersi. Objął je, muskając palcami sutki i przesuwając paznokciami wokół miejsca, gdzie aureolka przechodzi w pierś.

Westchnęła, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pochylił się i uniósł ją, jakby była piórkiem – co z pewnością nie było prawdą.

Położył Megs na łóżku, zanim w ogóle do niej dotarło, że ją unosi. Leżała, przyglądając się, jak Godric rozwiązuje sznurówki pantofli, zdejmując surdut i kamizelkę, a wreszcie perukę.

Umieścił ją na nocnym stoliku i znowu odwrócił się ku Megs. Spodziewała się, że będzie się dalej rozbierał, lecz zamiast tego ukląkł na łóżku i podczołgał się ku niej – blisko, lecz nie na tyle blisko, by się stykali. Wpatrywał się w nią poważnymi szarymi oczami, aż uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

Zamknął oczy, jakby jej dotyk go zabolął.

– Wypowiedz moje imię.

Przełknęła ślinę, zanim udało jej się zmusić wargi, aby się poruszyły.

– Godric.

Otworzył oczy. Teraz nie wydawały się już ani trochę spokojne.

– Megs.

Pochylił głowę i dotknął wargami jej ust, muskając je raz, a potem drugi, póki nie przywarł do nich mocno, żądając, by je dla niego otwarła. Wpuściła go, pieszcząc językiem jego język, smakując wnętrze jego ust, rozkoszując się dotykiem warg. Przerwał pocałunek i spojrzał na nią znowu, domagając się czegoś w milczeniu.

– Godric – powiedziała posłusznie.

To zdawało się go zadowalać. Powędrował językiem w dół jej szyi, sprawiając, że wygięła ją ku niemu, zastanawiając się nad tym, jak bardzo Godric różni się od Rogera. Spotykali się ukradkiem, Roger i ona, zapewne dlatego ich intymne kontakty były pospieszne – nagły wybuch namiętności, niemal poza kontrolą, płomień wypalający się zbyt szybko.

Godric przeciwnie, zdawał się czerpać przyjemność z poznawania jej. Zwlekając, jakby chciał coś na niej wymóc. Coś więcej niż tylko namiętność.

Ta myśl sprawiła, że znowu poczuła się nieswojo.

Uniósł nagle głowę, jakby wyczuł, że odpłynęła myślami. Ściągnął brwi nad oczami szarymi jak niebo podczas burzy.

– Wypowiedz moje imię.

– Godric – wyszeptała.

Opuścił głowę i zaczął lizać jej prawą pierś, okrążając językiem wrażliwy sutek, nim wciągnął go niespodziewanie do ust. Megs westchnęła głośno i wyciągnęła odruchowo ramiona ku jego głowie i włosom, obciętym wszakże tak krótko, że nie sposób było je uchwycić. Ssał mocno, przesuając językiem po dolnej części sutka, pieszcząc palcami drugą pierś i dając Megs przyjemność tak intensywną, że mimo woli otworzyła usta.

Przesunął wargi na lewą pierś, polizał sutek, a potem ssał go przez wiele długich minut, póki nie poruszyła nerwowo nogami, zaciskając bezwiednie uda.

Odsunął się nieco i rozkazał, wpatrując się w jej piersi, zaczerwienione teraz i wilgotne.

– Moje imię.

– G-Godric.

Musnął kciukami sutki – traktując to jako karę albo nagrodę, nie była pewna – i ją przesuwać ustami po żebrach Megs i w dół jej brzucha. Zmierzał w tym samym kierunku co noc wcześniej i dziewczyna zamarła.

Umieścił dłonie na jej kościach biodrowych i całował niespiesznie dół jej brzucha tuż nad miejscem, gdzie zaczynały rosnać włosy łonowe.

A potem na nią spojrzał.

Oblizła wargi, nim je otworzyła.

– Godric.

Przyglądał się Megs, rozchylając jednocześnie jej uda, a potem spojrzał w dół.

Instynktownie spróbowała je zacisnąć, lecz nie pozwolił na to. Nawet Roger nie przyglądał się jej ciału tak dokładnie. Tak intymnie. Pokoje, w których się spotykali, były zazwyczaj mroczne. I nawet kiedy ją tam całował, było to jedynie przelotne muśnięcie. Była tak zawstydzona...

Podobnie jak teraz.

Wiedziała – czuła – że jest tam mokra, a jej kędziorki wilgotne. To nie mogło wyglądać ładnie. Dlaczego miałyby więc robić coś takiego? Wpatrywać się w nią tak długo w bezruchu? Spojrzała, zdenerwowana, na zapalone świece. Czy zgasiłby je, gdyby go poprosiła?

– Wypowiedz moje imię.

Jego głos, niższy i bardziej niż zwykle ochrypły, wytrącił ją z zamyślenia.

– G-Godric.

I nagle to, że usłyszał swoje imię, wypowiedziane jej ustami, zadziało niczym ostroga. Pochylił głowę tak szybko, że nie miała czasu, aby zareagować,

odsunąć go, a kiedy już znalazł cel...

Nie chciała, by przestał.

Nie czuła dotąd niczego równie rozpustnego. Lizął ją. Wylizywał jej fałdki, przesuwając językiem po twardym węzélku u ich zwieńczenia, zataczał nim kręgi, sondował. Wstrzymała oddech, a potem nie była w stanie go wypuścić. Jej ciało drżało. Jak miała wytrzymać coś takiego? Przetrwać? Były jeszcze dźwięki – wilgotne, intymne odgłosy. Odgłosy tego, jak zadowalał ją w akcie, który kojarzył się jej z prymitywnym znakowaniem. Skąd wiedział? Gdzie nauczył się tak okropnych, straszliwych, rozdzierająco cudownych rzeczy?

Otworzył usta, przycisnął je do łechtaczki Megs i zaczął ssać, a wtedy odpłynęła, zupełnie straciła nad sobą kontrolę.

Wszelka myśl uleciała przez okno, gdy wiła się pod nim i jęczała, zawstydzająco głośno. Cóż, byłoby to zawstydzające, gdyby nadal była przy zdrowych zmysłach. Robił jej coś tak rozkosznie grzesznego, że napierała na niego biodrami, skomlała cichutko i pragnąc więcej. A on po prostu jej to dawał. Ssał, liżąc i – och! – wsuwając w nią palec, póki nie eksplodowała z rozkoszy. Poczowała wewnętrzne drzenie, eksplozję płomieni, a potem cudowne, rozlewające się po ciele ciepło, zmieniające jej mięśnie w pudding, a kości w imbirowe herbatniki, słabe, kruche i słodkie.

Zachichotała. Może naprawdę postradała zmysły.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Godric siedzi tuż obok, obserwując ją z wygiętymi w leciutkim uśmiechu wargami i niemal ciepłym spojrzeniem.

– Godric – szepnęła i wyciągnęła do niego dłoń.

Ujął ją, rozsunął palce Megs i ucałował każdy z osobna.

Wstrzymała oddech, spojrzenie jej się zamgliło. Dotykał jej, jakby była mu droga. Jakby to, co tu robili, było czymś więcej niż tylko fizycznym aktem. Stał teraz obok łóżka, zdejmując bryczesy, pończochy i koszulę. Zobaczyła, że metalowa drobnostka, którą zawsze miał na szyi, nie była wisiorkiem, lecz małym kluczem, zawieszonym na srebrnym łańcuszku. A potem jej uwagę przyciągnęła jego naga pierś z widocznymi w blasku świateł bliznami: krętą białą linią wzdłuż żeber, wypukłą pręgą na barku i zagłębieniem na lewym przedramieniu. Wyglądało, jakby wyszarpano stamtąd kiedyś kawałek ciała. A jednak pomimo blizn – a może z ich powodu – wydał jej się piękny.

Pierś miał szeroką, linie ramion i barków wyraźnie zarysowane. Pomiędzy ciemnymi sutkami widniała kępka włosów w kształcie rombu, brzuch był umięśniony i płaski. Talia zwężała się wdzięcznie ku biodrom, a...

Zsunął bieliznę i Megs mogła już tylko się gapić. Członek Godrica stał

czerwony i dumny, z wilgotną główką i jądrami, upchniętymi ciasno w mosznie. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny, nawet Rogera. A było na co popatrzeć. Uświadomiła sobie nagle, iż cieszy ją, że Godric jest jej mężem, że może być w tej jednej sprawie samolubna: nikt poza nią nie ogląda go nagiego. Należy do niej.

Nawet jeżeli potrwa to tylko przez jakiś czas.

Podniosła wzrok i przekonała się, że stał, przyglądając się jej, kiedy syciła oczy widokiem jego ciała.

– Godric – wyszeptała, rumieniąc się.

Posłał jej drapieżny, tak męski uśmiech.

Ukląkł na jedno kolano i pochylił się nad nią.

– Teraz. Teraz cię wezmę. Będziemy tylko ty i ja, Megs.

Nadal czuła w głębi serca wątpliwość, delikatne przekonanie, że zdradza Rogera. Wiedziała jednak, że gdyby dała temu wyraz, zraniłoby to Godrica, a przecież zawsze był dla niej taki dobry.

Zdobyła się więc na drżący uśmiech.

– Tylko ty i ja.

Opadł na Megs i umościł się wygodnie. Poczuła ciężki, śliski kształt jego członka, napierającego na nią pomiędzy udami.

Westchnęła. Dopiero co doszła, mocno i cudownie, i była nader wrażliwa na ciepło ciała Godrica, jego ciężar, intymną dominację. Mężczyzna ujął jej twarz w dłoń i ucałował delikatnie, czule. Łzy napłynęły jej do oczu.

Nie tego pragnęła, a przynajmniej tak się jej zdawało. Spowijał ją pajęczyną intymności nic po nici, przedąc niemożliwą do zerwania sieć, trzymając ją mocno, póki nie przestała choćby myśleć o ucieczce.

Myśli Megs rozproszyły się, kiedy uniósł się odrobinę i przesunął członkiem wzdłuż jej dolinki.

Zaparło jej dech.

Pocierał główką członka, a ich połączona wilgoć sprawiała, że było to jeszcze bardziej śliskie, jeszcze słodsze. Uśmiechnęła się zapraszająco i odpowiedział uśmiechem.

– Teraz.

Wsunął w nią czubek członka i zaczął pchać. Nieubłaganie, niestrudzenie. Przyglądał się Megs, wchodząc w nią, robiąc sobie w niej miejsce, kiedy łączyły się ich ciała.

Leżała pod nim otwarta: jej ciało, usta, twarz, wszystko. Otwarta, rozłożona szeroko, absolutnie uległa.

A potem zaczął się poruszać.

Tylko odrobinę, nie wycofując się prawie wcale, jakby nie mógł się zdobyć, żeby opuścić ciepło jej ciała. Twarde, małe pchnięcia – sprawiały, że podskakiwała leciutko na materacu.

Wygieła szyję w łuk, wcisnęła głowę w poduszki i przyglądała mu się spod na wpół przymkniętych powiek. Rozsunęła jeszcze szerzej nogi, składając mu siebie w ofierze. Składając obietnicę.

A on zdawał się to rozumieć. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, oddychał jednak bardziej urywanie, a powieki lekko mu opadły, kiedy wsunął ramiona pod kolana Megs i uniósł jej nogi. Przytrzymał ją tak, napierając bezlitośnie na ten jeden jedyny punkt, gdzie łączyły się ich ciała.

Tym razem nadeszło niespodziewanie. Nie było powolnego wzrostu przyjemności, ciepła rozchodzącego się po ciele. To było szybkie i mocne, ogień ogarniający błyskawicznie członki, i tak omdlałe już po zaznanej niedawno rozkoszy. Dziewczyna wpijała się na wpół świadomie palcami w boki Godrica i jego ramiona, próbując skłonić go, by zrobił... coś. Czuła, że umrze, rozpadnie się, jeżeli on nie przyspieszy, nie wejdzie w nią głęboko.

I wtedy, nie wiadomo, czy wyczuwając jej determinację, czy też będąc w podobnym stanie, właśnie to zrobił. Puścił nogi Megs, wsparł się na silnych ramionach i wbił się w nią biodrami, wykonując mocne, rozkosznie gwałtowne ruchy. Łóżko zaczęło się kołysać, zagłówek uderzał rytmicznie o ścianę i w każdych innych okolicznościach Megs byłaby tym zaszokowana, lecz teraz... teraz była w raj. Białe światło ograniczyło jej pole widzenia, kiedy rozkosz zalała ją, wstrząsnęła całą jej istotą, dając jej życie.

Mogłaby unosić się tak przez całą wieczność. Żyć wiecznie.

Gdy opadła z wysokości, zobaczyła Godrica. Jego odrzuconą w tył głowę, pierś lśniąca od potu, obnażone, jakby w grymasie cierpienia, zęby. Był taki piękny, niczym bóg, który stał się śmiertelnikiem poprzez fizyczną rozkosz. Przyglądała mu się z podziwem, aż w ostatniej minucie otworzył nagle oczy, wpatrując się w nią z napięciem. Zacerpnęła gwałtownie powietrza.

Było tak, jakby pozwolił jej zajrzeć w głąb swojej duszy.

W końcu opadł na nią bezwładnie, a potem stoczył się na bok, jakby obawiał się, że mógłby ją zgnieść. Przez chwilę czuła się rozczarowana: chciała poczuć na sobie jego ciężar. Leżała, oddychając ciężko i czując, jak ogarnia ją chłód. Odwróciła głowę, by spojrzeć na niego. Swego męża. Wydawał się bardziej odprężony niż kiedykolwiek, z wygładzoną twarzą, ramieniem zarzuconym za głowę, zgiętymi lekko eleganckimi palcami. Pojedyncza kropla potu zadrżała

mu na skroni i Megs zapragnęła jej dotknąć, wetrzeć w skórę i poczuć mężczyznę pod zbroją, którą nosił na co dzień. Wyciągnęła rękę, lecz on już się poruszył, stoczył bez słowa z łóżka.

Naciągnęła na siebie kołdrę.

– Co robisz? – spytała.

Nie spojrzał na nią.

– Muszę iść.

– Dokąd? – wyszeptała, czując, jak narasta w niej poczucie zagubienia.

– Do St. Giles.

Rozdział 14

*Smutek pochylił się z obłudnym uśmiechem i dotknął rękawa Faith.
– Widzisz duszyczki unoszone wiatrem? To wszystko, co pozostało
z dzieci, które zmarły, zanim się urodziły. Zostaną tutaj, płacząc za piersią
matki,*

póki Ziemia nie spadnie na Słońce.

Faith zadrżała.

– Jakież to okropne! To nie ich wina, że zmarły przedwcześnie.

Smutek uśmiechnął się, poruszając ogonem jak biczem.

*– Tak, lecz w piekle nie ma sprawiedliwości. Dla nich ani dla twego
ukochanego.*

Faith ściągnęła brwi i zepchnęła Smutek z konia...

– z Legendy o Hellequinie

– Tam – powiedział Alf. A raczej wyszeptał z ustami niemal przyciśniętymi do ucha Godrica. Bał się, choć dobrze to ukrywał. – W tej piwnicy po drugiej stronie. Widzi pan?

– Tak.

To była druga – i największa – fabryczka, jaką odwiedzili tej nocy. Oswobodzili już sześcioro dziewcząt z szopy na tyłach zaniedbanego podwórka – co było stosunkowo proste, gdyż interesu pilnowało zaledwie dwóch strażników, w tym jeden pijany.

Teraz leżeli z Alfem na skraju dachu, naprzeciw piwnicy, gdzie mieścił się kolejny zakład.

– Można się tam dostać od innej strony? – zapytał Godric.

Alf zdecydowanie potrząsnął głową.

– Niczego takiego nie widziałem.

Godric chrząknął, zastanawiając się. Porywacze wybrali na fabryczkę dobre miejsce. Drzwi do piwnicy znajdowały się we wnęcie poniżej chodnika – oznaczało to, że atakujący byłby odsłonięty od tyłu i z konieczności musiałby atakować pojedynczo.

Zresztą i tak zamierzał wedrzeć się tam bez towarzystwa, to akurat nie

podlegało dyskusji.

Kiedy przyprowadził do Wintera pierwszych sześć uwolnionych dziewczynek, ten nalegał, aby przed zaatakowaniem drugiej fabryczki sprowadzić więcej ludzi. Godric wołał jednak nikomu nie ufać – zarówno przez wzgląd na swoją tożsamość, jak i sam atak. Przywykł pracować w pojedynkę. W ten sposób nie musiał polegać na czyichś umiejętnościach czy niezawodności.

Nikt nie mógł go zawieść, skoro był tam tylko on.

– Dwóch strażników. – Szept Alfa ledwie dało się słyszeć, mimo że był tak blisko.

Godric spojrzał na chłopaka i uderzyło go, jak delikatny ma profil. Coś usiłowało przedrzeć się do jego świadomości – coś, co niepokoiło go w związku z chłopcem.

Alf przerwał jednak te rozmyślenia, mówiąc:

– Widzi pan? Jeden przy drzwiach, drugi u wylotu alejki.

– I kolejny na dachu – zauważył Godric.

Alf drgnął i spojrzał w stronę, którą mężczyzna wskazał mu skinieniem głowy.

– Bystry wzrok – przyznał niechętnie. – I co pan robi? Jest pan sam.

– Pozwól, że ja się będę o to martwił – wyszeptał Godric, unosząc się nieco. – Zostań tutaj i do niczego się nie mieszaj. Nie chcę martwić się dodatkowo o ciebie.

Chłopak popatrzył na niego buntowniczo i Godric uznał, że szanuje go za to jeszcze bardziej. A potem spojrzał na strzegących fabryczki opryszków i skinął głową.

– No to powodzenia.

Godric uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję.

Odbiegł, schylony, kierując się w stronę przeciwną niż budynek z piwnicą, okrążając go szerokim łukiem i przeskakując z dachu na dach. Zachowywał daleko posuniętą ostrożność, toteż znalezienie się za łotrem pilnującym fabryki zajęło mu dobry kwadrans. Potem poszło już łatwo: wystarczyło chwycić zaskoczonego strażnika za włosy, odchylić mu głowę do tyłu i przeciągnąć ostrzem po odsłoniętym gardle. Trudność polegała na tym, by strażnik nie wydał, umierając, żadnego dźwięku.

Tak się też stało, Godric miał bowiem w tej robocie aż nadto doświadczenia.

Mężczyzna u wylotu alejki był następny. Fakt, że stał w odsłoniętym miejscu, komplikował nieco sytuację. Odwrócił się w ostatniej chwili i Godric zmuszony

był dźgnąć go w gardło, zanim zadał śmiertelny cios. Mężczyzna upadł, charcząc cicho – miał przeciętą tchawicę. I tak by umarł, ale trwałoby to za długo, toteż Godric dokończył litościwie dzieła, oszczędzając mężczyźnie cierpienia.

Teraz nie mógł już zmarnować ani sekundy. Było kwestią czasu, kiedy trzeci strażnik zorientuje się, że z jego kompanem stało się coś niedobrego, i podniesie alarm. Godric wspiął się znowu po ścianie, oddychając ciężko, choć niemal bezgłośnie. Ramiona i barki płonęły mu z bólu, kiedy przebiegał po dachu, zatrzymując się jedynie na chwilę, by sprawdzić, gdzie stoi strażnik, po czym skoczył na niego z góry. Mężczyzna upadł, uderzając głową o chodnik, i już się nie podniósł.

Godric na nim wylądował i odtoczył się na bok, opierając się instynktownie na lewej dłoni. Ból, biały i oślepiający, przeszył jego nadgarstek. Na chwilę zrobiło mu się niedobrze i bał się, że zwymiotuje. Wstał, zataczając się lekko, a potem zbiegł po schodkach i kopnął w drzwi piwnicy.

We wnętrzu panowała ciemność. Jakaś postać rzuciła się ku niemu, lecz był na to przygotowany. Posłużył się lewym ramieniem, by wytrącić napastnika z impetu, a potem wbił mu szpadę w brzuch. Mężczyzna upadł, wpatrując się z niedowierzaniem w rosnącą plamę krwi. Godric wyciągnął szpadę, walcząc z kolejnym atakiem nudności, i rozejrzał się dookoła.

Kolejny mężczyzna rzucił pistolet i podniósł rękę.

– Litości! Nie zabijaj mnie!

– Bob – jęknął ranny. – Bob.

– Gdzie one są? – zapytał Godric chrapliwie. Pot spływał mu po czole i mężczyzna musiał mocno zaciskać zęby, żeby się nie przewrócić.

– Z tyłu – odparł Bob.

– Jestem ciężko ranny – poskarżył się krwawiący osiłek.

– Jesteś martwy, ot co – stwierdził obojętnie Bob.

Godric nie mógł związać strażnika, dysponując jedną sprawną dłonią, uderzył go zatem w skroń ręką szpady. Bob upadł bezgłośnie tuż obok swojego umierającego kompana, a Godricowi zrobiło się ciemno przed oczami. Potrząsnął głową i przeszedł ponad leżącymi, kierując się ku drzwiom w przeciwległej ścianie. Zaczepił powietrze, świadomy, że ślina zalewa mu usta, i wyważył drzwi kopniakiem, ze szpadą uniesioną do ciosu. Nie było jednak komu go zadać. Z mrocznego, zatłoczonego wnętrza spoglądały ku niemu przerażone oczy dzieci – dziewcząt. I Godric w końcu uświadomił sobie, co niepokoiło go w związku z Alfem i jego delikatnymi rysami.

Alf był dziewczyną.
Uczcił to odkrycie, wymiotując.

* * *

Megs ocknęła się z głębokiego snu, czując, że ktoś szarpie ją za ramię.

– Milady. Milady, proszę się obudzić!

– Moulder? – Zamrugła sennie, zaskoczona widokiem kamerdynera, stojącego przy łóżku ze świecą w dłoni i skromnie odwracającego oczy. Cała jego postawa świadczyła o tym, że stało się coś niedobrego.

Ach, tak, była naga. Okryła się pospiesznie kołdrą i usiadła.

– O co chodzi? Gdzie Godric?

– On... – Kamerdyner wydawał się nie tylko zdenerwowany, ale wręcz spanikowany. – Nie wiem. Został ranny. Pan Makepeace przysłał wiadomość z domu dla sierot. Musi pani pojechać tam i go przywieźć.

– Odwróć się. – Megs wyskakiwała już z łóżka, szukając koszuli i zastanawiając się gorączkowo, co zdoła włożyć na siebie bez pomocy pokojówki. – Kazałeś wyprowadzić powóz?

– Tak, milady. – Moulder odwrócił się, jak mu poleciła, widziała jednak, że przestępuje nerwowo z nogi na nogę. – Mam wezwać doktora? Pan nie lubi lekarzy, twierdzi, że za dużo gadają, lecz jeśli jest poważnie ranny, być może nie zdołam mu pomóc.

Megs nie zastanawiała się ani chwili.

– Tak, proszę, poślij po medyka.

Opadła na czworaki, aby poszukać pantofli. Oczy miała zamglone od łez i coś strasznego dobijało się do jej piersi, próbując dostać się do środka. Pantofle leżały głęboko pod łóżkiem Godrica. Nadal znajdowała się w jego sypialni. Musi wrócić do swojej i znaleźć peniuar. To spostrzeżenie pociągnęło za sobą kolejne.

– Dopilnuj, żeby w powozie znalazła się jego peleryna i ubranie na zmianę. I będę potrzebowała co najmniej dwóch lokajów, by mi towarzyszyli.

– Tak, milady.

– Co się dzieje?

Megs podniosła wzrok i zobaczyła panią St. John, spoglądającą na nią szeroko otwartymi oczami. Moulder wyslizgnął się z pokoju, a starsza dama nawet na niego nie spojrzała. Stała w drzwiach, z opadającymi na ramiona siwymi włosami, w zapiętym ciasno pod szyją szlafroku z fioletowego jedwabiu.

– Megs? Gdzie jest Godric?

– On... – W głowie miała absolutną pustkę. Nie była w stanie wymyślić przekonującego kłamstwa, takiego, którym mogłaby uspokoić starszą damę i odesłać ją z powrotem do łóżka.

I nagle tego było już za wiele. Oczy wezbrały jej łzami. Poczuła, jak spływają po policzkach.

– Megs? – Pani St. John podeszła, objęła synową i ujęła jej twarz w dłonie. – Co się wydarzyło? Musisz mi powiedzieć.

– Godric jest w St. Giles. Powiadomiono mnie, że muszę po niego pojechać. Został ranny.

Przez chwilę teściowa po prostu na nią patrzyła, a Megs widziała dokładnie każdą zmarszczkę i bruzdę, jakie czas i rozczarowanie wyryły na twarzy starszej kobiety.

A potem pani St. John skinęła stanowczo głową i odwróciła się szybko ku drzwiom.

– Będę gotowa za trzy minuty. Zaczekaj na mnie.

Megs popatrzyła na nią, oszołomiona.

– Co pani robi?

Pani St. John obejrzała się przez ramię.

– Jestem jego matką. Jadę z tobą – oznajmiła tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

I już jej nie było.

Megs zamrugała, ale za bardzo się martwiła, aby tracić czas na przekonywanie pani St. John, by pozostała w domu, lub przejmowanie się tym, że teściowa zorientuje się, kim jest Godric. Uznała, że przyjdzie na to czas później. O ile Godric przeżyje.

Otarła łzy wierzchem dłoni i wsunęła stopy w pantofle. Każda cząsteczka ciała poganiała ją, skłaniając do pośpiechu. Nie była pewna, czy zdoła zmusić się, żeby poczekać na panią St. John, lecz kiedy zbiegła na parter, macocha stała już przy drzwiach, gotowa do wyjścia. Była blada i wyglądała, jakby zbierała siły, by stawić czoło strasznym nowinom, ale kiedy zobaczyła Megs, wyprostowała się i skinęła tylko głową.

Nie było o czym rozmawiać. Wyszły w mrok i chłód i wsiadły pospiesznie do powozu. Było tak wcześnie, że niebo nie zdążyło jeszcze pojaśnieć na wschodzie.

Megs z zadowoleniem spostrzegła, że towarzyszą im Oliver i Johnny. W powozie jednak strach znów ścisnął ją za gardło. A jeśli Godric jest

nieprzytomny? Lub uszkodzenia okażą się trwałe i zostanie kaleką? Rozpoznała okropne uczucie, dobijające się od jakiegoś czasu do jej świadomości: beznadziejną rozpacz i żal, jakie czuła tej nocy, kiedy powiadomiono ją o śmierci Rogera. Zabrakło jej tchu, a obraz przed oczami pociemniał. To nie może się znowu wydarzyć. Nie może stracić kolejnej bliskiej osoby. Próbowała tłumaczyć sobie, że Godric to nie Roger i nie jest miłością jej życia, lecz serce wydawało się nie dostrzegać różnicy. Panika skręcała Megs wnętrzości, aż wydawało się jej, że zaraz zwymiotuje.

Nie mogę. Nie dam rady.

– Przeżyjesz – Głos pani St. John brzmiał ostrzej niż kiedykolwiek.

Czerń cofnęła się na tyle, że była w stanie dostrzec twarz teściowej – stanowczą, o twardych rysach, wyrażających siłę, o którą nigdy by jej nie podejrzewała. Przypomniała sobie, że pani St. John straciła ukochanego męża. Poznała, co to rozpacz, i nadal żyła.

– Posłuchaj – powiedziała rzeczowo. – Czegokolwiek się dowiemy, musisz być jak stal. Godric będzie cię potrzebował i nie wolno ci go zawieść.

– Tak. – Megs pokiwała głową. – Tak, oczywiście.

Pani St. John obrzuciła ją kolejnym ostrym, szacującym spojrzeniem, a potem skinęła głową i odsunęła się. Resztę wlokącej się w nieskończoność drogi przebyły w absolutnym milczeniu.

Uliczka przed sierocińcem była wąska, zatrzymały więc powóz u jej wylotu. Megs chwyciła torbę z ubraniami Godrica i wysiadła wraz z panią St. John. Poczuła się pewniej, gdy zobaczyła, że Johnny i Oliver stają obok nich, każdy z pistoletem w dłoni.

Spojrzała na Toma.

– Poradzisz tu sobie sam?

– Tak. – Stangret skinął ponuro głową, pokazując parę pistoletów. – Wątpię, by ktoś ośmielił się mnie zaczepić.

Megs skinęła głową, odwróciła się i pospieszyła Maiden Lane. Przed wejściem do sierocińca wisały dwie zapalone latarnie. Skupiła się na nich i nie zauważyła, jak z cienia wyłania się sylwetka wysokiego mężczyzny, dopóki Oliver nie krzyknął ostrzegawczo.

Kapitan James Trevillion uniósł dłonie w geście obraźliwego lekceważenia.

– Z pewnością nie każesz swemu lokajowi zastrzelić żołnierza Korony, milady?

– Oczywiście, że nie – odparła Megs, zastanawiając się gorączkowo. Co kapitan dragonów robił o tej porze w St. Giles, czając się pod sierocińcem?

Zerknęła na teściową i z ulgą przekonała się, że choć starsza dama czujnie ją obserwuje, ma jednak na tyle rozsądku, aby się nie odzywać. – Musi pan jednak przyznać, że to niezbyt mądre zaskakiwać uzbrojonego strażnika nocą w St. Giles.

– Oczywiście, nigdy dość ostrożności. – Kącik wąskich ust kapitana drgnął, wygięty w grymasie, który zdecydowanie nie był uśmiechem. – Zwłaszcza że widziano tu dzisiaj Ducha St. Giles.

– To nie moja sprawa.

– Doprawdy? – Kapitan przysunął się bliżej, ignorując gniewny pomruk ze strony Olivera. – Duch zszedł z dachu i zapadł się pod ziemię gdzieś tutaj.

Odwrócił się i spojrzał wymownie na dom.

Megs zaczerpnęła powietrza i uniosła wyżej brodę.

– Proszę nas przepuścić.

Coś mrocznego zabłysło w niebieskich oczach kapitana.

– Wszyscy, którzy panią znają, wyrażają się o pani z szacunkiem, madame. Gdybym nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłbym, że mogłaby pani chronić mordercę takiego jak St. John.

Megs usłyszała, jak teściowa gwałtownie wciąga powietrze. Nie mogła odwrócić się, by ostrzec ją spojrzeniem – była zbyt zajęta onieśmieleniem kapitana. Podszedł jak gdyby nigdy nic i oskarżył Godrica o to, że jest Duchem St. Giles. Nie wolno jej było okazać strachu ani żadnych innych emocji.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła zaskoczona tym, że jej głos brzmi tak spokojnie.

– Nie wie pani? – Kapitan uśmiechnął się szyderczo. – Mąż pani może i jest arystokratą, ale nie parem. Prędzej czy później przyłapię go w przebraniu, a gdy tak się stanie, dopilnuję, by zawisł w Tyburn.

Zadarła buntowniczo brodę, słysząc te okrutne słowa.

Dragon rozłożył dłonie w ugodowym geście.

– Proszę, milady. Będzie lepiej dla pani, jeśli wyprze się pani męża, nim on okryje się hańbą. Może pani spokojnie wyjechać na wieś, unikając wstydu związanego z tym, że poślubiła pani mordercę.

Skrzywiła się mimo woli, słysząc to określenie. Kapitan się nie mylił. Godric zabijał – wyznał, że nie pamięta nawet, ilu ludzi pozbawił życia – i trudno jej było się z tym pogodzić. Nie oznaczało to jednak, że nienawidzi swego męża.

– Jest pan w błędzie – oznajmiła z chwalebny opanowaniem.

Kapitan uniósł brwi.

– Doprawdy?

Megs ruszyła przed siebie, mijając okropnego mężczyznę, lecz nagle gniew, czysty i oślepiający, zwyciężył w walce z rozsądkiem. Ten człowiek nie miał prawa mówić takich rzeczy o Godricu!

Odwróciła się, podeszła stanowczym krokiem do kapitana i powiedziała, dźgając go palcem w pierś:

– Za nic nie opuściłabym męża, kapitanie Trevillion, a jeśli sądzi pan, że mogłabym wstydzić się tego, że jestem żoną Godrica St. Johna, nie rozumie pan ani jego, ani mnie. Mój mąż to najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam. Jest dobry – najlepszy, jakiego poznałam – a jeśli pan tego nie widzi, jest pan poszkodowanym na umyśle osłem!

Wydało jej się, że dostrzega na twarzy kapitana zaskoczenie, lecz odwróciła się szybko i odmaszerowała, zbyt poruszona, by na niego spojrzeć.

– Milady! – krzyknął za nią.

Zignorowała to, weszła po schodkach i uniosła kołatkę. Dłonie jej drżały i pragnęła już tylko wejść do budynku, znaleźć Godrica i upewnić się, że jest bezpieczny i w dobrej kondycji.

„Najlepszy człowiek, jakiego poznałam”. Powiedziała to w gniewie, lecz była to prawda. Mogła kochać Rogera z całego serca, ale to Godric ryzykował życie, aby ratować nieznajomych. Może i posługiwał się przemocą, ale przynosił też wolność.

Narażając na szwank nieśmiertelność swej duszy.

Drzwi otwały się nieznacznie, ukazując zatroskaną twarz Isabel Makepeace. Zerknęła na Megs, a potem przeniosła spojrzenie poza nią i uśmiechnęła się uprzejmie.

– Och, proszę wejść, milady – powiedziała głośno, jakby Megs stawiała się na umówione towarzyskie spotkanie przed świtem. – Czy to pan, kapitanie? Pańskie poczucie obowiązku doprawdy godne jest podziwu, wydaje mi się jednak, że skoro zaraz nastanie świt, mógłby pan udać się już do domu i trochę odpocząć. Poza tym – błysnęła w uśmiechu białymi zębami – nie sądzę, by pojedynczy człowiek, nawet tak dzielny jak pan, był w stanie przeciwstawić się gromadzie ulicznych rzezimieszków z St. Giles.

Megs obróciła się w zatłoczonym holu, gdzie oprócz niej i gospodyni stali już pani St. John i dwaj lokaje.

– Poszedł?

– Nie. – Isabel potrząsnęła głową. Uprzejmy uśmiech zniknął, ledwie znaleźli się poza zasięgiem wzroku dragona. – Kapitan Trevillion posiada pewną bardzo niedogodną cechę: upór. Lecz proszę się nie martwić. Poluje na Ducha St. Giles

od dwóch lat i dotąd nie udało mu się go schwytać. Coś takiego mogłoby wyprowadzić z równowagi nawet najspokojniejszego dżentelmena.

Mówiła lekkim tonem, lecz Megs nie dała się zwieść. Kapitan dragonów wiedział, kim jest Godric – a jak zauważyła Isabel, był uparty. Zadrzała. Nie wydawał się należeć do ludzi, którzy łatwo rezygnują.

– Gdzie Godric? – Pani St. John przerwała te ponure rozmyślenia.

– Na górze. – Isabel odwróciła się, aby je zaprowadzić.

Megs ruszyła za nią, bojąc się spojrzeć na teściową. Co też musiała sobie pomyśleć? Niemożliwe, by nie usłyszała oskarżeń kapitana. Lecz to zmartwienie zbladło, kiedy Isabel zapukała w drzwi na końcu korytarza. Otworzyła je i Megs zobaczyła Godrica. Siedział na łóżku, w koszuli i getrach Ducha. Twarz miał pobladłą i podtrzymywał spoczywające bezwładnie na kolanie lewe ramię, ale poza tym wydawał się przytomny i w dobrej kondycji.

Poczuła, jak zalewa ją fala ulgi.

Nieznana jej starsza kobieta wstała z krzesła, stojącego tuż przy łóżku.

– Dziękuję, pani Medino – powiedziała Isabel, wyprowadzając ją z pokoju.

Drzwi zamknęły się za nimi bezgłośnie.

Megs ruszyła ku Godricowi, ale powstrzymał ją ton jego głosu.

– Po co – zapytał szorstko – ją tu przyprowadziłaś?

* * *

Ból nadgarstka był ostry, kłujący, nawet teraz przyprawiał go o nudności. Mimo to Godric zdawał sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiąły zbyt szorstko. Megs skrzywiła się i cofnęła wyciągniętą dłoń. Jej piękne wargi wygięły się w wyrazie bólu. Lecz to macocha odpowiedziała na oskarżenie.

– Proszę, nie gniewaj się na Megs, Godricu. Nalegałam, żeby tu przyjść. Jesteś ranny i martwię się o ciebie.

Otworzył usta, zirytowany, aby powiedzieć coś niemiłego, lecz spojrzął na macochę. Stała przed nim – niewysoka, pulchna kobietka – dzielnie niczym męczennik na rzymskiej arenie, z uniesioną brodą i ciepłymi brązowymi oczami o stanowczym, choć smutnym wyrazie. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł zgasić błysku nadziei, jaki dostrzegł w tych oczach.

Może był po prostu za bardzo zmęczony.

Wykorzystała jego słabość i powiedziała:

– Pozwól, że ci pomożemy.

Zacisnął wargi, lecz ból przeszył mu ramię i nagle nie miał już ochoty się

kłócić. Nie był pewny, czy zdoła odzyskać dawną sprawność. Znał osoby, które zostały kalekami po tym, jak złamały kość, a ta nie zrosła się prawidłowo. Jakie miało to zatem, w tym kontekście, znaczenie?

– Doskonale – powiedział zatem ostrożnie, wstając. Popatrzył na Megs i dostrzegł w jej spojrzeniu ulgę.

– Będziemy potrzebowali nastawiacza kości – mruknęła. – Zapytam Isabel, czy zna kogoś kompetentnego i dyskretnego zarazem. Tymczasem przyniosłam ci ubranie na wypadek, gdybyśmy znowu wpadli na kapitana.

Megs postawiła torbę na łóżku, a potem wyszła z pokoju, zostawiając go z macochą.

– Potrzebujesz pomocy, żeby się przebrać? – spytała.

– Jeśli będę jej potrzebował, pomoże mi Makepeace – odparł i wstał, gotów poszukać gospodarza.

Podeszła szybko i wsunęła mu się pod zdrowe ramię.

– Wesprzyj się na mnie.

– To nie jest konieczne – odparł sztywno.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego ostro.

– Skoro tak, zrób to dla mnie. Pozwól mi się o ciebie zatroszczyć.

Pozwolił, ponieważ tak było łatwiej. Była silniejsza, niż się zdawało, i spojrzał na nią z góry, zaintrygowany. Dlaczego robi coś takiego?

Ona też na niego spojrzała i przez chwilę wyglądało to tak, jakby czytała mu w myślach. A potem przewróciła oczami i powiedziała:

– Nie przejmuj się tak. Zawsze byłeś wrażliwym chłopcem, dopatrującym się zbyt wielkiego znaczenia w każdym drobiazgu i zamartwiającym się o możliwe reperkusje. Na razie pogódź się po prostu z tym, że pomogę ci przejść do holu.

Zaśmiał się cicho.

– Doskonale.

Na zewnątrz izby chorych natknęli się na Makepeace'a. Stał oparty o ścianę. Spojrzał ciemnymi oczami na macochę Godrica.

– Są pewne sprawy, które powinniśmy omówić, nim wyjdiesz.

Godric popatrzył na panią St. John.

– Dołączę do pani na dole, madame.

Jego macocha zacisnęła wargi, skinęła jednak tylko głową, zanim się odwróciła.

Godric spojrzał na Wintera.

– Żona przywiozła mi ubrania na zmianę.

Wrócili do izby chorych, gdzie Godric zaczął się przebierać.

– Uratowałeś dziś blisko trzydzieści dziewczynek. Sześć będzie musiało pozostać przez jakiś czas w łóżkach, lecz reszta wymaga po prostu odkarmienia. Zważywszy, co je spotkało, są w całkiem dobrej kondycji.

Godric skrzywił się na myśl o dziewczynkach pozbawionych dostatecznej ilości jedzenia, a potem przypomniał sobie, co go najbardziej trapi.

– Czy Alf powiedział ci, gdzie znajduje się trzecia fabryczka?

– Tak. – Winter ściągnął brwi i pomógł Godricowi pozbyć się getrów. – Obawiam się jednak, że po dzisiejszej nocy ją przeniosą. Byliby głupcami, zostając na miejscu i czekając, aż ich zaatakujesz.

– Rzeczywiście. – Godric wciągnął czarne spodnie i spojrzał na swoją rękę. Nadgarstek zaczął już puchnąć. Może gdyby go unieruchomił, zdążyliby na czas. – Gdybym wyszedł jeszcze raz dziś w nocy...

– Nawet się nad tym nie zastanawiaj – przerwał mu Winter stanowczo. – Musisz wyzdrowieć, nim znowu spróbujesz.

– Muszę znaleźć te dziewczęta – odparł Godric gniewnie, zmagając się z guzikami. Strasznie trudno było je zapiąć, mając do dyspozycji tylko jedną rękę.

– Tak, ale to, że jeszcze bardziej ucierpisz – lub zginiesz – nikomu nie pomoże. – Winter się zawahał. – Jest jeszcze coś.

Godric przechylił głowę, zniecierpliwiony.

– Alf wyszedł tuż po tym, jak przyprowadziliście dziewczęta. Był bardzo zdenerwowany. Najwidoczniej Hannah, jego rudowłosej przyjaciółki, nie było wśród uratowanych.

– Do diabła! – Godric spojrzał, wściekły, na swoje ramię. – Jak myślisz: dziewczyna spróbuje zaatakować w pojedynkę trzeci zakład?

– Dziewczyna?

Godric skinął krótko głową.

– Alf to dziewczyna. Nie powinienem był jej dzisiaj zabierać.

– Nie wiedziałeś... nie wiedzieliśmy przecież, kim jest – zauważył Winter z namysłem. – Tak, teraz może próbować uwolnić swą przyjaciółkę.

Godric nigdy dotąd nie czuł się tak bezradny. Nie, to nieprawda. Ostatni raz czuł się tak, gdy umierała Clara. Odsunął przykre wspomnienia.

Winter wydawał się zaniepokojony.

– Nie przypuszczam jednak, żeby zechciała działać na własną rękę – powiedział z wolna. – Wyglądało na to, że boi się strażników. I pamiętaj: nawet jeśli spróbuje czegoś równie ryzykownego, dziewczęta zostały już zapewne przeniesione.

Godric skinął głową, choć to, co powiedział Winter, stanowiło słabą pociechę.

Dziewczyna może i była ostrożna, lecz naraziła się na niebezpieczeństwo, informując o położeniu fabryczek – i naprawdę żałowała tego, że pomogła przekazać tym łotrom rudowłosą dziewczynkę.

Oby nie zrobiła nic głupiego.

Musiał wyzdrowieć. Wrócić do St. Giles i dokończyć dzieła.

Ktoś zastukał cicho do drzwi, a potem je otworzył. Megs.

– Powóz czeka, a na dworze zaczyna już świtać – powiedziała, zaglądając do pokoju.

Godric spojrział na nią, swoją żonę, stojącą z wahaniem w progu, jakby obawiała się odrzucenia. Przybyła po niego, gdy Winter po nią posłał, bez zwłoki i zbędnych pytań. Leżała pod nim tej nocy i dała mu wszystko, czego zażądał. Była cudowna, a on czuł tak mało – zbyt załamany, stary i zmęczony, by dać jej to, czego potrzebowała. Powinien pozwolić jej odejść, by mogła znaleźć sobie młodszego kochanka, takiego jak Roger.

Powinien zrobić wiele rzeczy, i może to zrobi, lecz później, gdy wyzdrowieje. Na razie wymamrotał podziękowania pod adresem Makepeace'a, okrył się peleryną i pozwolił, by Megs ujęła go pod zdrowe ramię i zarzuciła je sobie na szczupłe barki. Przejęła częściowo jego ciężar i sprowadziła go ze schodów.

Macocha czekała na nich przy wejściu wraz z dwoma lokajami Megs. Otoczyli ich, kiedy objęta para szła krok za krokiem do powozu. Uwagi Godrica nie uszedł fakt, że kapitan Trevillion czekał, kryjąc się w cieniu. Gdy wyszli, z rozmysłem skinął Godricowi głową. Gest ten stanowił ostrzeżenie, wyzwanie. Wiem, kim jesteś, mówił. Wróć do St. Giles, a cię dopadnę.

Godric wiedział to z taką pewnością, jakby kapitan wykrzyczał te słowa na całą ulicę. Mimo to nie był w stanie się przejąć. Makepeace miał rację: na pierwszym miejscu jest teraz odzyskanie sił. Lecz kiedy wyzdrowieje, wróci do St. Giles, nie zważając na ostrzeżenie, ponieważ trzeba było uratować dziewczęta.

Dopiero kiedy znaleźli się w powozie, jego macocha znowu się odezwała.

Zaczekała, aż lokaj zamknie za nimi drzwi, a powóz ruszy. Spojrzała wtedy na Godrica i zapytała:

– Od jak dawna jesteś Duchem St. Giles?

Rozdział 15

Smutek stoczył się w dół wzgórza, wrzeszcząc z gniewu. Hellequin tego nie skomentował, lecz kącik jego zaciśniętych zazwyczaj ust uniósł się lekko w wyrazie rozbawienia. Faith poczuła, że chce jej się pić, sięgnęła więc do kieszeni i wyjęła mały bukłak z winem. Upiła łyk, a gdy to robiła, zobaczyła, że Hellequin się oblizuje. Podała mu bukłak:

– Chciałbyś się napić?

– Nie piłem ludzkiego wina od tysiącleci – odparł chrapliwie.

– Musisz być zatem mocno spragniony – powiedziała i przytknęła mu bukłak do ust...

– z Legendy o Hellequinie

Jęk był stłumiony, jakby Godric starał się za wszelką cenę go powstrzymać, co zdaniem Megs tylko pogarszało sytuację. Miała bowiem świadomość, że skoro mimo wysiłków nie udało mu się przetrwać zabiegu w milczeniu, mężczyzna musi bardzo cierpieć.

Wpatrywała się w zamknięte drzwi jego sypialni, wykręcając dłonie.

– Usiądź, Megs – powiedziała pani St. John.

Megs spojrzała na teściową z roztargnieniem i podskoczyła, kiedy z pokoju dobiegł kolejny jęk.

– Proszę. – Pani St. John poklepała miejsce obok siebie na sofie. – Nie pomożesz mi, wydeptując dywan. A jeśli po wszystkim zobaczy, jak bardzo jesteś zdenerwowana, poczuje się zażenowany. Będzie wiedział, że go słyszałaś. Dżentelmeni nie znoszą, kiedy przyłapuje się ich w chwili słabości.

Megs zagryzła wargi, ale usiadła posłusznie obok teściowej.

– Nie uważam go za słabego. Jest ranny. I żałuję, że nie pozwolił mi zostać, kiedy tak bardzo cierpi.

– Mhm – mruknęła pani St. John potakująco. – Lecz widzisz, dżentelmeni bywają nieznośnie uparci i nielogiczni, kiedy coś im dokucza. Ojciec Godrica cierpiał pod koniec życia na podagrę i był w tym absolutnie nie do zniesienia. Podczas ataku nie dopuszczał do siebie nikogo, nawet mnie. – W jej głosie dało

się słyszeć tęsknotę. A potem spojrzała na złożone na podołku dłonie i dodała: – To moja wina, wiesz?

Megs zamrugła, skonfundowana.

– Co mianowicie?

– To. – Pani St. John wskazała gestem sypialnię. – Wiedziałam, że po śmierci Clary czuje się samotny, że cierpi, lecz pozwoliłam, by się od nas oddalił. – Skrzywiła się. – Zawsze, ilekroć próbowałam się do niego zbliżyć, był tak samowystarczalny, tak zimny, że trudno było sobie wyobrazić, że jest, jak każdy, tylko człowiekiem. I potrzebuje ciepła, rodziny.

– Nie rozumiem, jak może się pani za to obwiniać – odparła Megs. – Próbowała pani, a jeśli Godric ignorował pani wysiłki, z pewnością wina leży po jego stronie.

– Nie. – Kobieta potrząsnęła ze smutkiem głową. – Kocham go jak rodzonego syna. A matka nie porzuca swojego dziecka, nawet jeżeli wydaje się, że ono tego chce. To był – jest – mój obowiązek przebić się przez zaporę, jaką wokół siebie wznosił. Powinnam była próbować do samego końca. – Odwróciła się ku Megs i jej spojrzenie złagodniało. – Dziękuję Bogu, że postanowiłaś go odszukać, sprawić, by wasze małżeństwo stało się prawdziwe. On cię potrzebuje, Megs. Tylko ty możesz go ocalić.

Megs z zawstydzeniem odwróciła wzrok. Pani St. John niesłusznie ją chwaliła: przyjechała przecież do Londynu z egoistycznych pobudek. Nie mogła jednak wyjaśnić tego macosze, skupiła się więc na jej ostatnich słowach, czując, jak niepewność ścisną jej pierś, pozbawiając tchu.

– Czy można uratować kogoś, kto świadomie dąży do samozniszczenia?

Starsza dama uniosła brwi.

– Sądzisz, że to dlatego chadza do St. Giles?

Megs spojrzała na nią ze smutkiem.

– A jaki mógłby być inny powód?

Pani St. John westchnęła.

– Musisz zrozumieć, że Clara nie umarła od razu. Cierpiała latami, a on mógł się jedynie bezradnie przyglądać. Może przebiera się za Ducha, by zrobić coś dobrego po tym, jak latami nie był w stanie zrobić nic.

– Robi rzeczywiście dużo dobrego. – Megs zmarszczyła brwi, bawiąc się frędzlem ozdobnej poduszki. – Ale, madame, to wszystko zostaje zrównoważone przez zło, które wyrządza sobie.

– Co masz na myśli?

– Może i pomaga ludziom z St. Giles, myślę jednak, że robi to kosztem siebie.

– Szarpnęła za frędzel, a ten został jej w dłoni. – Posługiwanie się zbyt często przemocą – kontynuowała drżącymi wargami – nie może pozostać bez wpływu na kogoś tak wrażliwego, głęboko moralnego. To tak jakby odcinał sobie po kolei kawałki duszy.

– Musisz więc znaleźć sposób, by go powstrzymać – zauważyła spokojnie pani St. John.

Megs skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, jak mogłaby tego dokonać. Zawarła z nim umowę – a ta zmuszała go, aby zakładał kostium Ducha. Jak miałyby dostać wszystko, czego pragnęła, ratując jednocześnie Godrica?

Drzwi sypialni otwały się i wyszedł lekarz.

– Skończyliśmy, proszę pani. – Medyk był starszym, zgarbionym mężczyzną o włoskim – a może francuskim? – nazwisku. Isabel Makepeace powiedziała, że jest swego rodzaju uchodźcą i można zaufać jego dyskrecji.

Megs wstała.

– Czy jego ręka dobrze się zrośnie?

– Zrobiłem, co mogłem. Reszta w rękach Boga. – Lekarz wykonał bardzo cudzoziemsko wyglądający grymas i wymownie wzruszył ramionami. – Pan St. John powinien pozostać w łóżku przez co najmniej tydzień. Prosta dieta: kurczak, dobry, miękki chleb, bulion i wino powinny wystarczyć. Bez cebuli, czosnku i, oczywiście, ostrych przypraw.

– Oczywiście. – Megs skinęła głową, a potem spytała, podnosząc wzrok. – Mogę go zobaczyć?

– Jeśli pani sobie życzy, lecz proszę nie pozostawać zbyt długo i...

Lecz ona już go minęła, nie czekając, aż skończy zdanie. Godric leżał w szerokim łóżku, z lewą ręką na kołdrze. Przedramię unieruchamiały mu dwie deszczułki.

Podeszła na palcach i spojrzała na niego. Czoło miał błyszczące od potu, krótkie włosy przyklejone do głowy. Nie ogolił się i ciemny zarost kontrastował z mocno pobladłą twarzą.

– Megs. – Nie otworzył oczu, ale wyciągnął prawą rękę, sięgając po jej dłoń.

– Och, Godricu – szepnęła przez łyzy, podając mu ją.

Pociągnął żonę ku sobie.

– Połóż się obok mnie na chwilę.

Opierała się, nawet kiedy już niemal leżała.

– Lekarz powiedział, że nie wolno cię męczyć.

– Przeklęty francuski konował. – Spróbował się uśmiechnąć. – Nie zmęczysz mnie, Meggie, kochanie. Przeciwnie: szybciej się odprężę, gdy będziesz obok.

Wdrapała się więc ostrożnie na łóżko i położyła, całkowicie ubrana, na kołdrze. Przesunął się tak, aby jej głowa spoczęła mu na ramieniu, objął Megs ciasno, przytulił, po czym westchnął i po minucie już spał.

A po następnej ona również zasnęła.

* * *

Dwa tygodnie później Godric przyglądał się z rozbawieniem, opuściwszy na nosie połówkowe szkła, jak Księżniczka wtacza się do sypialni ze szczeniakiem w pyszczku. Mops spojrzał na niego czujnie, lecz najwidoczniej uznał – co było nieco obraźliwe – że jest niegroźny, i zniknął w otwartych drzwiach garderoby. Po mniej więcej pięciu minutach wyłonił się znowu, bez potomka.

Godric uniósł brwi, widząc, że suczka wychodzi. Nie wróżyło to dobrze. Wzruszył jednak tylko ramionami i wrócił do lektury politycznych i filozoficznych pamfletów, dostarczonych mu przez Mouldera. Tydzień wymuszonej bezczynności, a po nim drugi, kiedy to wszystkie kobiety w domu sprzysięgły się, aby zatrzymać go w łóżku, sprawił, że czuł się okropnie znudzony. Inna sprawa, że każda z pań spędzała z nim po kolei czas, czytając mu na głos albo po prostu rozmawiając.

Nawet cioteczna babka Elvina zaszczyciła rekonwalescenta odwiedzinami, podczas których złażała go zaledwie dwa razy, a i to bez zbytniego przekonania. Próbował namówić Megs, aby zabrała go na spacer do Spring Garden – jednego z wielu publicznych ogrodów w Londynie, lecz nawet obietnica przechadzki zwirowanymi alejkami pośród kwitnących krzewów i klombów nie zdołała przekonać jego żony do zmiany zdania.

Nie był w stanie wywiązać się przez te dwa tygodnie z żadnej części umowy, jaką z nią zawarł. Z początku ból złamanego nadgarstka uniemożliwiał mu poruszanie się. Teraz był już wszakże niemal gotów podjąć swoje zobowiązania jako Duch, a już na pewno kochać się z nią wieczorem – z małżeńskiego obowiązku, oczywiście.

Spojrzał z pochmurną miną na polityczny pamflet, który zdążył przeczytać już dwa razy, nie rozumiejąc ani słowa. Dżentelmen nie powinien się okłamywać. Chciał kochać się z żoną, to prawda, lecz nie wyłącznie z poczucia obowiązku.

Nawet nie częściowo.

Księżniczka znów przytruchtała do sypialni z kolejnym szczeniakiem w pyszczku, tym razem o połyskliwej sierści w kolorze czekolady. Ciekawe, kim był ich ojciec, pomyślał Godric. Mógłby przysiąc, że ciotka Elvina twierdziła, że

połączono ją z samcem, który także był płowy. Suczka zniknęła w garderobie, a w drzwiach pojawiła się Megs, ubrana w dosyć frywolny żółtoróżowy ciuszek, którego dotąd na niej nie widział.

– W mojej garderobie są szczeniaki – powiedział, odkładając pamflet.

Megs westchnęła głośno, ale nie wydawała się zaskoczona.

– Tego się obawiałam. Staramy się zatrzymać Księżniczkę i szczenięta w pokoju ciotki, lecz suczka wciąż je przynosi. W zeszłym tygodniu pani Crumb znalazła maluchy w szafie z pościelą i obrusami. Nie była z tego powodu zbyt szczęśliwa.

Psia mama wyłoniła się z garderoby, minęła Megs i znikła w korytarzu.

– Dobrze ją rozumiem – stwierdził Godric posepnie. – Wydaje się kochać porządek, a szczeniaki w szafce z pościelą są tego zaprzeczeniem.

– Mhm – mruknęła Megs z roztargnieniem, wyglądając znów na korytarz. Czyżby szukała mopsa?

Na myśl o tym, że mogłaby odejść i zostawić go samego, ścisnęło go w piersi.

– To nowa suknia?

– Tak. – Policzki Megs poróżowiały, z czym było jej do twarzy. Spojrzała w dół, na spódnicę i wygładziła ją dłonią. – Przyniesiono wreszcie stroje, które zamówiliśmy u krawcowej. Podoba ci się? Nie byłam pewna co do tej żółci. Często wygląda się w żółtym, jakby cierpiało się na wątrobę.

– Nie ty – odparł zgodnie z prawdą.

Wiosenne kolory sprawiały, że brzoskwiniowe policzki Megs połyskiwały pod masą ciemnych loków. Jeden wysunął się z upięcia, zsuwając się z wolna wzdłuż smukłej szyi, i widok ten sprawił, że Godric zapragnął wyciągnąć jej z włosów szpilki, pozwolić, aby opadły, a potem przeczesać je palcami i zanurzyć twarz w lśniących falach.

Przerzucił sobie czym prędzej połą surduta przez kolano.

– Jesteś piękna.

– Och. – Podniosła wzrok i podchwyciła jego spojrzenie. – Dziękuję.

Księżniczka wróciła, niosąc ostatniego ze swoich potomków, i skierowała się wprost do garderoby.

Godric się uśmiechnął.

– Powinnaś zamknąć drzwi, żeby nie mogła znowu ich wynieść.

Megs spojrzała niepewnie na drzwi.

– Powinnam raczej zostawić cię, żebyś odpoczął.

– Naodpoczywałem się już dosyć – odparł gładko. – Przydałoby mi się raczej towarzystwo. To znaczy – postarał się wyglądać zarówno na dzielnego, jak i

budzącego współczucie – jeśli nie przeszkadza ci, że pobędziesz trochę z kaleką.

Chyba nieco przesadził, gdyż Megs zamknęła wprawdzie drzwi na korytarz, ale spojrzała na niego czujnie.

– Przyniosę sobie z pokoju krzesło.

– Nie ma potrzeby. Możesz usiąść na łóżku.

Zerknęła na mebel, ściągając podejrzliwie brwi.

– Prawdę mówiąc – powiedział, wstając z fotela – mógłbym się przy tobie zdrzemnąć.

– Zdrzemnąć? – powtórzyła ostrożnie.

– Mhm. – Ruszył ku niej powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. – Wiesz, drzemka jest wtedy, kiedy ktoś kładzie się w środku dnia i zasypia. Z pewnością o tym słyszałaś?

– Nie jestem pewna, czy chodzi ci o spanie – mruknęła.

– Może i nie. – Wyciągnął zdrową rękę i poluzował jedną ze szpilek. Uwolniony lok natychmiast spłynął Megs wzdłuż szyi. – Masz inne pomysły?

– Godricu – wyszeptała.

– Mhm? – I dwie kolejne szpilki wylądowały na podłodze.

– Jeszcze nie wydobrzałeś.

Ściągnęła brwi, zmartwiona. Spojrzał na nią i uśmiechnął się łagodnie.

– Będziesz zatem musiała sama wykonać większość roboty, prawda?

Zaskoczona rozchyliła wargi i otworzyła szerzej oczy.

Nie zdołał się powstrzymać, by nie pochylić głowy i nie nakryć jej warg swoimi, znów smakując truskawkową słodycz jej ust. Coś poruszyło mu się w piersi, tłumiąc niepokój, o którym nie wiedział nawet, że go odczuwa.

Uniosła dłonie, by oprzeć je na jego ramionach, lecz nim zdążyła to zrobić, odsunął się, okrążył ją, stanął z tyłu i wyjął jej z włosów resztę szpilek. Masa loków opadła, a wtedy przeczesał je palcami, pochylił się i wdychał przez chwilę zapach kwiatu pomarańczy.

– Godric? – Stała w bezruchu, jeśli nie liczyć delikatnego drżenia ramion.

– Kochanie? – Uniósł jej włosy, przyglądając się, jak promień słońca z okna sypialni przeświewa ciemne loki.

– Co... – zaczęła, a potem jakby zabrakło jej tchu. – Co niby miałabym zrobić? – dokończyła.

Uśmiechnął się i przysunął sobie jej włosy do warg.

– Na początek mogłabyś pomóc mi się rozebrać.

– Och! Oczywiście!

Odwróciła się i jedwabiste pasma przeslizgnęły mu się pomiędzy palcami. Na

lewym nadgarstku nadal miał łubki, co wymagało rozcięcia rękawów. Godric stał więc nieruchomo, kiedy Megs chwyciła poły surduta, by mógł wysunąć z niego prawą rękę, nim ona zrobiła to samo z lewą. Była przy tym tak rozkosznie skupiona, z niewielką zmarszczką pomiędzy brwiami, rozchylonymi wargami i czubkiem języka dotykającym zębów, że nie zdołał się powstrzymać i kiedy zaczęła rozpinąć mu kamizelkę, pochylił się, chwycił zębami jej dolną wargę i lekko przygryzł.

Zamrugała, a potem się wyprostowała.

– To... mnie rozprasza.

– Wybacz.

Prychnęła pod nosem, a jej policzki znowu poczerwieniały, gdy zdejmowała mu kamizelkę. Następna była krawatka – rozwiązana i rzucona na krzesło. Przyglądał się, jak rozpina mu guziki koszuli. W pokoju panowała cisza, zakłócana jedynie cichutkim sapaniem szczeniąt i ich oddechami. Godric czuł, że jest już sztywny i podniecony, lecz nie zamierzał się spieszyć. Mógłby spędzać całe godziny, przyglądając się twarzy swej żony. Jego Megs była tak pełna życia, stanowiła uosobienie nadziei, miłości i szczęścia. Jeśli go opuści – kiedy go opuści – nie wiedział, jak zdoła wrócić do poprzedniego życia.

To będzie jak życie bez słońca.

Odsunął te myśli, ponieważ chciał skupić się na chwili obecnej, by mieć co wspominać, gdy znów zapanuje ciemność.

Uniósł ramiona, by mogła zsunąć mu koszulę przez głowę. Poczuł na brzuchu dotyk cienkiego płótna i lekkie, delikatne ruchy jej palców. Koszula opadła, zapomniana, na podłogę, a potem Megs gładziła go już obiema rękami po żebrach, przesuwając je na klatkę piersiową, muskała porastające ją włosy.

– Jesteś piękny – wyszeptała, a on uśmiechnął się leciutko, rozbawiony.

Nie uważał się za pięknego, w żadnym razie, lecz jeśli Megs chce go tak nazywać – proszę bardzo.

A potem zaczęła okrażać palcami jego sutki i uśmiech zamarł Godricowi na wargach. Pochyliła się, przycisnęła usta do jednego z nich i zaczęła lizać go tak, jak kot wylizuje śmietankę. Nie zdołał powstrzymać jęku. Wyrwał się spomiędzy jego zaciśniętych warg, cichy i chrapliwy.

Mężczyzna popatrzył w dół i napotkał spojrzenie szeroko otwartych brązowych oczu.

– Podoba ci się to?

Czyżby tego nie czuła? Skinął głową, a ona zanuciła coś niemal bezgłośnie i przesunęła wargi na drugi sutek. Liżąc go, pocierała wilgotnym kciukiem ten,

którym przestała się właśnie zajmować.

Godric odrzucił głowę do tyłu, poddając się emocjom i przymykając z przyjemności oczy. Lecz Megs kucnęła, by zdjąć mu pończochy i buty. Pozycja niemal na klęczkach i to, jak blisko jego podnieconego członka znajdowały się jej niewinne wargi, sprawiły, że przełknął ślinę, choć gardło miał zupełnie suche. Musiała coś wyczuć, ponieważ spojrzała na niego z zaciekawieniem, zamarła na chwilę z dłońmi dokładnie na jego wzwiedzionej męskości, a potem pochyliła głowę i rozpięła bryczesy, uwalniając Godrica od nich i od bielizny. Jego członek podskoczył obscenicznie i Godric wstrzymał oddech, gdy się ku niemu pochyliła.

Wstała jednak natychmiast, a on zerknął tylko na nią z ironią i wdrapał się niezdarnie na łóżko. Usiadł, wsparty o zagłówek, i patrzył, jak Megs się rozbiera. Był to powolny, mozolny proces, lecz przez to jeszcze bardziej podniecający. Na pierwszy ogień poszła przejrzysta chusteczka, spowijająca jej ramiona i wetknięta za dekolt. Dziewczyna usiadła, zdjęła pantofle i zrolowała pończochy. Widział ją już co prawda naga, lecz widok jej jasnych, smukłych kostek, nabrzmięte wzgórki piersi, kiedy się pochyliła, zaparły mu dech.

Objął dłonią członek, nie przestając się jej przyglądać.

Wstała, nie patrząc na niego, i zaczęła rozpinać stanik sukni. Był to prosty dzienny strój, mogła więc zrobić to sama. Wkrótce śladem stanika poszły spódnice. Rozwiązała troczki halek i wyszła z kałuży materiału, mając na sobie już tylko gorset i koszulę, przejrzystą, cienką, podkreślającą kształt jej nóg i bioder, gdy pochylała się, by podnieść z podłogi spódnice. Godric zapatrzył się na ciemny trójkąt włosów pomiędzy jej udami i jęknął bezgłośnie. Potarł dłonią główkę członka, by rozetrzeć zebraną tam wilgoć, a potem przesunął dłoń zdecydowanie w dół.

Spojrzała na niego i znieruchomiała, nie mogąc oderwać wzroku od jego poruszającej się ręki.

Członek drgnął mu w dłoni.

Zamrugła i spuściła wzrok na własne dłonie, rozsypujące tasiemki gorsetu. Widział jednak, że od czasu do czasu zerka na niego ukradkiem.

Ugiął kolano, odwrócił się ku niej, by miała lepszy widok, i został nagrodzony odgłosem gwałtownie wciągane powietrza. Megs rozsunęła poły gorsetu i zdjęła go przez głowę, pozostając jedynie w koszuli, na której odcisnął się jego kształt. Przy dekolcie koszula związana była zwykłą wstążką, pociągnęła zatem za koniec i rozwiązała kokardkę. Oblizwał wargi, mrucząc cicho, kiedy zobaczył uśmiech, który starała się ukryć. Droczyła się z nim, kusiała, odkrywając z wolna

ciało. Lecz potem schyliła się, zdjęła koszulę, odrzuciła ją na bok i stanęła przed nim naga jak nimfa, przestraszona przez myśliwego. Piersi miała pełne, a zarazem dumnie sterczące, o sutkach w kolorze wiśni. Miękki kremowy brzuch przechodził w rozkoszne krzywizny bioder. Mężczyzna wiedział, że zapamięta ten obraz na zawsze.

– Chodź tutaj – zażądał ochryple.

Postąpiła ku niemu z wygiętymi w tajemniczym uśmiechu ustami, zarumienionymi policzkami i uniesioną zawadiacko brodą. Weszła na łóżko i przysiadła obok Godrica na piętach.

– Usiądź – powiedział, wskazując ruchem głowy swoje kolana i prostując ugiętą nogę.

Spojrzała z wahaniem, ale usiadła na nim, muskając miękkimi udami jego nogi i knykcie zaciśniętej na członku dłoni. Puścił go i dotknął wilgotnymi palcami jej policzka. Powinien był wytrzeć je o prześcieradło, ale spodobał mu się pomysł, żeby naznaczyć ją swoim zapachem. Objął Megs za kark i pociągnął ku sobie. Rozchyliła wargi, wpuszczając jego język. Lizał wnętrze jej ust, czując na piersi drażniący dotyk jej sutków, wilgoć fałdek, kiedy siedziała mu na udach tuż poniżej członka. Niemal zdążył już podnieść lewą rękę, by chwycić ją za biodro, w porę przypomniał sobie jednak, że jest niesprawna, i zaklął cicho pod nosem.

W końcu musiał przerwać pocałunek.

– Przesuń się do przodu.

Spojrzała niepewnie i uświadomił sobie, że chyba nie kochała się w ten sposób z Rogerem – nie spędzili w końcu ze sobą zbyt wiele czasu. Nie wiedzieć czemu ta myśl sprawiła mu przyjemność, choć nie powinna.

Megs uniosła się na kolanach i popatrzyła w dół, na jego palce zaciśnięte na członku. Godric obserwował, jak jego żona opuszczała się, wsuwała z wolna na członek, a jej różowe fałdki rozdzielały się i przyjmowały go między siebie. Była tam ciasna i z trudem stłumił chęć, by wepchnąć się w nią głębiej i przedwcześnie zakończyć sprawę.

Oblizwała wargi i spojrzała na niego pytająco pociemniałymi oczami.

Opuścił dłoń, a potem odpowiedział na niezadane pytanie:

– Rób to, co sprawia ci przyjemność.

Zastanawiała się przez krótką chwilę, przyglądając mu się uważnie, a potem uniosła się nieco, a członek wysunął się rozkosznie powolnym ruchem z jej ciała. Poruszała się tak na nim niespiesznie przez kilka minut, jakby odkrywała każdy rodzaj ruchu, każdy kąt.

Słodka tortura.

W końcu nie mógł już dłużej wytrzymać, zacisnął zdrową dłoń na pościeli, kiedy opuściła się na nim po raz kolejny – nie dość mocno, niewystarczająco szybko.

– Mocniej.

Spojrzała na jego twarz i jej wargi wygięły się w odwiecznym uśmiechu, tajemniczym jak uśmiech Ewy, nim pochyliła się, dotykając sutkami jego piersi, z rękami wspartymi tuż przy jego barkach.

– Tak?

A potem ujeżdżała go niczym triumfująca bogini, z jaśniejącą twarzą, wciągając go w siebie szybkimi, mocnymi ruchami wilgotnego wnętrza. Wpatrywał się w nią nawet, gdy mięśnie tężały mu z napięcia, a wargi cofały się w grymasie erotycznego błogostanu. Uznał, że Megs zbyt dobrze nad sobą panuje, kontroluje siebie i sytuację, podczas gdy on był już o krok od spełnienia.

Pochwyił jej dłoń, przesunął ku miejscu, gdzie stykały się ich ciała. Zadrzała, gubiąc rytm.

– Dotykaj się.

W ten sposób tylko pogorszył sprawę. Uświadomił to sobie, gdy Megs rozchyliła bezwiednie usta, zaczęła głaskać się z odrzuconą do tyłu głową i ledwie był w stanie się powstrzymać. Przyglądał się, jak go ujeżdża, dostarczając sobie podwójnej rozkoszy, i walczył, aby nie skończyć zbyt szybko.

– Tak, właśnie tak, kochanie – wyszeptał, prowadząc ją, przyglądając się, jak zmierza ku spełnieniu. – Czyż nie jest to przyjemne? Dotykać się, pozwalając, abym ci się przyglądał. Podoba ci się to? Lubisz tak mi się pokazywać? Rozsuwać śliczne fałdki, pozwalając mi dojrzeć, jak wilgotna się tam zrobiłaś, pieprząc się na mnie?

Jego słowa, ich dosłowność, sprawiły, że nagle źrenice Megs rozszerzyły się, a plecy wygięły w łuk, i poczuł, jak zaciska się na nim mocno, tak mocno.

Tuż przed tym zanim on też stracił nad sobą kontrolę.

Rozdział 16

Wielki czarny koń zjechał ze zbocza Góry Szeptów i oczom Faith ukazała się roztaczająca się aż po horyzont naga i pusta równina.

– Czy to już piekło? – wyszeptała Hellequinowi do ucha.

Potrząsnął głową.

– To Równina Szaleństwa. Przebycie jej zajmie nam dwa dni.

Dziewczyna zadrżała i przywarła mocniej do silnych pleców Hellequina, ponieważ mimo peleryny było jej coraz zimniej. A gdy to robiła, spojrzała w dół i zobaczyła wątłe pasma białej mgły wijące się bez celu przy ziemi...

– z Legendy o Hellequinie

– Proszę pana.

Godric ocknął się, w pełni rozbudzony, w ciemności swojej sypialni, mając świadomość, że to Moulder do niego szepcze.

Zamrugął i uniósł pytająco brwi, a wtedy służący wskazał gestem drzwi, prowadzące na korytarz. Miał na sobie zaskakująco ozdobny pomarańczowy szlafrok, szlafmycę, w dłoni trzymał zaś pojedynczy świecznik.

Godric otulił Megas kołdrą i wyslizgnął się ostrożnie z łóżka. Założył szybko bryczesy, koszulę i szlafrok i wyszedł za Moulderem z pokoju.

– O co chodzi? – zapytał, gdy oddalili się od sypialni.

– Pan Makepeace – odparł Moulder. – Jest tutaj i nalega, by z panem porozmawiać, mimo późnej pory.

Godricowi przychodził na myśl tylko jeden powód, dla którego zarządca sierocińca mógł przyjść do niego w środku nocy.

– Prowadź.

Zeszli po cichu na parter.

Makepeace odwrócił się, gdy weszli do gabinetu.

– Wybacz, że ci przeszkadzam. – Spojrzał na Mouldera, stojącego przy drzwiach, przyglądał mu się przez chwilę, a potem uniósł brwi. – Może porozmawialibyśmy na osobności?

– Nie ma potrzeby. – Godric wskazał gestem jedno z krzeseł, zaczekał, aż

gość usiądzie, i zrobił to samo. – Moulder cieszy się moim całkowitym zaufaniem.

– Ach tak. – Makepeace skinął głową. – Przejdę zatem od razu do rzeczy. Alf powiedziała mi nieco ponad godzinę temu, że znalazła ostatnią fabryczkę.

Ledwie skończył, Godric był już na nogach, zdejmując szlafrok.

– Pomóż mi, Moulder, szybko. Będziemy musieli zdjąć łubki.

– Czy to rozsądne? – Makepeace spojrział z troską na obnażone przedramię Godrica.

– Nie możemy czekać – Alf spróbuje zapewne uwolnić swą przyjaciółkę samodzielnie. – Godric uniósł brew. – Chyba że zdołasz przekonać trzeciego z nas, by poszedł i uratował dziewczynki? – Makepeace ściągnął jedynie brwi, Godric kontynuował zatem: – Masz tylko mnie. Nadgarstek już prawie się zrosł. Gdyby Moulder mógł postarać się o mniejsze, nie tak sztywne unieruchomienie...

– Godric?

Trzej mężczyźni podnieśli wzrok na dźwięk otwierających się drzwi. Stanęła w nich Megs z burzą wspaniałych włosów, opadających na ramiona. Przytrzymała dłonią szlafrok, by nie rozchyłał się przy szyi, i Godric natychmiast zaczął się zastanawiać, czy jego żona ma na sobie koszulę.

Ale dziewczyna miała co innego w głowie. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Co się dzieje, Godricu?

Moulder znalazł ostry nóż, lecz stał jak wrośnięty w ziemię. Godric wziął od niego narzędzie i zaczął niezdarnie przecinać sznurki, mocujące łubki.

– Będę musiał wyjść.

– Mogę? – Makepeace podszedł i Godric podał mu nóż.

– Jako Duch St. Giles? – wyszeptała Megs.

– Tak. – Godric nie odrywał wzroku od tego, co robił Makepeace.

– Nie możesz. – Podeszła bliżej i położyła mu dłoń na ramieniu. – Godricu! To czyste szaleństwo. Dopiero zacząłeś zdrowieć. Jeśli teraz wyjdiesz, złamiesz znowu nadgarstek i nie wiadomo, czy doktor będzie w stanie go poskładać. Możesz zostać kaleką na całe życie – o ile w ogóle przeżyjesz. – Usłyszał w jej głosie desperację. – Dlaczego pan go do tego nakłania? – spytała, zwracając się do Makepeace'a.

– Ja... – zaczął Makepeace, lecz Godric mu przerwał.

– Ponieważ tylko ja mogę się tym zająć. – W końcu na nią spojrział. Megs nie wiedziała, że Makepeace też był kiedyś Duchem, ale nie miało to znaczenia:

przysięgł swojej pani, że nie weźmie więcej szpady do ręki. – Megs, tu chodzi o małe dziewczynki.

Zamknęła oczy, ewidentnie zmagając się ze sobą.

– Możesz mi obiecać, że to ostatni raz? I że nie będziesz więcej Duchem St. Giles?

Przyglądał się, jak opada ostatni fragment bandaża. Opuchlizna zeszła, lecz dookoła nadgarstka widać było paskudne czarno-fioletowe siniaki. Nie ośmielił się go zgiąć. Moulder przyniósł mniejsze łubki, przygotowane z myślą o późniejszej wyprawie Godrica do St. Giles, i zaczął przymocowywać je do przedramienia chlebobawcy.

– Godric?

– Nie. – Nie śmiał na nią spojrzeć. – Nie mogę ci tego obiecać.

– Obiecuj przynajmniej, że wrócisz cały i zdrowy.

Tego też nie mógł zrobić i ona o tym wiedziała. Mimo to powiedział:

– Obiecuję.

Drzwi otwały się i zamknęły bezgłośnie.

Makepeace chrząknął.

– Może gdybym zaalarmował dragonów...

– Już to przerabialiśmy. Miną godziny, zanim Trevillion wyrazi zgodę na atak, i kolejne, zanim zmobilizuje swoich ludzi. – Spojrzał na drugiego mężczyznę. – Zaryzykujesz, że przeniosą znowu fabryczkę – albo dziewczęta zostaną zabite, by sprawa nie wyszła na jaw?

Makepeace się skrzywił.

– Nie.

Godric spojrział na ramię, które Moulder kończył właśnie unieruchamiać. Poruszył nim na próbę i uznał, że jeśli nie będzie forsował nadgarstka, powinien dać sobie radę.

– Skoro tak, mógłbyś pomóc mi w przygotowaniach?

– Doskonale – odparł zarządca. – A potem trzeba będzie się zastanowić, jak ominąć dragona, pilnującego twojego domu.

– Nadal tam jest?

– Och, w rzeczy samej – odparł Makepeace sucho. – I bez wątpienia zauważył, że przyjechałem.

Godric zastanawiał się nad tym faktem, podczas gdy Moulder pomagał mu się przebrać. A kiedy pięć minut później wszystko było gotowe, wsunął szpadę do pochwy i skinął na Makepeace'a.

– Chodź ze mną.

Zgasił świece i podszedł do drzwi wychodzących na ogród. Odczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, a potem ostrożnie wyjrzał. Nikogo jednak nie spostrzegł. Jeżeli Trevillion był aż tak dobry, by skutecznie ukryć się przed nim w jego własnym ogrodzie, to on, Godric, zasługiwał na to, by go złapano.

Otworzył ostrożnie drzwi i wyslizgnął się w rozjaśnioną blaskiem księżycy noc, a Makepeace za nim. Zarządca może i nie przywdziewał od dwóch lat maski Ducha, lecz było oczywiste, że nie stracił żadnej ze swoich dawnych umiejętności. Stara jabłonka wyciągała ku niebu bezlistne konary i mijając ją, Godric zastanawiał się przez chwilę, jak długo potrwa, nim Megs się podda i przyzna, że drzewko jest martwe.

A potem usunął z głowy wszelkie myśli o żonie. Jeśli miał przeżyć tę noc, musiał skupić się na zadaniu. Za ogrodem był stary mur, oddzielający go od rzeki, a w nim odwieczna brama z kruszącym się kamiennym łukiem na górze. Godric pchnął bramę, gratulując sobie w duchu, że polecił Moulderowi, aby co miesiąc ją oliwił.

Uśmiechnął się w ciemności do towarzysza.

– Jedna z bardzo niewielu korzyści z posiadania starego domu w Londynie.

Stali na szczycie kamiennych stopni, opadających łagodnie ku rzece. Pod nimi znajdowała się niewielka przystań z łodzią wiosłową, przywiązaną do palika. Godric zszedł ostrożnie na brzeg i wsiadł do łódki. Wziął do rąk wiosło, zaczekał, aż Makepeace także wsiądzie, po czym starannie wypraktykowanym ruchem odepchnął łódź od brzegu i zaczął wiosłować, posługując się wyłącznie prawą ręką.

Nie musieli płynąć daleko. Przy następnych schodach Godric skierował ku nim łódkę i przywiązał ją tam.

– Nie będziesz mógł skorzystać z tej metody po raz kolejny – zauważył Makepeace, kiedy wspinali się po stopniach. – Trevillion jest bystry. Domyśli się, jak mu się wymknąłeś, kiedy usłyszysz o wydarzeniach tej nocy.

– Postaram się zatem, żeby nie musieć tędy wracać. – Godric wzruszył ramionami i dokończył zdanie: – Przynajmniej przez jakiś czas.

Czuł na sobie wzrok swego towarzysza, gdy szli opustoszałymi uliczkami za rzeką. Dzielnica nie była bogata, ale z pewnością przyzwoita. Niemal przy każdym drzewie płonęła latarnia, toteż zmuszeni byli wykorzystywać najmniejszy skrawek cienia, jaki udało im się znaleźć.

– To nie najlepsze życie dla żonatego mężczyzny – zauważył neutralnym tonem Makepeace.

– Jestem żonaty od blisko dwóch lat – odparł Godric. Nie chciał myśleć teraz o Megs i o widocznej w jej spojrzeniu naganie.

– Jednak mieszkaliście osobno.

Zatrzymali się na rogu, przy sklepie szewca, i zaczekali, aż nocny strażnik przekuśtyka obok nich.

Godric spojrział na towarzysza i Makepeace uniósł brwi.

– Twoja żonka dopiero niedawno zjechała do Londynu, czyż nie?

– Tak. – Godric potrząsnął głową, zirytowany. – Co z tego?

Makepeace wzruszył ramionami.

– Większość potraktowałaby to jako okazję, aby porzucić takie życie.

– I zostawić te dzieci, żeby zapracowały się na śmierć? To proponujesz?

– Nie, ale może dałoby się wykorzystać dragonów. Zwłaszcza gdyby podrzucać Trevillionowi informacje, jakie czasem do nas trafiają – dodał chłodno.

Godric prychnął.

– Myślisz, że kapitan zawracałby sobie głowę błahostkami takimi jak dziewczynki w niewoli?

– Sądzę, że nie jest tak nierozsądny, jak ci się wydaje.

Godric tylko się w niego wpatrywał.

– Co pozwala ci tak myśleć?

Kącik ust Makepeace'a drgnął.

– Przeczucie?

– Przeczucie. – Znajdowali się już blisko St. Giles, przyspieszyli więc kroku. Godric wyjął szpadę, ignorując ukłucie bólu w lewym nadgarstku. Posługiwał się kordelasem głównie do obrony, jednak świadomość, że nie ma go dziś przy sobie, trochę go niepokoiła. – Wybacz, lecz nie pokładam zbyt wielkiego zaufania w twoich „przeczuciach”.

– Jak sobie chcesz – odparł Makepeace, zrównując się z nim bez trudu. – Przypomnij sobie jednak, proszę, że nawet sir Stanley Gilpin nie oczekiwał od nas, że będziemy zajmować się tym do końca życia.

Godric zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do towarzysza. Nie wymieniali między sobą tego nazwiska. Nigdy. Prawdę mówiąc, nim Makepeace zwrócił się do niego w sprawie porywaczy dziewcząt, nie kontaktowali się od lat – niemal od czasu, gdy umarł sir Stanley.

Makepeace też się zatrzymał i spoglądał na Godrica z wyrazem współczucia w oczach.

– Myślałem ostatnio o sir Stanleyu.

Godric skrzywił się, słysząc nazwisko człowieka, który był dla niego jak ojciec. Coś w nim chciało poddać się wzruszeniu, lecz stłumił to uczucie i spytał:

– Co z nim?

Makepeace przekrzywił głowę i jął wpatrywać się z namysłem w księżyc, ukryty częściowo za dachami.

– Zastanawiam się, co pomyślałby o nas teraz: o twoim dążeniu do samozniszczenia, obsesji naszego towarzysza, samotności, w jakiej się pogрузyłem, dopóki nie pojawiła się moja droga żona i nie wyciągnęła mnie z niej... Nie wydaje mi się, by właśnie tego dla nas chciał. Sir Stanley był we wszystkim, co robił, tak... radosny. Teatr, zapasy, nawet szermierka – dla niego był to jeden wielki, doskonały żart. Nie coś, co trzeba traktować poważnie. I za to zginąć – albo przynajmniej poświęcić temu życie.

– On nas stworzył – odparł Godric cicho – ale jesteśmy myślącymi istotami, mającymi własne motywacje. Nie powinien być zaskoczony tym, że wykorzystaliśmy to, czego nas nauczył, na własny sposób.

– Może i tak. – Makepeace spojrzał na Godrica. – Warto jednak się nad tym zastanowić.

Godric nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, lecz ruszył truchtem ku znajomemu domowi. Gdy tam dotarli, zwolnił i rozejrzał się ostrożnie.

– Alf?

– Miała się tu z nami spotkać, zapowiedziała jednak, że nie wejdzie do domu – mruknął Makepeace, wzdychając. – Pójdę i sprawdzę, czy nie zmieniła zdania.

Ale gdy tylko wyłonił się z cienia, Alf podbiegła do nich tak szybko, że Godric nie był pewien, gdzie dziewczyna się ukrywała.

– Czy on tu jest?

– Jestem – odparł Godric.

Dziewczyna się odwróciła. Najwidoczniej nie zauważyła go do tej pory. Przechyliła głowę, gdy zobaczyła, że Godric ma przy sobie jedynie szpadę.

– Potrafi pan tak walczyć?

Godric skinął krótko głową.

– Powodzenia – życzył im Makepeace z poważną miną.

– Chodźmy. – Dziewczyna poprowadziła Godrica, klucząc uliczkami. Nie próbowała wspiąć się na dach, za co był jej wdzięczny. Dałby radę walczyć jedną ręką, wolał nie używać jej jednak do wspinaczki.

Szli właśnie wąskim tunelem, wychodzącym na podwórko, kiedy dziewczyna zatrzymała się raptownie. Godric widział, że z przodu coś się dzieje, ale dopiero

jej krzyk uświadomił mu, o co chodzi.

– Zabierają je!

Natychmiast przepchnął się obok niej. Jeśli dziewczęta zostaną przeniesione, mogą już nigdy ich nie znaleźć.

Jakiś mężczyzna, zapewne strażnik, stał bezczynnie, podczas gdy wysoka, chuda kobieta wywlekała z piwnicy dwie dziewczynki. Dwie kolejne czekały, przestraszone, w rogu podwórka.

Godric podkraść się do strażnika, a kiedy ten odwrócił się, wyczuwszy zagrożenie, uderzył go mocno w skroń ręką szpady.

Mężczyzna upadł i tak już pozostał.

Kobieta wrzasnęła piskliwie i w drzwiach piwnicy pojawiło się dwóch kolejnych opryszków. Na szczęście okazały się na tyle wąskie, że zmuszeni byli wyjść po kolei. Godric ranił jednego, złapał drugiego za ramię i pchnął mocno na ścianę. Głowa łotra odbiła się od kamieni z wilgotnym plaśnięciem.

Godric odwrócił się do kobiety, by sprawdzić, czy zamierza go zaatakować, lecz ona biegła już ku odległemu krańcowi podwórka. Dziewczęta zbiły się w gromadkę. Jedna zaczęła płakać, lecz pozostałe zamarły ze strachu.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się akurat na czas, aby zobaczyć, jak z piwnicy wyłania się czwarty mężczyzna.

Uzbrojony w szpadę.

Godric odparował cios. Ostrza ześlizgnęły się po sobie z wizgiem, a potem rozłączyły. Odskoczył, przyglądając się przeciwnikowi. Zgodnie z prawem jedynie arystokraci mogli nosić szpady. Próbował rozpoznać atakującego, ale ten miał na głowie trójgraniasty kapelusz, zaś dół twarzy zakrywała mu przewiązana wokół szyi chusta.

A potem nie było już czasu, aby się zastanawiać. Mężczyzna ruszył na niego, wymachując szpadą ze śmiertelnym zacięciem – i znajomością rzeczy.

Godric zdawał sobie sprawę, że jeśli cofnie się choć trochę, zostanie przyparty do muru. Zamarkował unik w lewo i uskoczył w prawo. Usłyszał dźwięk rozdieranego materiału, gdy szpada przeciwnika rozcięła mu połą peleryny. Niewiele brakowało, by sztuczka zawiodła. Obrócił się, by odparować pchnięcie, i sam pchnął, celując w odsłonięty bok mężczyzny. Przeciwnik odchylił się jednak, wyciągając ramię, i Godric poczuł, jak czubek szpady przecina mu prawą rękę, rysując linię od ramienia do dłoni i parząc niczym rozpalone żelazo. Rana nie była jednak głęboka, gdyż ręka pozostała sprawna. Godric zaatakował ponownie, celując w twarz nieznanego, który zmuszony był się odchylić. Spróbował wytrącić broń przeciwnikowi, mężczyzna odskoczył

jednak, nie wypuszczając szpady. Chusta opadła mu na szyję i przez chwilę Godric widział wyraźnie jego twarz.

A potem łotr rzucił się ku niemu, celując w prawo, a Godric zbyt późno zorientował się, że to zmyłka. Nie starczyło mu czasu, aby sparować pchnięcie szpadą, podniósł więc lewą rękę i przyjął cios na łokieć.

Ramię zapulsowało rozdzierającym bólem, a przeciwnik odwrócił się i odbiegł, zacierając ku alejce w odległym rogu podwórka.

Godric instynktownie ruszył za nim, kierowany przemożną potrzebą, by ścigać i dopaść zdobycz. Lewe ramię cierpło mu wszakże z bólu, przypomniał sobie też obietnicę daną Megs. Przyrzekł, że do niej wróci – cały i zdrowy.

Cóż, przynajmniej jednego uda mu się dotrzymać – wróci.

Odwrócił się i zobaczył, jak Alf klęka przed brudną rudowłosą dziewczynką. Minę miała groźną, a brwi ściągnięte – zapewne po to, by ukryć fakt, że troszczy się o małą. Delikatnie otarła dziewczynce zapłakane policzki.

Na ten widok Godricowi zrobiło się niemal lekko na sercu. Próbował przekonać sam siebie, że osiągnęli najważniejszy cel: dziewczynki zostały uratowane. Nie sprawiło to jednak, by ołowiany ciężar, jaki przygniatał mu pierś, zniknął. Widział twarz atakującego, oblicze mężczyzny odpowiedzialnego za niewolenie dzieci w St. Giles. Mężczyzny, któremu udało się zbiec. Mężczyzny, który był niemal nie do ruszenia i który nigdy nie stanie przed obliczem sprawiedliwości.

Twarz lorda Kershawa.

* * *

Był cały zakrwawiony. Nie mogła myśleć, w głowie miała tylko ten przerażający widok. Kiedy Godric pojawił się w drzwiach swojej sypialni, stała przez chwilę nieruchoma niczym posąg, wpatrując się w długi bandaż na jego prawym ramieniu i rozcięty, zakrwawiony rękaw. Czekwała tam, czuwając i przemierzając podłogę przed kominkiem, odkąd wyszedł. W pokoju panował bałagan – ale zupełnie jej to nie obchodziło. Moulder stał za Godrikiem, który mówił coś do niej. Niczego jednak nie słyszała. Nie była w stanie zrozumieć.

– Wyjdź – powiedziała do służącego, niezdolna sformułować polecenia uprzejmie.

Moulder spojrział tylko na nią i zniknął.

Godric nie był tak sprytny. Zmarszczył lekko brwi i bredził coś o niewielkiej ranie, która wygląda groźniej, niż jest w istocie, i o tym, że Moulder już mu ją

opatrzył. Widziała jednak, że trzyma lewą rękę sztywno, i miała chęć go uderzyć.

Zamiast tego ujęła jego twarz w dłonie, wspięła się na palce i zaczęła całować go namiętnie, żądając, by wpuścił jej język, i bardzo dobrze, że zrobił to tak szybko, inaczej chyba by go ugryzła. Usłyszała, jak jęczy, a potem stara się otoczyć ją ramionami. Nie zamierzała na to pozwolić.

Odsunęła się i szarpnęła za pozostałości kostiumu Ducha.

– Okłamałeś mnie.

– Wróciłem – odpowiedział uspokajającym tonem. Przynajmniej nie próbował udawać, że nie wie, o co jej chodzi.

– Miałeś wrócić cały – rzuciła gniewnie, odrywając dwa guziki. – A nie wróciłeś.

– Megs – zaczął, bez wątpienia po to, aby przedstawić jakąś głupią męską wymówkę, więc pchnęła go niezbyt delikatnie na krzesło.

Nie była dość silna, by go pokonać – w głębi duszy dobrze o tym wiedziała. Musiał ustąpić przed jej gniewem, pozwolić, aby go pchnęła.

Nie wiedzieć czemu jeszcze bardziej ją to rozgniewało.

Opadła na kolana, rozsunęła mu nogi i wcisnęła się pomiędzy nie.

Godric otworzył szerzej oczy, co w każdej innej sytuacji stałoby się dla niej powodem do dumy – facet był Duchem St. Giles przez lata i zapewne niewiele rzeczy potrafiłoby go zadziwić.

– Co...?

Wyciągnęła rękę, rozpięła mu spodnie oraz bieliznę, przyglądając się z satysfakcją, jak członek wyskakuje ku niej, zaczerwieniony i na wpół wzwiedziony.

Ujęła go delikatnie w dłonie, oparła przedramiona na udach Godrica i spojrzała mu w oczy.

– Jestem na ciebie bardzo, bardzo zła.

Otworzyła usta i objęła wargami członek. Nie robiła tego wcześniej – choć miała ochotę. Była jednak zbyt nieśmiała, za bardzo martwiła się tym, że uzna ją za rozwiązłą lub nie spodoba mu się to, jak będzie go pieściła.

Lecz teraz, tutaj, już jej to nie obchodziło.

Pokryła drobnymi pocałunkami trzon, a potem przesunęła językiem po mocnym ścięgnię pod spodem.

Wymamrotał coś, a biodra drgnęły mu tak mocno, że aż podskoczyły jej ramiona.

Chciała powiedzieć, by nigdy nie wracał do St. Giles. Znajdzie zabójcę

Rogera sama. Pragnęła wyznać, że nie jest w stanie przyglądać się dłużej, jak on za każdym razem wraca z nową raną. Powiedziała to jednak już wcześniej, a on nie zmienił decyzji. Nie pozwolił, aby aż tak wpłynęła na jego wybory.

Teraz jednak będzie musiał na to pozwolić.

Otoczyła wargami grubą główkę członka, badając językiem smak jego skóry. Odsunęła się i spojrzała na Godrica, a on na nią. Z małego otworka na czubku członka wyciekła kropla cieczy. Potarła ją kciukiem i rozsmarowała na delikatnej skórze.

Członek podskoczył jej w dłoni.

Uśmiechnęła się, gdy to poczuła, i pochyliła głowę, by ucałować wilgotny czubek. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Godricowi płoną policzki, a powieki niemal zakrywają błyszczące szare oczy. Nie odwracając wzroku, wzięła do ust członek i zaczęła ssać.

Nozdrza jej męża rozszerzyły się i przygryzł wargę, wpatrując się w nią, gdy otworzyła usta i zaczęła z wolna przesuwając językiem wokół główki. Pomyślała, że na wstyd przyjdzie czas później.

Teraz rozkoszowała się wolnością, tym, co pozwalał jej robić.

Lecz kiedy zacisnęła delikatnie zęby, poruszył się.

– Megas – wykrztusił ochryple i wyciągnął ku niej ramiona.

Nie spodobało jej się to – nie skończyła jeszcze się bawić. Uniosła się lekko i cofnęła, próbując uniknąć schwytania i czując, jak znów budzi się w niej gniew.

– Do licha, Megas!

Pochylił się szybko i zareagowała instynktownie, zaalarmowana. Zerwała się na nogi i odskoczyła.

To nie było z jej strony w porządku – był w końcu ranny. Nie powinna się odsuwać.

Pochwycił ją i rzucił na łóżko, przygniatając swoim ciężarem.

Uwięziona pomiędzy nim a materacem oddychała ciężko, choć ich zmagania trwały zaledwie kilka sekund. Leżał na jej plecach, obejmując z obu stron ramionami. Czowała, jak wzwiedziony członek Godrica naciska na jej pośladki, a oddech pieści uszy. Czekala, spodziewając się, że ją odwróci.

Zamiast tego zaczął podnosić jej szlafrok i koszulę.

Wstrzymała oddech.

– Leż spokojnie – wyszeptał, całując ją za uchem.

Pośladki miała obnażone i czuła, jak gorący członek ześlizguje się po jej biodrze.

Mężczyzna położył jej dłoń pomiędzy łopatkami i pchnął delikatnie, acz

stanowczo w dół. Leżała teraz z wypiętą pupą, przyciągając wzrok.

Poczuła, że Godric rozsuwa jej nogi, a potem napiera członkiem na wejście. Wydawał się w tej pozycji jakby większy i usłyszała, że chrząka, wbijając się w nią powoli. Była wilgotna, mimo to czuła wyraźnie kształt jego penisa, gdy wchodził w nią coraz głębiej.

Zacisnęła dłonie na pościeli.

Zdawało się, że trwa to wieczność, lecz wreszcie zagłębił się między jej nabrzmiące fałdki. A potem pchnął jeszcze raz i poczuła na pośladkach dotyk wełny.

Zamarł i przez chwilę słyszała jedynie jego ciężki oddech. Zagryzła wargi, jak wcześniej Godric. Trudno jej było złapać oddech – a przecież nie zaczęła się jeszcze nawet poruszać.

A potem to zrobił, pocierając członkiem o coś absolutnie cudownego w jej wnętrzu. Nie mogła powstrzymać cichego okrzyku, jej biodra poruszyły się, jakby kierowane własną wolą, i zaczęły uderzać o podbrzusze Godrica.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Jaka niecierpliwa.

Odwróciła głowę, gotowa zganić go spojrzeniem – przynajmniej taki miała zamiar – lecz wybrał akurat tę chwilę, by wślizgnąć się w nią głęboko.

Powieki Megs zatrzepotały.

– Och!

– Podoba ci się? – wyszeptał.

Skinęła głową, niezdolna się odezwać. Wciskał się w nią wciąż od nowa, pocierając rozkosznie członkiem, i nie mogła się powstrzymać, by nie wypinać pośladków w jawnym zaproszeniu. Wsunęła pod siebie dłoń i odnalazła twardy węzełek, podczas gdy on wypełniał ją wciąż od nowa, przesuwając śliskim członkiem po jej wilgotnych palcach.

Wstrzymał oddech, zakołysał biodrami, pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

– Dotykasz się, prawda?

Przełknęła ślinę, zamykając z przyjemności oczy.

– T-tak.

– Boże – mruknął i pomyślała, że choć raz zabrakło mu słów.

Zapewne tak właśnie było, ponieważ położył nagle Megs dłoń na barku i wepchnął się w nią mocno, wciskając w materac. Unosił jej ciało, wykonując szybkie, mocne pchnięcia. Sprawiały, że za zamkniętymi oczami widziała gwiazdy.

Ostrze bolesnej niemal rozkoszy rozkwitło jej nagle pomiędzy nogami,

rozlewając się na resztę ciała niczym rzeka płynnej przyjemności. Jęknęła, głośno i ochryple. Mężczyzna zeszywniał na niej, pracując mocno biodrami, nawet gdy wypełniało ją gorące nasienie. Jakby nie chciał – czy nie mógł – przestać. A potem opadł na nią, otulając ciepłem swego ciała. Czowała, jak jego pierś przygniata jej plecy, kiedy starała się gorączkowo zaczerpnąć powietrza.

Powinna była czuć się ściśnięta, przytłoczona, lecz zamiast tego było jej dziwnie bezpiecznie.

Patrzyła kątem oka, jak Godric przesuwa prawe ramię – to zabandażowane – i spleta palce z jej palcami, a potem lekko je ściska.

Gdyby to od niej zależało, mogłaby pozostać spleciona z nim na zawsze.

Rozdział 17

– *Widzisz te pasma mgły, uwięzione w piasku Równiny Szaleństwa? – wyszczała Strata.*

Widział, co przydarzyło się jego pobratymcom, był więc ostrożny, mimo to nie potrafił oprzeć się pokusie, żeby rozkoszować się przerażeniem dziewczyny.

– *Cóż to takiego? – wyszeptała ze zgrozą.*

– *Dusze tych, którzy umarli pogrążeni w szaleństwie – odparła Strata z uśmiechem zadowolenia. – Krążą bez celu i pozostaną tu, póki ludzie nie znikną z powierzchni ziemi...*

– *z Legendy o Hellequinie*

Jeżeli istniało piekło na ziemi, Artemis właśnie ku niemu zdążała. Jej buty chrzęściły na żwirze wielkiego, niemal pustego dziedzińca. Za nią znajdowała się wysoka żelazna brama, przed nią – barokowa fasada pięknej, imponującej budowli. Białe korynckie kolumny maszerowały szeregiem, zwieńczone centralnie położoną kopułą z zegarem o rzymskich cyfrach wykutych w złocie. Złoto pokrywało również szczyt kopuły: wieżyczkę z posągami zawołowanej kobiety.

Artemis zadrżała i spojrzała na drzwi wejściowe.

Piekło mogło mieć wspaniałą powłokę, ale niczego to nie zmieniało – w środku nadal płonął ogień.

Minęła portiera i zapłaciła mu za wstęp, chociaż nie przysłała tam, aby oglądać widoki. Pod kopułą znajdował się przestronny hol z dwiema odchodzącymi na boki długimi galeriami. Z powodu wczesnej pory odwiedzających było niewielu, nie oznaczało to wszakże, że mieszkańcy piekła spali. Jęczeli lub mamrotali, jeśli byli w stanie sformułować zdanie – z wyjątkiem kilku, którzy po prostu wyli.

Artemis zignorowała galerie i poszła prosto przed siebie. Za kopułą dwie klatki schodowe prowadziły na wyższe kondygnacje. Podeszła do tej po lewej, mocno trzymając przykryty serwetką kosz. Nie byłoby dobrze, gdyby rozsypała tych kilka nędznych podarków, jakie ze sobą przyniosła.

Na podeście u szczytu schodów na drewnianym stołku siedział mężczyzna, wyglądający na znudzonego. Był wysoki, szczupły i Artemis zabawiała się podczas poprzednich wizyt myślą – raczej ponurą – że przypomina Charona. Zapłaciła mu przysłowiowego obola – w tym przypadku dwa pensy – i przyglądała się, jak wyjmuje klucz i otwiera wrota piekieł.

Najpierw uderzyła w nią fala smrodu. Był tak silny, że wydawało się, jakby człowiek brodził w ścieku. Artemis zakryła nos chusteczką, spryskaną lawendą. Pensjonariusze byli przykuci łańcuchami, a wielu nie miało możliwości albo po prostu nie było w stanie podejść do nocników. Po obu stronach korytarza znajdował się szereg małych, otwartych cel, przypominających boksy w stajni – tyle że większość stajen pachniała lepiej i była znacznie czystsza. W każdej celi upchnięto po jednym mieszkańcu piekieł. Kobieta starała się nie patrzeć na nich, gdy przechodziła. I tak z powodu tego, co zdążyła mimo woli zobaczyć w trakcie poprzednich wizyt, dręczyły ją koszmary.

Było tu spokojniej niż w przestronnych galeriach na dole, a to dlatego, że ci, których tutaj zamknięto, dawno stracili nadzieję. Mimo to uszu Artemis dobiegło przeciągłe zawodzenie, które mogło być kiedyś piosenką, a potem wysoki chichot. Ucichł równie nagle, jak się rozpoczął. Wiedziona doświadczeniem, przemknęła obok celi po prawej, skąd wyleciał ku niej cuchnący pocisk i rozbił się o ścianę.

Mężczyzna, dla którego tu przyszła, zajmował ostatnią celę po lewej. Kucał na brudnej słomie niczym Samson, skrzepowany łańcuchami w kostkach i – to było coś nowego – na szyi. Ciężka żelazna obręcz przykuwała go do ściany, uniemożliwiając położenie się. Gdy chciał odpocząć, zmuszony był kucać. Co też by się stało, gdyby zasnął i przechylił się w przód, pomyślała. Udusiłby się w nocy i nikt by o tym nie wiedział.

Podniósł wzrok, kiedy stanęła niepewnie u wejścia, i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Artemis.

Natychmiast do niego podeszła.

– Co ci zrobili, moje serce?

Uklękła przed nim i ujęła jego twarz w dłonie. Ponad krzaczastą brwią miał guz, nad prawą kością policzkową zadrapanie, a na zbyt szerokim nosie, który wyglądał na złamany, rozcięcie.

Z drugiej strony, jego nos zawsze tak wyglądał.

Wzruszył masywnymi ramionami, zakrytymi jedynie brudną koszulą i kamizelką z szorstkiego materiału.

– To nowa kuracja upiększająca. Jak słyszałem, poddają się jej wszystkie damy dworu.

Przełknęła z trudem gulę w gardle i spróbowała się uśmiechnąć.

– Głuptasie. Nie powinienesz prowokować ich dla zabawy. W tych łańcuchach nie jest ci chyba zbyt wygodnie.

Przechylił głowę, uśmiechając się grubymi wargami.

– Wyrównują jedynie szanse, prawda?

Potrząsnęła głową i sięgnęła do koszyka.

– Ja... obawiam się, że nie przyniosłam zbyt wiele, lecz kucharka Penelope była tak miła, że zostawiła dla mnie kilka pasztecików.

Podowała mu jeden na serwetce.

Wziął go, odgryzł kawałek i zaczął żuć powoli, by rozkoszować się smakiem jak najdłużej. Przyglądała mu się uważnie, rozpakowując koszyk. Twarz miał szczuplejszą i chyba w ogóle stracił na wadze. Znowu. Był z natury potężnej budowy i potrzebował dużo jedzenia. Nie karmili go, a ona nie była w stanie sprzedać naszyjnika i przekupić strażników, żeby o niego zadbali.

Ściągnęła brwi, zmartwiona, sięgając po raz ostatni do koszyka.

– Co to takiego? – zapytał, wychylając się najdalej, jak to było możliwe.

Uśmiechnęła się do niego, czując, że poprawia się jej nastrój.

– To moja zdobycz i mam nadzieję, że docenisz wysiłek, jaki włożyłam, by ją pozyskać.

Wyjęła pięknie pikowany męski szlafrok w kolorze głębokiej czerwieni.

Zamrugął, a potem odchylił głowę do tyłu i ryknął donośnym śmiechem.

– Będę wyglądał w nim jak prawdziwy hinduski książę.

Zacisnęła wargi, starając się wyglądać poważnie.

– Został po wuju i pomyślałam, że będzie ci w nim ciepło. Przymierz, proszę.

Pomogła mu założyć szlafrok i z zadowoleniem przekonała się, że choć był trochę za ciasny na piersi, niemal dawał się zapiąć. Mężczyzna oparł się o brudną ścianę i wyglądał rzeczywiście jak hinduski książę.

Gdyby hinduscy książęta miewali posiniaczone twarze i siedzieli na słomie.

Nalegał, by zjadła choć trochę tego, co mu przyniosła, urządzili więc sobie coś w rodzaju pikniku. A jeśli nawet w pewnej chwili atmosferę zakłóciły im głośne przekleństwa, a potem płacz, demonstracyjnie to zignorowali.

Niestety, wizyta nie mogła trwać długo. Penelope chciała wybrać się na zakupy i Artemis była potrzebna, by nieść pakunki i podążać śladem kuzynki.

Pozbierała w milczeniu swoje rzeczy, nienawidząc myśli, że musi zostawić go w takim miejscu samego.

– Chodź tutaj – powiedział, spostrzegłszy, że zaczynają drżeć jej wargi. – Nie przejmuj się tak. Wiesz, że nie mogę znieść, kiedy jesteś smutna.

Uśmiechnęła się zatem i uściskała go, a potem opuściła bez słowa okropną celę. Wiedzieli oboje, że przyjdzie znowu, gdy będzie mogła – zapewne nie wcześniej jednak niż za dwa tygodnie.

Kiedy mijala Charona, zatrzymała się i dała mu wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie – żałosnie mało, lecz będzie musiało wystarczyć. Miała nadzieję, że to sprawi, że strażnicy będą karmili drogiego jej mężczyznę, opróżniali nocnik i nie pobiją go na śmierć, gdy jego złośliwe żarty staną się zbyt trudne do zignorowania.

Spojrzała na tabliczkę zawieszoną nad krzesłem Charona: *Nieuleczalni*.

Za każdym razem, gdy ją widziała, ogarniał ją strach i gniew. *Nieuleczalni*. Równie dobrze mógłby to być wyrok śmierci dla jej ukochanego brata bliźniaka, Apolla: szaleńcy, których nie można było wyleczyć, nigdy nie opuszczali Królewskiego Szpitala Betlejem.

Znanego szerzej jako Bedlam.

* * *

Gdy w dwie godziny po tym, jak się kochali, przybył lekarz, Megs uparła się, by zostać w pokoju podczas badania.

Mężczyźni uznali takie zachowanie za dziwaczne. Godric wymienił z Moulderem czujne spojrzenia, podczas gdy lekarz zacmokał pod nosem, mamrocząc coś po francusku. Megs z trudem powstrzymała się, by nie przewrócić oczami. Żadna z obecnych w domu kobiet nie uznała za osobliwe, że Megs chce zostać ze swoim rannym mężem, aby dowiedzieć się, czy będzie mógł posługiwać się jeszcze kiedyś lewym ramieniem. Na myśl o tym ogarnęła ją fala smutku, przerażenia i gniewu tak silna, że musiała odwrócić się, żeby nie patrzeć, jak doktor bada Godrica. Zdążył już zdjąć mu bandaż z prawej ręki, obejrzeć długie, płytkie rozcięcie, określić je jako błahostkę i zabandażować ranę od nowa.

Megs poczuła przypływ gniewu, gdy Godric rzucił jej triumfujące spojrzenie.

Podeszła do okna i zapatrzyła się na ogród, zalany blaskiem słońca późnego poranka. Głupi mężczyźni. Głupi, dzielni, uparci mężczyźni, którzy nie wahali się ryzykować życia, zapuszczając się do najgorszych zakątków St. Giles i narażając się na niebezpieczeństwo. Uniosła zaciśniętą pięść do ust i mocno przygryzła knykcie.

Tracąc czasami życie.

Nie zniosłaby straty kolejnego mężczyzny. Chyba by zwariowała.

Doktor chrząknął głośno.

– Postąpił pan bardzo nierozsądnie, zdejmując tak wcześnie łubki. Nie jestem w stanie wyrazić, jak wiele miał pan szczęścia, że nadgarstek nie uległ ponownemu złamaniu.

Megs odwróciła się i zobaczyła, że doktor stoi nad siedzącym z niewzruszoną miną Godrikiem i bandażuje mu ostrożnie przedramię.

– A nie został złamany? – spytała.

– Nie – mruknął lekarz. – Powstanie jednak opuchlizna w miejscu, gdzie pan St. John... hm... uderzył się, upadając.

To właśnie powiedzieli lekarzowi, choć było absolutnie oczywiste, że długie rozcięcie mogło zostać spowodowane jedynie ostrzem szpady.

Westchnęła z ulgą.

– I zrosnie się prawidłowo?

Lekarz wzruszył ramionami w typowo galijskim geście.

– Możliwe. O ile pan St. John nie będzie go znów nadweręzał.

– Dopilnuję, by tego nie robił – oznajmiła Megs stanowczo, ignorując krzywe spojrzenie, jakim obdarzył ją Godric.

Doktor zamarudził jeszcze mniej więcej pięć minut, kiedy to Godric, ewidentnie zmęczony, został położony do łóżka. Megs odprowadziła lekarza do drzwi sypialni, wróciła do męża i z rozpaczą przekonała się, że mężczyzna próbuje usiąść.

– Co ty wyprawiasz?

Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi.

– Wstaję.

– Nie ma mowy – powiedziała. Położyła mu dłoń na piersi i pchnęła go z powrotem na poduszki. – Lekarz zalecił odpoczynek, jeśli nadgarstek ma się zrosnąć.

Zamrugął z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy. Nie pozwoliła mu wypocząć, gdy wrócił do domu nad ranem. Poczowała, że czerwienieją jej policzki.

– Tak, proszę pani – powiedział jednak tylko.

Spojrzała na niego podejrzliwie, lecz opadł posłusznie na poduszki. Musiał być naprawdę wyczerpany.

Serce ścisnęło się jej boleśnie.

– Prześpij się – szepnęła, dotykając delikatnie bandaża na jego prawym ramieniu. Jak to się stało, że tyle dla niej znaczył?

Zamknął oczy, odwrócił głowę i ucałował jej palce.

Przełknęła gulę w gardle. Jedyne krzesło w pokoju stało przy biurku, przeniosła je więc bliżej łóżka, ignorując wymowne spojrzenie Mouldera. A potem usiadła i patrzyła, jak Godric śpi.

Po jakimś czasie – mogły minąć minuty, lecz równie dobrze godziny – zapukano cicho do drzwi. Zostawiła je uchylone, by suczka mogła swobodnie się przemieszczać. Podniosła wzrok i zobaczyła, że pani Crumb ją przywołuje.

Spojrzała na łóżko, lecz Godric spał głęboko, wstała więc i wyszła za gospodynią na korytarz.

– Proszę wybaczyć – powiedziała pani Crumb, ścisząc głos – lecz mają państwo gościa. Pewien dżentelmen nalega, by porozmawiać z panią lub panem St. Johnem.

Megs uniosła brwi.

– Kto taki?

– Wicehrabia d'Arque.

Przez chwilę wpatrywała się w gospodynię, zakłopotana, lecz potem ją olśniło: wicehrabia przyszedł, by porozmawiać o zabójstwie Rogera. Zeszła wraz z panią Crumb na parter, czując, nie wiedzieć czemu, wyrzuty sumienia z powodu tego, że zostawia Godrica samego. Lecz po to przybyła przecież do Londynu, prawda? Jeśli zdoła dowiedzieć się czegoś więcej na temat okoliczności śmierci Rogera, łatwiej jej będzie go pomścić.

I opuścić Godrica.

Na myśl o tym omal się nie potknęła.

Dopiero gdy zeszły na parter i gospodyni poinformowała ją, że gość czeka w bibliotece, Megs przypomniała sobie, jak bardzo Godric nie lubi lorda. I nawet jeżeli był dla niego uprzejmy w teatrze, nie oznaczało to, że pochwaliby spotkanie z nim sam na sam.

Spojrzała na gospodynię.

– Mogłaby pani poprosić pannę Sarah, by do nas dołączyła?

– Tak, proszę pani.

Zaczekała, aż pani Crumb wejdzie po schodach, zwlekała jeszcze chwilę, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza i weszła do biblioteki.

Wicehrabia oglądał książki w odległym kącie pomieszczenia, odwrócił się jednak, gdy weszła, i podszedł do niej.

– Milady. – Pochylił się nad dłonią Megs, ale nie dotknął jej wargami. A kiedy się wyprostował, spostrzegła, że minę ma, nietypowo jak na siebie, poważną.

Dziwne. Nie znała go zbyt dobrze, ale ilekroć go przedtem widziała, zawsze uśmiechał się szelmowsko.

Zupełnie jakby ten uśmiech stanowił jego zbroję.

– Miło pana widzieć, wicehrabio – odparła. – Co pana do nas sprowadza?

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z mężem pani.

– Obawiam się, że jest niedysponowany.

Zamrugnął, namyślał się przez chwilę, lecz w końcu powiedział:

– Przyszedłem w sprawie Rogera Fraser-Burnsby’ego.

Skinęła głową, skrywając to, jakie uczucia wzbudził w niej dźwięk nazwiska ukochanego.

Drzwi biblioteki otworzyły się ponownie i do pokoju weszła Sarah.

– Megs?

– O, jesteś – zauważyła Megs lekkim tonem. – Nie pamiętam: poznałaś już wicehrabiego d’Arque’a?

– Nie sędzę – odparła Sarah, podchodząc.

– Cóż za niedopatrzenie z mojej strony – zauważył d’Arque swoim zwykłym tonem zdobywcy kobiecych serc.

Megs się odwróciła. No tak, krzywy uśmieszek był znów na miejscu. Poczowała, że Sarah sztywnieje. Jej szwagierka miała bardzo zdecydowane poglądy na temat uwodzicieli.

– Pozwoli pan, że przedstawię moją drogą szwagierkę, Sarah St. John? – powiedziała Megs oficjalnie. – Sarah, poznaj, proszę, wicehrabiego d’Arque’a.

– Jestem absolutnie oczarowany, panno St. John – odparł wicehrabia gładko. – Muszę wyznać, że uroda pani poraża wręcz oczy.

– To chyba dość niedogodne – mruknęła Sarah, gdy wicehrabia się wyprostował. – Miejmy nadzieję, że będzie pan widział na tyle dobrze, by nie obijać się o meble.

Wicehrabia uniósł z rozbawieniem brew, lecz zanim zdążył powiedzieć coś szokującego, Megs wtrąciła pospiesznie:

– Czy moglibyśmy udać się wszyscy do ogrodu? – W tym nie było z pewnością nic niestosownego. Będzie mogła porozmawiać z panem d’Arkiem poza zasięgiem słuchu Sarah, pozostając jednocześnie cały czas na widoku. – Posadziliśmy kilka nowych krzewów i jestem pewna, że z przyjemnością je pan obejrzy.

Nie miała pojęcia, czy wicehrabia interesuje się choć trochę ogrodnictwem, zgodził się jednak im towarzyszyć.

Sarah uniosła brwi, lecz powiedziała tylko:

– Brzmi cudownie. Mam przynieść kapelusz?

Megs uśmiechnęła się do szwagierki.

– Bardzo proszę.

A kiedy się odwróciła, wicehrabia znowu przybrał poważną minę. Nie wspomniał jednak o Rogerze. Gawędzili zamiast tego niezobowiązująco, póki nie wróciła Sarah w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, niosąc drugi, podobny, dla Megs. Ta podziękowała szwagierce i wyszli we trójkę do ogrodu. Spacerowali, a Megs paplała bez ładu i składu o krokusach i stokrotkach, aż wreszcie Sarah zerknęła na nią pod oka i powiedziała, że chciałaby na chwilę usiąść. Opadła na jedną z marmurowych ław, ustawionych w pobliżu domu – i oczyszczonych ostatnio starannie przez jedną z młodziutkich pokojówek – po czym dyskretnie utkwiała spojrzenie w murze, oddzielającym ogród od rzeki.

– Może doradziłby mi pan w kwestii drzewka owocowego? – spytała Megs, prowadząc wicehrabiego w kierunku jabłonki.

Pan d'Arque spojrzał bez zainteresowania na drzewo.

– Wygląda na uschnięte. – Zatrzymał się. – Pytała mnie pani kiedyś o przyjaciela, Rogera Fraser-Burnsby'ego.

– Tak. – Skupiła spojrzenie na drzewku i zobaczyła zawiązki liści. Nie było martwe – przeciwnie.

– Uważam... – kontynuował wicehrabia z wahaniem – że mogła łączyć z nim panią... zażyłość.

Mówiąc, patrzył jej wprost w oczy, a w jego spojrzeniu dostrzegła ból. Podjęła decyzję.

– Kochałam go, a on mnie.

Wicehrabia pochylił głowę.

– Cieszę się, że spotkał panią, nim zginął.

Łzy zakłuły Megs pod powiekami.

– Dziękuję – powiedziała, mrugając gwałtownie.

Skinął głową.

– Zastanawiałem się nad tym od rozmowy z mężem pani w teatrze. Być może gdybyśmy wymienili się informacjami, odkrylibyśmy, jak doszło do tego, że został zabity... i kto go zabił.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, znowu spoglądając na drzewo.

– Kiedy ostatni raz go widziałam, Roger mi się oświadczył.

Wicehrabia uniósł raptownie głowę.

– Byliście zaręczeni?

– Tak.

– Ale dlaczego żadne z was o tym nie wspomniało?

Przesunęła palcem po chropowatej korze starego drzewa.

– To była tajemnica – nie poprosił jeszcze mojego starszego brata o moją rękę. Chciał chyba wprawdzie dowiedzieć, że będzie miał za co utrzymać rodzinę. Wspomniał o jakiejś propozycji biznesowej. Miała zapewnić mu dość funduszy, by mógł oświadczyć się, jak należy.

Wicehrabia wykrzyknął cicho.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– O co chodzi?

– Mniej więcej na sześć miesięcy przed śmiercią Rogera nasz wspólny przyjaciel zaproponował mi, bym wziął udział w pewnym przedsięwzięciu, ponoć bardzo dochodowym.

Megs zmarszczyła czoło.

– A cóż to było za przedsięwzięcie?

– Nie wiem. – Wicehrabia wzruszył ramionami. – Przekonałem się jednak, że przedsięwzięcia, które obiecują kolosalny zysk, z reguły kończą się tak, że inwestor zostaje w jednej koszuli. Unikam ich więc, jak tylko mogę. A ponieważ odrzuciłem propozycję od razu, nie dowiedziałem się, na czym miałyby polegać ów biznes.

– Kto uczynił panu tę propozycję?

Wicehrabia wahał się jedynie przez chwilę.

– Lord Kershaw.

* * *

Godric otworzył oczy i zobaczył Megs siedzącą przy łóżku. Spojrzał na okno i z zaskoczeniem stwierdził, że niemal zapadł już zmierzch. Musiał przespać cały dzień. Przez chwilę przyglądał się żonie. Siedziała z pochyloną głową, wpatrując się w splecione palce dłoni. Wydawała się pogrążona głęboko w myślach i iskierka, która zapaliła się w piersi Godrica na ten widok, sprawiła, że zrobiło mu się ciepło na sercu.

– Siedzisz tu od rana? – zapytał cicho.

Uniosła głowę, zaskoczona.

– Nie, zesłam na dół na lunch. Mieliśmy też gościa.

– Tak? – Ziewnął i przeciągnął się leniwie. Ból w ramieniu przypomniał mu, dlaczego został przykutty do łóżka. Wziąwszy jednak wszystko pod uwagę, czuł

się zdecydowanie lepiej. Może zdołałby zwabić Megs, by położyła się obok niego?

– To był wicehrabia d'Arque.

Godric zastygł.

– Czego chciał?

Przygryzła wargi, wyglądając na nieco zagubioną.

– Porozmawiać o Rogerze.

Opowiedziała mu, o czym rozmawiali, a kiedy wspomniała, że Kershaw złożył wicehrabiemu propozycję zainwestowania w tajemnicze przedsięwzięcie, Godric przymknął oczy ze zgrozą.

– O co chodzi? – spytała zaniepokojona.

Jak miał jej powiedzieć? Otworzył oczy, czując, że musi ją chronić. Nie chciał sprawić jej bólu, za nic. To, co wiedział, nie pomoże Megs otrząsnąć się ze smutku. Nie była jednak dzieckiem. Nie miał prawa decydować, co powinien jej powiedzieć, a co zatrzymać dla siebie.

Wziął głęboki oddech.

– Dwa lata temu Duch St. Giles – inny Duch, nie ja – zabił Charlesa Seymoura. – Podniósł wzrok i spojrzał na nią przelotnie. – Seymour więził dziewczęta – młodziutkie, większość nie miała nawet dwunastu lat – i zmuszał, by wyrabiały eleganckie pończochy dla dam.

– Jak te w fabryczkach, o których mówiłeś mi wczoraj. – Skinęła głową. – Ale co to ma wspólnego z Rogerem?

– Sądziłem, że śmierć Seymoura zakończy proceder, lecz tak się nie stało i w St. Giles otwarto nowe miejsca. Wczorajszej nocy znalazłem ostatnie i uwolniłem jedenaście dziewczynek. Zarobiłem to – uniósł zranione prawe ramię – kiedy zostałem zaatakowany. Przez dżentelmena.

Spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

Westchnął.

– To był Kershaw.

Otworzyła z wolna usta, ściągając jednocześnie brwi.

– Wicehrabia powiedział, że lord Kershaw zaproponował mu udział w przedsięwzięciu biznesowym, lecz nie wyjaśnił w jakim. Jeżeli lord wystąpił z podobną propozycją wobec Rogera... – Wstała gwałtownie, jakby nie mogła wysiedzieć ani sekundy dłużej, i zaczęła przemierzać podłogę przed łóżkiem. – Roger chciał poprawić swoją sytuację finansową, zanim poprosi o moją rękę. Jeśli zgodził się wejść do interesu, zanim dowiedział się, na czym ów interes ma polegać... – Zatrzymała się i jęła wpatrywać w Godrica szeroko otwartymi

oczami. – Jeżeli poszedł do St. Giles i przekonał się, co robi Kershaw... Boże święty, Godricu! Roger był dobrym człowiekiem. Za nic w świecie nie zgodziłby się tolerować czegoś takiego!

Godric pochylił głowę.

– Musieliby go zamordować, by nie powiedział innym.

– Oto mamy odpowiedź – szepnęła Megs. – Trzeba powiadomić władze. Musimy...

– Nie.

Drgnęła, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

Usiadł i pochylił się ku niej.

– On jest lordem, Megs, a my nie mamy dowodów, jedynie przypuszczenia. Z tego, co wiemy, Rogera zabił Seymour. Albo ktoś inny. Tacy jak lord Kershaw nie lubią brudzić sobie rąk.

Zacisnęła pięści.

– Jest odpowiedzialny, nawet jeżeli morderstwa dopuścił się jego wspólnik czy ktokolwiek inny. Pomógł zabić Rogera.

– Nie wiemy nawet tego – odparł Godric, znużony. – To wszystko przypuszczenia.

– Jeśli powiem wicehrabiemu...

– Jeśli mu powiesz – a on ci uwierzy – to jak myślisz, co się wydarzy? – zapytał twardo. – D’Arque będzie musiał wyzwać lorda.

Zamrugła i otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz zaraz je zamknęła. Pojedynki były nielegalne. Nawet gdyby d’Arque go przeżył – a Godric uważał, że Kershaw zdolny byłby posunąć się do podstępu – zostałby wygnany z kraju.

– Daj mi jeszcze trochę czasu – powiedział łagodnie. – Dowiem się więcej.

Przygryzła wargi i wyszeptała:

– Nie mogę znieść myśli, że mu się upiecze.

– Tak się nie stanie. – Wyciągnął do niej dłoń. – Chodź tutaj.

Podeszła powoli niczym obrażone dziecko.

Ujął jej dłoń, pociągnął Megs ku sobie i wyczuwając jej opór, zapewnił:

– Ciii... Chcę tylko z tobą poleżeć, nic więcej.

Bał się, że znajdzie jakąś wymówkę i zostawi go samego. Nie był poważnie ranny, nie było zatem powodu, żeby nie mogli się kochać. Dlaczego miałyby mu uwierzyć i się z nim położyć?

Zrobiła to jednak. Poczł obok siebie jej miękki ciężar, pachnący kwiatem pomarańczy i życiem. Z zadowoleniem odnotował, że kładzie mu dłoń na piersi, a jej oddech powoli się uspokaja.

Leżał, wpatrując się w sufit, planując, kalkulując, próbując znaleźć sposób, by zniszczyć lorda. Wymierzyć sprawiedliwość parowi Królestwa.

Rozdział 18

– Biedne, biedne duszyczki! – wykrzyknęła Faith, a po policzku spłynęła jej łza.

Stratę tak bardzo poruszył jej żal, że puściła siodło i zaklaskała w małe czerwone dłonie. Faith wykorzystwała tę chwilę nieuwagi i w mgnieniu oka zepchnęła skrzata z konia. Spadł z krzykiem i zginął, stratowany kopytami wielkiego czarnego wierzchowca.

Hellequin zaśmiał się cicho.

– Te małe demony były przez wieczność moimi jedynymi towarzyszami, a ty pozbyłaś się ich w zaledwie jeden dzień...”.

– z Legendy o Hellequinie

Następnego ranka Megs wpatrywała się w cyfry, dokonując po raz trzeci obliczeń. Liczenie zawsze przychodziło jej z trudem, zresztą cóż, wynik, jaki otrzymywała, po prostu nie mógł być prawidłowy.

A jednak: nie miała okresu od dwóch miesięcy, a kolejny także się spóźniał. Jak to możliwe? Ściągnęła brwi, wpatrując się w zapisany skrawek papieru, ale nic nie mogła poradzić na to, że na usta wypływa jej pełen zadowolenia uśmiech. Bardzo starała się być realistką, zignorować budzącą się radość. Jest o wiele za wcześnie, zganiła się w duchu. Jeśli podda się teraz nadziei, będzie bardzo rozczarowana, znalazłszy wkrótce na pościeli brunatne plamy.

Lecz jeśli tak się nie stanie? Jeśli nie dostanie jednak okresu? I jest naprawdę, rzeczywiście w ciąży? Roześmiała się na głos i wstała, zbyt podekscytowana, by siedzieć spokojnie. Wbiegła bez namysłu do pokoju Godrica – i poczuła się bardzo zawiedziona, gdy zobaczyła, że go tam nie ma.

Zmarszczyła nos, rozglądając się. Podeszła na palcach do garderoby i zajrzała do niej. Jej Wysokość leżała na męskiej koszuli – Megs miała szczerą nadzieję, że była to jedna z tych, które zostały przeznaczone do oddania – karmiąc szczeniaki. Podniosła łebek i spojrzała na Megs pytająco.

– Wszystko w porządku – szepnęła zatem. – Nie przeszkadzaj sobie.

Przyglądała się gromadce jeszcze przez chwilę, gdyż szczenięta popiskiwały rozkosznie, a jedno – koloru czekolady – próbowało wepchnąć łapkę w pyszczek

brata lub siostry. Po chwili cofnęła się jednak do pokoju, zamierzając wrócić do własnej sypialni. Coś na komódce przyciągnęło wszakże jej uwagę. Górna szuflada była lekko wyciągnięta, a klucz tkwił w zamku.

Podeszła bliżej, kierowana pokusą nie do odparcia.

Kluczyk był niewielki, zawieszony na srebrnym łańcuszku. Uświadomiła sobie, że to ten, który Godric nosił zwykle na szyi. Dotknęła go jednym palcem, sprawiając, że łańcuszek lekko się zakołysał.

A potem zajrzała do szuflady.

Tuż przy brzegu spoczywały rozrzucone w nieładzie listy, za nimi pakiet innych, przewiązanych starannie czarną wstążką, a jeszcze dalej, w kącie szuflady, ładne puzderko, zdobione niebieską i białą emalią. Wzięła je do rąk i otworzyła. Wewnątrz znajdowały się dwa pasma delikatnych włosów: jedno brązowe i drugie w tym samym odcieniu brązu, przetykanego jednak kilkoma siwymi nitkami. Musiały należeć do Clary i dziewczynę uderzyło, jak długo Godric znał swoją pierwszą żonę – na tyle długo, aby jej włosy zdążyły posiwieć. Ta myśl napełniła ją melancholią. Żył z Clarą i kochał ją latami, podczas gdy z nią...

Ale to nie miało znaczenia, prawda? Nie przyjechała do Londynu po miłość.

Ściągnęła brwi, odłożyła powoli puzderko i przyjrzała się dwóm stosikom listów. Te obwiązane czarną wstążką musiały pochodzić od Clary, ale te rozrzucone...

Serce zaczęło jej bić szybciej.

Rozpoznała swoje pismo. Przerzuciła listy i przekonała się, że się nie myli. Godric zachował je wszystkie. Na samą myśl o tym ciarki przebiegły jej po plecach. Wszystkie te rzucane w pośpiechu, bez zastanowienia uwagi, cała ta paplanina na temat Laurelwood, Upper Hornsfield, jej codziennego życia i... kociąt. Dlaczego w ogóle je zachował?

Sięgnęła po pierwszy z brzegu, otworzyła go i zaczęła czytać.

10 stycznia 1740

Drogi Godricu

Nie uwierzysz! Kompletnie nas tu zasypało! Istne zwały śniegu! Nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Battlefield chodzi od rana półprzytomny, powtarzając w kółko, że nie widział czegoś takiego przez całe życie – co, można by powiedzieć, jest z pewnością przesadą, i to dużą – kucharka miała od rana trzy objawienia na temat Drugiego Przyjścia, a nie minęła jeszcze pora lunchu. Pomimo możliwej Apokalipsy mam nadzieję, że śnieg się utrzyma, ponieważ świat

wygląda teraz pięknie dzięki oszronionym gałęziom i koronce mrozu na szybach. Gdyby padało tak każdej zimy, mogłabym nawet polubić tę mroczną porę roku.

Przyglądałam się przez cały rano maleńkiemu rudzikowi, skaczącemu po gałęziach głogu za oknem mojej sypialni i przystającemu jedynie na chwilę, aby wygrzebać spod kory jakiegoś biednego owada. Kilku chłopców stajennych i młodszych lokajów odbyło rano prawdziwą bitwę na śnieżki – zakończyła się, kiedy Battlefield został przypadkiem (?) uderzony w kark i zmusił zwaśnione strony do zaniechania śnieżnej potyczki.

A niech to! Nie zadałam ci jeszcze pytania, będącego głównym powodem, dla którego piszę ten list, a kończy mi się papier, więc zrobię to teraz: Sarah wspomniała dziś rano, jak bardzo kochałaś Laurelwood, gdy byłeś młodszy, i nagle przyszło mi do głowy coś doprawdy niemiłego. Czy to moja obecność powstrzymuje cię przed odwiedzeniem rodzinnego domu? Mam nadzieję, że tak nie jest! Proszę, proszę, przyjeźdź – pomimo tego wszystkiego, co napisałam powyżej, a co mogłoby z pewnością niejednego odstraszyć. Kucharka może i jest szalona, lecz piecze najlepsze na świecie tarty cytrynowe, Battlefield to Battlefield i trzeba się po prostu z tym pogodzić, ja zaś nie jestem zapewne zbyt mądra, ale postaram się być poważna, rozsądna i... cóż, naprawdę chciałabym, żebyś przyjechał.

Twoja
M.

Ostatnie wersy napisane zostały bardzo niestarannie, gdyż rzeczywiście na kartce zostało już niewiele miejsca. Megs wygładziła list, wspominając tamten zimowy dzień, gdy wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi i tylko ona miała poczucie, że czegoś jej brakuje. Wiedziała już wtedy, że pragnie dziecka, lecz nie chodziło jedynie o to. Pragnęła czegoś jeszcze.

Drzwi do pokoju się otwały.

Dziewczyna podniosła wzrok, nie starając się ukryć listu.

Godric zatrzymał się w progu, unosząc brwi, zaskoczony tym, że przyłapał ją, jak myszkuje w jego osobistych rzeczach.

– Dzień dobry.

– Zatrzymałeś je – wypaliła.

– Twoje listy? Tak. – Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Nie wyglądało na to, by miał jej za złe, iż grzebie w jego szufladzie.

To zaś sprawiło, że poczuła się tym bardziej winna. Nie zatrzymała wszystkich jego listów – jedynie te napisane ostatnio, a i one leżały, rzucone tam

niedbale, w szufladzie jej sypialni w Laurelwoods. – Dlaczego je zatrzymałeś?

– Lubilem do nich wracać – odparł spokojnym, niskim głosem, który przenikał ją do głębi.

Odwróciła wzrok, skupiając się na tym, aby starannie poskładać list.

– Myślisz o Clarze?

Pytanie było zbyt osobiste, zbyt intymne, mimo to czekała, wstrzymując oddech, na odpowiedź.

– Tak.

– Często?

Potrząsnął z wolna głową.

– Nie tak często jak kiedyś.

Przygryzła wargi i zamknęła oczy.

– Czujesz się winny, gdy się Kochamy?

– Nie. – Wyczuła, że podchodzi bliżej, na tyle blisko, by docierało do niej ciepło jego ciała. – Kochałem Clarę głęboko i nigdy jej nie zapomnę, lecz ona odeszła. Nauczyłem się, jak sędzę, w ciągu kilku ostatnich tygodni odsuwać na bok to, co czułem do niej, bym mógł czuć coś do ciebie.

Westchnęła. Serce biło jej jak oszalałe i nie była wcale pewna, czy chce tego słuchać.

– Jak... jak możesz to pogodzić? Miłość, którą czułeś? Była prawdziwa, czyż nie? Mocna i szczerą?

– Tak, bardzo. – Poczowała na ramionach dotyk jego dłoni, ciepłych i pewnych.

– Myślę, że gdybyś nie wkroczyła do mojego życia, pozostałbym żyjącym w celibacie pustelnikiem. Lecz to się stało. Zjawiłaś się – powiedział. Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

Otworzyła oczy i odwróciła się, aby na niego spojrzeć.

– Żałujesz tego? Nienawidzisz mnie za to, że zmusiłam cię, byś odrzucił wspomnienia o Clarze?

– Do niczego mnie nie zmusiłaś – odparł, uśmiechając się leciutko kątem ust, a potem spojrzał na nią poważnie. – A ty, czujesz się, jakbyś zdradzała Rogera?

– Nie wiem – odparła, gdyż była to prawda. Jej uczucia względem Rogera były ostatnio niejasne. Spostrzegła, że Godric skrzywił się i próbuje to ukryć. Natychmiast poczuła się winna, że sprawia mu ból. Zebrała się jednak w sobie, ponieważ Godric zadał jej pytanie i zasługiwał na szczerą odpowiedź. – Pragnę – pragnęłam – dziecka tak bardzo i uznałam, że on by to zrozumiał. Był człowiekiem pełnym radości i myślę – mam nadzieję – że chciałby, abym i ja pozostała radosna, nawet po jego śmierci. Nie doprowadziłam jednak tego, który

go zabił, przed oblicze sprawiedliwości.

Wpatrywała się w Godrica, starając się wyrazić spojrzeniem to, jak bardzo skonfundowana się czuje.

– Powiedziałem ci, że znajdę sposób, by Kershaw zapłacił, i tak się stanie – odparł stanowczo. – Obiecuję, że pomogę ci sprawić, by Roger zaznał po śmierci spokoju.

– Nie chcę, byś wracał do St. Giles – wyszeptała, przesuwając palcem wzdłuż jego szczęki. – Tyle ci już zawdzięczam. Tyle dla mnie zrobiłeś. Z tak wielu rzeczy zrezygnowałeś.

– Nie jesteś mi nic winna. – Uśmiechnął się. – Sam zdecydowałem, że pora zakończyć żałobę. Życie jest dla żywych.

Wpatrywała się w jego ciemnoszare oczy, czując, jak coś zapala się i zaczyna płonąć jej w piersi. Tak bardzo chciała mu powiedzieć! Powiedzieć, iż podejrzewa, że może być przy nadziei. Nosi pod sercem nowe życie. Przypomniała sobie jednak, zaszokowana, co by to znaczyło: obiecała mu, że wyjedzie, gdy zajdzie w ciążę.

Nie chciała opuszczać Godrica. Nie teraz. A może nigdy.

Ściągnął brwi, jakby zastanawiał się, o czym też ona myśli. W połączeniu z siwą peruką i połówkowymi okularami, odsuniętymi niedbale na czoło, sprawiało to, że wyglądał poważnie, a zarazem tak nieodparcie pociągająco, że wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta.

Gdy się odsunęła, miał w oczach rozbawienie, uśmiechnęła się zatem do niego, a on do niej.

– Chodź. Pamiętasz, chciałaś wybrać się dzisiaj do Spring Gardens.

Skinęła głową, ujmując jego dłoń. Wyszli razem z pokoju. Czowała się niemal szczęśliwa, lecz to poczucie szczęścia ograniczone było świadomością, że wkrótce będzie musiała mu powiedzieć, a kiedy to zrobi, on poprosi ją, by wyjechała.

A jeśli już nic innego jej nie pozostało, musiała sprawić – jakoś – by Roger zaznał wreszcie spokoju, zanim ona opuści Londyn.

* * *

Spring Gardens to całkiem przyjemne miejsce, pomyślał Godric, nawet jeżeli nie interesują cię rośliny czy kwiaty. Megs była jednak nimi zainteresowana, a jej nieskrywana radość sprawiała, że i on spędzał miło czas.

Szli żwirowaną alejką, obramowaną klombami oraz krzewami, przyciętymi z

chirurgiczną precyzją. Klomby były jeszcze w większości puste i Godric pomyślał skrycie, że nie wyglądają o wiele lepiej niż jego ogród w Saint House – jeśli pominąć fakt, że panował tu większy porządek.

Megs musiała sądzić jednak inaczej, gdyż co i rusz wydawała okrzyk zachwyty.

– Och, spójrzcie tylko na te białe kwiatuszki – powiedziała, niemal składając się wpół, by lepiej widzieć. – Wie pani, co to takiego, pani St. John?

Macocha, podążająca w ślad za nimi, podeszła bliżej.

– Jakiś rodzaj krokusów?

– Mają łodyżki – odparła Megs, prostując się i spoglądając w zamyśleniu na kwiatek, który Godricowi wydał się absolutnie zwyczajny. – Nie widziałam chyba dotąd krokusa na łodyżce.

– Albo z tym czymś zielonym – dodała Sarah.

– He? – Cioteczna babka Elvina przystawiła dłoń do ucha.

– Coś. Zielonego – powtórzyła Sarah, głośno i wyraźnie.

– Nie widzę tu nic zielonego – oznajmiła cioteczna babka.

– Jest tutaj. I tu – powiedziała Jane, wskazując części kwiatu. Charlotte wymamrotała, że ona również nie widzi śladu zieleni.

Ruszyły dalej, dyskutując o tym, czy kwiatek wypuścił rzeczywiście „coś zielonego” i czy krokusy mogą mieć długie łodyżki. Godric przysłuchiwał się temu z rozbawieniem.

– Nie widziałam jej dotąd tak szczęśliwej – zauważyła macocha cicho. Odwrócił się i zobaczył, że podczas gdy on obserwował innych, ona przyglądała się jemu. – Ani ciebie.

Zamrugął i odwrócił wzrok, zirytowany.

– Powiedz, Godricu. – Ujęła go pod ramię i pociągnęła za sobą. – Jesteś szczęśliwy, prawda?

– Czy ktokolwiek może to o sobie powiedzieć? – zapytał sztywno.

– Uważam, że tak – odparła poważnie. – Byłam bardzo szczęśliwa z twoim ojcem.

– A on z tobą – mruknął.

Skinęła głową, jakby nie było to dla niej nic nowego.

– Żałuję tylko, że to, iż poślubiłam twojego ojca, uczyniło cię tak nieszczęśliwym.

Poczuł nagle, że policzki czerwienieją mu ze wstydu i poczucia winy. Zacerpnął powietrza, przystanął i zapatrzył się na dziwne drzewo o opadających gałęziach.

– Byłem nieszczęśliwy, zanim się pobraliście. Twoje pojawienie się sprawiło jedynie, że miałem na czym zogniskować gniew. Przepraszam. Byłem dla ciebie okropny.

– Byłeś tylko chłopcem, Godricu – powiedziała łagodnie. – Przebaczyłam ci dawno temu. Chciałabym tylko, abyś ty przebaczył sobie. Tęsknię za tobą, twoje siostry również.

Przełknął ślinę i w końcu spojrzał na swą rozmówczynię. Wokół oczu miała zmarszczki spowodowane martwieniem się – o niego. Miłością do niego. Nie rozumiał tego. Miała wszelkie prawo, by go nie znosić. Był dla niej okrutny od lat. Lecz skoro potrafiła zostawić przeszłość za nimi, powinien przynajmniej spróbować zrobić to samo.

Położył dłoń na jej dłoni, miękkiej i ciepłej, i uścisnął ją lekko, mając nadzieję, że macocha zrozumie bez słów to, czego nie był w stanie powiedzieć.

– Och, Godricu. – W jej oczach zalśniły łzy, uznał jednak, że są to dobre łzy. – Wspaniale jest mieć cię z powrotem.

Pochylił się, pocałował ją w policzek i powiedział cicho:

– Dziękuję, że czekałaś.

Gdzieś z tyłu dobiegły ich głosy pań, nadal sprzeczekających się o krokusy, łądyżki i zielone „coś”. Odwrócił się i zobaczył Jane oraz Charlotte. Szły tuż obok siebie, pomimo zażartej dyskusji, a za nimi ciotka Elvina, mówiąca coś do Sarah, która słuchała jej z uwagą, ale i lekkim uśmiechem na ustach. Na końcu zaś podążała Megs. Podniosła na niego wzrok. Wtedy zauważył, że policzki ma zaróżowione od wiatru i podekscytowania. Uśmiechnęła się, a wtedy coś pękło mu w piersi i zapłonęło, rozjaśniając i ogrzewając go od środka.

Poczynił w myślach postanowienie, by przyprowadzać Megs do ogrodów przynajmniej raz w tygodniu, ponieważ widział, że jest tu w swoim żywiole, a i on uważa to miejsce za cudowne. Zaczekał, aż siostry i ciotka go miną, i podał lewe ramię żonie. Spojrzała podejrzliwie, jakby obawiała się je urazić.

– Przejdź na tę stronę – mruknęła jego macocha, wymieniając z Megs to tajemnicze, kobiece spojrzenie, które zdawało się wiązać ze sobą wszelkie wydarzenia. – I tak chciałabym pospacerować chwilę z Sarah.

Megs ujęła męża pod prawe ramię, które zdążyło się już ładnie zagoić, i spojrzała na niego.

– Tak się cieszę, że porozmawiałeś wreszcie z macochą.

Uśmiechnęła się olśniewająco, a on zadumał się nad tym – nie po raz pierwszy zresztą – jak to możliwe, że kobiety wiedzą takie rzeczy bez pytania.

Usunął jednak te myśli z głowy i uśmiechnął się do swojej żony, ponieważ to

był naprawdę piękny dzień. Szli wolno, pozwalając się wyprzedzać, aż wreszcie zdawało im się, że są w ogrodzie sami.

Lecz każdy ogród ma swojego węża.

Podeszli do skrzyżowania z inną alejką, osłoniętego kępą drzew, na których liście zaczynały się już rozwijać. Godric widział w oddali zbliżającą się ku nim z wolną parę, ale dopiero kiedy znaleźli się z Megs na skrzyżowaniu, okazało się, że tamci spacerowicze to nikt inny jak lord i lady Kershaw.

Rozdział 19

Faith ziewnęła.

– Jestem taka zmęczona. Nie moglibyśmy chwilę odpocząć?

Hellequin zsiadł całkiem ochoczo z wielkiego czarnego wierzchowca i pomógł Faith. Położyła się w pyle Równiny Szaleństwa i owinęła ciasno peleryną Hellequina. Mimo to nadal drżała. Wyciągnęła więc dłoń i powiedziała do niego:

– Nie położyłbyś się ze mną?

Posłuchał i otoczył ją swym potężnym ciałem, a kiedy odpływała w sen, usłyszała, jak mówi:

– Nie spałem snem ludzi od tysięcy lat...

– z Legendy o Hellequinie

Megs zamarła. Lord Kershaw śmiał się z czegoś, wystawiając ku słońcu okrągłą twarz z otwartymi szeroko ustami i oczami przymrużonymi z rozbawienia. Poczula się tak, jakby wbito jej w serce nóż. Roger też kiedyś śmiał się tak nieskrępowanie.

I spacerował w słońcu.

– Jak śmiesz – syknęła cicho, bez zastanowienia. Nie byłaby w stanie milczeć i nadal oddychać. – Jak śmiesz?

– Megs – powiedział ostrzegawczo Godric. Ciało stężało mu tak, jakby szykował się do walki, lecz głos miał łagodny, niemal smutny.

Nie mogła na niego spojrzeć, nie teraz. Widziała jedynie zamierający śmiech lorda Kershawa i to, jak jego oczy zwężyły się, kiedy spoglądał na nią szacująco, przewiercając ją wzrokiem.

– Zabiłeś go – powiedziała, powodowana słusznym gniewem. – Zabiłeś Rogera Fraser-Burnsby’ego. Był twoim przyjacielem, a ty go zabiłeś.

Gdyby zaprzeczył oskarżeniu, zaczerwienił się, cofnął, wykrzykując, że musiała chyba oszaleć, może by się opamiętała. Odzyskała rozum i obwiniła wiosenne słońce – a może nadmiar wina albo po prostu swoją płeć – o to, że przyćmiło jej rozum.

Ale on tego nie zrobił.

Pochylił się do przodu, wykrzywił grube wargi w fałszywie słodkim uśmiechu i powiedział:

– Proszę to udowodnić.

I wtedy straciła nad sobą kontrolę. Nie była w stanie myśleć, czuła jedynie, iż palący żal zalewa jej żyły niczym kwas wpuszczony do krwi. Rzuciła się na niego z wyciągniętymi ramionami i rozcapierzonymi palcami i gdyby nie Godric, absolutnie by się skompromitowała. Objął Megs, podniósł i odszedł, dźwigając ją w ramionach, chociaż kopała i szarpała się, szlochając. Po chwili otoczyła ich rodzina. Dziewczyna dostrzegła szeroko otwarte oczy Sarah, nieme przerażenie na twarzy pani St. John. Wiedziała, że powinna czuć się zawstydzona, ale wypełniał ją wyłącznie smutek.

Dławiący, obezwładniający smutek.

Jazdę powrotną do domu odbyła z twarzą wtuloną w ramię Godrica, starając się wdychać jego znajomy zapach, pamiętać raczej o wszystkim, co miała, niż o tym, co utraciła.

Kiedy dotarli do Saint House, Godric wysiadł, a potem pomógł wsiąść jej – zupełnie jakby była kaleką. Zaprotestowała cicho, lecz nie posłuchał. Objął ją mocniej ramieniem i wprowadził do domu.

Usłyszała jeszcze, że pani Crumb zapytała o coś, kiedy mijali ją w holu, i z ulgą przyjęła to, że Sarah wzięła na siebie rozmowę z gospodynią. Godric nie zawahał się nawet przez sekundę. Nie wypuszczając Megs z objęć, wspiał się po schodach, otaczając ją prawym ramieniem. Dopiero gdy byli już na piętrze, przypomniała sobie o jego chorym nadgarstku.

Spojrzała na męża, zaniepokojona.

– Boże, Godricu, musiałam uszkodzić ci nadgarstek, kiedy szarpałam się z tobą w ogrodzie...

– Nie – mruknął, prowadząc ją do swojej sypialni. – Cicho bądź, to nic takiego.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam sprawić ci bólu.

Poczuła, że jej twarz płonie, a chwilę później zalała się gorącymi łzami. Nie przynosiły jednak ulgi – nic nie przyniesie jej ulgi, póki lord Kershaw będzie chodził po ziemi, nietykalny i zadowolony.

Musiała powiedzieć coś pomiędzy szlochami – a może Godric odgadł instynktownie, jak Megs się czuje.

Otoczył ją ramionami, wyjął jej delikatnie spinki z włosów, a kiedy zaczęła w końcu spokojniej oddychać, powiedział:

– Kershaw nie wymknie się sprawiedliwości, moja Meggie. Nie pozwolę na

to. Przysięgam na spokój mej duszy, że się z nim rozprawię. Przyrzekam, Meggie, przyrzekam.

Powtarzana po wielekroć obietnica złagodziła nieco ból. Dziewczyna oparła policzek na ramieniu męża, pozwalając, by ten robił, co uzna za stosowne. Gdy zaczął więc ją rozbierać, nie zaprotestowała. Zdjął jej suknię i rozsznurował gorset, a kiedy została jedynie w koszuli, położył ją delikatnie na łóżku i podszedł do komódki. Usłyszała plusk wody, a potem był już przy niej, przykładając chłodny ręcznik do jej rozpalonych, spuchniętych od płaczu policzków.

Było to jak błogosławieństwo, gest bezwarunkowego wybaczenia, wyszeptała więc bez namysłu:

– Kochałam go.

– Wiem – mruknął w odpowiedzi. – Wiem.

Zamknęła oczy, przyciskając palce do brzucha – płaskiego, ponieważ leżała na wznak. Nic nie wskazywało na razie, że może być w ciąży, wierzyła jednak, że tak właśnie jest.

– Nie mogę zaczynać od nowa – wyszeptała. – Nie dopóki Roger nie został pomszczony. Nie mogę mieć tego dziecka, dopóki do tego nie doprowadzę, ani nie mogę wyjechać z Londynu.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Godric wpatruje się, zaskoczony, w jej spoczywające na brzuchu dłonie. Uniósł powoli wzrok i utkwiał palące spojrzenie w jej twarzy, nie była jednak w stanie odczytać, o czym myśli.

Nie zamierzała powiedzieć mu o dziecku w ten sposób, ale nie panowała widać nad umysłem.

– Nie mogę wyjechać z Londynu – powtórzyła.

– Rzeczywiście – zgodził się z nią. – Nie teraz. Jeszcze nie.

Wstał i podszedł do komody, a ona zamknęła oczy, czując, że odpływa w sen.

Po chwili łóżko ugięło się jednak i znowu poczuła na czole dotyk chłodnej tkaniny. Zamruczała z przyjemności.

– Śpij – powiedział i wyczuła w jego głosie, że chce ją opuścić.

Otworzyła czym prędzej oczy.

– Zostań ze mną.

Odwrócił wzrok i zacisnął szczęki.

– Muszę załatwić pewną sprawę.

Jaką znów sprawę, pomyślała, lecz powiedziała tylko:

– Proszę.

Nie odpowiedział, zrzucił tylko buty, zdjął surdut, a potem perukę i zostawił

ją na komodzie. Położył się obok Megs i objął ją ciasno ramionami.

Leżała, przysypiając, wsłuchana w jego głęboki oddech. Nie złażał jej za wybuch w ogrodach. Każdy inny wstydziłby się za nią – a już na pewno nie pochwalił jej zachowania. Godric tymczasem traktował ją łagodnie, nawet gdy próbowała mu się wyrwać. Nie zasłużyła na kogoś tak cierpliwego, tak dobrego. Przewróciła się na bok i spojrzała na jego profil. Oczy miał zamknięte, wiedziała jednak, że nie śpi. O czym myślał? Co planował? Może nie miało to teraz znaczenia. Zgodził się z nią, że nie powinna na razie wyjeżdżać z Londynu, i była mu za to wdzięczna. Chciała zostać – dla Rogera, lecz co ważniejsze, dla Godrica.

Godric.

Jego nos, widziany z profilu, wydawał się prosty i dosyć elegancki. Wiedziała, że to niemądre, myśleć w ten sposób o męskim nosie, ale to jej nie powstrzymało. Nozdrza miał wąskie i wyraziście zarysowane, usta, jak zawsze, pięknie wykrojone, jaśniejsze nieco od otaczającej je skóry i niemal łagodne w wyrazie. Uniosła dłoń i ich dotknęła. Leciutko, przesuwając palcami wzdłuż krawędzi dzielącej gładką wargę od nieco szorstkiej skóry poniżej.

– Megs – wyszeptał.

Jego głos też od początku ją oczarował. Cokolwiek chrapliwy i niski, brzmiał, jakby jego posiadacz spędził dzień, pokrzykując gniewnie.

Tylko że on nie był skory do gniewu, nie naprawdę, a już z pewnością nie przy niej.

Przewrócił się na bok, by móc patrzeć jej w oczy.

– Powinnaś się przespać, Meggie, kochanie.

– Nie jestem śpiąca.

Przyglądał się jej czujnie znużonymi szarymi oczami, starając się odgadnąć, czego by sobie życzyła. Zasmuciło ją to, ile ten silny, dobry mężczyzna był w stanie dla niej zrobić, i nieco zaniepokoiło.

Przytknęła usta do jego warg i wyszeptała:

– Kochaj się ze mną, proszę.

A on posłuchał, jak w przypadku każdego innego życzenia, które wyraziła.

Wsunął długie, smukłe palce w jej włosy i objął nimi tył głowy Megs, sprawiając, że poczuła się kochana.

Wsunął jej do ust język, delikatnie przesuwał nim po zębach Megs i jej podniebieniu. Pochwyciła go i zaczęła ssać, przyciskając dłoń do piersi swego kochanka, by poczuć jej ciepło, mocne uderzenia jego serca. Otworzył szerzej usta i zaczął pieścić koniuszkiem języka kącik jej warg. Przesunął wargi na

skroń Megs, by delikatnie ją pocałować.

– Godricu – wyszeptała urywanie.

Wiedziała, że coś planuje – coś, co dotyczyło się lorda Kershawa. Pomyślała, że powinna dowiedzieć się, co to takiego, sprawić, by wyznał jej swoje sekrety.

A potem podwinął skraj jej koszuli aż na biodra i zapomniała o wszystkim. Pocałował Megs w usta, po czym przerzucił jej nogę przez swoje udo, otwierając ją. Znowu opuścił dłoń i poczuła, jak gładzi ją tam w dole.

Powieki jej opadły, a dłoń uniosła się bezwiednie. Megs przyciągnęła go bliżej, by móc go całować, podczas gdy on muskał knykciami jej łechtaczkę. Nacisnął lekko, lecz kiedy wygięła ku niemu biodra, cofnął dłoń. Jęknęła w proteście, usłyszała jego przyspieszony oddech i poczuła na udzie dotyk nagiego członka.

Otworzyła oczy i spojrzała na Godrica.

– Przysuń się bliżej – wyszeptał.

Posłuchała i przylgnęła biodrami do jego bioder.

Naparł członkiem na zwieńczenie jej ud i wsunął się w nią powoli, moszcząc się w jej ciele. Brwi miał lekko ściągnięte, kąciki ust opuszczone, a w jego ciemnych oczach było coś... jakiś rodzaj smutku. Pochyliła się więc, by znowu go pocałować.

A potem był już głęboko w niej. Kołysał się, łagodnie, a zarazem nieustępliwie. Objęła nogą jego nadal odziane pośladki, kołysząc się z nim, gdy poruszali się razem, niby tocząca się fala.

Westchnął cicho z ustami tuż przy jej ustach, a wtedy ugryzła go lekko w wargę, pogrążona w słodkiej przyjemności.

Łzy stanęły mu w oczach.

Odsunęła się i znieruchomiła, zaskoczona. Lecz on zamrugął tylko i podciągnął jej nogę wyżej, naciskając kciukiem punkt tuż ponad miejscem, gdzie byli złączeni. Znowu zapomniała o wszystkim, przywierając do niego, pragnąc, aby ta chwila, te leniwe ruchy, nigdy się nie skończyły.

Godric podciągnął się wyżej i Megs jęknęła. Z każdym dręcząco powolnym pchnięciem przesuwiał się po tym najwrażliwszym miejscu jej ciała, rozpalając ją.

Pocałował ją znowu, namiętnie i niemal łapczywie, nie przyspieszając jednak ruchu bioder, i znane jej już szalone uczucie zaczęło narastać wciąż szybciej i szybciej. Pojękiwała cicho, wydając dźwięki, których nie była w stanie kontrolować. Położył jej dłoń na ustach, wsuwając kciuk pomiędzy wargi. Polizła go, a wtedy mężczyzna naparł na nią jeszcze mocniej.

Przywarła do niego, będąc już tak blisko, niemal tam, gdzie chciała się znaleźć. Jego dłoń gładziła ją, naciskając nieprzerwanie, i nagle iskierki wybuchły Megs przed oczami i zamieniły się w płomienie. Krzyknęła, wyginając szyję, niemal przerywając pocałunek, lecz on podążył za nią, pożerając łączywie jej usta.

Pchnął po raz ostatni i poczuła, jak łono zalewa jej ciepłe nasienie.

Było coś... coś, czego chciała koniecznie się dowiedzieć. Zapytać go... Jej członki były jednak miękkie i rozleniwione, nie mogła się poruszyć, nie była w stanie myśleć.

Poczuła, jak Godric muska wargami jej czoło i szepcze dwa słowa, lecz była już tak bliska zapadnięcia w sen, że być może tylko jej się to przyśniło.

* * *

Godric zczekał, aż oddech Megs wyrówna się i pogłębi, a potem posiedział u jej boku jeszcze chwilę, choć wiedział, że nie powinien. To była jego słabość, pięta achillesowa, jedyna osoba, której udało się sięgnąć w głąb jego serca, pochwycić je i ścisnąć, póki nie zaczęło znów bić.

Przywracając go do życia.

Zanim się wreszcie ruszył, było już prawie ciemno, co miało swoje zalety, ponieważ mrok był jego żywiołem. Niemal się roześmiał. Godric St. John: Władca Mroku. Spojrzał na Megs, wysuwając się z łóżka. Dlaczego taka istota, stworzona z miłości i światła, miałyby pojawić się w jego życiu i zostać? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale i tak był wdzięczny.

Bardzo wdzięczny.

Chciał ją pocałować, wyryć sobie w umyśle obraz jej piękna i zabrać go tam, dokąd zaprowadzi go tej nocy przeznaczenie, ale bał się, że ją obudzi.

W końcu wyszedł po cichu z sypialni, nie dotykając Megs.

Przywołał Mouldera i przebrał się szybko w kostium Ducha, odpowiadając zwięźle na pytania kamerdynera. Wziął szpadę i kordelas, gdyż podejrzewał, że będzie potrzebował wszelkiej dostępnej broni. A potem wymknął się z domu i zniknął w przyjaznej ciemności.

Noc była chłodna, lecz nieprzesadnie, a delikatny wietrzyk niósł z sobą obietnicę wiosny. Księżyc zakrywały od czasu do czasu uwodzicielsko przejrzyste pasma chmur. Rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł, by ktoś czaił się w okolicy. Może kapitan Trevillion też postanowił się w końcu przespać.

Ruszył na wschód, ku modnym dzielnicom Londynu, gdzie arystokracja

budowała teraz swoje rezydencje.

W kierunku domu lorda Kershawa.

Przyrzekł coś Megs i zamierzał dotrzymać obietnicy. Gdyby miał więcej czasu, poświęciłby go na rozpracowanie wroga, odnalezienie jego słabych punktów, wykorzystanie ich i rozprawienie się z łajdakiem w bardziej subtelny sposób. Lecz scena w ogrodach sprawiła, że wcześniejszy plan Godrica wziął w łeb. Kershaw stanowił teraz zagrożenie dla Megs. Uwagi Godrica nie uszło bowiem, z jaką nienawiścią lord wpatrywał się w jego żonę, gdy ta się na niego rzuciła. Wiedział również, że Megs nie zgodzi się zadbać o swoje bezpieczeństwo: siedzieć cicho albo wyjechać. Tymczasem ktoś taki jak Kershaw z pewnością postara się wyeliminować potencjalne zagrożenie. Fraser-Burnsby był tu najlepszym przykładem.

Godric wzdrygnął się i zatrzymał na rogu, przywarłszy do ceglanej ściany sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Na myśl o tym, że Megs miałyby grozić niebezpieczeństwo, a Kershaw mógłby znaleźć sposób, żeby ją skrzywdzić, robiło mu się czerwono przed oczami. Nie mógł pozwolić – i nie pozwoli – żyć człowiekowi zagrażającemu Megs i ich dziecku.

Ta myśl – o dziecku – sprawiła, że nieco się uspokoił. Świadomość, że Megs nosi pod sercem ich potomka, była dziwna, ale nie nieprzyjemna. Podobnie jak ta, że pewnego dnia przytuli do piersi maleństwo, które będzie stanowić jego część.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie mógł się doczekać jutra, pojutrze, następnego roku i jeszcze następnego. Dopuszczał bowiem możliwość, że przy boku Megs czeka na niego nowe życie. A skoro tak, dziś w nocy powinien wytropić wroga i z zimną krwią go zabić. Narazi w ten sposób swoją duszę, ale Megs była tego warta.

Dla swojej Meggie przeszedłby przez ogień piekielny.

Dotarcie do domu Kershawa zajęło mu pół godziny. Budynek stał przy modnym placu, otoczony eleganckimi i zadbanymi rezydencjami z białego kamienia. Księżyc zaczął już znikać, chowając się wstydliwie za welonem chmur. Godric zbliżył się ostrożnie do rezydencji, prześlizgując się od cienia do cienia i wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

Ku jego zaskoczeniu frontowe drzwi domu nagle się otwały.

Zamarł, ukryty częściowo w cieniu schodów po przeciwnej stronie ulicy. Po chwili na progu pojawił się Kershaw. Stał tam, rozglądając się niecierpliwie, i Godric poczuł, że dłonie same zaciskają mu się w pięści. Po chwili zza rogu wytoczył się powóz. Kershaw wsiadł, a Godric zmarszczył brwi, zastanawiając

się, jak powinien postąpić. W końcu uznał, że bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, musi zabić Kershaw, i to szybko, zanim ten zdąży skrzywdzić Megs.

Uznał, że najlepiej zrobi, podążając dyskretnie za powozem. Uliczki Londynu, ciasne i często zatłoczone, utrudniałyby śledzenie, wspiął się zatem, nie bacząc na bolący nadgarstek, na dach i dalej poruszał się ponad ulicą. Mimo to zgubił powóz aż dwa razy i musiał zsuwać się po śliskich dachówkach, klnąc pod nosem, żeby znowu go zlokalizować. Biegając, zastanawiał się, dokąd też Kershaw może zmierzać. Na bal lub do teatru? Jeśli tak, będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i na niego poczekać. Z drugiej strony, podczas imprez tego rodzaju powozy tłoczyły się często przed wejściem i być może udałoby mu się dopaść wroga niepostrzeżenie w tłumie. To nie miał być pojedynek przeprowadzony zgodnie z zasadami.

Jeśli zajdzie potrzeba, Godric gotów był dźgnąć Kershaw w plecy.

Lecz szybko stało się jasne, że powóz zmierza do St. Giles, to zaś oznaczało, że lord nie wybiera się na towarzyskie spotkanie. Czyżby rozglądał się za nową lokalizacją dla swej fabryczki? Godric potrząsnął głową. Łotr musi mieć nie lada tupet, jeśli sądzi, że uda mu się otworzyć w St. Giles kolejny warsztat.

Po dwudziestu minutach powóz zatrzymał się przed nędznym budynkiem, pochylonym i opierającym się na sąsiedniej budowli, znajdującej się zresztą w podobnym stanie. Godric nie dostrzegł żadnego szyldu, ale nad niskim wejściem zawieszono latarnię, tak jakby Kershaw był tu oczekiwany. Duch St. Giles zsunął się ostrożnie na chodnik i zatrzymał w cieniu niskiego murku. Z domu wyłoniła się kobieta, wysoka i chuda. Odwróciła się, a kiedy światło latarni padło na jej twarz, zobaczył, że był to ten sam kocmołuch, któremu udało się uciec z poprzedniej fabryczki.

Stała, wzięwszy się pod boki, i przemawiała do Kershawa, nadal siedzącego w powozie. Odpowiedział, a wtedy wyrzuciła w górę ramiona i odwróciła się, rozgniewana. Drzwiczki powozu otwarły się gwałtownie. Kershaw wysiadł i wymierzył kobiecie policzek tak mocny, że niemal się przewróciła. Ustała jednak jakoś na nogach i wróciła do sutereny.

Dwaj lokaje, jadący z tyłu powozu, także wysiedli i ustawili się po obu stronach chlebowadcy. Kershaw zapewnił więc sobie ochronę. Sobie – a może komuś jeszcze?

Drzwi rudery otworzyły się i kocmołuch wyłonił się ponownie, ciągnąc za sobą dwie dziewczynki. Ale to nie przed nimi mieli bronić Kershawa lokaje. Za babsztyłem z wnętrza sklepika wyłonił się trzeci łotr, popychając przed sobą kogoś mniejszego. Dzieciak był szczupły i próbował zachować wojowniczą

postawę, lecz twarz miał posiniaczoną, a głowę gołą. Najwyraźniej Alf zgubiła gdzieś swój kapelusz.

Do licha, więc ją dopadli!

Gdyby zaczekał, aż wsiądną, mógłby ich później zgubić, a wtedy kto wie, jaki los czekałby całą trójkę. Alf powiedziała, że porywacze chcą ją zabić, i prawdę mówiąc, zdziwił się, widząc ją nadal przy życiu. Powinni byli natychmiast pozbyć się zdrajczyń.

Mogli to jednak zrobić w każdej chwili i nagle nie miał już wyboru.

Rzucił się ku nim przez ulicę. Lokaj, stojący najbliżej, nadal był odwrócony do niego plecami i jedno dźgnięcie kordelasem pod żebra wystarczyło, żeby go wyeliminować, chociaż nadgarstek Godrica przeszył ból.

– Ty! – Podniósł wzrok i zobaczył Kershaw. Lord wpatrywał się w niego z twarzą zaczerwienioną z wściekłości. – Zabić go!

Nie czekał, aż podwładni wykonają rozkaz, ale wyciągnął z pochwy szpadę i odparował pierwszy cios. Godric wyminął go, obracając się tak, by nie stanąć plecami do reszty zbójckiego towarzystwa.

Gdzieś z dala dobiegł ich stukot końskich kopyt.

St. John skupił się na zadaniu. Poczł drzenie, sięgające od nadgarstka do barku, gdy skoczył ku przeciwnikowi z takim impetem, że Kershaw się przewrócił. Dźgnął pospiesznie, celując w okolice żołądka, a potem w głowę i nie dając przeciwnikowi czasu, by mógł zadać własny cios. Kershaw miał szeroko otwarte oczy, a wargi wilgotne. Dysząc, zamarkował cios z lewej, a potem kopnął Godrica z boku w kolano. Ten wyczuł jednak w ostatniej chwili jego zamiary, przyjął cios na udo i dzięki temu się nie przewrócił. Kershaw spodziewał się, że Godric będzie już powalony, dlatego wycelował za nisko. Z wyciągniętym przed siebie ramieniem był niemal bezbronny. Godric, stojący teraz z boku, wyjął kordelas i dźgnął nim Kershaw, celując w miękkie ciało pod prawym ramieniem.

Kershaw zamarł z szeroko otwartymi oczami.

Rozległ się strzał.

Godric obejrzał się przez ramię i spojrział wprost w lodowato błękitne oczy kapitana Trevilliona. Byli otoczeni przez dragonów na koniach, celujących z pistoletów w jego głowę.

– Stać!

* * *

Megs obudziła się w ciemności z mocno bijącym sercem i ściśniętym gardłem. Wiedziała od razu, że dzieje się coś złego. Resztki koszmaru nadal przewijały się jej przed oczami: przerażająca wizja Godrica, zanurzonego po pas w czarnej, oleistej mazi i wciągane go z wolna w głąb, podczas gdy ona przyglądała się temu beczynn timer. Stała, nic nie robiąc, kiedy usta i nozdrza jej męża zakrywała powoli czarna niczym obsydian masa, a oczy wpatrywały się w nią ze stoickim spokojem, gdy tonął.

O Boże! Usiadła na szerokim łóżku, rozglądając się gorączkowo, chociaż wiedziała już, że Godrica tam nie ma. Ale gdzie był? Musiała go znaleźć, położyć mu dłonie na piersi i poczuć, że jego serce nadal bije, że jest cały i zdrow. Wstała, narzuciła pospiesznie szlafrok i zapaliła świecę od żarzących się w kominku węgli.

Zajrzała najpierw do swojej sypialni, a potem do biblioteki na dole. Może obudził się w nocy i nie mógł zasnąć? A teraz drzemał w fotelu przed kominkiem, z tą śmieszną szlafmycą na kochanej, kochanej głowie? Załkała i uświadomiła sobie, że biegnie, bliska paniki.

W bibliotece też go nie było.

Oparła się bezwładnie o drzwi, przyciskając grzbiet dłoni do ust, aby uciszyć szloch.

Nie ma go. Nie ma. Nie ma.

Zajrzała do gabinetu, ponieważ nadzieja umiera ostatnia, poza tym musiała upewnić się w kwestii tego, co już i tak wiedziała.

W gabinecie panowała cisza, drzwi do schowka stały otworem. Spostrzegła, że kostium Ducha zniknął, i nie miała wątpliwości. Wiedziała, co zrobiła, jak straszny popełniła błąd. Przycisnęła mocniej dłoń do ust, by zdusić okrzyk rozpacz i przerażenia.

Poświęciła żyjącego mężczyznę, by pomścić martwego.

Rozdział 20

Kiedy Faith otworzyła oczy następnego ranka, zobaczyła Hellequina, trzymającego w dłoniach worek ze skóry kruka. Wyjął z worka duszę jej ukochanego i rozwinął ją z pajęczyny. Uniosła się natychmiast i popłynęła ku górze, wolna i połyskująca. Faith spoglądała w ślad za nią, póki dusza nie rozplynęła się w błękicie. A potem spojrzała błyszczącymi oczami na Hellequina.

– Czy dusza mojego ukochanego dostanie się teraz do nieba?

– Tak – odparł.

– A co stanie się z tobą?

Jednak Hellequin potrząsnął tylko głową i dosiadł wielkiego czarnego konia...

– z Legendy o Hellequinie

Godric czuł, że jego pierś unosi się i opada. Rozpaczliwie próbował zaczerpnąć powietrza. Lewe ramię mocno go bolało, a dłoń drżała nieco, kiedy wymierzał Kershawowi cios. Wpatrywał się w Trevilliona i miał ochotę syczeć. Pluć i wyć. Było mu widać pisane, że zostanie tej nocy ujęty, ale zabierze Kershawę ze sobą. Coś zabłysło w spojrzeniu Trevilliona – być może przecucie – gdy mięśnie Godrica stężały, przygotowując się do przebicia końcem szpady skóry i mięśni, ścięgien i kości.

– Neeee! – To był głos Alf, ochrypliwy i głośny. Dziewczyna wyrwała się zaskoczonemu rzezimieszkowi i podbiegła do Godrica. – Nie możecie zabrać Ducha, wy przeklęte pachołki! Ten łajdak porywa małe dziewczynki. Jeśli wy...

Zamilkła, gdyż Kershaw wykorzystał powstałe zamieszanie. Chwycił Alf za włosy, odchylił jej głowę do tyłu, odsłaniając bladą, chudą szyję, i przyłożył do niej ostrze szpady. Godric skoczył i zanurzył w jego ciele kordelas aż po rękajeść.

Kershaw zarzęził.

Alf wydała z siebie kolejny okrzyk, wysoki i kobiecy.

Godric przekręcił ostrze, wpatrując się w mętne oczy łajdaka, aż pociemniały, a on wypuścił z rąk szpadę. Wyszarpnął kordelas i ciało Kershawy runęło na

chodnik niczym worek kartofli.

– Wstrzymać ogień! – wykrzyknął Trevillion. – Wstrzymajcie ten cholerny ogień!

Na chwilę wszyscy zamarli i słychać było jedynie nerwowe stąpanie koni i cichy płacz dwóch dziewczynek.

Łotr, pilnujący wcześniej wejścia, odwrócił się i zaczął uciekać.

Trevillion skinął głową i natychmiast jeden z konnych ruszył w ślad za uciekinierem.

– Aresztujcie ich wszystkich – warknął Trevillion, zsiadając z konia – poza Duchem. On jest mój.

Wyciągnął szpadę.

Godric cofnął się o krok. Nie odczuwał szczególnej potrzeby, by zabić kapitana – żołnierz wykonywał w końcu jedynie swój obowiązek.

Kapitan zgromił spojrzeniem dragonów na koniach, stojących za Godrikiem.

– Nie słyzałeś, Stockard? Powiedziałem, że Duch jest mój!

Żołnierze zjechali na bok, pozostawiając Godricowi i Trevillionowi przestrzeń do walki. Godric zacisnął na rękojeści szpady mokre od potu palce. Powietrze dookoła ciężkie było od zapachu krwi, koni i naturalnych wyziewów St. Giles.

Trevillion przesunął się powoli do przodu, zmuszając Godrica, aby się cofnął. Natarł, zadziwiając niezręcznie jednak. Może nie ćwiczył zbyt często ze szpadą. Dźgnął ponownie, lecz Godric z łatwością odparował cios, zastanawiając się gorączkowo, co też przeciwnik zamierza. Czyżby chciał przyprzeć go do muru? Lecz przestrzeń za nim była przecież otwarta.

Trevillion natarł znowu, tym razem bardziej skutecznie, nadal spychając Godrica, który wcale nie chciał tej walki, w tył.

Stalowe ostrza zwarły się ze sobą, mężczyźni stanęli oko w oko. Pot spływał Godricowi z wysiłku po plecach, gdy nagle Trevillion przewrócił oczami i przysunął się bliżej.

– Uciekaj, kretynie!

Godric uświadomił sobie, że oddalili się o kilka jardów od pozostałych dragonów i znaleźli blisko skrzyżowania, od którego odchodził mroczny zaułek.

Trevillion zaatakował znowu, Godric odwrócił się więc i uciekł, spodziewając się dostać w każdej chwili kulę w plecy albo usłyszeć tętent końskich kopyt.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Kątem oka zauważył, że Alf podbiegła do ściany zrujnowanej kamienicy i wspięła się po niej niczym małpka, podczas gdy dragoni pokrzykiwali bezradnie z chodnika.

Biegł, jak tylko był w stanie najszybciej, wsłuchując się w tupot własnych

stóp na bruku. Biegł, krew szumiała mu w żyłach, a płuca zdawały się pękać. Biegł, póki w polu widzenia nie pojawił się Przytułek dla Sierot i Podrzutków, a trochę dalej, na końcu uliczki, znajomy powóz i otulona peleryną kobieca postać na stopniach.

Zatrzymał się z dłońmi wspartymi na kolanach, dysząc ciężko, i utkwiał wzrok w kobiecie, czekając, aż ta się odwróci.

Kaptur aksamitnej peleryny miała odrzucony, błyszczące, ciemne loki opadały jej na ramiona. Stała wyprostowana, z determinacją w oczach, trzymając w prawej dłoni pistolet.

Godric westchnął z podziwu i także się wyprostował.

Megs zadarła brodę.

– Nie ma potrzeby mi dziękować.

Zamrugął.

– Co takiego?

Machnęła dłonią.

– Przyprowadziłam powóz. – Twarz miała opanowaną, widział jednak, iż wargi jej drżą. – Wierz lub nie – powiedziała cicho – ale często widuje się w tych stronach Ducha. Ostatnio nawet zaczepili go tu dragoni.

Serce Godrica zwolniło bieg, gdy przestał uciekać, lecz przyspieszyło znowu, gdy zorientował się, o czym mówi Megs. Przybyła mu na ratunek, jego dzielna Meggie. Nikt nie zrobił dotąd dla niego czegoś takiego.

Uświadomił sobie nagle, że jego spocone ciało stygnie, poczuł zapach mokrego bruku i to, że może swobodnie oddychać.

Lecz przede wszystkim świadomy był obecności kobiety, tej kobiety, jego kobiety, stojącej tak dumnie, czekającej cierpliwie na niego, tylko na niego.

Ruszył ku niej i wiedział każdą cząsteczką swej duszy, że zmierza ku życiu w samej jego istocie.

* * *

Spojrzenie Megs zamglilo się, gdy Godric, kochany, dzielny, nierozważny Godric ruszył ku niej z drugiego końca nędznej uliczki. Zachowała opanowanie i zimną krew, kiedy budziła służących, wyjmowała pistolet, a potem czekała, aż stajenny zaprzęgnie konie. Posłała też po doktora i wydała pospieszne polecenia pani Crumb, Moulderowi i pani St. John, a potem jechała z szaleńczą prędkością powozem, zamartwiając się, że wyruszyła za późno. Była rzeczowa, stanowcza i w pełni skupiona, lecz teraz znalazła go i przekonała się, że żyje.

Tylko to miało znaczenie.

Nie wiedziała, jak wsiedli do powozu, ponieważ zaczęła drżeć, a potem po prostu się rozpłakała. Grube, ciężkie łzy spływały jej po policzkach, a wraz z nimi spływały strach i ból ostatnich kilku godzin. Otoczył ją ramionami, a wtedy przywarła do niego, ponieważ nie było mowy, by mogła kiedykolwiek wypuścić go z objęć.

Po chwili uspokoiła się na tyle, by usłyszeć, jak Godric mamrocze, gdy powóz przemierzał puste o tej porze ulice Londynu:

– Ciii, moja Meggie, już dobrze.

Lecz jego słowa przywołały jedynie kolejną falę smutku. Wbiła mężowi palce w ramiona, chociaż wiedziała, że sprawia mu ból. Nie była jednak w stanie go puścić.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie jest dobrze. Wyszedłeś, i to bez słowa.

Poczuła, że obejmuje dłońią jej policzek, jakby chciał skłonić ją, aby na niego spojrzała. Nie poruszyła się jednak.

– Co jest, Meggie? Dlaczego jesteś tak wytrącona z równowagi?

– Ponieważ znalazłam cię przebranego za Ducha. Poszedłeś rozprawić się z lordem Kershawem, prawda?

– Tak – odpowiedział i Megs, nawet nie patrząc na niego, wyczuła, że się zawahał.

– Jak mogłeś, Godricu? – Zacisnęła w pięść lewą dłoń na jego karku. – A gdybyś go znalazł? I nigdy nie wrócił? Nie zniosłabym, gdybyś...

– Znalazłem go – przerwał jej na wpół histeryczne wywody. – On nie żyje, Megs.

Odsunęła się, spojrzała na niego przerażona i jęknęła:

– O, nie!

Ściągnął brwi, skonfundowany. Otworzył usta, zamknął je, a potem otworzył znowu, aby na koniec zapytać:

– Myślałem, że chcesz, by zginął za to, co zrobił Rogerowi Fraser-Burnsby'emu?

– Nie za cenę twoich ran albo śmierci! – Niemal to wykrzyknęła.

Zamrugła.

– Przepraszam... co?

– Nie myślałam wcześniej jasno. Powinnam była powiedzieć ci, że znaczysz dla mnie więcej niż zemsta. Powinnam była wyjaśnić, że to już nie ma znaczenia – nie byłaby to może do końca prawda, lecz lepsze to niżli ryzyko, że mogłes zginąć. Gdybyś dziś zginął, nigdy, przenigdy bym ci nie wybaczyła i...

Przerwała, ponieważ Godric wydawał się jeszcze bardziej otumaniony. Najwidoczniej nie wyraziła się dostatecznie jasno.

Wsunęła mu więc dłonie we włosy i przyciągnęła ku sobie jego głowę.

Ach, nareszcie. Ucisk w piersi Megs zelżał nieco, kiedy dotknęła ustami jego warg. Może i nie rozumiał, co chciała mu powiedzieć, ale zareagował entuzjastycznie na pocałunek, otwierając szerzej jej usta i wsuwając w nie język. Zamruczała z zadowoleniem, głaszcząc go po przyciętych krótko włosach, pieścąc skraj ucha. Zadrżał leciutko i pomyślała leniwie, że może jest w tym miejscu wyjątkowo wrażliwy. A skoro tak...

Odsunął się i spojrzał na nią w półmroku powozu.

– Megs?

A, tak. Nadal mu nie powiedziała. Ale to jego wina, tak cudownie się go całowało.

– Kocham cię – zaczęła, powoli i wyraźnie, aby nie było wątpliwości. – Kocham cię głęboko i bez zastrzeżeń. Kocham twoje dłonie i to, jak uśmiechasz się kątem ust – o ile w ogóle się uśmiechasz – a także to, jak poważny wyraz mają twoje oczy. Kocham to, że pozwoliłeś mi najechać swój dom z niemal całą moją rodziną – a także twoją – i nie mrugnąłeś nawet okiem. Kochałeś się ze mną, gdy o to poprosiłam, z czystej uprzejmości, a potem rozgniewałeś się na mnie i zmusiłeś, bym kochała się z tobą. Kocham to, że pozwoliłeś Księżniczce zrobić legowisko dla szczeniąt ze swoich koszul. I to, że latami broniłeś ludzi w St. Giles – choć bardzo chcę, byś przestał to robić. Natychmiast. Kocham to, że zabiłeś dla mnie człowieka, choć nadal jestem o to na ciebie wściekła. A także to, że zachowałeś moje listy, zanim się jeszcze poznaliśmy, i kocham twe krótkie, przesadnie rzeczowe odpowiedzi.

Spojrzała na niego poważnie.

– Kocham cię, Godricu St. John, i zamierzam złamać dane ci słowo. Nie wyjadę i nie opuszczę cię. Możesz pojechać ze mną do Laurelwood albo zostanie w tym zakurzonym, starym domiszczu i będę doprowadzała cię do szału moją paplaniną, krewnymi i... wyrafinowanymi pozycjami seksualnymi, póki nie złamiesz się i także mnie nie pokochasz, ponieważ ostrzegam, że się nie poddam, póki to nie nastąpi i nie staniemy się szczęśliwą rodziną z tuzinem dzieci.

Zamilkła na chwilę, gdyż zabrakło jej tchu, i spojrzała na niego.

Miał nieodgadzioną minę i przygotowała się już na bitwę, kiedy uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem i powiedział:

– Wyrafinowane pozycje seksualne?

I wtedy wiedziała już, że wszystko będzie dobrze – lepiej niż dobrze. Będzie po prostu cudownie.

Mimo to słuchała uważnie, gdy mówił:

– Choć miałbym wielką ochotę pozwolić ci, byś przekonała mnie do pokochania cię za pomocą wyrafinowanych pozycji seksualnych, nie potrzebujesz tego robić. Pokochałem cię, Maggie, już kiedy przysłałaś mi swój drugi list.

Mógłby powiedzieć więcej, ale przerwała mu kolejnym pocałunkiem.

Po dłuższej chwili odsunęła się, zrobiła najbardziej stanowczą minę, jaką tylko była w stanie zrobić, i powiedziała:

– Koniec z Duchem.

– Koniec – odparł zgodnie, zdejmując jej z ramion pelerynę. Przycisnął usta do jej nagiego ramienia i Megs zadrżała.

– Muszę coś ci wyznać – szepnął jej do ucha.

Ledwie była w stanie otworzyć oczy.

– Tak?

– Nie zgodziłem się sypiać z tobą li tylko z czystej uprzejmości – powiedział, spoglądając na Megs śmiejącymi się pociemniałymi oczami.

Pochylił się ku niej znowu, a potem nie było już czasu na rozmowę, i bardzo dobrze.

Mieli bowiem do roboty coś znacznie przyjemniejszego.

Cztery tygodnie później...

Godric przyglądał się, jak mały ptaszek o pomarańczowej piersi skacze wzdłuż gałązki i znika w dziupli jabłonki. Mieszkał w Saint House tyle lat i nie widział tu nigdy rudzika... Lecz było to, zanim przybyła tu Megs i z nim została.

– Mówiłam ci, że ta jabłonka nie uschła.

Odwrócił się na dźwięk jej głosu. Szła ku niemu zwirową alejką, ubrana w poranną suknię z jasnoróżowego i zielonego jedwabiu, wyglądając w każdym calu jak uosobienie wiosny.

– Lepiej się czujesz?

Godzinę wcześniej usiadła do śniadania, wzięła do rąk kawałek tostu, a potem upuściła go i wypadła pospiesznie z pokoju. Poszedł za nią, aby zobaczyć, o co chodzi, i znalazł ją pochyloną nad nocnikiem.

Zmarszczyła nos.

– Nie mogę uwierzyć, że zostałeś i pomagałeś mi, gdy tak paskudnie się

pochorowałam. Nigdy w życiu nie byłam tak zażenowana.

– Kocham cię, chorą czy nie. – Uniósł brwi, przyglądając się jej bacznie. Policzki miała jednak znów zdrowo zaróżowione. – Lepiej ci?

– To najdziwniejsze ze wszystkiego – odparła, podchodząc i wsuwając mu dłoń pod ramię. Zapach kwiatu pomarańczy dobiegł nozdrzy Godrica, ciepły i znajomy. – Jestem tak głodna, że mogłabym zjeść całą zapiekankę z rybą... i może kilka bułeczek z dżemem agrestowym. Czy nie byłoby wspaniale?

– Byłoby – zgodził się z nią, chociaż uważał, że kombinacja ryby i dżemu agrestowego wydaje się cokolwiek... dziwaczna. – Powiedziałaś kucharzowi?

Spojrzała na niego w sposób, który nazywał po cichu „żoninym” i raczej go lubił.

– Godricu, nie możemy prosić kucharza, aby przygotował zapiekankę z rybą i ruszył na poszukiwanie dżemu agrestowego, ponieważ akurat mam taki kaprys...

– Dlaczego nie? – spytał. – Przecież mu płacę. Skoro masz ochotę na zapiekankę rybną, powinnaś ją dostać. I dżem agrestowy.

– Głuptas. – Potrząsnęła głową i znów zapatrzyła się na jabłonkę. – Nie uschła. Ani trochę.

Uśmiechnął się, ponieważ pokazywała mu tę jabłonkę za każdym razem, gdy wychodzili do ogrodu – czyli przynajmniej raz dziennie, a częściej dwa – jako przykład swoich zdolności ogrodniczych.

I rzeczywiście, trzeba przyznać, że widok był dość spektakularny.

Martwe, zdawałoby się, drzewo okryło się bowiem chmurą jasnoróżowych pachnących kwiatów, przyciągających wzrok każdego, kto tylko znalazł się w ogrodzie. Megs nigdy nie przestanie mu wypominać, że zwątpił w jej ocenę.

Nie to, żeby się skarżył.

– Och, spójrz! – wykrzyknęła. – Gniazdo rudzika. A wieczorem widziałam skaczące pomiędzy rabatkami króliczeta! Nie miałam pojęcia, że w sercu Londynu może być tyle dzikich zwierząt.

– Nie było ich, póki nie zamieszkała tu pewna bogini – mruknął pod nosem.

Spojrzała na niego.

– O czym ty mówisz?

– To nic ważnego.

Objął ją ramionami i razem przyglądali się przez chwilę rudzikowi. Bez wątplenia w jego ogrodzie zaroi się wkrótce od wiewiórek, borsuków i małych jeży. Wyglądało na to, że magia Megs oddziałuje na wszystko, co żywe.

I Bogu dzięki.

Pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

– Mówiłem ci już, jak bardzo się cieszę, że najechałaś mój dom i wywróciłaś mi życie do góry nogami?

Odwróciła głowę tak, że musnęła policzkiem jego wargi.

– Powtarzasz mi to co dzień.

– Ach – uśmiechnął się z ustami przytulonym do jej miękkiej skóry. – Wiesz, że mnie uratowałaś.

Potrząsnęła znów głową.

– Głuptas z ciebie.

– To prawda – powiedział, gdyż to właśnie zrobiła. – A teraz ja zamierzam uratować ciebie, polecając kucharzowi, aby przygotował zapiekankę z rybą.

Zacisnęła usta.

– Tak – powiedział zdecydowanie, odwracając ją ku sobie. – Nic nie jest zbyt dobre dla matki mojego dziecka.

Policzki Megs poróżowiały. Przygryzła wargi, ale nie była w stanie powstrzymać uśmiechu, jaki cisnął się jej na usta.

– Jesteś teraz pewna, prawda? Zważywszy, co wydarzyło się rano?

– Tak – wyszeptała. – Jestem.

Uśmiech, jakim go obdarzyła, jaśniejszy był niż słońce. Odpowiadał w pełni szczęściu w jego sercu, kiedy pochylał się, by nakryć jej wargi swoimi.

Odwrócili się i weszli razem do domu, poszukać zapiekanki rybnej i dżemu.

Epilog

– Zaczekaj! – krzyknęła Faith. – Dokąd idziesz?

– Spotkać się z Diabłem – odparł Hellequin.

– Skoro tak, pójdę z tobą – powiedziała.

Spojrzał na nią i przez chwilę Faith wydawało się, że dostrzega w jego oczach smutek. Po chwili wyciągnął do niej dłoń. Ujęła ją, a wtedy przyciągnął do siebie dziewczynę i posadził na grzbiecie wielkiego czarnego konia. Objęła Hellequina ramionami w pasie i w milczeniu jęli przemierzać Równinę. Po jakimś czasie zobaczyli wysoki kamienny łuk, czarny i strzelisty.

– To Piekło? – wyszeptała Faith.

– Tak – odparł Hellequin. – To wejście do Piekła. Pamiętaj, cokolwiek powie ci Diabeł, nie ma nad tobą władzy, ponieważ oddychasz i jesteś żywa. On włada jedynie umarłymi.

Faith skinęła głową i mocniej objęła Hellequina. Minęli Bramę Piekła i pojechali dalej, w ciemność. Faith rozglądała się dokoła, ale nie mogła nic dostrzec ani niczego usłyszeć. Miejsce było tak puste, niegościnne i zimne, że gdyby była tu sama, mogłaby skulić się i zagubić. Miała jednak przy sobie Hellequina, a kiedy przytuliła policzek do jego szerokich pleców, usłyszała, jak mocno, miarowo bije mu serce. Nagle przed nimi pojawiła się istota przypominająca człowieka, choć była blada, chuda i niezbyt wysoka. Pustka w jej spojrzeniu sprawiła, że Faith zadrżała i odwróciła wzrok. Hellequin ujął dłoń dziewczyny, zsiadł z konia i poprowadził ją ku temu stworzeniu.

– Zgubiłeś duszę, którą poleciłem ci przywieźć – zauważył Diabeł, gdyż był to właśnie on. Hellequin pochylił głowę. – Wiesz, jaką grzywnę będziesz musiał zapłacić – powiedział Diabeł spokojnie.

Faith ścisnęło się serce.

– O czym on mówi? – spytała Hellequina. – Co to za grzywna?

– Moja dusza – odparł Hellequin. – Diabeł domaga się duszy, a ponieważ tamtą zgubiłem, muszę oddać mu swoją.

– Nie! – krzyknęła Faith.

Diabeł wykrzywił cienkie, zimne wargi w wyrazie rozbawienia.

– Żywi są tak uczuciowi. Czy mam przywiązać cię do rozpalonej do czerwoności skały, żebyś smażyła się przez setki lat, dziewczyno?

Faith uniosła brodę i choć cała się trzęsła, spojrzała wprost w nieznające litości oczy Diabła.

– Ja żyję. Nie masz nade mną władzy.

– Ach. Widzę, że Hellequin się wygadał. – Diabeł wzruszył ramionami. – Odejdź zatem z mojego królestwa, ludzka istoto.

– Odejdę – powiedziała Faith – lecz nie bez Hellequina.

Diabeł odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał. Przypominało to pocieranie klingi o mokry kamień.

– Głupia dziewczyno. Hellequin nie jest człowiekiem, i to już od tysięcy lat.

– Pije wino jak człowiek – odparła Faith. Diabeł zmrużył oczy. – Je i sypia jak człowiek – kontynuowała dzielnie, czując, jak rodzi się w niej nadzieja. – Jak więc może nie być człowiekiem?

– Lecz nie oddycha – prychnął Diabeł.

Faith otworzyła szerzej oczy. Zrozumiała, że przegrała, gdyż Hellequin ani razu nie zaczerpnął powietrza, odkąd z nim wyruszyła. Wspięła się na palce i ze łzami w oczach objęła dłońmi jego czarną twarz.

– Przykro mi – wyszeptwała. – Tak bardzo przykro.

Przycisnęła usta do jego ust i wraz z pocałunkiem wdmuchnęła mu do płuc własny oddech.

Diabeł wrzasnął z wściekłości, a wokół Faith i Hellequina powietrze gwałtownie zawirowało. Wiatr wzmagął się, wznosząc się wyżej i wyżej. Faith mogła jedynie przywrzeć do Hellequina i zamknąć oczy. A potem wichura nagle ucichła. Dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła, że jest noc, a oni stoją na skrzyżowaniu dróg, gdzie jej ukochany wydał ostatnie tchnienie. Z ust Hellequina dobywały się dziwne, rżące dźwięki. Chwycił się za bok i padł na kolana.

Faith uklękła obok niego, przerażona.

– Co się dzieje?

– Nic – odparł. – Oddychanie boli, jeśli nie robiło się tego przez tysiąclecia.

*Odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał, ale jego śmiech –
w przeciwieństwie do diabelskiego – był ciepły i pełen życia.*

Hellequin pochwycił Faith w ramiona.

*– Najdroższa, podarowałaś mi jedzenie, picie i sen. Sprawiałaś,
że moje serce zaczęło bić, i tchnęłaś życie w moje martwe płuca.*

*Przechytrzyłaś Diabła i uratowałaś mnie od Piekła, choć nie
widziałem dotąd, by komukolwiek się to udało. Nie jestem dobrym
człowiekiem, jak twój ukochany, lecz jeśli zechcesz mnie za męża,
spędzę resztę śmiertelnego życia na uczeniu się, jak sprawić, abys
mnie pokochała.*

Faith tylko się uśmiechnęła.

*– Ja już cię kocham, gdyż byłeś gotów oddać swą nieśmiertelną
duszę, aby uwolnić mego ukochanego i uszczęśliwić mnie.*

*Przyciągnęła do siebie jego głowę i połączyła się z nim w pierwszym
z wielu pocałunków, należnych śmiertelnikowi.*

– z Legendy o Hellequinie

Trzy miesiące później...

Jako towarzyszka lady Penelope Chadwick, Artemis bywała już świadkiem wielu jej nieroztropnych pomysłów. Raz postanowiła ona przejąć Przytułek dla Sierot i Podrzutków i została obrzucona pestkami wiśni. Kiedy indziej próbowała wprowadzić nową modę, używając jako akcesorium żywego łabędzia – któż mógłby przewidzieć, jak bardzo niezdolne i agresywne potrafią być te piękne ptaki? Była również ta sprawa z kostiumem pasterki i owcą. Nawet rok później woń mokrej wełny sprawiała, że Artemis przewracało się w żołądku.

Ale – jeśli nie liczyć syczącego ze złości łabędzia – jej pomysły nie bywały zwykle niebezpieczne.

Ten wszakże mógł je kosztować życie.

– Jesteśmy w St. Giles i jest tu ciemno – powiedziała, jak jej się zdawało, przekonującym tonem. Ulica, na której się znajdowały, była pusta, wysokie domy po obu stronach pochylały się nad nią w dziwnie niepokojący sposób. – Wypełniłaś więc chyba warunki zakładu z lordem Featherstone'em, prawda? Może wrócimy zatem do domu i skosztowały tej pysznej cytrynowej tarty, którą upiekła rano kucharka?

– Och, Artemis – odparła Penelope lekceważącym tonem, który Artemis zdążyła już znienawidzić. – Problem z tobą polega na tym, że nie masz za grosz

żyłki do przygód. Lord Featherstone nie odda mi inkrustowanej klejnotami tabakierki, jeżeli nie kupię o północy kubka paskudnego ginu i nie wypiję go w St. Giles, więc właśnie to zamierzam zrobić!

Ruszyła drobnym kroczeniem jedną z najbardziej niebezpiecznych ulic w Londynie. Artemis wzdrygnęła się i podążyła za nią. Miała przynajmniej latarnię, a chociaż Penelope była próżna, niemądra i dziecinna, raczej ją lubiła. Może jeżeli uda im się szybko znaleźć gin, wyprawa dobrze się skończy i będzie miała co opowiadać bratu, kiedy odwiedzi go znowu w Bedlam.

Wszystko przez pannę Hippolytę Royle, pomyślała ponuro, rozglądając się dookoła. Panna Royle pobudziła wyobraźnię większości arystokratycznego towarzystwa – a przynajmniej jego męskiej połowy – i po raz pierwszy w życiu Penelope przekonała się, jak to jest mieć rywalkę. W związku z tym postanowiła – ku przerażeniu Artemis – wyróżnić się śmiałością oraz fantazją, stąd ten niemądry zakład z lordem Featherstone'em.

– Tamto miejsce wygląda obiecująco – zawołała radośnie, wskazując walącą się rudę na końcu uliczki.

Artemis ledwie zdążyła zastanowić się, co też jej towarzyszka uważa za obiecujące, kiedy z rudery wyłoniło się trzech potężnie zbudowanych mężczyzn i ruszyło w ich stronę.

– Penelope – syknęła Artemis. – Odwróć się. Natychmiast.

– Dlaczego miałabym... – zaczęła Penelope, lecz było już za późno.

Jeden z mężczyzn podniósł głowę, zauważył je i zamarł. Artemis widziała kiedyś, jak stary kocur nieruchomieje w ten sam sposób.

Tuż przed tym, jak pochwycił i rozerwał na strzępy wróbla.

Mężczyźni ruszyli ku nim z pochylonymi ramionami, poruszając się pewnie i bez obawy. Znalazły się w pułapce. Z uliczki były tylko dwa wyjścia, a oni blokowali jedno z nich.

– Biegiem! – mruknęła do kuzynki, wyciągając ku niej ramię. Nie mogła zostawić Penelope samej. Po prostu nie mogła.

Penelope krzyknęła, głośno i przenikliwie.

Mężczyźni byli już bardzo blisko. Ucieczka odwlekłaby nieuniknione zaledwie o kilka sekund.

Boże, Boże, Boże!

Artemis sięgnęła do buta.

A potem z góry nadeszło wybawienie.

Miało postać potężnie zbudowanego, budzącego postrach mężczyzny. Wylądował na ugiętych nogach tuż przed nimi. Wyprostował się i kobieta

zobaczyła jego maskę: czarną, zakrywającą twarz od górnej wargi po linię włosów, z nienaturalnie wielkim nosem i szramami wijącymi się na policzkach. Ciemne oczy połyskiwały zza wyciętych w masce otworów, inteligentne i pełne życia.

Pojęła, że ma przed sobą Ducha St. Giles.

Godric St. John pozostaje w cieniu, przemierzając jako zamaskowany mściciel mroczne zaułki St. Giles, by chronić niewinnych. Do czasu, aż pewnej nocy musi stawić czoło nieustraszonej młodej damie celującej do niego z pistoletu – i uświadamia sobie, że jest nią jego żona. Lady Margaret Reading przysięgła zabić Ducha St. Giles, sądzi bowiem, że to on zamordował miłość jej życia. Wróciwszy do Londynu i męża, którego nie widziała od dnia ślubu, nie rozpoznaje mężczyzny za maską. Duch St. Giles, władczy, gwałtowny i niebezpieczny, okazuje się dokładnie taki, jak się spodziewała. Nie spodziewała się tylko, że wzbudzi w niej namiętność...

